



*Państwo prawa
to mit.
Państwo prawników
to fakt.*



TESTAMENT

REMIGIUSZ MRÓZ

TESTAMENT

REMIGIUSZ MRÓZ
TESTAMENT



Dla Roberta,

który kiedyś spojrział na maszynopis Kasacji

i powiedział: „wydajemy!”

Non omne quod licet honestum est.

Nie wszystko, co dozwolone, jest uczciwe.

Rozdział 1

Rondo

1

Gabinet Chyłki, XXI piętro biurowca SkyLight

Upływ czasu miał leczyć rany, ale Chyłka miała wrażenie, że jego jedyną konsekwencją jest przybliżanie do śmierci. Do utraty świadomości bez szans na jej odzyskanie. Do wytchnienia.

Jeśli właśnie to mieli na myśli wszyscy ci, którzy twierdzili, że z czasem każda blizna się goi, Joanna była gotowa przyznać im rację. Doświadczała nocy wypełnionych tak głęboką pustką, że wszystko zdawało się tracić sens. Wciąż przyłapywała się na machinalnym dotykaniu brzucha – ale zamiast znajomego zaokrąglenia czuła jedynie fałdy pomarszczonej skóry.

Starła się zakopać w pracy i zapomnieć o tym, że straciła dziecko, któremu nie zdążyła nawet nadać imienia. Pasożyta.

Niekiedy udawało jej się zatracić w zawodowych obowiązkach – najpewniej tylko dlatego, że całą uwagę poświęcała próbom wyciągnięcia Kordiana Oryńskiego z więzienia. Myślenie o wszystkich grożących mu niebezpieczeństwach sprawiało, że nie zostawało jej wiele czasu na rozważanie czegokolwiek innego. Tym bardziej zirytowało ją, kiedy o traumie poronienia przypomniał jej pewien telefon.

Dzwonił Rafał Kranz, ginekolog, który w ostatnich tygodniach prowadził jej ciążę. Niespecjalnie przyjemny człowiek, ale fachowiec w swojej dziedzinie. Joanna niechętnie zerknęła na pęknięty wyświetlacz telefonu, starając się przekonać samą siebie, że nie ma żadnego powodu, dla którego powinna odbierać. Kranz z pewnością chciał zaoferować słowa pocieszenia, a ona nie miała zamiaru ich wysłuchiwać. Zresztą nie wybiła jeszcze dwunasta, a niepisana zasada w kancelarii Żelazny & McVay mówiła, że do południa Chyłka zajmuje się wyłącznie swoimi sprawami, nie poświęcając uwagi niczemu ani nikomu innemu.

Wyciszyła dzwonek i wróciła do przerwanych zajęć, przekonana, że ginekolog da jej spokój. Chwilę później odebrała jednak esemesa, który był krótkim, acz wymownym

wołaniem o pomoc. Kranz pisał, że jest w kancelaryjnej recepcji i natychmiast musi się z nią zobaczyć. Dodawał, że recepcjonistka nie chce go przepuścić dalej.

Joanna nabrała głęboko tchu i po chwilowym wahaniu uznała, że najlepiej będzie spławić lekarza samodzielnie. Sięgnęła po telefon stacjonarny i wybrała numer Anki z Recepcji.

Kranz po chwili zjawił się w jej gabinecie. Nie sprawiał wrażenia, jakby na cito potrzebował pomocy prawnej. Niespiesznie zamknął za sobą drzwi, a potem popatrzył na Chyłkę prawie bez emocji.

Nie dała mu sposobności, by ją przywitał.

– Naprawdę nie sądziłam, że jest pan jednym z tych – rzuciła.

Otworzył usta, ale się nie odezwał, wyraźnie skonsternowany. Wyglądał na człowieka, który nie przywiązywał wagi do międzyludzkich ceremoniałów, ale może pomyliła się w swojej ocenie.

– Z tych? – odezwał się w końcu.

– Lekarzy stalkerów, którzy nękają pacjentów, bo czują chorą potrzebę, żeby podnieść ich na duchu.

– Nie po to tutaj...

– To dobrze. Jak usłyszę, że nie mam prawa być kurewsko przybita, bo są tacy, którzy mają gorzej, wytłumaczę panu, że to tak, jakby zabronić szczęśliwemu się radować, bo są tacy, którzy mają lepiej.

Przez moment nie odpowiadał.

– A jak zacznie mi pan pieprzyć, że cieszę się dobrym zdrowiem, nie mam żadnych chorób i w razie czego stać mnie na najlepszą opiekę lekarską, odpowiem, że znaczy to tylko tyle, iż umieram wolniej niż inni.

Obróciła się na fotelu przy biurku i ściągnęła z parapetu paczkę papierosów. Miała wrażenie, że od kiedy wyszła ze szpitala, odrobiła cały deficyt nikotyny, powstały w trakcie ciąży.

Zapaliła marlboro i zaciągnęła się głęboko.

– Co pan tu robi? – spytała, po czym wypuściła dym.

– Nie proponuję mi pani, żebyśmy usiadł?

– Nie.

Zaległa niewygodna cisza. Chyłka zerknęła na krzesło po drugiej stronie biurka.

– Ta grzęda przeznaczona jest dla kur, które znoszą złote jaja – wyjaśniła. – Pan może co najwyżej znieść krytykę.

– Krytykę?

– Którą zaraz pana zaleję, jeśli szybko nie dowiem się, po co zawraca mi pan dupę.

Trzymany między palcami papieros był jak klepsydra odmierzająca Kranzowi czas – i Chyłce wydawało się, że natręt to rozumiał, bo spojrział na niego znacząco. Oparł się plecami o drzwi i na moment zawiesił wzrok za oknem.

Swoim wyglądem nie wzbudzał zaufania, jakim powinno się obdarzać ginekologa. Miał surowy wyraz twarzy, sprawiał wrażenie człowieka raczej obcesowego. Grzywka mocno zaczesana od samego ucha na bok jakby zwilżonym grzebieniem kazała sądzić, że pedantycznie podchodzi do swojego wyglądu. Ale było to złudne. Rafał Kranz miał co

najmniej dziesięć kilogramów nadwagi, a przyciasne koszula, marynarka i spodnie tylko to uwydatniały.

Zanim Chyłka zdecydowała się powierzyć mu prowadzenie ciąży, naczytała się negatywnych komentarzy na jego temat w internecie. Pacjentki narzekały na grubiaństwo, niektóre twierdziły, że traktuje je w najlepszym wypadku jak intruzów, w najgorszym jak puszczalskie siksy. Joannę niespecjalnie to interesowało – dla niej liczyło się, że lekarz mógł się pochwalić dużym doświadczeniem i wiedzą.

Zaliczył sporo kursów, napisał gros artykułów naukowych, zdobył certyfikat Fetal Medicine Foundation, praktykował w Bernie, a zanim przeszedł do sektora prywatnego, był zastępcą ordynatora w szpitalu Świętej Rodziny.

Fakt, że nie certolił się z pacjentkami, Joanna traktowała nawet jako atut. Tym bardziej dziwiło ją, że zdecydował się na „domową” wizytę.

– Tracę cierpliwość – odezwała się. – Choć na dobrą sprawę nigdy jej nie miałam. To paradoks, prawda?

– Nie większy niż to, co mnie spotkało.

– To znaczy?

Mimo że grzęda nie była przeznaczona dla niego, odsunął sobie krzesło i ciężko na nie opadł. Chyłce wydawało się, że materiał koszuli na brzuchu jest tak napięty, iż któryś z guzików zaraz się odpruje.

– Przejdę od razu do rzeczy – zapowiedział Rafał.

– Cały czas na to liczę.

– Dziś rano dostałem informację, że jedna z moich pacjentek zostawiła mi spadek.

– W postaci dziecka?

Spojrzał na nią niepewnie.

– Zapłodnił pan jakąś białogłową, a ta zostawiła bękarta w oknie życia i wskazała na pana?

– Nie – odparł głosem bez wyrazu. – Miałem na myśli dosłowny spadek. Zapisła mi w testamencie cały swój majątek.

– Duży?

Zareagował uniesieniem brwi i powolnym skinieniem głowy, co kazało prawniczce sądzić, że masa spadkowa rzeczywiście okazała się pokaźna.

– W takim razie musiał pan prowadzić jej ciążę jak ja iks piątkę w godzinach szczytu.

Zignorował to porównanie, najpewniej nie zdając sobie sprawy, jak duży komplement usłyszał.

– Pacjentka nie była w ciąży – odparł. – Przyjąłem ją tylko raz, podczas rutynowej kontroli. Przepisałem jej tabletki antykoncepcyjne.

– Chyba wyjątkowo skuteczne, skoro tak się odwdzieczyła.

Kranz nie zareagował, a Joanna bacznie mu się przyjrzała. Dopiero teraz zauważyła, że jest nieobecny myślami. Zupełnie jak człowiek, który całą noc nie spał, a z samego rana dowiedział się, że choruje na nieuleczalną chorobę. I który w dodatku nie zdążył wypić kawy.

– Byłem dość... skołowany całą sytuacją.

– Nie dziwię się. Nawet najlepsze ABS-y nie wyhamują przed dobrze rozpędzonymi plemnikami.

– Co proszę?

– ABS. *Anti-baby system*. Nie wiem, co za dropsy jej pan przepisał, ale wątpię, żeby...

– Nie zostawiła mi majątku ze względu na pigułki.

– Nie – potwierdziła Chyłka i westchnęła. – Pewnie nie.

– I nie znam powodu, dla którego to zrobiła – dodał, zanim adwokat zdążyła dopytać, a potem zrobił głęboki wdech. – Wiem tylko, że czekają mnie z tego powodu problemy. I dlatego potrzebuję pani pomocy.

– Nie mam teraz czasu. Muszę wyciągnąć kogoś z więzienia, zanim dobierze się do niego wyjątkowo perfidny siłomasorzeźbiarz.

– Pani mecenas...

Urwał, kiedy uniosła dłoń.

– Wchodzi mi tu pan przed dwunastą, bezprawnie anektuje krzesło, a w dodatku ociąga się pan z powiedzeniem czegokolwiek sensownego gorzej niż sędziowie z publikacją oświadczeń majątkowych. Nie mam czasu na takie bzdury.

– To żadna bzdura. A sprawa może dotyczyć pani znajomego – odparł stanowczo Rafał i nachylił się w stronę biurka. – Mam na myśli tego aplikanta, którego zamierza pani wybronić.

Chyłka zmarszczyła czoło. Tego się nie spodziewała.

– W jaki sposób ma go niby dotyczyć? – spytała.

– Zdradzę to za chwilę, na razie proszę mnie posłuchać...

– Słucham cały czas. Z coraz większą niechęcią.

Wyprostował się i wciągnął lekko brzuch, jakby dopiero teraz się zorientował, że szwy mogą nie wytrzymać.

– Pacjentka zapisała mi między innymi nieruchomość na Rakowcu, przy Grójeckiej.

– Gratuluję. Blisko ogródków działkowych?

– Właściwie...

– To nie było pytanie, ale ponaglenie.

– Rozumiem – odbąknął Kranz. Sprawiał wrażenie, jakby rzeczywiście zrozumiał.

– Nieruchomość jest niewielka, w dodatku całkowicie zaniedbana i zarośnięta. Jak wiele podobnych budynków w tamtym rejonie. Nic szczególnego, ale... ale to, co zobaczyłem w środku... – Zawiesił głos i potrząsnął głową. – Znajdują się tam zwłoki.

Chyłka wypuściła dym w jego kierunku, mrużąc oczy. Kaszlnęła cicho, czekając na ciąg dalszy, Kranz jednak się nie odzywał.

– Znalazł pan sztywniaka na posesji?

Skinął głową w milczeniu.

– To ci dopiero bonus.

– Zwłoki są w zaawansowanym stanie rozkładu – dodał, jakby nie usłyszał komentarza. – Nie sposób powiedzieć nawet, jakiej są płci ani jak długo tam leżą. Na miejscu jest mnóstwo robactwa, much i...

– I wszystko to teraz należy do pana. Jeszcze raz gratuluję – odparła pod nosem Joanna. – Na czym polega problem?

– Żartuje pani?

– Znalazł pan nieboszczyka, to się zdarza. Do czego potrzebny panu adwokat? I jaki to ma rzekomo związek z Zordonem?

– Nie rozumie pani...

– Nie, nie rozumiem.

– Zacząłem sprawdzać ten budynek, szukając czegoś, co pomogłoby mi zrozumieć, o co tutaj chodzi.

– To niespecjalnie dobry pomysł, ale właściwie co kto lubi. Znam takich, co to nawet doktoraty robią z entomologii. Analizują żer gniliaków, larw muchówek, grabarzy, szubaków...

– Nie ruszałem zwłok.

– W takim razie nie ma na nich pańskich odcisków palców. Czym się pan przejmuje, do cholery?

– Tym, co znalazłem w jednej ze spróchniałych szuflad.

– Czyli?

Przełknięcie śliny przyszło Kranzowi z wyraźnym trudem. Skrzywił się, jakby wiązało się to z bólem.

– Był tam list od mojej pacjentki. List pożegnalny.

Joanna zgasiła papierosa.

– Popelniła samobójstwo? – odezwała się.

– Tak. I okazało się, że to właśnie jej ciało znalazłem.

W gabinecie Chyłki zaległa cisza, a powietrze zdawało się gęste i wilgotne, jakby do dwojga rozmówców zbliżał się front burzowy. Nie zastanawiając się długo, Joanna sięgnęła po kolejnego marlboro.

– Rozumie pani, jak to wygląda... – podjął Rafał. – Dziewczyna zapisuje wszystko praktycznie nieznanemu osobie i niedługo potem popełnia samobójstwo. A majątek jest naprawdę pokaźny.

W pokoju słychać było jedynie cichy syk tłących się tytoniu i bibułki.

– Stawia mnie to w niekorzystnym świetle – dodał Kranz.

– Raczej w cieniu – poprawiła go. – Podejrzeń.

– Otóż to.

– Ale to za mało, żeby zaraz po tym odkryciu zwracał się pan do mnie po pomoc prawną. Stało się coś jeszcze.

Pokiwał głową i Chyłka mogłaby przysiąc, że było w tym nieco uznania.

– Odjeżdżając z Grójeckiej, zauważyłem radiowóz zaparkowany nieopodal.

– I? Psy mają to do siebie, że czasem są na spacerze.

– Pojechali za mną, pani mecenas.

Nie musiała pytać, czy ciągnęli się za nim aż do Skylight. Głośne pukanie do drzwi i jednocześnie dzwoniący telefon stacjonarny uświadomiły jej, że tak się stało. Zanim zdążyła zapytać Rafała o cokolwiek więcej, drzwi gabinetu się otworzyły, a do środka weszło dwóch umundurowanych funkcjonariuszy.

Jeden z nich oznajmił, że Kranz jest zatrzymany, a drugi spojrział niepewnie na Chyłkę, być może spodziewając się problemów. Prawniczka powoli podniosła się zza biurka, ale nie miała zamiaru interweniować. Ginekolog w tej chwili nie był jej klientem, nie miała żadnego interesu w stawaniu po jego stronie.

– Niech pani pamięta o tym, co powiedziałem – rzucił jeszcze, zanim policjanci go wyprowadzili.

Nie miała wątpliwości, że Kranz ma na myśli Oryńskiego.

Areszt Śledczy Warszawa-Mokotów

Sześć miesięcy pozbawienia wolności. Na tyle Kordian Oryński umówił się z prokuratorem, która skierowała przeciwko niemu akt oskarżenia. Sędzia nie miał wyjścia, musiał przystać na ten układ – zresztą jemu również był na rękę, sprawę można było szybko odfajkować i ruszyć dalej. W kraju, w którym dziesięć tysięcy sędziów rocznie rozpatrywało około piętnastu milionów spraw, było to całkowicie zrozumiałe.

Nie miało większego znaczenia, czy Oryński popełnił przestępstwo, czy nie.

Za pół roku zacznie na nowo. Nie jako prawnik, w tym charakterze był skończony. By piastować jakąkolwiek funkcję publiczną, musiał poszczycić się tym, co ustawy nazywały „nieposzlakowaną opinią”. Trudno przypisać ją komuś, kogo pozbawiono wolności za zabójstwo eutanatyczne.

Co zamierzał robić po wyjściu na wolność? Tego nie wiedział, nie snuł jeszcze żadnych planów. Skupiał się wyłącznie na tym, jak przetrwać czas w mokotowskim areszcie. Czekał tu na niego Gorzym, któremu właściwie wystarczyłby jeden dzień, by rozprawić się z Kordianem. Na zemstę miał ich tymczasem niemal dwieście.

Oryński liczył na to, że prokuratorski układ zapewni mu specjalne względy – i że zdoła przekonać więzienną administrację, by umieścili go jak najdalej od człowieka, który mu zagrażał.

Tak się jednak nie stało.

Czas na myślenie o przyszłości będzie później, teraz Kordian miał zamiar skupić się na przetrwaniu. Nie opuszczało go wrażenie, że trzyma w rękach tykającą bombę, której nie może się pozbyć, a licznik nieubłaganie odmierza czas, jaki mu pozostał.

Wcześniej niewiele brakowało, by doszło do gwałtu. A później Gorzym nie zatłukł go na śmierć tylko dlatego, że Oryński uzyskał pomoc z zewnątrz. Teraz nie mógł już na nią liczyć. Chyłka nie była w stanie nic zrobić, a prokuratorom już na nim nie zależało. Za murami więzienia zaś nie miał żadnych sojuszników.

Tym większe wytchnienie przyniosła mu informacja o widzeniu. Wiedział, że tylko jedna osoba może go odwiedzić.

Kiedy strażnik prowadził go do przestronnej sali, Kordian rozglądał się nerwowo. Na dobrą sprawę Gorzym mógł go dopaść wszędzie, nawet na korytarzu. Siedział tu dostatecznie długo, by wiedzieć, komu wręczyć drobną sumę – a ta mogła sprawić, że znajdzie się we właściwym miejscu o właściwej porze.

Oryński odetchnął głęboko, gdy dotarł na miejsce bez problemów. Być może przesadzał i przez nieopuszczające go poczucie zagrożenia upatrywał kłopotów tam, gdzie nie miały prawa wystąpić.

Chyłkę dostrzegł natychmiast. Jako jedyna siedziała przy pustym stoliku, nie zrobiwszy żadnych zakupów w kantynie. Wszyscy inni odwiedzający korzystali z okazji, by osadzeni, z którymi się spotykali, mogli coś wypić lub zjeść.

Kordian zajął miejsce naprzeciwko i przez moment patrzył na nią bez słowa.

Joanna również się nie odzywała. Siedziała w bezruchu z rękoma skrzyżowanymi na piersi, jakby czekała, aż jakiś artysta w końcu utrwali jej firmową pozę.

– Żyjesz? – odezwała się po chwili.

Oryński powiódł wzrokiem po ciemnych gumach na podłodze, wżartych w nią tak głęboko, że zdawały się niemożliwe do usunięcia. Właściwie z oddali wyglądały, jakby były elementami posadzki.

– Siedzę w więzieniu, Chyłka – odparł.

– Jak każdy. Dla ciebie więzieniem jest Rakowiecka, dla innych strach przed tym, co się o nich myśli, dla jeszcze innych maski, za którymi kryją się przed całym światem.

Kordian uniósł brwi.

– Mam refleksyjny nastrój – dodała niewinnie Joanna. – To miejsce jest jak inspiracja.

– Chyba tylko jeśli jest się tutaj przelotem...

– Tak jak ty.

– Nie – zaoponował stanowczo, nie mając zamiaru robić sobie złudnych nadziei. – Ja przesiedzę tu najbliższe pół roku.

– W żadnym wypadku.

– Klamka już zapadła.

– Niezupełnie. Przytrzymałam ją od drugiej strony w odpowiednim momencie.

Kordian rozejrzył się bezradnie. Sala widzeń przywodziła na myśl raczej peerelowską szkolną klasę niż współczesne więzienie w jednym z najszybciej rozwijających się krajów Unii Europejskiej. Oryński przypuszczał, że wyremontowano by to miejsce i dopasowano do standardów zachodnich, gdyby władza nie miała w planach przekształcenia go w najbliższym czasie w muzeum.

Niewątpliwie będzie jednym z ostatnich więźniów, którzy opuszczą mury mokotowskiej placówki. O ile rzeczywiście wytrzyma tutaj sześć miesięcy.

– Sędzia nie wydał jeszcze wyroku – zauważyła.

– Formalnie nie, ale...

– Co „ale”? – wpadła mu w słowo. – Liczy się tylko aspekt procesowy, nic innego mnie nie interesuje.

– A powinno, bo jak może pamiętasz, złożyłem wniosek o wydanie wyroku skazującego.

– Jak mogłabym zapomnieć? Debilizmy na zawsze zapadają mi w pamięć.

– Zrobiłem to, co uznałem za...

– Naprawdę mam to gdzieś – ucięła. – Nie od dziś wiadomo, że masz skrzywione pojmowanie rzeczywistości. Zresztą niczego innego nie spodziewam się po człowieku, który słucha Willa Smitha.

– Właściwie ostatnio przerzuciłem się na Quebonafide, Taco Hemingwaya i...

– Pogrążasz się jeszcze bardziej.

– Bo nie jesteś świadoma, że temu pierwszemu zdarza się rapować o tequili.

– Nieistotne. „Rapować” to słowo klucz, które sprawia, że zdusimy ten temat w zarodku, zanim będzie miał okazję się rozwinąć.

Oryński spojrzał na nią z rezerwą. Jakikolwiek wspomnienie o zarodku wydawało

się nie na miejscu, ale przypuszczał, że Chyłka użyła tych słów nie bez powodu. Nawet takimi małymi akcentami starała się pokazać, że dobrze sobie radzi.

– Coś nie tak? – bąknęła.

– Nie. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Przynajmniej u mnie.

– Jeśli chcesz zapytać, czy u mnie też, zastanów się dwa razy.

– Nie miałem takiego zamiaru.

– To dobrze – odparła, kładąc dłonie na stole i patrząc na Kordiana z ukosa. – Bo to, że mój bodybuilding zakończył się przedwcześnie, nie znaczy, że jestem delikatna jak płateczek lilii unoszący się na tafelce jeziorka.

Zgrzyt, jaki wywoływały te słowa, zdawał się dudnić nieprzyjemnym echem. Kordian również pochylił się nad stołem. Znaleźli się na tyle blisko siebie, że poczuł perfumy Chyłki.

– Bodybuilding? – zapytał.

– A jak inaczej określisz ciężę?

– Znalazłbym kilka lepszych porównań.

– Podobnie jak mój ginekolog.

Wyprostowała się, a jej twarz nagle przybrała inny wyraz. Oryński dopiero teraz uświadomił sobie, że ta rozmowa nie bez powodu biegła w tym kierunku. Joanna najwyraźniej przysłała tu w określonym celu – i nie było nim rzucanie ogólnych zapewnień, że wyciągnie go z aresztu.

– Wiesz, co powiedział mi podczas pierwszej wizyty?

– Nie – odparł Kordian, marszcząc lekko brwi.

– Że cięża jest jak awans w pracy. Nigdy nie wiesz, ile razy trzeba dać dupy, żeby doszła do skutku.

Oryński mógłby przysiąc, że w głosie dawnej patronki usłyszał uznanie.

– Od razu ci się spodobał, co? – odezwał się.

– Mhm – potwierdziła. – Poczułam, że nadajemy na tych samych falach.

– A wspominasz o tym, bo...

– Bo facet zgłosił się do mnie, szukając pomocy – odparła, a potem nabrała głęboko tchu. – Dostał spadek od jednej z pacjentek, praktycznie jej nie znał. A kiedy pojechał sprawdzić jedną z nieruchomości, zastał na miejscu truchło.

Kordian nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

– Zaraz potem pognął do Skylight, ale nie zdążył mi wiele powiedzieć, bo wyprowadziła go policja – ciągnęła Joanna, nie zwracając uwagi na konsternację Oryńskiego. – Właściwie dzień jak co dzień w Żelaznym & McVayu.

– No tak.

– Ale istotne było dla mnie to, że jego zdaniem sprawa ma związek z tobą.

Kordian nagle również się wyprostował, jakby poraził go prąd.

– Jak to? – jęknął.

– Spokojnie. Nie chodzi o żadne dodatkowe problemy. Wręcz przeciwnie, Kranz twierdzi, że może ci pomóc.

– Jak?

– Tego nie udało mi się jeszcze z niego wyciągnąć. Ale to kwestia czasu.

– Więc podejmujesz się obrony?

Wzruszyła ramionami, jakby w ogóle nie było czego rozważać.

– A co mam zrobić? – mruknęła. – Kupił mnie tym porównaniem z awansem w robocie.

– Gdybym był kobietą, jakoś niespecjalnie by do mnie przemawiało.

– Bo byłbyś jedną z tych, które twierdzą, że za każdym mężczyzną, który coś osiągnął, stoi jakaś kobieta.

– A to nieprawda?

– Nie. Kobiety stoją przed, nie za nimi.

– Aha.

Przez moment się nie odzywali, patrząc na siebie niepewnie. Niemal zwyczajowo starali się trzymać z dala od tematów, które tak naprawdę oboje chcieli poruszyć. I tradycyjnie mieli z tym kłopot.

Mamihlapinatapai. To jedno jagańskie słowo wyrażało wszystko to, do czego sprowadzały się ich relacje.

– Rafał Kranz jest fachowcem – dodała w końcu urzędowym tonem Chyłka. – Tyle że nie szkolono go z *savoir-vivre*'u, ale z opieki ginekologicznej.

– Mimo wszystko na studiach musieli przygotować go pod kątem kontaktów z pacjentami.

– Studia to tylko kara za to, że przetrwałś liceum, Zordon – odpowiedziała, zawieszając wzrok gdzieś w oddali. – Nie mają praktycznego znaczenia, a na specjalizacji nie uczy się lekarzy podejścia do pacjentów. I dobrze, bo to mitręzenie czasu. Zamiast właściwego głaskania po rękę wolę właściwą diagnozę.

– Ty z pewnością tak, ale...

– Kranz w każdym razie je stawia. Notorycznie.

– I to wystarczy, żebyś mu zaufała?

– Nie ufam nawet sobie.

– A jednak jesteś przekonana, że rzeczywiście może mi pomóc – odparł stanowczo.

– I dlatego zdecydowałaś się wziąć jego sprawę.

– To jeden z powodów – przyznała. – Drugi jest taki, że to wszystko mocno podejrzane.

– To znaczy?

Chyłka rozejrzała się, na dłużej zatrzymując wzrok na siedzącej niedaleko parze. Dopiero teraz zdawała się zorientować, że jako jedyna nie kupiła niczego w kantynie.

– Zastanów się – mruknęła. – Oskarżą go o zabójstwo tej dziewczyny, ale to właściwie najbardziej absurdalny kandydat na mordercę, o jakim mogłabym pomyśleć. Gdyby to zrobił, lepiej ukryłby ciało, zapewniłby sobie alibi, zabezpieczyłby się odpowiednio. W końcu to on figuruje w testamencie, więc wiedziałby, że właśnie na niego od razu padnie cień podejrzeń.

– Dlaczego ta dziewczyna w ogóle go w nim umieściła?

– Nie mam bladego pojęcia, podobnie jak on. Ale dowiem się.

– Miała jakąś rodzinę?

– Całkiem sporą – odparła ciężko Chyłka, jakby to był powód, by współczuć

spadkodawczyni. – Rodzice byli znanymi warszawskimi przedsiębiorcami, robili głównie w nieruchomościach. Obłowili się podczas reprivatyzacji, skupując sporo roszczeń, a potem inwestując zdobyte środki. W pewnym momencie przestali zajmować się przeszłością i skupili na deweloperce. Potem pochłonęły ich gry rynkowe i w rezultacie dziewczyna odziedziczyła udziały w kilku intratnych spółkach.

– Dawno zmarli?

– Ojciec parę lat temu, matka przed rokiem. Oboje z przyczyn naturalnych – odparła Joanna i poprawiła żakiet.

Dobrze wyglądała w swoim dawnym, przedciążowym służbowym stroju – jakby rzeczywiście zostawiła traumatyczne przeżycia za sobą i skupiła się na tym, co tu i teraz.

– Została czwórka dzieci – kontynuowała. – Ofiara, czyli Beata Widera, i trzech braci. Dziewczyna w całości odziedziczyła rodzinny biznes, bo podobno jako jedyna z całego towarzystwa była na tyle odpowiedzialna, by to ją rodzice ustanowili następczynią.

– Brzmi jak przyczynek do rodzinnych zapasów w błocie.

– Zapewne się odbyły, ale dopiero zaczynam badać sprawę. Na razie wiem tyle, że wszystko wskazuje na samobójstwo.

– Zostawiła list?

– Tak. Niestety, znalazł go sam Kranz, więc wartość dowodowa będzie taka sobie.

Kordian pokiwał głową w zamyśleniu. Nie znał ani rodziny Widerów, ani ginekologa. O ile pamięć go nie myliła, nigdy nie spotkał żadnej z tych osób, nawet o nich nie słyszał. Ale dlaczego w takim razie lekarz utrzymywał, że może mu pomóc?

– Bez nerwów, Zordon – odezwała się Joanna. – Wszystko ogarnę.

Jeszcze przez moment namyślał się w milczeniu.

– Zdajesz sobie sprawę, że to może być lichy wybieg, żebyś podjęła się obrony?

– Nie – odparła bez wahania. – Kranz wie, z kim ma do czynienia. I jest świadomy, że prowokowanie drapieżnika nigdy nie przyniosło nikomu niczego dobrego.

Kordian próbował odpędzić od siebie myśl, że po raz pierwszy od długiego czasu Chyłka brzmi jak ktoś naprawdę zdesperowany. Wiedział, że zrobi wszystko, by mu pomóc, nawet jeśli miało to zagrozić jej samej. Ta świadomość była jednym z powodów, dla których wniósł o wydanie wyroku skazującego. Chciał mieć to wszystko już za sobą.

I był przekonany, że tak się stało.

Ona także powinna mieć tę pewność. Decyzja sądu należała do zwyczajnych formalności i nawet jeśli Rafał Kranz rzeczywiście miał coś, co mogło pomóc Oryńskiemu, było już za późno.

Chciał jeszcze raz to podkreślić, ale ostatecznie uznał, że przyniesie to efekt odwrotny do zamierzonego.

– Po prostu się nie spiesz – odezwał się po chwili.

– Z czym?

– Z tym, co zamierzasz.

– Nie masz pojęcia, co zamierzam, Zordon.

– Nie? – odparł i uśmiechnął się pod nosem. – Planujesz w jakiś sposób storpedować mój wniosek, a potem wyciągnąć mnie z więzienia. Przypuszczam, że też

przywrócić mnie na dawne stanowisko. A może nawet sprawić, że skończę aplikację i zostanę przyjęty do palestry. O czymś zapomniałem?

Żaden mięsień jej twarzy nawet nie drgnął, mimo że ton, którego użył Kordian, był wyraźnie prześmiewczy.

– Może o hodowli jednoroźców, której założenie jest równie prawdopodobne, jak osiągnięcie którejkolwiek z tych rzeczy? – dodał.

– Nie – odparła. – Ale nie powinieneś sobie drwić z jednoroźców. Podobnie jak z feniksów i innych tego typu stworzeń. Wszystkie sklasyfikował Linneusz w swoim dziele *Animalia Paradoxa*. A nie muszę ci chyba mówić, że to był poważany przyrodnik.

– Który najwyraźniej zrobił wyjątkowo głupią rzecz.

– Ja zamierzam zrobić jeszcze durniejszą – zauważyła z niejaką satysfakcją Chyłka.

– Jaką?

– Związać się z tobą.

Cisza, która zapadła, zdawała się jedynie interludium między jednym a drugim żartem Chyłki. Kąciki jej ust się jednak nie uniosły, a w oczach miała wyłącznie powagę. Kordian odchrząknął nerwowo, dopiero po chwili uświadamiając sobie, że mogła rzucić ten komentarz jedynie po to, żeby sam zaczął myśleć o jak najszybszym opuszczeniu aresztu.

A może nie? Może rzeczywiście planowała wrócić do miejsca, w którym się zatrzymali przed atakiem pod Skylight? Właściwie nic nie stało temu na przeszkodzie. Jeśli pominąć fakt, że Kordian był teraz odizolowany od świata zewnętrznego.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, podniosła się, przesunęła dłonią po białej koszuli pod żakietem i zerknęła w stronę wyjścia.

– To, że nie ufam samej sobie, Zordon, nie znaczy, że ty nie możesz.

– Mhm.

– Po prostu zdaj się na mnie.

Nie dodawszy nic więcej, obróciła się i ruszyła w stronę korytarza. Oryński odprowadził ją wzrokiem, wciąż zastanawiając się nad tym, co konkretnie może planować. Żaden wybieg prawny, o którym pomyślał, nie zdołałby poprawić jego sytuacji.

Owszem, mógł dalej ścierać się z prokuraturą na sali sądowej, ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa skończyłoby się to wyższym wymiarem kary. Jedynym rozwiązaniem było poddanie się wyrokowi. I sprawienie, że za pół roku będzie miał czystą kartę.

Nową kartę.

Jakim cudem Chyłka liczyła na to, że uda jej się wrócić do stanu poprzedniego? O odtworzeniu go nie było już mowy. Nawet gdyby jakimś cudem Kranz rzeczywiście mógł pomóc.

Oryński zastanawiał się nad tym w drodze do celi, nie dostrzegając, że tym razem prowadzi go inny strażnik. Zorientował się dopiero, kiedy skręcili nie w ten korytarz, w który powinni.

Kordian natychmiast się zatrzymał.

– Idź dalej – rzucił klawisz.

– Zaraz...

– Zamknij ryj i idź.

– Ale...

Oryński urwał, widząc, że klawisz kładzie rękę na paralizatorze.

– Już!

Nie mając wyjścia, niepewnie ruszył przed siebie. Czuł, jak zwęża mu się przełyk, i miał wrażenie, że z każdym kolejnym krokiem ściany wąskiego korytarza coraz bardziej się do siebie zbliżają.

Nie miał wątpliwości, że kiedy dotrą na jego koniec, zobaczy tam ostatnią osobę, którą chciałby zobaczyć.

Nie pomylił się. GorzYM już na niego czekał.

Hard Rock Cafe, ul. Złota

Nawet bez niespodziewanie odziedziczonej fortuny Rafał Kranz mógłby pozwolić sobie na wpłacenie poręczenia majątkowego. W ramach wieloletniej praktyki w publicznej służbie zdrowia nie zarabiał wprawdzie kroci, ale od lat prowadził prywatny gabinet. Było go stać nie tylko na to, by co kwartał zmieniać samochód, ale także na to, by czas pozostały do procesu spędzić na wolności.

To tyle, jeśli chodziło o równość wobec prawa, uznała Chyłka, czekając na ginekologa w Hard Rocku. Ustawowe zasady były skonstruowane dla bogatych, nie dla biednych. Tylko ci pierwsi mogli pozwolić sobie na opłacanie najlepszych prawników, a jakby tego było mało, prawo umożliwiało zwyrodnialcom z zasobnym portfelem pozostawać na wolności – podczas gdy ci, którzy cierpieli na deficyt w finansach, pozostawali za kratkami nawet za drobne przestępstwa.

Kiedy Kranz wszedł do restauracji, stwarzał wrażenie, jakby wszystko było w jak najlepszym porządku. Zauważył Chyłkę przy jednym ze stolików, a potem podszedł do niej z niefrasobliwą miną.

Zanim zdążył się z nią przywitać, odezwała się:

– Jak długo, zanim wróci okres?

Skrzywił się, rozejrzał, a potem chrząknął kilkakrotnie i zajął miejsce przy stoliku. Stał na nim talerz pełen mięs, choć właściwszym określeniem byłby być może półmisek. Joanna wbiła widelec w jeden z krwistych kawałków.

– No? – ponagliła go.

– To zależy – odparł Kranz, drapiąc się po skroni.

– Studiował pan prawo czy jak?

– Nie, dlaczego?

– Bo cała ta pięcioletnia przygoda sprowadza się do szkolenia studentów w udzielaniu dokładnie takiej odpowiedzi. Na każde możliwe pytanie – odparła, a potem włożyła kawałek mięsa do ust i zaczęła przeżuwać. – Więc bez pieprzenia, bo znam je zbyt dobrze.

Rafał rozejrzał się za kartą dań, ale Chyłka przed momentem z premedytacją oddała ją kelnerowi.

– Cóż... macica musi się obkurczyć i oczyścić z tego wszystkiego, co...

Urwał, przyglądając się, jak zapalczywie rozmówczyni gryzie mięso.

– Na pewno chce pani teraz o tym słuchać?

– O wydalaniu tkanek, wydzieliny, wodnistych upławach i odchodach połogowych? Nie, niespecjalnie, choć nie ja jedyna to z siebie wyrzucam, prawda?

Kranz skinął niepewnie głową.

– Pytałam o prostą rzecz – dodała. – I oczekiwałam prostej odpowiedzi.

– Za kilka tygodni miesiączka wróci.

Chyłka zakłęła cicho i wbiła widelec w kolejny kawałek. Noszenie pasożyta miało wiele minusów, ale niewątpliwą zaletą tego stanu był fakt, że nie musiała zmagać się z comiesięcznymi przypadłościami.

– Trudno – odbąknęła. – I tak jestem w lepszej sytuacji niż kobiety w Nepalu. Wie pan, że na czas okresu zamykają je w chatkach menstruacyjnych?

– Tak, wiem. To zwyczaj zwany *chaupadi*. Kobiety nie mogą wówczas dotykać innych ludzi, zwierząt, warzyw czy owoców. Nie mogą pić mleka, mają ograniczony dostęp do wody i...

– W porządku. Sprawdzam tylko, czy ogarnia pan temat z empatią, czy może jest pan takim zimnym sukinsynem, na jakiego pan wygląda.

– A wyglądam?

– Raczej – przyznała z pełnymi ustami. – W dodatku wchodzi tu pan jak dandys do bohemicznego przybytku, mimo że jest oskarżony o zabójstwo.

– Zupełnie bezpodstawnie.

Mruknęła coś niezrozumiałego pod nosem, chcąc wysłać jasny sygnał, że nie ma zamiaru tego rozważać. Nie ulegało wątpliwości, że policja lub prokuratura mają coś więcej niż tylko list samobójczyni. Dedukcja sprawdzała się świetnie w przypadku Sherlocka Holmesa, ale niekoniecznie, jeśli chodziło o stawianie zarzutów, które mają się obronić w sądzie.

Zanim Chyłka spotkała się z Kranzem, starała się ustalić wszystkie fakty. Sprawa była jednak zbyt mętna, a po wszystkich sądowych i pozasądowych szarżach prawniczka nie mogła liczyć na przychylność organów ścigania.

W dodatku podczas niedawnego procesu byłego opozycjonisty wywlekła na światło dzienne trochę prokuratorskich brudów. Nie wszystkim się to podobało.

Ostatecznie musiała więc skupić się na tym, by poznać samego Rafała Kranza. Z Rakowieckiej do Szpitala Specjalistycznego imienia Świętej Rodziny nie było daleko, poszła tam od razu po widzeniu z Zordonem. Zaczęła wypytywać o ginekologa i potwierdziła wszystko to, co już wiedziała – był obcesowym gburem, ale fachurą w swojej dziedzinie.

Niejedna pacjentka skarżyła się na jego podejście, pracownicy szpitala twierdzili jednak, że Kranz nigdy nie dopuścił się czegokolwiek niezgodnego z prawem. Mimo szorstkości, w gruncie rzeczy był dobrym, porządnym facetem, przynajmniej tak twierdzili.

Patrząc mu w oczy, Joanna nie mogła przesądzić, czy te słowa wypływały z zawodowej solidarności, czy z prawdy.

– Dobra – rzuciła, a potem odłożyła na moment sztucę. – Niech pan mówi.

– Co konkretnie?

– Co pan zrobił – odparła szybko. – Śmiało. Nic, co nieludzkie, nie jest mi obce.

Jęknął cicho pod nosem, więc Joanna uznała, że od tej strony nie ma sensu go podchodzić.

– Wrócimy do tego – rzuciła. – Ale teraz chcę wiedzieć, ile razy Widera u pana była, czy doszło do czegoś wykraczającego poza dotykane zawodowe i czy...

– W żadnym wypadku.

Chyłka westchnęła przeciągle, a potem przesunęła dłonią po bliźnie na szyi. Kiedy patrzyła na swoje odbicie w lustrze, niemal nie dostrzegła już piętna dżihadu. Gest był równie nieuświadomiony.

– Ustalmy jedną rzecz: ja mogę panu przerywać, pan mi nie.

– W porządku.

– Spotkał ją pan kiedykolwiek poza gabinetem?

– Nie, nigdy.

Podwójne zaprzeczenie. Niedobrze, uznała w duchu Chyłka. Z jej doświadczenia wynikało, że zazwyczaj kryje się pod nim coś więcej. Tyle że Rafał właściwie nie miałby po co kłamać. Jeśli widywał się z dziewczyną, prędzej czy później wyjdzie to na jaw.

Na jakiś czas odsunęła wątpliwości na bok. Najważniejsze było teraz ustalenie, jak mocny materiał mieli przeciwnicy.

I w jaki sposób Kranz mógł pomóc Zordonowi.

– Spotkał pan kiedyś kogoś innego z rodziny Widerów?

– Nie.

– Stanowczo pan zaprzecza.

– Słucham?

– Powinien pan raczej powiedzieć, że nie przypomina sobie, że o ile wie, że nie wydaje mu się, że jeśli pamięć go nie myli...

– Po co mam używać takich formułek, skoro mam pewność, że nigdy nikogo z nich nie spotkałem?

– A skąd ta pewność?

Wzruszył ramionami i najwyraźniej uznał, że to wystarczająca odpowiedź. Była to kolejna nieprzesadnie dobra reakcja, a sam Kranz właściwie już na pierwszy rzut oka wyglądał jak typowa zmora obrońcy.

Silił się na sztuczną uprzejmość, ale w jego mimice i oczach łatwo dostrzegalne było poczucie wyższości. Żaden sędzia ani ławnik nie zapalają do niego sympatią.

Joanna czekała, aż rozmówca doda coś jeszcze, ale zdecydował się milczeć.

– Ustalmy jeszcze jedną rzecz – dorzuciła. – Jeśli chce pan, żebym go broniła, nie może pan zachowywać się jak czarna dziura w Konstelacji Perseusza.

– Co proszę?

– Wydaje ona najniższy zarejestrowany dźwięk. Niemal sześćdziesiąt oktaw poniżej środkowego ce.

– Rozumiem.

– Nie sądzę. Ale mniejsza z tym.

Kranz otworzył oczy nieco szerzej.

– Więc skąd ta pewność, że nigdy nie spotkał pan nikogo z nich? Beata ma trzech braci, jej rodzice też mogli się gdzieś panu nawinać, wszyscy obracali się pewnie w dandysowskich kręgach.

– Z którymi ja nie mam nic wspólnego.

– Nie baluje pan? Nie chodzi na Mysią po buty za dwa tysiące? Nie patrzy pan z ukosa na tych, co to chodzą na spektakle pod chmurką na Bulwarze Flotylli Wiślanej, bo uznaje tylko deski teatralne w Narodowym?

– Nie.

– A to ciekawe, bo wygląda mi pan na buca.

Rozejrzał się za kimś z obsługi, ale wszyscy zdawali się ignorować stolik, przy którym siedzieli Kranz i Chyłka. Zupełnie jakby tych dwoje stanowiło element wystroju.

– Ma pani zamiar mi pomóc czy mnie obrażać?

– Jedno i drugie w moim wypadku są ze sobą powiązane. Jest pan w stanie to przełknąć?

– Tylko jeśli wybroni mnie pani od tego absurdalnego zarzutu.

– Taki mam zamiar. Ale najpierw muszę się dowiedzieć, dlaczego go panu postawiono.

– Widocznie komuś podpadłem.

– Sądzi pan, że to jakiś spisek?

– A jak inaczej to wytłumaczyć? – zapytał, rozglądając się z coraz większą nerwowością. – Jakaś siksa, której nie znam, zapisuje mi cały majątek, a potem rzekomo popełnia samobójstwo.

– Więc to Beata Widera miałaby się na panu za coś odgryźć? Znam lepsze sposoby niż zabijanie się.

– Nie, oczywiście, że nie ona.

– To kto? Podpadł pan komuś?

– Przypuszczam, że nie jednej osobie. – Rafałowi w końcu udało się ściągnąć wzrokiem kelnera. Zamówił piwo i nachos, a potem na powrót skupił całą uwagę na Joannie. – Zresztą czytała pani pewnie opinie w internecie.

– Przewinęły mi się. I od tego jadu aż sama poczułam zgagę.

– W takim razie wie pani, że nie wszystkie pacjentki były zadowolone z tego, jak prowadziłem ich ciążę. To oczywiście same brednie, nikt nigdy nie próbował podjąć przeciwko mnie żadnych kroków w komisji etyki. Ale ludzie mają swoje wyobrażenia.

– Nie wygląda mi to na zemstę niezadowolonego pacjenta.

– A na co?

– Na skok na kasę. W dodatku niemałą.

– A kto go dokonuje?

Joanna uśmiechnęła się lekko. Czowała przyjemny dreszcz na myśl o tym, że stopniowo będzie odkrywać kolejne karty w tej sprawie. Była skomplikowana, nie miała co do tego wątpliwości. Ale znaczyło to tylko tyle, że Chyłka poczuje wyjątkową satysfakcję, kiedy upora się z zagadką.

Być może znów spali za sobą kilka mostów, z pewnością do celu dotrze po paru trupach i włoży kij w niejedno mrowisko. Obnaży cudze grzechy, rozsierdzi tych, którzy starali się je ukryć, i przetrąci kręgosłup każdemu, kto nie ugnie się pod presją.

Chyłka odchrząknęła. Musiała przyznać, że uwielbiała tę robotę.

– Wiem tylko tyle, że to nie pan chce położyć łapę na tej kasie.

– Cóż... dziękuję za wotum zaufania.

W jego głosie nie było nawet krzty szczerości.

– Bo przypuszczam, że w przeciwnym wypadku postarałby się pan bardziej.

– Podejrzewa więc pani kogoś z rodziny?

– Jasne – odparła, a potem na powrót zajęła się swoim daniem. – To właśnie do domowej pralki wrzuca się najgorsze brudy, prawda?

Chciał odpowiedzieć, ale Chyłka wycelowała w niego widelec.

– Niech mi to pan zostawi – poleciała. – A sam zajmie się tym, co mnie interesuje najbardziej.

– Oryńskim?

– Mhm – potwierdziła z pełnymi ustami, a potem znacząco uniosła brwi. Nie musiała nic dodawać, by zrozumiał, że teraz ona czeka na kilka deklaracji i wyjaśnień z jego strony.

Kiedy Kranz dostał swoje zamówienie, nabrał głęboko tchu.

– Mogę mu pomóc.

– Tak, już pan to mówił. W jaki sposób?

– Nie zdradzę tego, dopóki nie zawrzemy umowy.

– Zawarliśmy ją, bo w zupełności wystarczy panu moje słowo, że będę pana bronić.

– A złożyła je pani?

– Jeszcze nie. Ale jestem od tego o krok, o ile usłyszę coś pomocnego.

Przypatrywał jej się przez chwilę, zupełnie zapominając o piwie i nachosach. Sprawiał wrażenie, jakby oceniał, czy opłaca się dalej brnąć w tę negocjacyjną przepychankę, czy ustąpić.

W końcu kiwnął lekko głową.

– Musi pani porozmawiać z tą prokurator, która prowadziła sprawę.

– Prowadzi – poprawiła go. – Sąd nie wydał jeszcze wyroku.

– Ale robi to w najbliższym czasie, więc proszę się pospieszyć.

– Nigdy niespieszno mi do rozmów z prokuratorami, chyba że mam dobry powód, panie Kranz.

– W tym przypadku go pani ma.

– Jaki?

– Odkryła pani nowe fakty – odparł, zniżając nieco głos. – I pozwoliły one pani sądzić, że Kordian Oryński nie dokonał zabójstwa eutanatycznego.

Chyłka liczyła na coś większego niż tego typu rewelacje. Zbadala każdy aspekt sprawy i wiedziała, że nie ma żadnych dowodów, które mogłyby przekonać Paulinę Ferus do wycofania zarzutu.

Jedyna możliwość sprowadzała się do zmuszenia starego Oryńskiego, by wziął całą winę na siebie – ale tego Kordian nie przyjmował jako realnej alternatywy.

– Nie ma niczego, co jednoznacznie dowodziłoby jego niewinności – zauważyła Chyłka.

– Źle mnie pani rozumiała.

– Więc niech pan się lepiej wysławia.

– Miałem na myśli dowody, które świadczą, że to zwykłe zabójstwo.

Joanna mimowolnie się skrzywiła.

– Pocięło pana?

– Kordian zabił matkę, ale nie miało to nic wspólnego z jej życzeniami – dopowiedział Kranz. – Nie doszło do eutanazji, ale do zwyczajnego morderstwa.

Przy stoliku zaległa cisza.

– Właśnie to musi pani wykazać – dodał. – I proszę mi zaufać, tylko w ten sposób może go pani uratować.

Areszt Śledczy Warszawa-Mokotów

Ten moment musiał nadejść. Być może lepiej się stało, że Kordian miał skonfrontować się z Gorzymem teraz, a nie później. Oszczędził sobie złudnej nadziei, że jakimś cudem uda mu się uniknąć tego spotkania.

Mięśniak nadal miał ślady po ostatnim. Wówczas tylko cudem udało się Oryńskiemu wywinąć, teraz nie mógł liczyć na podobny finał. Odwrócił się, chcąc sprawdzić, co zamierza klawisz. Ten wycofał się już jednak za winkel.

Kordian nie mógł przełknąć śliny, miał wrażenie, że zaraz się udławi. Spojrzał na Gorzyma, przypuszczając, że zobaczy na jego twarzy dzikie, zwierzęce zadowolenie. Kafar jednak zachowywał obojętność.

– Czego się, kurwa, spodziewałeś? – odezwał się.

Oryński mimo woli lekko się wycofał. Ręce drgnęły, jakby miał zamiar podnieść gardę. Nie było jednak sensu nawet się fatygować – pierwszy lepszy cios przebiłby się przez tę lichą osłonę.

– Że zapomnę o wszystkim? – dodał Gorzym.

Kordian nie odpowiadał, jakkolwiek rozmowa była bezcelowa. Ten człowiek rozumiał jedynie argument siły, a Oryński nim nie dysponował.

Chyba że...

Być może błędnie zakładał. Być może w tym konkretnym przypadku mógłby uratować się właśnie dzięki słowom, nie czynom. Być może powinien zrobić to, czego uczono go w kancelarii Żelazny & McVay. Kultywować jej najlepsze tradycje, jak mawiała Chyłka. Łgać, przeinaczać fakty, naginać prawdę, stosować manipulacje i zastraszać ludzi.

To ostatnie musiał odpuścić, ale wszystkie wcześniejsze elementy mogły się złożyć na plan ratunku.

Nie miał wyjścia.

– No? – rzucił mięśniak. – Nie masz mi nic do powiedzenia, skurwysynu?

– Mam.

– To dawaj. – Gorzym się zbliżył. – Zanim rozjebię ci łeb na milion kawałków.

– Mogę ci pomóc.

Przeciwnik zaśmiał się krótko, na jednym wydechu.

– W spuszczeniu sobie wpierdolu?

– Nie. W tym, żebyś stąd wyszedł.

Desperacka deklaracja nie zrobiła na Gorzymie żadnego wrażenia. Musiał się spodziewać, że Oryński sięgnie po każdy możliwy argument, nawet najbardziej bzdurny.

– Ile ci zostało? – zapytał Kordian, kiedy kafar zrobił kolejny krok w jego stronę. – Pewnie jeszcze z dziesięć lat?

– Chuj cię to obchodzi.

– Mogę cię stąd wyciągnąć dużo szybciej. Przesiedzisz najwyżej kilka tygodni.

Oryński obejrzał się przez ramię, obawiając się, że strażnik stoi za blisko i słyszy każde słowo. Ten jednak oddalił się jeszcze trochę, najwyraźniej nie chcąc obserwować, na jaki los skazał młodego prawnika.

– Znam przynajmniej kilka dobrych sposobów, żebyś wyszedł przed czasem.

Przeciwnik nie odpowiadał. Nadal wyglądał, jakby nie pokładał żadnej wiary w jego słowach. I trudno było mu się dziwić – nie było właściwszego momentu na dramatyczne i żalosne apele.

– To wykonalne.

Wciąż żadnej reakcji.

– Wystarczy tylko znajomość Kodeksu postępowania karnego i trochę inwencji.

Kordian był jak sparaliżowany, z coraz większą trudnością przychodziło mu formułowanie myśli. Wiedział jednak, że musi wydusić z siebie jeszcze trochę słów. I to wyjątkowo przekonujących.

– Wystarczy, że twój obrońca da mi dostęp do twoich akt – ciągnął, siląc się na pewny ton. – Daj mi godzinę lub dwie, znajdę coś.

– Mój hapacz dawno by coś wyczarował, jakby było co.

– Na gruncie prawa formalnego? Po skazaniu? Wątpię. Zwyczajnie by mu się to nie opłacało, skoro już przegrał sprawę. Zależy mu na kasie, na tym, żebyś dalej płacił. Nie na tobie.

Gorzym lekko zmarszczył czoło, co należało przyjąć za dobrą monetę. Oryński poczuł się trochę lepiej.

– Pierdolenie – ocenił przeciwnik.

– Daj mi okazję, żebym ci...

– Dam ci co najwyżej szansę zrobienia mi laski, Oryński. I to już po tym, jak wyjebię ci przednie zęby.

Znów się zaśmiał, podchodząc bliżej. Najwyraźniej iskierka nadziei rozpalila się w umyśle Kordiana stanowczo za wcześnie. Nie miał jednak zamiaru dawać za wygraną.

– To ja cię tu wpakowałem – dodał.

Cała wesołość nagle odpłynęła z twarzy mięśniaka, jakby ta deklaracja przelała czarę goryczy.

– Może nie bezpośrednio, ale doskonale wiesz, że gdyby nie ja...

– Starasz się załatwić sobie jeszcze większy wpierdol?

– Staram ci się wytłumaczyć, że wiem więcej niż twój adwokat. Więcej niż ktokolwiek, kto zajmował się twoją sprawą.

Nie chciał wracać myślami do zdarzeń, które odcisnęły się piętnem na jego psychice i popchnęły go do nadużywania zarówno psychotropów, jak i innych środków. Nie miał jednak wyboru.

– Znam każdy aspekt twojej sprawy – kontynuował. – Od twojej roli w organizacji Langer'a aż po...

– Aż po pobicie w Izabelinie, no – przerwał mu Gorzym. – Bo to ty oberwałeś.

Kordian skinął głową i dopiero teraz przestał się cofać. Myśl o tamtych przejściach w jakiś sposób dodała mu nieco pewności siebie. Zupełnie jakby wspomnienie o nich samo w sobie stanowiło przejaw odwagi.

– W akcie oskarżenia z pewnością są jakieś dziury – podjął. – A ja mogę je wyłapać i pogłębić. Uwałę całą sprawę pod kątem proceduralnym, rozumiesz?

Nie rozumiał, ale nie miało to żadnego znaczenia. Podobnie jak to, że była to prawdopodobnie jedna wielka bzdura. Zanim sąd rozesłał odpis aktu oskarżenia do stron, został on sprawdzony pod kątem wymogów formalnych. Uchybienia, które Kordian mógłby teraz wykorzystać, dawno zostałyby wykryte.

Ostatecznie nie mógł ugrać wiele, ale wystarczyło, że zyska trochę czasu. Dzięki temu może uda mu się przenieść w inne miejsce, ewentualnie trafić do skrzydła aresztu, do którego Gorzym nie będzie miał dostępu.

– Nic nie tracisz – dodał. – A zyskać możesz sporo.

– Gówno mogę zyskać.

– Przekonaj się. Co ci szkodzi?

Mięśniak przyglądał mu się przez przeraźliwie długi moment, rzeczywiście zaczynając rozważać, czy nie warto zaryzykować. Z jego punktu widzenia sytuacja była pod kontrolą. W każdej chwili mógł zrobić to, co zamierzał.

– Potrzebuję tylko informacji od twojego obrońcy. I wglądu w parę sądowych dokumentów.

– Nikt ci ich nie da.

– Nie musi. Są sposoby, żebym się zapoznał z tym materiałem. Twój prawnik wszystko mi dostarczy, jeśli odpowiednio go zmotywujesz.

Oryński przypuszczał, że zarówno Gorzyna, jak i innych ludzi podlegających niegdyś Langerowi nadal reprezentują ci sami adwokaci co wcześniej – pozostający na usługach szemranych typów i gotowi przymknąć oko na zasady poufności.

– To jak będzie? – zapytał.

Rozmówca zerknął w głąb korytarza, jakby on też miał wątpliwości, czy klawisz przypadkiem nie usłyszał za dużo. Namyślał się najwyżej przez kilkanaście sekund, ale Oryński miał wrażenie, że upłynęła cała wieczność.

– Możesz tylko zyskać – dorzucił Kordian, rozkładając ręce. – Przecież nigdzie się nie wybieram.

Kolejne sekundy były jak tykanie bomby.

– Dziewięćdziesiąt procent spraw w sądach wygrywa się, nie mając racji – ciągnął Oryński. – A wszystko dlatego, że procedura jest coraz bardziej sformalizowana, coraz bardziej wymagająca. Uchybienia pojawiają się na każdym kroku, tyle że...

– Mój hapacz by to wyłapał – powtórzył Gorzym.

– Niekoniecznie. Prawnicy rzadko wnoszą o wpisanie zastrzeżenia do protokołu rozprawy, a to jest warunek, żeby potem skorzystać z...

– Nie chce mi się słuchać twojego pierdolenia, Oryński.

Trudno było tego nie zauważyć. Równie wyraźna była nadzieja, że w słowach Kordiana tkwi jednak ziarno prawdy. W rzeczywistości to, o czym mówił, było mocno

naciągane, ale w tej chwili kluczowe było zalanie przeciwnika prawniczym żargonem.

– Więc? – odezwał się Oryński. – Skorzystasz z okazji czy nie?

Milczenie znów się przeciągało.

– Dobra – rzucił w końcu Gorzym. – Niech będzie, że masz czas do końca dnia. Jak nic nie załatwisz w tym czasie, pożegnasz się ze swoim, kurwa, honorem.

– Potrzebuję trochę więcej...

– Tyle masz czasu – powtórzył mięśniak, ruszając w jego kierunku.

Przepchnął go bez ogródek, ciskając na ścianę, a na odchodnym rzucił jeszcze, że załatwi, co trzeba. Kordian szczerze w to wątpił, ale szybko przekonał się, że najwyraźniej nie docenił możliwości tego człowieka.

Niecałą godzinę później trafił do świetlicy. Kiedy usiadł przy komputerze, zorientował się, że ktoś zostawił kilka otwartych dokumentów tekstowych. Było w nich właściwie wszystko, czego potrzebował do zapoznania się ze sprawą Gorzyna.

Spojrzał pytająco na strażnika, który go przyprowadził, ale ten zdawał się zupełnie ignorować młodego aresztanta.

Kordianowi nie pozostało nic innego, jak zagłębić się w materiale dowodowym, który dobrze znał. Śledził proces Siwowłosego i wszystkich jego podwładnych. Gorzyna w szczególności.

Obrona nie podniosła niczego, co mogłoby się teraz przydać Oryńskiemu. Westchnął, ale starał się nie sprawiać wrażenia zrezygnowanego. Przypuszczał, że klawisz może mieć na niego oko.

Kordian znał najczęstsze błędy proceduralne, mniej więcej orientował się też, które mają szanse w postępowaniu kasacyjnym, a które Sąd Najwyższy prawdopodobnie odrzuci jako niemające wpływu na wynik sprawy.

Przeglądał akta Gorzyna w poszukiwaniu jednych lub drugich, zupełnie nadaremno. Właściwie wystarczyłoby cokolwiek, choćby formalny bzdet, który przed mięśniakiem mógłby rozdmuchać do odpowiednich rozmiarów.

Nie chodziło wszak o to, by naprawdę wyciągnąć go z więzienia, a jedynie przez jakiś czas tworzyć iluzję, że to możliwe. Realnej szansy nie było, prokuratura stanęła na wysokości zadania.

Po kilkudziesięciu minutach babrania się w brudach Gorzyna Kordian miał dosyć. I stracił całą nadzieję na to, że uda mu się cokolwiek znaleźć. Oskarżyciele zdawali się zabezpieczyć na każdym froncie, wypełniając normy postępowania karnego co do joty.

Oryński rozruszał kark, zaplótł dłonie z tyłu głowy i przez moment wbijał pusty wzrok przed siebie.

Skoro prokuratura zachowała się *lege artis*, być może nie powinien się skupiać na tym etapie postępowania i zamiast tego zainteresować się tym, co robiła wcześniej policja. To wtedy najczęściej dochodziło do niewielkich uchybień.

Prześledził wszystko, co działo się przed wszczęciem postępowania przygotowawczego i w jego trakcie. Także na tych etapach wszystko wydawało się bez zarzutu.

Właściwie trudno się było dziwić. Policjanci nie mieli powodu kombinować – Chyłka i Oryński wystawili im Siwowłosego i Gorzyna na tacy. Wystarczyło tylko

skonsumować wyjątkowo apetyczne danie.

Po półtorej godziny Kordian spodziewał się, że zaraz zostanie zaprowadzony z powrotem do celi. Zerknął na drzwi, ale zobaczył tylko plecy strażnika. Wyglądało, że na kogoś czeka – i po chwili Oryński przekonał się, że rzeczywiście tak jest.

Najwyraźniej Gorzymowi wyjątkowo się spieszyło. Wszedł do środka, pociągnął nosem, a potem skinął ręką na Kordiana jak na psa.

– Zaraz...

– Wstawaj.

– Jeszcze nie skończyłem.

– Skończyłeś, skończyłeś.

Oryński nie miał zamiaru dawać za wygraną. Nie, dopóki nie wymyśli czegoś, co da mu choć cień szansy na ratunek. Wskazał palcem monitor i zmrużył oczy.

– Tu może coś być – odezwał się.

– Ta?

– Mówiłem ci, że coś znajdę.

– Niby co?

Kordian odwrócił się w stronę ekranu i wbił wzrok w notatkę służbową, którą sporządzili funkcjonariusze po zatrzymaniu Gorzyma. Jednym z nich był Szczerbiński. O ile pamięć Oryńskiego nie myliła, to właśnie wtedy wraz z Chyłką go poznali.

Obecność Szczerbatego potwierdzała, że prawdopodobnie nie doszło do żadnych uchybień. Był nie tylko porządnym człowiekiem, ale też solidnym stróżem prawa.

– No, karakanie? – ponaglił go Gorzym. – Co znalazłeś?

Ale nie tylko Szczerbiński przesłuchiwał zatrzymanych wówczas ludzi, pomyślał Kordian. Być może któryś z jego kumpli pofolgował sobie w pewnym momencie. Może za bardzo przycisnęli Gorzyma, może podeszli go, przekraczając granicę, i wymusili jakieś zeznanie.

Kryminalista w trakcie postępowania policyjnego przyznał się do kilku zarzutów, chciał przehandlować to i owo – dopiero potem wycofał się ze wszystkiego i za namową swojego obrońcy szedł w zaparte. Była to właściwie nie najgorsza taktyka, bo próbowano wykazać, że policja uwzięła się na Gorzyma tylko dlatego, że ten nie cieszył się zbyt dobrą opinią.

Może ktoś pozwolił sobie na zbyt wiele?

Nie, prawdopodobnie nie. Ale czy miało to jakiegokolwiek znaczenie?

– Potrzebuję nagrań z monitoringu – rzucił buńczucznie Kordian.

– Jakiego monitoringu?

– Z posterunku, na którym byłeś przesłuchiwany.

– A na co ci to?

– Znajdę...

– Gównu znajdziesz, bo nie ma żadnych nagrań.

Oryński uniósł brwi.

– Jak to?

– Chcieliśmy je dostać wcześniej, ale nie nagrywali nas. Podobno nie musieli.

Miał rację, prawo nie wymagało zapisu audiowizualnego z przesłuchań,

w zupełności wystarczyły papiery podpisane później przez podejrzanego i notatki służbowe funkcjonariuszy.

To podsunęło Oryńskiemu pewien pomysł. Niezbyt dobry, ale możliwy do sprzedania. Codziennie na całym świecie handlarze wciskali klientom wszelkiej maści chałę i tandetę – przy odrobinie szczęścia i jemu powinno się udać wetknąć Gorzymowi lewy towar.

– Idealnie – rzucił, siląc się na najbardziej przebojowy ton, jaki mógł zapozorować.

– To nam daje pewne pole manewru.

– Niby jakie?

– Możemy obalić przynajmniej część z tego, co wtedy powiedziałeś. I wykazać, że doszło do manipulacji.

– Odwołałem potem te rzeczy.

– Ale część z nich potwierdziły inne dowody, więc na nic ci się to nie zdało.

– Ty też mi się na nic nie zdasz.

– Przeciwnie – zaproponował stanowczo Oryński. – Mogę argumentować, że śledczy przedstawili dowody w sądzie tylko dlatego, że wcześniej o nich wspomniałeś. A nawet że właśnie dzięki temu je spreparowali.

Było to grubymi nićmi szyte – ale tylko dla osób postronnych. Dla osadzonego w więzieniu, który miał przed sobą jeszcze dekadę odsiadki, każda nadzieja była jak solenna obietnica wyjścia na wolność.

Kordian skupił wzrok na Gorzymie, starając się stwierdzić, czy tak jest też w jego przypadku. Z jednej strony kafar nie zdawał się przekonany, z drugiej milczenie nie było najgorszą reakcją.

– Więc co? – zapytał w końcu. – Chcesz powiedzieć, że jest jakaś szansa?

Zawsze była, dla najgorszych zwyrodnialców także. Nawet takich jak Josef Mengele, który przydał się ludzkości po śmierci – jego szkielet trafił do uniwersytetu medycznego w São Paulo, by pomagać studentom na zajęciach anatomii. Tę myśl Oryński zachował jednak dla siebie.

– Jest – zapewnił. – Wystarczy, że wykażę kilka nieścisłości.

– Jakich?

Kordian odwrócił się do rozmówcy, a potem wstał. Poczul się pewniej, choć znacznie lepiej byłoby, gdyby wszystko to nie było tylko lichym podstępem.

– Ilu policjantów cię przesłuchiwało?

– Dwóch.

– Świetnie. W takim razie każdy sporządził notatkę. I z pewnością nie są identyczne.

– I co z tego?

– To, że jeśli jeden napisał, że zakryłeś w pewnym momencie twarz, a drugi, że podrapałeś się po nosie, to już będzie przyczynek do obalenia dowodu.

– Nie wiem, czy w ogóle pisali coś takiego...

– Więc wezwiemy ich na mównicę – ciągnął z determinacją Oryński. – I będziemy maglować tak długo, aż ich zeznania staną ze sobą w sprzeczności.

Użycie liczby mnogiej było nieprzypadkowe i przyniosło efekt, jakiego Kordian się

spodziewał. Gorzym wydawał się rozbawiony perspektywą, że mogą współdziałać.

– Nie mówię, żebyśmy byli jak Anglia i Portugalia.

– He?

– Mają najdłużej trwający sojusz w historii świata. Trwa już ponad sześćset trzydzieści lat.

Wyraźnie nie zainteresował tym rozmówcy, więc szybko wrócił do głównego tematu. Rozwodził się jeszcze przez jakiś czas nad tym, ile możliwości stworzy podważenie zeznań funkcjonariuszy, aż w końcu odetchnął z ulgą. Widział, że przekonał Gorzyna przynajmniej na tyle, by przetrwać dzień, może dwa.

Na więcej nie liczył. Zdawał sobie sprawę, że mięśniak niebawem skontaktuje się ze swoim prawnikiem i zorientuje się, że to wyłącznie gra na zwłokę.

Pierwszym, co nazajutrz zrobił Oryński, było wykonanie telefonu do jedynej osoby, która mogła mu pomóc.

Chyłka odebrała niemal natychmiast.

– Poszedłeś po rozum do łba? – powitała go.

– Niezupełnie.

– Więc nie dzwonisz, żeby powiedzieć, że jednak chcesz wyjść?

– To nie kwestia chęci, ale raczej tego, że spotkałem się z Gorzymem.

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– I żyjesz? – spytała po chwili Joanna.

– Na razie. Popchnąłem mu pewną bzdurę, która przetrwa najwyżej do końca dzisiejszego dnia. Co będzie potem, wolę nie myśleć.

– To nie myśl.

– Wyobraź sobie, że to nie takie łatwe.

Chyłka prychnęła cicho.

– Więc naprawdę jesteś gotowy się bronić? – spytała z niedowierzaniem. – No, no, Zordon. Więzienie jednak dobrze na ciebie wpływa. Nie żeby to miało jakieś wielkie znaczenie, bo i tak zlikwidowałam jedyny powód, dla którego poddałeś się bez walki.

Oryński przełożył słuchawkę do lewej dłoni, a prawą otarł o więzienne spodnie. Telefon kleił się od zaschniętego potu innych osadzonych.

– Możesz się wybronić bez pomocy Langer'a i twojego ojca – dodała.

– Jak?

– Wystarczy, że pomożesz mi coś wykazać.

– Co konkretnie?

– Że powinieneś odpowiadać za zabójstwo. Nie za eutanazję.

Kordian znów przełożył aparat i ścisnął go mocniej. Przez moment wydawało mu się, że Chyłka żartuje, ale ton jej głosu temu zaprzeczał.

– Chcesz, żebym przyznał się do zamordowania własnej matki? – jęknął.

– Nie, nie, o przyznawaniu się nic nie mówiłam.

– Więc...

– Musimy po prostu udowodnić, że tak się stało.

Nic z tego nie rozumiał, przypuszczał jednak, że Chyłka ma dobry powód, by proponować coś tak szalonego. Oby tak było, bo w przeciwnym wypadku trudno będzie

dotrwać do zachodu słońca.

- Rozumiem, że muszę działać szybko – dodała Joanna.
- Wystarczy, że narzucisz sobie swoje zwyczajowe tempo.
- Zrobi się – zapewniła go, a potem się rozłączyła, nie czekając na odpowiedź.

ul. Argentyńska, Saska Kępa

Chyłka podzieliła swój salon na dwie części. Na podłodze po prawej stronie ułożyła wszystkie materiały związane ze sprawą Oryńskiego, po lewej dotyczące Rafała Kranza. Koncepcja obrony, którą przedstawił jej ten drugi, wydawała się szalona.

Ale dla Joanny znaczyło to tyle, że jest warta uwagi.

Wiedziała, że samej będzie jej trudno uporać się ze wszystkimi aspektami obydwu spraw, więc do pomocy zaprzęgnęła jedyną osobę, na której mogła polegać. Kormak zjawił się na Saskiej Kępie już pół godziny po wezwaniu – co specjalnie jej nie dziwiło, bo zależało mu na wyciągnięciu Kordiana pewnie równie mocno jak jej.

Chudzielec wszedł do salonu niepewnie, jakby spodziewał się, że pod deskami podłogowymi znajduje się mina przeciwpiechotna. Powiódł wzrokiem po wszystkich rozłożonych materiałach.

Znał jej sposób pracy, powinien dawno przywyknąć do podobnych widoków. Dopiero po chwili Joanna zorientowała się, że najwyraźniej przytłoczył go ogrom dokumentacji. Właściwie sama czuła się podobnie.

Nie miała dotychczas wiele do czynienia z prawem spadkowym, a w sprawie Kranza z pewnością odegra ono niemałą rolę. To karne będzie wiodło prym, ale nie ulegało wątpliwości, że Chyłka musiała odświeżyć wszystko, co wiedziała o testamentach, dziedziczeniu ustawowym, zapisach windykacyjnych i innych rzeczach, które na co dzień nieprzesadnie ją interesowały.

– Sporo tego – odezwał się Kormak.

– To? – spytała, zataczając ręką krąg nad częścią papierzysk. – To nic. Znacznie więcej mam w głowie.

Popatrzył na nią z powątpiewaniem.

– A znajduje się tam też sposób na to, jak pomóc Zordonowi?

– Oczywiście.

– Porządny? Nienaciągany?

– Stuprocentowy, Kormaczysko.

– Wiesz, ile razy tak mówiłaś, a potem okazywało się, że jednak coś jest nie tak?

– Ani razu.

Nie podjął rzuconej rękawicy – i słusznie, bo Chyłka gotowa była bronić swoich wyników jak lwica małych. Owszem, zdarzały się potknięcia, ale ostateczny wynik każdej batalii był korzystny. Czasem pod względem prawnym, czasem tylko pod moralnym. A czasem jedynie wizerunkowym. Nie miała jednak zamiaru się tym przejmować.

– Musimy działać jeszcze dziś – powiedziała.

– Skąd ten pośpiech?

– Z powodu wiszącego nad Oryńskim widma nabrzmiałych żył i napuchniętych mięśni.

Kormak się skrzywił, pochylając nad jedną z otwartych teczek akt. Nie drażył tematu, bo właściwie nie musiał. Oboje zdawali sobie sprawę z tego, że Gorzym nie będzie próżnował.

– Poziom mikromortów w przypadku Zordona wynosi mniej więcej pięćdziesiąt tysięcy – dodała.

– Co proszę?

– Nie słyszałeś o mikromortach?

– Nie, za to jestem obeznany w skali midichlorianów.

– To furda.

– Co?

– Bzdura, brednia, jakaś mongolska teoria.

– Raczej raktańska – poprawił ją Kormak. – Poza tym Obi-Wan by polemizował.

– Nieistotne. Skala, o której mówię, jest czysto naukowa. Mierzy się nią prawdopodobieństwo śmierci. Jeden mikromort to jak szansa jeden do miliona, że kopniesz w kalendarz.

– I ile punktów ma ta rzekoma skala?

– Tyle, ile ludzie mają głupich pomysłów – odparła pod nosem Joanna. – Dla maratończyków ryzyko śmierci wynosi jakieś siedem mikromortów. Dla alpinistów czterdzieści tysięcy.

– Aha.

Przez moment oboje milczeli.

– Co zamierzasz? – zapytał w końcu Kormak.

– Zrobić z Oryńskiego prawdziwego zwyroła – odparła bez wahania. – Wyjątkowego sadystę, bandytę i potwora.

– Powodzenia.

– Na dobrą sprawę to nie takie trudne.

– Nie? Jego największe przewinienie polega chyba na tym, że dał kiedyś twojemu ojcu w ryj.

– To akurat zapisałabym mu na konto zasług.

– No tak – przyznał szczypior, wciąż przyglądając się materiałom związanym z Kranzem.

Brakowało najważniejszych rzeczy, takich jak sam testament czy list pożegnalny, ale Joanna miała zamiar niebawem uzupełnić braki. Podobnie jeśli chodziło o samą nieruchomość – fakt, że została zreprivatyzowana, świadczył, że ma bogatą historię. Wiedziała, do kogo się zwrócić, bo jeden z prawników w kancelarii doskonale orientował się w tym temacie. Był nim Harry McVay, który chętnie udzieli jej pomocy. Musiała tylko załatwić sprawę Kordiana, a do tego potrzebny był jej w tej chwili chudzielec w charakterystycznych lenonkach.

– Zaraz spotkasz się z prokuratorem Feruś – odezwała się.

Kormak się wyprostował.

– Ja? Po co?

- Przedstawisz jej szereg dowodów na to, że Zordon to barbarzyńca.
- Jakich dowodów?

Joanna pochyliła się nad jedną z zamkniętych teczek, a potem podała ją rozmówcy. Nadal nie mogła przywyknąć do tego, jak łatwo wykonywało jej się najprostsze czynności. Jeszcze kilka tygodni temu zwyczajne zgięcie się graniczyłoby z cudem.

- Przejrzyj, zapoznaj się, a potem gnaj nad Wisłę.
- Ale...

– Konkretnie do Boathouse, tam się z nią umówiłeś. To marynistyczna knajpa przy Wale Miedzeszyńskim.

Kormak otworzył usta, ale się nie odezwał. Wiedział, że nie ma sensu zarzucać prawniczki pytaniami, bo sama zaraz wszystko mu wyłoży.

- Zamów sobie filetto di manzo – poleciła. – Zapamiętasz?
- Może.
- To wołowina z sosem mimolette. Nie wiem, co to jest, ale zabawnie brzmi.
- Mhm.

– Zabawnie też kosztuje, prawie osiem dych – dodała, po czym przeszła do korytarza i wyjęła z szuflady portfel. Podała Kormakowi stówę, a ten skorzystał bez wahania. – Paulina Feruś orientuje się w temacie lepiej, bo to ona zaproponowała, żebyś sobie to mamalatte zamówił.

Kormak zgiął banknot i wsunął go do kieszeni.

- Dowiem się, o co chodzi?
- Pewnie.
- Teraz?
- Jeśli naprawdę nie możesz się bez tego obejść.
- Chybaby się przydało...
- Chcesz poznać wszystko chronologicznie?
- Tak pewnie będzie mi najłatwiej zrozumieć to wariactwo.

Chyłka zgodziła się ruchem głowy, a potem odłożyła portfel na miejsce i wzięła paczkę marlboro. Kiedy pierwsze sztachnięcie sprawiło, że jej płuca wypełniły się dymem, poczuła się cudownie.

- Kupiłam kartę pre-paid na twoje dane.
- Skąd... – zaczął Kormak, ale potem machnął ręką. – Nieważne. Po co to zrobiłaś?
- Potrzebowałam sposobu, żebyś skontaktował się z Feruś i powiedział jej, że masz kluczowe informacje odnośnie do śledztwa, które prowadzi. Na temat Zordona.

- Informacje dowodzące, że to degenerat i wykolejeniec?
- Tak.

– I co to za rewelacje?

– Wszystko masz w teczce. Zapoznaj się z tym przed spotkaniem, żebyś nie zrobił z siebie głąba, a potem odegraj wszystko tak, jak ci rozpisałam.

– Rozpisałaś mi...

– Twoją rolę, jak najbardziej – dopowiedziała. – Myślałeś, że ryzykowałamby wielką improwizację?

Chudzielec spojrział na teczkę.

- I to wystarczy?
- Powinno, jeśli nie dasz ciała.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Chyłka wbiła wzrok w drzwi wejściowe i powoli, acz znacząco skinęła głową w ich kierunku.

- Czekaj... – jęknął Kormak, potrząsając teczką. – To wszystko? Tylko tyle mi...
- Spiesz mi się, szkapo.
- Dokąd?

– Muszę wpaść do trupiarni przy Oczki i obejrzeć dziewczynę, która narobiła problemów Kranzowi.

Kormak ani drgnął, więc Joanna wzięła go pod rękę i poprowadziła korytarzem. Otworzywszy drzwi, klepnęła go w plecy, a potem pożegnała uśmiechem, który zniknął z jej twarzy równie szybko, jak Kormak z mieszkania.

Dopaliła papierosa, poprawiając fryzurę w lustrze, po czym narzuciła skórzaną kurtkę i skierowała się do windy. Po drodze szybko wezwała ubera, kolejny raz zapewniając się w duchu o tym, że niebawem wybierze się na łowy do salonu BMW.

Złożyła tam już jedną wizytę i właściwie nie musiała długo się zastanawiać. W grę wchodził tylko jeden model. Chyłka знаła jednak odwieczną prawdę motoryzacyjną, która nie dla wszystkich była oczywista – samochody zawsze powinno się kupować pod koniec miesiąca. To właśnie wtedy pracownicy salonów dwoją się i troją, by wykrecić miesięczną normę. A dzięki temu są gotowi dać większy upust.

Do tego czasu musiała jednak zadowolić się taksówkami i Uberem.

Do Zakładu Medycyny Sądowej UW na Filtrach dotarła po półgodzinie, marnotrawiąc trochę czasu w korku na alei Lecha Kaczyńskiego. Plus jej obecnej sytuacji był taki, że nie musiała szukać miejsca parkingowego. Wyszła z samochodu i rozejrzała się, odnosząc wrażenie, że czas w tym miejscu się zatrzymał. Zupełnie jakby miasto chciało oddać hołd zmarłym, utrzymując elewację budynków w niezmiennym stanie.

Joanna weszła przez masywne główne drzwi, od razu czując chłód i charakterystyczny zapach, którego nie dało się porównać z niczym innym. Po trosze przywodził na myśl to, co powinien, czyli substancje używane do konserwowania trupów. Wyczuwalne było także coś słodkiego.

Nie śmierdziało, jeszcze nie tutaj. Dopiero w sali sekcyjnej po lewej stronie fetor śmierci dawał się we znaki, uderzając w nozdrza zgnilizną i zapachem rozkładu. We wszystkich innych miejscach dominował ten pochodzący od formaliny – niespecjalnie przyjemny, ale też nieszkujący.

Dla osób obeznanych w temacie było to całkowicie zrozumiałe. W trakcie sekcji zleconej na mocy postanowienia prokuratora nikt nie powinien nadto ingerować w materiał dowodowy, jakim były zwłoki. Nie sposób było więc ich odkazić, bo mogło to wpłynąć na wynik późniejszych badań toksykologicznych.

Joanna zapowiedziała się już rankiem i była przekonana, że ktoś będzie na nią czekał. Mimo to musiała zrobić rundkę po gabinetach, by znaleźć profesora Skibskiego. Nie przepadała za nim, był typowym – nomen omen – sztywniakiem, ale być może większość pracowników tego miejsca można było określić w ten sposób.

Podstarzałego mężczyznę zastała w sali sekcyjnej. W przeciwieństwie do miejsc,

gdzie zmarłych przygotowywano do pochówku lub pokazywano studentom, tutaj wykonywano prawdziwą robotę. I pewnie właśnie z tego względu nikt nie przejmował się ani odorem, ani tym, jak makabrycznie wyglądają otwarte zwłoki.

– Dzień dobry, pani mecenas – odezwał się Skibski, stając w progu.

Wyglądał jak sam Ozyrys, Wielki Sędzia Zmarłych, który witał ich u bram świata pozagrobowego i dawał wieczne życie, o ile nieszczęśnicy znali odpowiednie zaklęcia. Chyłka kiwnęła głową na powitanie, a on stanowczo zerknął w stronę pojemnika z rękawiczkami.

– Nie będziemy chyba znowu kruszyć kopii o kawałek lateksu? – mruknęła.

– Nie, bo od razu założy pani te rękawiczki.

– Wyjątkowo tego nie lubię.

Popatrzył na jej kurtkę, jakby chciał coś zasugerować.

– Nosi pani skórę – zauważył. – A pod nią T-shirt z satanistycznymi symbolami.

– A co ma jedno do drugiego? Poza tym to Eddie – odparła, ale szybko zauważyła, że Skibski nie ma pojęcia, o czym mowa. – To maskotka, a nie żaden diaboliczny emblemat.

– Tak czy inaczej, proszę założyć rękawiczki.

Zrobiła to tylko po to, by dał jej spokój. I tak musiała przyznać, że poszedł jej na rękę. Formalnie nie miała żadnego interesu, by tutaj być – a on nie miał obowiązku, by dopuszczać ją do zwłok.

Pozwolił sobie na to tylko dlatego, że z takimi adwokatami jak Chyłka opłacało się trzymać sztamę. Dzięki temu profesor mógł być pewien, że kiedy nadarzy się okazja, Joanna mu się odwdzięczy.

Kiedy podeszli do zwłok, prawniczce przeszło przez myśl, że Kranz nie był do końca precyzyjny, gdy opisał jej ich stan. Stwierdził, że nie sposób było powiedzieć, jakiej płci jest ofiara. Joanna powiedziałyby raczej, że trudno ustalić, czy truchło w ogóle należy do człowieka.

Podniosła rękę na wysokość nosa i zrobiła płytki wdech. Zapach skóry przyćmił nieco smród dekompozycji.

– Najwyraźniej nie potrzebuję samochodu i zepsutego okna po stronie kierowcy, żeby przejść na dietę... – odezwała się cicho.

– Słucham?

– Tak mówią. Że jak się panu zablokuje lewe okno w aucie... – Urwała, widząc, że profesor Skibski najwyraźniej nigdy w życiu nie zajeżdżał do McDrive'a. Machnęła ręką.

– Mniejsza z tym. Powie mi pan lepiej, co tutaj mamy.

– Młodą denatkę. Ciało znajduje się w zaawansowanej fazie rozkładu.

– Poważnie?

Skibski zignorował pytanie.

– Miał pan okazję zapoznać się z czynnikami zewnętrznymi? – dodała.

– Owszem. Byłem na miejscu zdarzenia.

– Więc może pan oszacować czas zgonu?

– Oczywiście.

Chyłka czekała, aż rozmówca przejdzie do rzeczy, ten jednak zapatrzył się na ciało

dziewczyny, jakby oglądał niepodpisane dzieło sztuki i starał się na podstawie cech charakterystycznych ocenić, kto jest autorem.

W końcu głośno odchrząknęła.

– A zatem... – zaczął profesor, układając ręce w literę „L”. – Jak pani widzi, górna szczęka oraz żuchwa w pewnym momencie się rozciągnęły. Jeśli byłaby pani tak miła i się pochyliła, gdzieś tam dostrzeże pani jeszcze żółknięte zęby, które wskutek rzonego procesu wypadły.

– Wierzę na słowo.

– To miało miejsce w pierwszym tygodniu po zgonie. Potem w jelitach i żołądku zaczęły następować procesy mineralizacji substancji organicznych. Wszystko to za sprawą...

– Wyglądam panu na studentkę medycyny? – przerwała mu Chyłka. – Albo na pasjonatkę zgnilizny?

– Pani wybaczy, ale wolę być precyzyjny i mówić o pałeczkach odmienca pospolitego, laseczkach siennych i zgorzeli gazowej niż o bakteriach *in genere*.

– A mnie w zupełności wystarczy wiedzieć, że te bakterie urządziły sobie imprezę w organach wewnętrznych ofiary.

– Mhm.

– Przyszłam tu po konkrety, profesorze, nie po materiał na Joe Monstera.

– Cóż... w takim razie może starczy pani wiedzieć, że wskutek tych procesów pod koniec pierwszego tygodnia po śmierci zwłoki zaczęły nabrzmiwać.

– Teraz nie są nabrzmiące.

– Nie, bo znajdują się w innej fazie rozkładu – odparł ciężko Skibski. – Zanim do niej doszło, tkanka tłuszczowa zaczęła się rozkładać, na ciele wytworzyła się...

– Powłoka jak z pieczonego kurczaka, tak, widywałam już takie rzeczy. I wiem, że schodzi z kończyn płatami, więc może oszczędźmy sobie omawiania tego.

Skinął głową z jakimś zawodem.

– Następnie tętnice i żyły wskutek gnicia krwi przybrały ciemny, fioletowy odcień i...

– I teraz też tego nie widzę – ucięła. – Poza tym interesuje mnie tylko to, jak wyglądało ciało, kiedy mój ginekolog je znalazł.

– Oczywiście. Jak pani widzi, włosy właściwie w całości się zsunęły, zostały jedynie resztki. Zapadnięty brzuch świadczy dobitnie o tym, że zakończyły się pierwsze procesy, wskutek których uwalniane są gazy, i zwłoki znalazły się w fazie gnicia. Jednocześnie nie uwydatniły się żebra i inne kości, a zatem należy przyjąć, że proces ten nie został zakończony.

Joanna skrzyżowała ręce na piersi, patrząc z ukosa na naukowca.

– Co nam to daje?

– Samo w sobie oględny szacunek, ale kiedy dodamy do tego...

– Inne rzeczy, które mnie nie interesują, a pana zapewne wręcz zafascynowały – dopowiedziała szybko. – To jaki zakres otrzymujemy?

– Między dwa a trzy tygodnie – wyrzucił z siebie w końcu. – Mniej więcej tyle czasu kobieta leżała martwa w tamtych warunkach środowiskowych.

– I nie można było tak od razu?

– Woląłem być precyzyjny. I tak nie dała mi pani okazji wspomnieć o mięknięciu naskórka oraz...

– Nie dałam i nie dam, bo mam zamiar zjeść dziś nad Wisłą kolację, w trakcie której będę zażerać się mięchem – rzuciła, a potem uniosła błagalnie wzrok. – Ustalił pan przyczynę zgonu?

– Cóż...

– Nie chcę zabrzmieć jak któryś z Sithów, ale możliwości mogą być tylko dwie: tak albo nie.

– Nie rozumiem.

Chyłka oparła się o stół sekcyjny, jakby nagle opadła ją bezsilność.

– Tylko oni lubują się w absolicie – dodała. – Ewentualnie w innej wódce.

Nie doczekała się żadnej reakcji ze strony rozmówcy, więc uznała, że nie będzie ciągnąć tego tematu. Czasem miała wrażenie, że żarty związane z *Gwiezdnymi wojnami* dobrze rozumieli wyłącznie Oryński i Kormak. Ale na luźne rozmowy z pierwszym z nich będzie musiała jeszcze trochę poczekać.

Tymczasem nie miała zamiaru czekać na odpowiedzi ze strony Skibskiego. Spojrzała na niego ponaglająco.

– Sprawa jest dość skomplikowana – odezwał się. – Zwłoki nie zachowały się w najlepszym stanie, wszelkie ślady mechanoskopijne właściwie straciły na znaczeniu.

– A są jakieś? – spytała Joanna, przyglądając się ciału, które wyglądało, jakby ktoś z premedytacją powyginał kończyny, a potem utrwalił wszystko w wosku.

– Być może. Na tym etapie trudno mi przesądzić, czy wgłębienia znajdujące się na płacie ciemieniowym są wynikiem przypadkowego uderzenia, dawnego urazu czy może działania sprawcy.

– Sprawcy?

– Rozumiem, że domniemywane jest morderstwo pozorowane na samobójstwo.

– Na to wygląda – przyznała Chyłka, choć gdyby miała powiedzieć, dlaczego prokuratura przyjęła taką interpretację, stanęłaby przed nie lada problemem. Profesor miał stuprocentową rację, że znajdującego się w takim stopniu rozkładu ciała niewiele można było wywnioskować na pierwszy rzut oka.

A mimo to właśnie on wystarczył, by zamknięto Kranza.

– Obawiam się, że najważniejszych odpowiedzi udzielą dopiero wyniki toksykologii.

– Kiedy będą?

– Wie pani...

– Nie wiem. Dlatego pytam.

– Prace laboratoryjne mają określony harmonogram.

– Który idzie w cholerę, kiedy chodzi o coś tak ważnego dla policji czy prokuratury – odparowała, prostując się. – Nadali temu szybszy bieg?

– O ile wiem, nie.

Oczywiście. Nawet jeżeli doszło do upozorowania samobójstwa, toksykologia wykaze zapewne obecność jakichś środków, za pomocą których Widera mogłaby odebrać

sobie życie. Nie widać było żadnych śladów świadczących o tym, by ofiara się powiesiła, zastrzeliła lub zakończyła kadencję na tym świecie w inny sposób.

Należało przyjąć otrucie, przynajmniej tak się wydawało Chyłce. Skupiła wzrok na Skibskim, starając się stwierdzić, jak dalece on sam ułożył sobie jakąś teorię.

– Panie profesorze – podjęła, zmieniając ton na znacznie uprzejmiejszy. – Innych bym o to nie pytała, ale pan jest autorytetem z bogatym doświadczeniem, właściwie nieporównywalnym z kimkolwiek innym. I tylko dlatego poproszę pana o odpowiedź: jaka jest pańskim zdaniem najbardziej prawdopodobna przyczyna zgonu?

Wydał usta i przez moment jakby się namyślał nad tym, czy rozmówczyni sobie z niego drwi, czy mówi poważnie. Chyłka trwała z kamiennym wyrazem twarzy.

– Nie ma żadnych śladów świadczących o utonięciu, zadzierzgnięciu, użyciu jakiegokolwiek broni białej czy palnej...

– Więc trucizna?

Skibski lekko pokiwał głową, przywodząc na myśl uczniaka, który niepewny odpowiedzi, boi się jej udzielić.

– Statystycznie rzecz biorąc, to druga najczęstsza przyczyna zgonu przy samobójstwach – dodał jakby na usprawiedliwienie. – W przypadku kobiet niemal czterdzieści procent decyduje się na takie rozwiązanie.

Chciała dopytać, czy jego zdaniem również doszło właśnie do niego, czy jedynie do upozorowania, ale nie było sensu drażnić. Profesor nie zapędzi się tak daleko w spekulacjach.

– Poczekajmy na toksykologię – powiedział.

– W porządku. Ale z pewnością może mi pan wyjaśnić coś innego.

– Co konkretnie?

– To, co skłoniło śledczych, żeby zakwalifikowali to jako zabójstwo.

Skibski założył ręce za plecami i wbił wzrok w leżące na stole ciało.

– Nie wiem – odparł po chwili. – W moim wstępnym raporcie nie wyciągnąłem podobnych wniosków.

– Nic podczas sekcji na to nie wskazało?

– Nic.

Chyłka podrapała się za uchem.

– Więc dlaczego przyjęli taką wersję? – spytała.

Skibski przez jakiś czas nie odpowiadał. Wbijał wzrok w pozbawione wyrazu, nieludzkie oblicze martwej dziewczyny.

– Nie wiem – powtórzył. – I obawiam się, że to nie u zmarłych powinna pani szukać odpowiedzi.

Boathouse, Wał Miedzeszyński

Młoda, szczupła dziewczyna była tak niepozorna, że Kormak nigdy nie wziąłby jej za prokuratora, gdyby nie przyglądał się rozprawom w sprawie Oryńskiego. Paulina Feruś przywodziła na myśl jedną ze stałych bywalczyń najbardziej hipsterskich miejsc w Warszawie, a nie oskarżycielkę godzinami pochylającą się nad tomami akt.

Była niemal anorektycznie wychudzona, a obcisła błękitna koszula i rurkowane jeansy dodatkowo ten fakt podkreślały. Kormak stanął przy stoliku, uśmiechnął się niepewnie, a potem zajął miejsce.

Feruś przyglądała mu się badawczo. Widział w jej oczach, że go nie rozpoznała – i na dobrą sprawę nie miała ku temu powodu. Być może minęli się kiedyś na korytarzu sądowym, ale przypuszczał, że nie wymienili się nawet spojrzeniami.

– Przyszedłem na... mimoletto – oznajmił konfidencjonalnie.

Dziewczyna uniosła brwi.

– Choć mogliśmy się chyba umówić w Charlotte Menora – zauważył.

Nie takiego początku rozmowy się spodziewała.

– Tym przy placu Grzybowskim, rzecz jasna – dodał.

Nadal nic.

– Ten z placu Zbawiciela jest już podobno *passé*.

– Przyznam, że nie bardzo wiem, o czym pan mówi.

– O hip...

Urwał w dobrym momencie, orientując się, że nie ma sensu dalej brnąć. Nie czuł się pewnie w towarzystwie kobiet, bez względu na to, czy miał załatwić sprawy służbowe, czy osobiste.

Właściwie dobrze znosił jedynie obecność Chyłki, a od pewnego czasu także Anki z Recepcji. I w tym drugim wypadku liczył na to, że sprawa okaże się rozwojowa.

– Chyba nie powinniśmy być na pan-pani – dodał. – Jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku.

Nie odezwała się, a on odniósł wrażenie, że Feruś też nie czuje się najlepiej w tej sytuacji. Szybko jednak upomniał się w duchu, że jej dyskomfort wynika z czegoś innego. Ni stąd, ni zowąd otrzymała esemesa od nieznajomego nadawcy, w którym ten twierdził, że ma istotne informacje o procesie Oryńskiego.

Nie mogła się spodziewać niczego dobrego.

– Mogę zapytać, kim pan jest?

To tyle, jeśli chodziło o możliwość przejścia na ty, uznał Kormak, nabierając głęboko tchu. Miał rolę do odegrania i powinien skupić się wyłącznie na niej. Chyłka

zaplanowała właściwie każdy jego ruch.

– Pracownikiem kancelarii Żelazny & McVay – powiedział.

Paulina rozejrzała się nerwowo.

– Spokojnie – dodał czym prędzej. – Nasze spotkanie w żaden sposób nie zaszkodzi pani sprawie.

Nie wiedział, czy zabrzmiał przekonująco. Do cholery, zupełnie nie nadawał się do takich rozmów. Sama jego nerwowość mogła sprawić, że wszystko, co powie, zabrzmii jak stek kłamstw.

Powinien zamówić piwo. Jeszcze kilka lat temu byłoby to ostatnie, co przyszłoby mu do głowy, ale od kiedy zaczął pracę w Skylight, wszystko zaczęło się zmieniać. A w końcu doszło do tego, że rozmyślał się nie tylko w alkoholu, ale i narkotykach.

Może jednak nie było w tym nic dziwnego? Z upływem czasu należało się tego spodziewać. Nie bez powodu mawiało się, że w każdym starym człowieku tkwi młody, który nieustannie zastanawia się, jakim cudem stał się tym pierwszym.

Kormak powiódł wzrokiem po sali, szukając kelnera. Jego spojrzenie natychmiast wyłowił jeden z mężczyzn, który po chwili zjawił się przy stoliku. Zaproponował wino zamiast piwa, a Kormak zgodził się, byleby szybciej dostać jakiś alkohol.

Kiedy kelner się oddalił, Paulina nawet nie odprowadziła go wzrokiem. Skupiała się wyłącznie na rozmówcy.

– Mam dla pani...

– Nie wiem, czy powinnam tego słuchać – ucięła, zanim zdążył choćby zbliżyć się do meritum. – Wygląda mi to na niebezpieczny konflikt interesów.

– Nic z tych rzeczy.

– A jednak to spotkanie jest dość niecodzienne.

– Proszę poczekać, aż wyjaśnię.

Wykonała delikatny, ponaglący ruch ręką – jakby wyćwiczyła go zawczasu, ale nie potrafiła przyswoić na tyle, by wyglądał naturalnie. Bez wątpienia stawiała pierwsze kroki w prokuraturze. Kormak przypuszczał, że właśnie dlatego została wytypowana do poprowadzenia sprawy przeciwko Kordianowi.

– Jestem specjalistą do spraw pozyskiwania informacji w Żelaznym & McVayu – odezwał się. – To nieformalne stanowisko, które...

– Będę wdzięczna, jeśli przejdzie pan do rzeczy.

– Okej – rzucił, wypatrując wina. – Z pewnością przewinąłem się gdzieś w aktach, bo blisko współpracuję z Kordianem Oryńskim.

Kiedy zapytała go o imię i nazwisko, a on odpowiedział, w oczach Feruś pojawił się błysk zrozumienia. Zaraz po nim wystąpił w nich jednak również strach.

– Ta rozmowa to naprawdę niedobry pomysł – powiedziała, podnosząc się i zabierając torebkę z oparcia krzesła.

– Dla pani bardzo dobry. Dla Oryńskiego wręcz przeciwnie.

Przymknęła lekko powieki.

– Co ma pan na myśli?

– To, że jeśli jest pani na bieżąco, wie pani, że doszło między nami do kilku spięć. Obawiał się, że prokurator odejdzie od stolika, ale się nie poruszyła. Kilku klientów

zerknęło na nich kontrolnie, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego kobieta stoi.

– Nie wiem, co pan o nas słyszał, ale nie śledzimy relacji międzyludzkich oskarżonych – zauważyła.

– Oczywiście, że nie. Cała ta inwigilacja obywateli to jedna wielka teoria spiskowa

– odbąknął. – Usiądzie pani? Dziwnie się tak rozmawia.

Zrobiła to, o co prosił, ale nie odwiesiła torebki na oparcie. Kormak odebrał sygnał, by się pospieszyć.

– Między mną a Oryńskim jakiś czas temu doszło do kilku kłótni – podjął. – Zaczęliśmy podkładać sobie świnię, potem poszliśmy trochę za daleko, ale... cóż, wystarczy powiedzieć, że w pewnym momencie przesadził.

– To znaczy?

– Zrobił coś, czego nie powinien. To moja osobista sprawa.

Feruś nie wyglądała, jakby miała zamiar odpuścić.

– To naprawdę nieistotne – dodał Kormak. – Liczy się to, że musiałem się odciąć. I zrobiłem to w jedyny sposób, w jaki umiałem.

– Czyli?

– Włamując się do jego komputera.

Powoli pokiwała głową, nawet nie próbując ukryć braku zaskoczenia. To kazało mu sądzić, że być może wbrew temu, co mówiła, doskonale zdawała sobie sprawę, kim jest. A skoro tak, to być może wiedziała też o scysjach między nim a Zordonem, które w gruncie rzeczy naprawdę miały miejsce – choć nie były w połowie tak poważne, jak starał się jej to przedstawić.

– Chciałem narobić mu trochę problemów, odegrać się – ciągnął Kormak. – Ale kiedy wszedłem do skrzynki mailowej... wszystko się zmieniło.

– W jakim sensie?

– To, co tam znalazłem, sprawiło, że...

Urwał, udając, że szuka odpowiedniego słowa. W końcu potrząsnął głową.

– Wie pani, że w pewnym momencie zupełnie zerwaliśmy kontakt?

– Nie, nie wiedziałam.

Rzeczywiście do tego doszło, a ona pewnie była tego świadoma. Nie miała jednak pojęcia, że powód był zupełnie inny – poróżnili się przez pomoc, jakiej Kormak udzielił Chyłce w ustaleniu, kto jest ojcem jej dziecka.

– Po tym, co zobaczyłem, nie chciałem mieć z tym człowiekiem nic wspólnego – dorzucił chudzielec. – Gry i wojenki bynajmniej mnie już nie interesowały, więc zostawiłem wszystko tak, jak było, i wylogowałem się z jego konta. Obiecałem sobie nigdy nie wracać do tego myślami.

– Do czego konkretnie?

Kormak przysunął się bliżej stołu, ale zanim zdążył się odezwać, kelner podał mu wino. Chłopak szybko skorzystał. Było nieprzesadnie dobre, pozostawiało cierpki posmak na języku. Bogiem a prawdą, nie był koneserem. Nigdy nie odróżniłby pinot noir od zwykłego caberneta – choć przypuszczał, że wielu sommelierów również tego nie potrafiło i głównie strzelało. Może z wyjątkiem tych pasjonatów z Winicjatywy, Blurpppa czy właścicieli innych blogów, ludzi, których kubki smakowe były ostre jak

papryczki jalapeño.

Chudzielec pociągnął jeszcze łyk, a potem odstawił pusty kieliszek. Prawdopodobnie kilkadziesiąt złotych właśnie poszło się rąbać.

– Powiem pani, o ile dostanę jedną gwarancję.

– Jaką?

– Że nie spotka mnie za to żadna konsekwencja.

– Nie rozumiem.

Kormak rozejrzał się ukradkowo, ale starał się, by nie wypadło to zbyt teatralnie.

– Miałem wiedzę o przestępstwie, rozumie pani? Fakt, że tego nie wyjawilem... może prowadzić do jakichś zarzutów, prawda?

Paulina Feruś sprawiała wrażenie, jakby nie dowierzała, że usłyszała to pytanie z jego ust.

– Nie jestem prawnikiem – zastrzegł. – Pracuję raczej w charakterze domorosłego informatyka.

– Ach...

– Więc? Może mi pani zagwarantować, że nie spadnie na mnie żadne gówno?

– Niezawiadomienie o przestępstwie jest karalne tylko, jeśli chodzi o artykuł dwieście czterdzieści Kodeksu karnego.

– A co w nim jest?

– Terroryzm, branie zakładników, broń masowej zagłady... i kilka innych rzeczy.

Kormak doskonale zdawał sobie sprawę, co znajduje się w tym katalogu. Było tam także zabójstwo, co prokurator zapewne świadomie pominęła. Wiedział, że nic mu nie grozi – chodziło tylko o to, by rozmówczyni poczuła się pewniej.

– Same sprawy dużego kalibru? – upewnił się.

– Tak.

– A zmowa?

– Cenowa? Nie.

– Mam na myśli... spisek oskarżonego i prokuratora.

Dopiero teraz zauważył realną ciekawość w oczach Feruś. Zastanawiało go, jak dalece oskarżycielka zaczynała już łączyć ze sobą fakty. Nie mogła wiedzieć, co rzekomo miał na Zordona, ale z pewnością kilka roboczych hipotez zaczęła już układać.

– Nie, za niezawiadomienie organów w tym wypadku nie odpowiadałby pan karnie – powiedziała bez wahania. – Tym bardziej że zamierza mi pan wszystko wyjawić, prawda?

Rozkręcała się, co specjalnie go nie dziwiło. Na jej miejscu też chciałby już konkretów.

– Tak – potwierdził, a potem nabrał tchu na tyle głęboko, by nie uszło jej uwadze, że przygotowuje się do dłuższej wypowiedzi. – Rzecz w tym, że kiedy włamałem się na konto Oryńskiego, znalazłem tam maile od któregoś z pani kolegów.

– Słucham?

– Przypuszczam, że od samego prokuratora Paderborna.

Paulina drgnęła, jakby ktoś wbił jej igłę w okolice kręgosłupa.

– Nie mam pewności, bo wiadomości nie były podpisane. Z loginu i domeny też

nic nie wynikało.

– Skąd w takim razie pomysł, że wysłał je jakiś prokurator?

– Ze względu na treść.

– Czyli?

– Ktoś pisał Oryńskiemu, że jeśli się z panią nie dogada i nie złoży wniosku o wydanie wyroku skazującego, prawda wyjdzie na jaw.

– Prawda?

Kormak ledwo zauważalnie skinął głową. Uważał teraz na każdy najdrobniejszy gest, by się nie zdradzić.

– Nadawca odkrył, co tak naprawdę stało się w przypadku matki Oryńskiego. Nie doszło do żadnej eutanazji.

Paulina milczała.

– Kordian zwyczajnie ją zabił – dodał Kormak, wbijając puste spojrzenie w kieliszek. – W rzeczywistości nie cierpiała, nie napisała żadnego listu, nie prosiła go o to, by zakończył rzekome męki... wręcz przeciwnie, ostatnie wyniki badań kazały sądzić, że jej stan się poprawia.

Feruś wciąż się nie odzywała, ale wstrzymała oddech i zastygła w niemal całkowitym bezruchu, nie chcąc uronić ani słowa.

– Wszystkie dowody, jakie pani widziała, zostały spreparowane. A te, które świadczyły o prawdziwym przestępstwie, zniszczono. – Kormak na moment zrobił pauzę.

– Tak to jest, kiedy do zabójstwa bierze się prawnik. Czy raczej przyszły prawnik.

Czekał na odpowiedź, ale na próżno. Uznał, że musi sam przedstawić ten scenariusz do końca.

– Dlaczego w takim razie Oryński zabił własną matkę? – zapytał i westchnął ciężko. – Odpowiedź jest prosta: chodziło o spadek.

Paulina mimowolnie pokręciła głową.

– To niemożliwe – oceniła. – Kordian nie otrzymał żadnego pokaźnego majątku.

– Ano nie – przyznał Kormak. – Bo nie zrealizował swojego planu do końca.

– To znaczy?

– Zanim położył łapę na majątku, jego ojciec zorientował się, co się dzieje. Zniszczył testament, w którym matka zapisywała wszystko synowi.

– Testament?

– To wokół niego zawsze wszystko się kręci. – Kormak wzruszył ramionami i blade się uśmiechnął.

Przez moment oboje patrzyli na siebie w ciszy. On oceniał, czy prokurator mu uwierzyła, ona zapewne starała się przesądzić, czy może to zrobić.

– Ktoś z prokuratury do tego dotarł, ale widocznie uznał, że nie ma wystarczających dowodów, by doprowadzić do skazania za zwykłe zabójstwo. Zdecydował się więc na szantaż.

Rozległo się ciche, acz nerwowe kaszlnięcie. Feruś opuściła dłoń znad ust i wytarła ją o spodnie.

– Ma pan te maile?

– Nie, ale może je pani zdobyć bez problemu, są na serwerach Żelaznego &

McVaya. Na razie musi pani jednak wystarczyć moje słowo.

– Czego pan oczekuje w zamian?

– W zamian? Spokoju.

– Nie rozumiem.

– A co tu jest do rozumienia? Dowiedziałem się, że człowiek, któremu ufałem, jest matkobójcą. I gówno zrobiłem, żeby to wyszło na jaw. Wie pani, od ilu nocy nie śpię? I co muszę zrobić, żeby choć na chwilę o tym zapomnieć?

Przypuszczał, że wizualnie robi odpowiednie wrażenie. Kilka ostatnich nocy rzeczywiście zarwał, choć powodem był *Syn* Philippa Meyera. Powieść przypominała mu trochę *Krwawy południk* McCarthy'ego, choć brakowało w niej mrocznej poetyckości cechującej pióro autora, któremu Kormak zawdzięczał swój przydomek.

– Zabił ją z zimną krwią – dodał chudzielec. – Wykalkulował wszystko, zaplanował i przeprowadził z chirurgiczną precyzją... Gdyby nie ten prokurator, który załatwił pani wyrok skazujący, prawda nigdy nie wyszłaby na jaw. I może nie wyjdzie... W tym momencie na dobrą sprawę wszystko zależy od pani.

Paulina nie odpowiadała.

– Ale liczę na to, że zajmie się pani tym skurwielem.

– Jeśli to prawda, to...

– Zapewniam, że tak. Wiem, co widziałem.

– W porządku, ale i tak muszę to potwierdzić.

Chyłka uprzedziła go, że rozmowa przebiegnie właśnie w taki sposób. Jakkolwiek kusząco przedstawiałyby się rewelacje Kormaka, nie było szans, by prokurator uwierzyła mu na słowo. Potrzebowała nie tyle słownych zapewnień, ile namacalnych dowodów. Tylko dzięki nim Joanna mogła sprawić, że jej plan nabierze odpowiedniego rozpędu.

Kormak miał jeszcze przez moment kontynuować rozmowę w enigmatycznym tonie, ale ostatecznie zgodzić się na to, by po raz kolejny zalogować się na konto Kordiana.

Po następnym kieliszku wina nie było już żadnych wątpliwości. Feruś przeczytała maile i opadła ją wyraźna groza. Zrozumiała dwie rzeczy – po pierwsze ktoś w prokuraturze pozwolił sobie na zbyt dużo, a po drugie ustrzegła prawdziwego degenerata przed potencjalnym dożywociem.

– Można jeszcze wycofać ten wniosek? – zapytał Kormak.

Paulina przez chwilę zdawała się nie słyszeć pytania, jakby zupełnie odpłynęła myślami. Potem potrząsnęła lekko głową.

– Wycofać? Nie – odparła. – Ale zapewniam pana, że sędzia jeszcze dziś się o wszystkim dowie. I pański dawny przyjaciel odpowie za zbrodnię, nie za występki.

al. Prymasa Tysiąclecia, Wola

Wizyta w salonie BMW była dla Chyłki jak odwiedziny u starego znajomego, jakkolwiek nie wiązała się z samymi pozytywnymi odczuciami. Przeciwnie, Joanna odniosła wrażenie, jakby ten znajomy zmienił się tak bardzo, iż z trudem go rozpoznawała.

Wsiadała do wszystkich modeli właściwie tylko po to, by mieć pewność, że postawi na iks piątkę. Nawet w niej nie czuła się jednak dobrze. Nowy model z pewnością miał lepsze parametry jezdne, ale zwyczajnie nie był tym, do czego przywykła.

Wychodząc z salonu, po raz kolejny utwierdziła się w przekonaniu, że przyzwyczajenie nie jest drugą naturą człowieka, tylko zwykłym przekleństwem. Zapaliła marlboro, a potem skierowała się w prawo.

Skręciła w pierwszą ulicę, przeszła kawałek i znalazła się po drugiej stronie torów kolejowych biegnących za salonem BMW. W Bioculturze przy Sokołowskiej miał na nią czekać Rafał Kranz, by wyjaśnić jej w końcu kilka rzeczy.

Stawiła się w kawiarni jako pierwsza. Wystrój był nowoczesny, ale nienachalny – duże przeszklenie dobrze współgrało z industrialnymi ozdobami. W dodatku było tu trochę książek, co zawsze należało zapisać lokalowi na plus.

Chyłka zajęła miejsce przy niewielkim okrągłym stoliku w rogu i zamówiła kawę z dripa. Na Kranza musiała czekać jeszcze dobry kwadrans, podczas którego kilkakrotnie przejrzała listę alkoholi.

Były likiery, piwa, cydr i wina. Szczęśliwie nie serwowali tutaj tequili. Od kiedy Chyłka dowiedziała się, że zaszła w ciążę, stroniła od alkoholu. Właściwie miała opory nawet przed piciem toniku i grenadyny, bo niektórzy twierdzili, że ten pierwszy w początkowym trymestrze może zaszkodzić płodowi.

Teraz nie miało to już znaczenia. A mimo to z jakiegoś powodu nie wróciła do picia. Przypuszczała, że wynika to z wewnętrznego imperatywu, by na swój sposób przeżyć żalobę.

Być może w jej przypadku nie było na to lepszej metody.

Kiedy zjawił się Rafał, zamówiła sobie jeszcze jednego dripa. Tym razem w wersji aeropress. Nie miała pojęcia, co to oznaczało, ale brzmiało całkiem niezłe.

– Przepraszam za spóźnienie – rzucił Kranz i zdyszany usiadł przy stoliku.

Joanna mimowolnie przeniosła wzrok na plamy potu widoczne na koszuli.

– Byłbym szybciej, gdyby dała mi pani wcześniej znać.

– Taki pan zarobiony?

– Właściwie nie – odparł, ściągając poły marynarki, by ukryć mokry materiał. – Od kiedy wybuchła ta sprawa, pacjentki masowo odwołały wizyty. Jak tak dalej pójdzie, będę bezrobotny.

Wzruszyła ramionami.

– Wszystkie pana zarobki to i tak nic innego jak łapówka od losu, by zapomniał pan o swoich planach i marzeniach.

– Co proszę?

– Niech mi pan nie mówi, że szczytem marzeń jest dla pana zawodowe penetrowanie kobiet.

Popatrzył na nią jak na wariatkę, ale się nie odezwał. Słusznie, bo nie chciała rozwijać tej myśli, czując, że dopada ją perfidny humor. Właściwie nie powinien – w najważniejszej sprawie wszystko szło po jej myśli.

Wprawiła trybiki maszyny w ruch i ani się obejrzy, Zordon znajdzie się w znacznie lepszej sytuacji. Pozornie być może nie, ale ostatecznie wszystko musiało skończyć się dla niego dobrze.

A jak będzie w przypadku Kranza? Nie miała odpowiedzi na to pytanie. Przypatrując mu się, odnosiła wrażenie, że naprawdę nie wie, w jaki sposób władował się w tę kabałę. Wszystko wskazywało na to, że spadek był dla niego zupełnym zaskoczeniem, a dziewczyny faktycznie nie znał.

I nie miał nic wspólnego z jej śmiercią.

– Zamówiła już pani coś do jedzenia?

Chyłka wskazała na kawę.

– Rozumiem – odbąknął, a potem zerknął na wykaz deserów. – Więc od razu przejdziemy do rzeczy?

– Tak będzie najlepiej, bo należę do tych osób, które widząc na nawigacji czas dotarcia do miejsca docelowego, traktują to jako wyzwanie, a nie informację.

Nie podniósł wzroku znad menu.

– Nie lubię mitrzyć czasu, panie Kranz – dodała.

– Proszę zatem pytać wprost. Bo przypuszczam, że po to mnie tu pani zaprosiła.

– Nie zaprosiłam. Poleciałam się stawić.

– Ach, tak...

Joanna sięgnęła do torebki, wyjęła z niej niewielką teczkę, a potem położyła ją na karcie dań. Zanim Rafał zdążył choćby omieść wzrokiem jej zawartość, Chyłka trzasnęła długopisem o blat.

– Podpisze pan tu i tu – powiedziała, wskazując miejsca na dole kartek. – Potem może pan powiedzieć mi całą prawdę, bo formalnie stanę się pańskim obrońcą.

Podpisał bez wahania. Wszystkie szczegóły ustalili już wcześniej, kiedy przedstawił jej, co może zrobić dla Oryńskiego.

Jego propozycja była ryzykowna, w dodatku pokazywała, że Rafał jest człowiekiem, który niespecjalnie przejmuje się przepisami prawa czy zasadami moralności. Joanna przypuszczała, że dogadają się śpiewająco.

Złożyła dokumenty, schowała je do torebki i spojrzała znacząco na swojego nowego klienta.

– Od tego momentu chcę słyszeć tylko prawdę – rzuciła.

– Już ją pani usłyszała.

– Więc nie ma pan absolutnie nic wspólnego z tym, co się dzieje?

– Nic.

– W porządku. Jedźmy więc z hipotetycznymi możliwościami, dla których ktoś chciałby pana zrobić.

Kranz zamówił kremowy mus z bananów z nutellą, a Chyłka skwitowała to wymownym spojrzeniem na wciąż mokrą koszulę.

– W ten sposób pan tego balastu nie zrzuci. Wzięłby pan lepiej jakieś, bo ja wiem, *quiche*.

– A co to takiego?

– Nie wiem. Widziałam w menu – odparła cicho, przypuszczając, że niechybnie przekonałaby się, co kryje się pod tą nazwą, gdyby była tu z Oryńskim. Bardziej od kisu interesowało ją jednak to, jakie motywacje stoją za osobami zamieszkanymi w sprawie śmierci Beaty Widery. O ile prokuratura miała rację i rzeczywiście ktoś się do tego przyczynił.

– Niech pan się zastanowi – odezwała się.

– Nie muszę, nie mam zamiaru przechodzić na dietę.

– Miałam na myśli to, kto chciałby zrobić pana w zabójstwo.

– Zastanawiam się nad tym bez przerwy – odparł i ciężko westchnął. Najwyraźniej na samą myśl zrobiło mu się gorąco, bo pozbył się marynarki. Odwiesił ją na oparcie, a potem strzepnął pyłek z rękawa. – I obawiam się, że w tym wszystkim nie chodzi o mnie. Jestem tylko kozłem ofiarnym.

– Okej, ale kto składa pana w ofierze?

– Spadkobiercy?

Chyłka pokręciła głową. Tej wersji towarzyszył pewien paradoks. Była z jednej strony zbyt absurdalna, z drugiej zbyt oczywista – gdyby jakimś cudem któryś z braci coś kombinował, nie ryzykowałby w ten sposób. Z pewnością to oni jako pierwsi trafili pod lupę śledczych i gdyby tylko się okazało, że przyłożyli rękę do śmierci siostry, mogliby pożegnać się ze spadkiem.

– Jaki interes mogliby mieć? – spytała Joanna. – To nie ma sensu.

– Podobnie jak otrzymanie spadku od nieznajomej osoby. Chyba że chciałaby narobić mi problemów.

– Może działała na czyjeś polecenie?

– Czyje?

– Niech pan mi to powie – zasugerowała Chyłka i napiła się przelewowej kawy. Z jakiegoś powodu smakowała lepiej niż ta z ekspresu, choć Joanna przypuszczała, że to głównie zasługa autosugestii. – Włożył pan którejs z pacjentek zbyt chłodne szczytce między nogi? Złapał którąś za kolano? Pofolgował sobie z żartami o fryzjerstwie łonowym?

Pytania nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Lektura opinii na swój temat w internecie najwyraźniej sprawiła, że przywykł do słuchania podobnych, podszytych zarzutami pytań.

– Może pańska żona знаła Widerę? Albo któregoś z Widerów?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiedział. – Poza tym ona nie ma związku ze sprawą.

– Nie docenia pan wpływu kobiet na otaczający je świat.

– Może. W każdym razie nie zrobiłem nic, za co ktokolwiek miałby planować zemstę.

Chyłka zmrużyła oczy.

– A mnie się wydaje, że jest pan trochę jak Korea Północna – oceniła. – Z pańskiego punktu widzenia wszystko z panem w porządku, ale wszyscy inni widzą, że tak nie jest.

Zawiesiła głos i na chwilę zamilkła. Rafał Kranz zaczynał budzić w niej niepokój, choć nie potrafiła sprecyzować dlaczego. Z pewnością nie chodziło o to, co przeczytała w sieci – z autopsji wiedziała, ile prawdy jest w takich opiniach.

Ale w takim razie co było nie w porządku?

Odpowiedź niespodziewanie uzyskała niecały kwadrans później, kiedy otrzymała wiadomość od Kormaka. Gdy widziała się z chudzielcem zeszłego wieczora w Boathousie, była zadowolona z tego, jak wykonał swoją robotę. Oprócz tego jednak niczego dla niej nie miał, nie udało mu się dotrzeć do żadnych znaczących informacji na temat Kranza.

Teraz najwyraźniej się to zmieniło.

Chyłka przejrzała treść maila, ale nie ona zainteresowała ją najbardziej. Liczył się załącznik.

– Coś nie tak? – odezwał się Rafał.

– Można tak powiedzieć.

Nie zdążył zapytać, w czym tkwi problem, bo Joanna wyciągnęła w jego kierunku telefon. Rozbita szybka nie przeszkodziła mu w natychmiastowym zrozumieniu, na co patrzy.

– Skąd... – jęknął i wbił przerażone spojrzenie prosto w jej oczy. – Skąd to pani ma?

– Z jaskini. McCarthyńskiej.

Nie odpowiadał, a ona mogłaby przysiąc, że kolejne niewielkie plamki pojawiły się na jego koszuli.

– Poznaje pan siebie? – dodała.

Przełknięcie śliny przyszło mu z wyraźnym trudem.

– Pewnie, że tak. Z podobną łatwością rozpozna pan też stojącą obok pana Beatę Widerę. Tę, której pan rzekomo nie zna.

Chyłka posłała mu wrogie, ponagające spojrzenie, ale Kranz wciąż nie mógł dobrać głosu.

– Nieźle prezentująca się para – oceniła Joanna. – Ale może to zasługa tła. Palmy, plaża, słońce... gdzie to zdjęcie zostało zrobione? Na Majorce? Może na Teneryfie?

Kranz wyglądał, jakby miał zamiar natychmiast opuścić kawiarnię.

– Widera w bikini robi wrażenie – ciągnęła Chyłka. – Pan w tych slipkach niekoniecznie.

Potańił się po ramionach, jakby nagle poczuł falę chłodu.

– Ale i tak wyglądał pan znacznie lepiej niż teraz – dodała. – Może więc najwyższa pora, żebym poznała prawdę? I dowiedziała się, dlaczego, do cholery, do tej pory łągał pan jak polityk na wiecu wyborczym?

Areszt Śledczy Warszawa-Mokotów

W więzieniu należało spodziewać się wszystkiego – ale nawet mając to na uwadze, Oryński doznał szoku, kiedy dwóch klawiszy przyszło po niego do celi. Miny mieli nietęgę i Kordian od razu zrozumiał, że coś jest nie w porządku.

– Cofnąć się – odezwał się jeden z nich. – Wszyscy oprócz Oryńskiego.

Pozostali więźniowie zrobili, jak im polecono. Nie było wśród nich żadnego zakapiora, wszyscy siedzieli za drobne przestępstwa bez użycia przemocy. Od Kordiana trzymali się raczej z daleka, świadomi, że niebezpiecznie jest się bratać z kimś, na kim właściwie ciąży wyrok śmierci.

Jedynym wyjątkiem był inny prawnik, o ksywce Kim Peek. Michał Błoński odsiadywał wyrok za finansowe przekręty, o których nie chciał mówić, podobnie enigmatyczny był w kwestii swojego pseudonimu. Zdradził Oryńskiemu wyłącznie tyle, że ma on związek z podzielnością uwagi.

Kiedy zjawili się strażnicy, Kim Peek cofnął się razem z resztą, ale jako jedyny zdobył się na wsparcie Kordiana.

– O co chodzi? – zapytał.

Klawisze zignorowali pytanie, wbijając wzrok w Oryńskiego.

– Zbieraj graty i wywalaj na zewnątrz – rzucił jeden z nich.

– Zaraz... – zaoponował Błoński. – Nie możecie tak po prostu...

– Morda!

– Ale...

– Chcesz do niego dołączyć?

Widząc determinację funkcjonariuszy, Kim Peek spasował, a Kordian wykonał polecenie. Układając więzienny uniform w kostkę, gorączkowo zastanawiał się nad tym, o co może chodzić. Spodziewał się problemów ze strony Gorzyma, nie administracji więziennej. Do tej pory mięśniak z pewnością był już dawno po rozmowie z prawnikiem i przejrzał lichej fortel.

– Szybciej – polecił jeden z klawiszy.

Oryński nie miał zamiaru się ociążać, w obawie, że załatwi sobie kolejne niepotrzebne problemy. Najwyraźniej rozsiardził Gorzyma bardziej, niż przypuszczał. Ten musiał wydać małą fortunę, by nakłonić strażników do tak zdecydowanych kroków.

Poczekali, aż Oryński zbierze swoje rzeczy, po czym popędzili go na korytarz.

– Panowie... – spróbował Kordian.

– Zamknij ryj – rzucił w odpowiedzi jeden z nich, a potem zatrzasnął drzwi celi.

Nie było sensu podejmować kolejnej próby. Oryńskiemu pozostało jedynie biernie czekać na rozwój wypadków. I właśnie to było w tym wszystkim najgorsze.

Poprowadzili go do innego skrzydła i Kordian zrozumiał, co się zaraz stanie. Wyląduje w miejscu pełnym recydywistów i innych tego typu osadzonych. Nie będzie tam alimenciarzy, hochsztaplerów, drobnych złodziejasków czy raczkujących chuliganów. Trafi do najgorszego towarzystwa.

A konkretnie do celi Gorzyna. Właśnie tym zakończy się ta wycieczka.

Ledwo ta myśl nadeszła, upomniał się w duchu, że nie może sobie pozwolić na bierność. Albo zrobi coś teraz, albo za moment będzie za późno. Tym razem nie wywinie się ani dzięki niespodziewanemu prezentowi od Chyłki, ani dzięki prawniczym bzdurom.

– Ile wam płaci? – odezwał się.

– Mówiłem, morda!

– Przebiję to. Dwukrotnie.

– Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz? – odparował strażnik.

– Mogę zgromadzić...

– Możesz się zamknąć, Oryński – włączył się drugi klawisz, nieco spokojniejszy, choć równie stanowczy. – O ile chcesz dotrzeć do nowej celi w takim stanie jak teraz.

Kordian obrócił głowę w jego kierunku, ale ten pierwszy szybko przywołał go do porządku, mocno popychając.

– Co za różnica? – spytał Oryński. – Gorzym i tak...

Funkcjonariusz znów przywalił mu w plecy, tym razem jednak mrucząc pod nosem bardziej wyszukane przekleństwa. Jedno z nich wybrzmiało nieco głośniejsze od pozostałych.

Matkobójca.

To sprawiło, że jakaś zapadka przeskoczyła w umyśle Kordiana. Zrozumiał, że zachowanie strażników jest inne, niżby to wynikało z czystej logiki. Traktowali go jak śmiecia, jak jednego z tych, którzy trafili tu za najgorsze przestępstwa.

Co się wydarzyło? Może źle ocenił sytuację i to nie Gorzym pociągał w tym wypadku za sznurki? Może Chyłka wzięła się do roboty? Nie wiedział, co konkretnie planowała, nie powiedziała mu wszystkiego.

– Gdzie mnie prowadzicie?

– Tam, gdzie twoje miejsce, skurwielu – syknął jeden ze strażników. – Od początku powinieneś tam być.

– Ale...

– Jeszcze jedno słowo, a zamiast do izolatki trafisz pod kroplówkę.

Oryński nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Izolatka dla większości więźniów była zmorą. Spędzenie w niej kilku godzin i pozostanie przy zdrowych zmysłach właściwie było niemożliwe.

Dla Kordiana była to jednak perspektywa wytchnienia. Nie, więcej. Ocalenia.

Kiedy doprowadzili go do jednoosobowej celi, zobaczył, że na niewielkiej pryczy czeka na niego pomarańczowy strój więzienny przeznaczony dla enek, więźniów niebezpiecznych. Uśmiechnął się w duchu, nie mając pojęcia, jak Chyłce udało się sprawić, że władze więzienia postanowiły odizolować go od reszty.

– Właz.

Nie zwlekał. Przebrał się na oczach strażników, a ci nie pofatygowali się nawet, by

się odwrócić. Z pewnością celowo – każde zachowanie zmierzające do odarcia więźnia z godności było tutaj normą.

Niczego nie wyjaśniając, zatrzasnęli drzwi. Kordian został sam na sam ze swoimi myślami, ale jednocześnie ze świadomością, że w istocie ma towarzystwo. Była jedna osoba, która wciąż go nie opuszczała.

Przypuszczał, że Joanna zastosowała jakiś wybieg prawny, bo dzięki koneksjom, przysługom lub nawet łapówkom nic by nie osiągnęła. Nie mógł jednak wpaść na to, co mogłoby poprawić jego sytuację więzienną, jednocześnie nie pogarszając sądowej.

Odpowiedzi pojawiły się wraz z nadejściem klawisza kilka godzin później. Oznajmił, że na Oryńskiego czeka prokurator, a Kordian natychmiast pojął, że doszło do znacznie większych zmian, niż przypuszczał.

Kiedy zobaczył Paulinę Feruś, potwierdził swoje domysły. Oskarżycielka patrzyła na niego jak na najgorszego degenerata i wyglądała na zniesmaczoną samą jego obecnością.

– Okłamałeś mnie – powiedziała.

Kordian zajął miejsce naprzeciwko niej, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Może jednak nie miało to żadnego znaczenia. Gdyby miał odegrać jakąkolwiek istotną rolę, Chyłka z pewnością by go do niej przygotowała.

Uznał, że musi „odstawić Langerę”. I nie była to zbyt budująca myśl.

– Mowę ci odebrało?

Kordian milczał, a prokurator pokręciła głową z niezadowoleniem.

– Pół biedy, że mnie okantowałeś – dodała Feruś. – Ale złożyłeś też niezgodne z prawdą oświadczenia, a tego żaden sąd ci płazem nie puści.

Oryński trwał w bezruchu, nie dając po sobie poznać, że nie ma pojęcia, o czym mowa. Choć brzmiało to dość niepokojąco, przypuszczał, że cokolwiek usłyszy od prokurator, musi to potraktować jedynie jako zasłonę dymną wznieconą przez Chyłkę.

Czyżby rzeczywiście udało jej się dowieść, że doszło do zabójstwa, a nie eutanazji? Nie, to było niemożliwe. I z jego punktu widzenia wyjątkowo niekorzystne. A mimo to wszystko wskazywało na to, że Joanna w jakiś sposób rzeczywiście tego dokonała.

– Sędzia nie przychylił się do twojego wniosku.

– Co takiego?

A zatem Chyłce jednak się udało.

– Ja też się wycofałam. Nie ma mowy o żadnym układzie.

– Zaraz...

– Zaslugujesz na najwyższy wymiar kary – ciągnęła z powagą, w której kryła się jakaś naiwność. Jakby dziecięca wiara w to, że wszystko jest na jak najlepszej drodze, by sprawiedliwość zatriumfowała. – Zabiłeś ją z zimną krwią. I odpowiesz za to. Rozumiesz?

Kordian milczał.

– Chorą, bezbronną osobę... własną matkę. Tacy jak ty powinni zgnić w więzieniu, bez szansy na przedterminowe zwolnienie. I tak będzie w twoim przypadku.

Zanim zdążył odpowiedzieć, podniosła się, a strażnik natychmiast znalazł się obok nich.

– Pożegnaj się ze wszystkimi przywilejami – dodała Paulina. – Czas do procesu

spędzisz w izolatce. Bez możliwości kontaktu z innymi. Bez wyjść na spaceriak. Bez jakichkolwiek przejawów dobrej woli ze strony administracji. Nie zobaczysz nawet swojego prawnika.

Nie miał obrońcy, ale doskonale wiedział, co Feruś ma na myśli. Jeśli nawet ustanowi któregoś adwokata swoim pełnomocnikiem, dokument z pewnością zapodzieje się w stosach akt. Był to najprostszy sposób, by obrońca nie mógł się zobaczyć z oskarżonym.

– Wyjdiesz stąd tylko na chwilę, na krótki moment – dorzuciła Paulina. – I jedynie po to, żeby usłyszeć wyrok skazujący cię na dożywocie.

Nie dodała nic więcej, a strażnik złapał go za ramię i pociągnął w kierunku wyjścia. Idąc do pojedynczej celi, która miała stanowić zarazem sanktuarium i przedpiekle, Kordian nie mógł opędzić się od myśli, że w głosie prokurator było coś naprawdę niepokojącego.

Miał nadzieję, że Chyłka wie, co robi.

ul. Sokołowska, Wola

Kilkadziesiąt złotych powinno wystarczyć, uznała w duchu Joanna, rzucając parę banknotów na stół. Szybkim krokiem ruszyła do wyjścia, popchnęła mocno drzwi, a potem natychmiast sięgnęła po paczkę papierosów.

Zdażyła sztachnąć się kilka razy, zanim dołączył do niej Kranz.

– Zapytam ostatni raz – powiedziała. – Co to ma znaczyć, do kurwy nędzy?

– To nie tak...

– Co nie tak? Źle patrzę? Czy może mam jakieś urojenia?

– Niech pani...

– Nie jesteśmy już bynajmniej na pan i pani, kurwa mać!

– W takim razie poczekaj moment, aż...

– Aż usłyszę kolejne bzdury? Jestem twoim obrońcą, człowieku. – Urwała, by się zaciągnąć. Wcześniej zrobiła to zbyt mocno, przez co niewiele dymu dostało się do płuc. Zaklęła, wyrzuciła papierosa i zapaliła kolejnego. – Twoim prawnikiem, rozumiesz? Żyję z problemów klientów, z ich brudów, tajemnic i przewinień.

Uspokoila się nieco i spuściła z tonu. Miała nadzieję, że dzięki temu Kranz zacznie wyjaśniać, co to wszystko miało znaczyć, ale ten milczał.

– Skąd to zdjęcie?

– Nie mam pojęcia.

Joanna syknęła z dezaprobatą i na powrót poczuła, jak wzbiera w niej wściekłość. Jedynym, co irytowało ją bardziej niż kierowcy blokujący lewy pas ruchu na autostradzie, byli skretyniali klienci – ci, którzy nie rozumieli, że w ich najlepszym interesie jest zdradzić wszystko swojemu obrońcy.

– Nie brnij w to – poradziła. – Te dokumenty, które mam w torebce, zaraz mogą wylądować w śmietniku.

Już otwierał usta, by jakoś odparować, ale Chyłka nie dała mu czasu.

– Razem z całą twoją pieprzoną przyszłością – dodała. – Bo tak traktuję tych, którzy starają się zrobić ze mnie idiotkę.

– Nie robię tego.

Sięgnęła po telefon, wyświetliła zdjęcie, a potem obróciła urządzenie ekranem w kierunku rozmówcy. Nie musiała robić nic więcej, jej wzrok w zupełności wystarczał, by Rafał zrozumiał, że pora zaoferować jakieś wytłumaczenie.

Wybrał najgorsze z możliwych.

– To musi być fotomontaż.

– No nie... – jęknęła Chyłka. – Będiesz mi pieprzył o mistrzu Photoshopa, który się na ciebie wziął? Błagam cię, Kranz, okaż trochę rozumu.

Lekko się wyprostował, jakby pierwszy szok minął i lekarz odzyskał równowagę.

– Niepotrzebny jest żaden mistrz – powiedział. – Jakość tego zdjęcia jest taka, że...

– Nieważne, czy robiono je kalkulatorem, czy cholernym iPhone'm – wpadła mu w słowo Joanna. – To żaden fotomontaż.

– A jednak...

Urwał, marszcząc czoło i przyglądając się fotografii coraz uważniej. Chyłka mogłaby przysiąc, że przez jego twarz przemknął błysk zrozumienia.

– A jednak co? – dopytała Chyłka.

– Chciałem powiedzieć, że nigdy nie byłem w tym miejscu, ale to nie do końca prawda.

– Świetnie, że w końcu to przyznajesz.

– Źle mnie pani... źle mnie zrozumiałaś – odparł, potrząsając głową. Wymierzył palcem w komórkę, jakby to jej właścicielkę chciał oskarżyć o manipulację. – To nie żadne gorące kraje, a Tropical Islands.

– Co?

– Kompleks tropikalny pod Berlinem. Park rozrywki, zespół basenów, zjeżdżalni, restauracji i...

– Wiem, co to jest – mruknęła Chyłka.

Wprawdzie sama nigdy tam nie była, wychodząc z założenia, że kiszenie się w wielkim kontenerze z setkami porozbieranych ludzi nie może być specjalnie przyjemne, ale jej siostra odwiedzała to miejsce kilkakrotnie z własną rodziną. Magdalena opowiadała jej o Tropical Islands, choć Chyłka słuchała jedynie piąte przez dziesiąte.

Prawniczka odwróciła telefon do siebie i spojrzała na wyświetlacz. Zdjęcie w istocie zrobiono chyba kalkulatorem, liczydłem albo kartoflem. Wyraźnie było widać piksele, w dodatku fotograf poruszył obiektywem.

– Byłem tam – powiedział Rafał. – I to całkiem niedawno, ale z moją żoną. Ktoś musiał dokleić na zdjęciu tę dziewczynę.

Joanna była przekonana, że to oczywista bzdura. Nikt, kto zadałby sobie tyle trudu, by zrobić Kranza w zabójstwo, nie popełniłby takiego błędu. Fotomontaż łatwo obalić, bez względu na to, jak kiepsko widać na nim twarze.

– Naprawdę masz zamiar przyjąć taką wersję?

– To prawda – zapewnił lekarz.

– Z gatunku tych, które poprzedza przedrostek „gówno-”.

– Nie – zaoponował stanowczo, patrząc na telefon. – Zadzwoń do mojej żony, zapytaj. Potwierdzi moje słowa. Nigdy nie byłem tam z nikim innym. I nigdy nie spotkałem Beaty Widery poza moim gabinetem. Przysięgam.

Ilekoć ktoś przysięgał, Joanna odnosiła wrażenie, że tym samym przyznaje się do kłamstwa. Ale może długoletnie paranie się prawem karnym rzutowało na jej ogląd. Może nie wszyscy mieli podobne odczucia.

Jakkolwiek by było, w przypadku Kranza wydawały się uzasadnione.

– Żeby cię wybronić, muszę znać prawdę, rozumiesz?

– Oczywiście. I możesz na nią liczyć.

– Kiedy?

– Teraz. Nie usłyszałaś ode mnie żadnego kłamstwa, i nie usłyszysz go.

Chyłka pokręciła bezradnie głową.

– Zrozum, Kranz, że tylko ujawnienie całej prawdy z twojej strony równa się użyciu całego prawniczego arsenału z mojej.

– Rozumiem to doskonale. I dlatego nic nie zataiłem.

Joanna natomiast zrozumiała, że wdawanie się w dalsze przepychanki jest bezcelowe. Rafał nie ustąpi, choćby uciekła się do najbardziej przekonujących gróźb. Ostatecznie mógł mieć pewność, że Chyłka nie zrezygnuje z obrony – zbyt wiele zależało od niego w sprawie Kordiana.

Oryński był jego kołem ratunkowym. A jednocześnie kotwicą, która sprawiała, że na wzburzonych wodach charakteru prawniczki mógł się czuć bezpiecznie.

Uznawszy, że nie ma sensu tracić więcej czasu, Chyłka rzuciła na odchodnym, że skontaktuje się z nim, kiedy przyjdzie pora. Potem szybkim krokiem oddaliła się w stronę marketu znajdującego się na końcu kompleksu mieszkalnego przy Sokołowskiej.

Już z oddali dostrzegła, że tuż za nim stoi niski budynek z przyciągającą wzrok reklamą na murze. Świat alkoholi. Sklep otwarty dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Minęła market i zatrzymała się przy bramkach wjazdowych na osiedle. Czuliła, że jeśli zrobi jeszcze jeden krok w kierunku monopolowego, już nie zawróci.

Jak dotarła do tego momentu?

Jeszcze niedawno siedziała przed laptopem i szukała imion dla pasożyta, właściwie sprowadzając cały proces do przypominania sobie, kogo w swoim życiu nie lubiła, by przypadkiem nie skrzywdzić dziecka. Oprócz tego przeszukiwała sieć, polując na ubranka z Iron Maiden dla niemowlaków. W polskich sklepach internetowych nie było ich wiele, ale miała już kilka wybranych i zamówionych na Aliexpress. Zakupy w chińskim serwisie robiło coraz więcej Polaków, bardziej popularne były jedynie Allegro i Ceneo. Jedyne kłopot polegał na tym, że zazwyczaj trzeba było tygodniami czekać na przesyłkę. Tak jak w tym wypadku.

Wiedziała, że zamówienie w końcu do niej dotrze, a moment ten będzie jak cios zniemacka prosto między oczy. Zaraz potem Chyłka najpewniej kupi butelkę tequili.

Czy warto czekać, skoro ostatecznie i tak było to nieuniknione? Naprawdę opłacało się męczyć?

Bo owszem, była to męczarnia. Joanna mogła powtarzać sobie, że jest inaczej, ale tak naprawdę każdy dzień w trzeźwości okupiony był wyjątkowym trudem. Kiedy była w ciąży, miała wystarczającą motywację, by stawić temu czoło. Teraz pozostała jedynie namiastka ówczesnej determinacji.

Ale i ona zniknie. Żałoba pozostanie, przybierze jednak inną formę.

Kiedy drzwi monopolowego się otworzyły i wyszedł z niego mężczyzna z siatką wyładowaną butelkami, Chyłka drgnęła. Klient spojrział na nią pytająco, jakby nie wiedział, czy przytrzymać jej drzwi.

Joanna potrząsnęła głową.

– Zamknij pan to w piździec – rzuciła, a potem ruszyła szybkim krokiem przed siebie.

Miała robotę do wykonania. Musiała dowiedzieć się, dlaczego Rafał Kranz kłamie

w żywe oczy. Zbyt dużo zależało od niego w sprawie Zordona, by mogła pozwolić sobie na niewiedzę.

Rozwiązać ją mógł tylko jeden człowiek. Ten, który w wirtualnym świecie zapewne czuł się lepiej niż w rzeczywistym. A może w jego przypadku pierwszy z nich był tym realnym?

W Skylight Chyłka zjawiała się w godzinach szczytu. Korytarzem przebiegała zwyczajowa drużyna praktykantów, których głównym zadaniem było dybanie na kontrolerów ZDM. Jeśli tylko aspirujący prawnicy ich dostrzegali, mieli natychmiast poinformować resztę pracowników kancelarii – był to niejaki element kultury organizacyjnej firmy. Nie tylko tej.

Zaalarmowani spryciarze szybko opłacali bilety parkingowe za pomocą aplikacji, a kiedy kontrolerzy zaczytywali dane z samochodu, wszystko było jak należy. Chyłce w głowie się nie mieściło, jak powszechna była to praktyka.

Gospodarz Jaskini McCarthyńskiej nie musiał jednak stosować takich wybiegów. Jako jeden z nielicznych do pracy zawsze docierał tramwajami. Joanna weszła do jego gabinetu, zamknęła za sobą drzwi, a potem oparła się o nie plecami.

– Potrzebuję dobrych wieści, Kormak – rzuciła.

– I przychodzisz do mnie?

– Ostatnio stajesz na wysokości zadania. Feruś rozegrałeś wzorowo – pochwaliła go. – Ale tym razem interesuje mnie nasz waginolog.

Chudzielec wyraźnie się zmieszał.

– Nie tak określacie ich w swoim slangu?

– „My”?

– Wy, młodzi ludzie.

Przez moment wydawało jej się, że będzie starał się jej wmówić, że sama wciąż może się do nich zaliczać. Szczęśliwie jednak w porę się zmytygował.

Zmarszczył brwi, zastanawiając się nad czymś.

– Piczowlaz – oznajmił w końcu. – Lub pochwo grzeb.

Joanna milczała.

– To najgłupsze, co słyszałem, więc powinno cię zadowolić.

– Zadowolą mnie informacje o Kranzu.

– Nie wydaje mi się.

– Hę? – wyrzuciła z siebie machinalnie. – Więc przeszperałeś otchłań internetu niczym...

Urwała, kiedy panicznie uniósł dłonie.

– Jeśli użyjesz jakiejś ginekologicznej analogii, niczego się nie dowiesz – jęknął.

Uznała, że w takim razie najlepszym wyjściem będzie zostawienie porównań dla siebie. Usiadła przed biurkiem, skrzyżowała ręce na blacie, a potem popatrzyła na Kormaka jak egzaminator na studenta podczas wyjątkowo wymagającego egzaminu ustnego.

– Opinii o Kranzu jest od groma – podjął szczypior. – Popularności z pewnością nie można mu odmówić, co trochę mnie dziwi, biorąc pod uwagę, że komentarze w większości są negatywne. Przejrzałem głównie te na Znanym Lekarzu, rankingu Mam

Zdrowie i na Dobrym Lekarzu. Wziąłem pod uwagę tylko te, które udało mi się zweryfikować. Nie brakuje pewnie fake'ów od konkurencji, jak w każdym innym przypadku opinii w necie.

– Mhm.

– Obraz, który się wyłania, jest smętny jak facet w skarpetkach i crocsach, który właśnie spóźnił się na wyprzedaż w Lidlu.

– Sam na nie chodzisz, Kormaczysko.

– Tylko kiedy są przeceny książek – zauważył. – Zresztą ty też korzystasz z tych w Biedrze.

– Tak, ale ja jestem mistrzynią starożytnej sztuki *tsundoku*.

– Czego?

– Zwyczaju kultywowanego od zarania dziejów, polegającego na zbieraniu książek.

Rozmówca sprawiał wrażenie, jakby powątpiewał w to, że ich obsesyjne kupowanie naprawdę doczekało się japońskiego terminu. Chyłka zaś uznała, że tematu nie będzie rozwijać – wystarczyło spojrzeć na stale powiększające się stosy nieprzeczytanych pozycji na Argentyńskiej, by zrozumieć, że bibliomania to prawdziwe zjawisko.

– Dobra – rzuciła. – Jakie masz dla mnie konkrety?

– Jedna z pacjentek skarżyła się, bo przy badaniu prenatalnym Kranz oznajmił jej, że nie jest w ciąży i nigdy nie będzie. Wiesz, jak to umotywował?

– Nie. I przypuszczam, że wołałabym nie wiedzieć.

– Powiedział, że z taką twarzą pokochać mogłaby ją tylko matka. I to zakładając, że wychowywałyby ją para gejów.

Chyłka uniosła brwi. Nie brzmiało to jak coś, co mógłby powiedzieć człowiek, którego poznała. Owszem, był obcesowy, ale sprawiał wrażenie, jakby gustował w mniej zawołowanych inwektywach.

– Co jeszcze?

– Sporo kobiet pisało o tym, że traktuje je jak intruzów, inne dodawały, że to niedopowiedzenie i właściwiej byłoby mówić o psach. Teksty typu „dupa niżej, szerzej nogi” miały być na porządku dziennym.

To wydawało się bardziej prawdopodobne. Zresztą nie tylko w przypadku Rafała – wielu ginekologów zachowywało się podobnie. Chyłka sama nieraz trafiała na gburów, choć szybko stawiała ich do pionu, kwiecicie opisując ewentualne postępowanie przed Komisją Etyki Lekarskiej.

– Z pewnej dziewczyny nabijał się, że takiego grzyba szukać można tylko w wilgotnych lasach podzwrotnikowych. Innej powiedział, że musi przestać puszczać się jak dron nad Afganistanem, kolejnej, że kwalifikuje się nie do depilacji, ale do wycinki drzew, a jeszcze innej, że jak tak dalej pójdzie, rozwinie się u niej populacja kornika drukarza i...

– Wystarczy mi tego.

Kormak pokiwał głową ze zrozumieniem, a Joannie nie po raz pierwszy przyszło do głowy, że specjalista do spraw pozyskiwania informacji jest jednym z najgorszych

stanowisk w Żelaznym & McVayu. Owszem, sama też sprawdzała lekarza, ale najwyraźniej nie zabrnęła tak głęboko w otchłań internetu.

– Takich kretyńskich żarcików znajdziesz w opiniach o Kranzu całe mnóstwo – dodał chudzielec. – Na moje oko większość to wierne cytaty.

Chyłka odgarnęła włosy do tyłu i uniosła wzrok. Tylko tego typu klienta brakowało jej do szczęścia.

– Chyba cię to nie dziwi? – spytał Kormak. – Biorąc pod uwagę, jak pięknie zełgał w sprawie Widery?

– A zełgał?

– Przecież wysłałem ci zdjęcie.

– I potwierdziłeś, że to nie fotomontaż?

– Tak – odparł bez wahania. – Przyjrzałem się każdemu pikselowi.

Kiedy szczypior włączył laptopa, w pokoju na moment zapanowała cisza. Otworzył właściwy plik, a potem obrócił komputer do Joanny. Spojrzała na niewyraźną, maksymalnie powiększoną fotografię z Tropical Islands.

– Do potwierdzenia wystarczyło mi właściwie samo światło – oznajmił Kormak. – Gdyby coś doklejono, na takim zoomie byłoby widać, że oświetlenie nie pasuje. Mogę wyświetlić histogram, jeśli...

– Wystarczy mi twoje zapewnienie.

Skinął głową z wdzięcznością.

– Poza tym jakość jest identyczna na całym zdjęciu, a proporcje obydwu twarzy się zgadzają – ciągnął. – Przepuściłem plik przez kilka narzędzi, między innymi przez FotoForensics. To darmowa strona, ale robi robotę. Wykorzystuje technologię Error Level Analysis i podświetla te fragmenty, które...

– Naprawdę mi to niepotrzebne, Kormak. Tak jak tobie waginalne porównania.

– W porządku. W każdym razie zdjęcie nie zostało zmanipulowane. Kranz kłamie.

– A zatem mieli romans.

Trudno było pomyśleć o innej możliwości. Ginekolog musiał przejść o jeden most za daleko – wdał się we flirt z pacjentką, a ostatecznie ją w sobie rozkochał. Zapisała mu cały swój majątek, on pozbawił ją życia, koniec historii.

– Nie – odparł stanowczo Kormak.

Chyłka uniosła pytająco brwi.

– Skąd ta pewność?

– Stąd, że sprawdziłem tę wersję. Skontaktowałem się ze znajomymi Beaty, nikt nigdy nie słyszał o żadnym Rafale. W jej mediach społecznościowych też nie ma żadnego śladu, co dziś właściwie znaczy, że po prostu nie ma czego szukać.

– Mogli się dobrze kamuflować.

– Nie aż tak dobrze, żeby niczego nie wyłapał.

Gdyby ktokolwiek inny złożył taką deklarację, mogłaby mieć wątpliwości. W przypadku Kormaka nie były to jednak słowa rzucane na wiatr. Rzeczywiście można było na nich polegać.

Chyłka przez moment się namyślała. Romans wiele by tłumaczył – bez niego sprawa stawała się zbyt mętna. Coś jednak musiało łączyć tych dwoje. Coś poza jedną

wizytą ginekologiczną, jednym zdjęciem i jednym testamentem.

– Znalazłeś podczas tej swojej kwerendy cokolwiek świadczącego o tym, że chciała się zabić?

– Nic.

– Żadnych oznak, że jej życie zaczynało się pieprzyć? Że miała wszystkiego dosyć? Że popadała w depresję? Może piła więcej? Rzadziej balowała, rzadziej odpisywała na komentarze znajomych? Cokolwiek?

Kormak pokręcił głową, nie odrywając wzroku od Joanny. Jego spojrzenie było znaczące i kazało jej sądzić, że według niego wersja przyjęta przez prokuraturę może być zgodna z prawdą.

Chyłka właściwie powinna chociaż dopuścić, że to prawdopodobny scenariusz. Z jakiegoś powodu nie była jednak gotowa tego zrobić. Rafał nie sprawiał najlepszego wrażenia, ale od chamidła do zabójcy długa droga.

Ale w takim razie o co w tej sprawie tak naprawdę chodziło?

Zanim miała okazję pogłowić się nad tym z Kormakiem, rozległ się refren piosenki *Come As You Are* Nirvany. Joanna wyjęła telefon.

– Zmieniłaś dzwonek? – zapytał nieco skołowany chudzielec.

– Nie. Ale ustawiłam kilka specjalnych, żeby nie bezcześcić Ironsów.

– A w tym wypadku kto mógłby ich splugawić?

Odwróciła komórkę do Kormaka, a ten przekonał się, że Chyłka wybrała ten kawałek nieprzypadkowo. Dzwonił Olgierd Paderborn, prokurator, który przez swój wygląd jednoznacznie kojarzył się z Kurtem Cobainem.

Nirvana grała jeszcze przez chwilę.

– Nie odbierzesz?

– Nie za pierwszym razem – odparła. – Za kogo ty mnie masz?

– Za osobę, w której interesie jest rozmówić się z prokuraturą.

Przewróciła oczami.

– Naprawdę wiesz, jak urazić kobietę, Kormaczysko.

Nie odebrała także za drugim razem. Dopiero przy trzeciej próbie przesunęła palcem po ekranie, a potem przyłożyła telefon do ucha. Nie zdążyła się odezwać, uprzedził ją Paderborn.

– Co ty wyprawiasz? – spytał.

– Przyjęcie.

Odpowiedziała jej cisza.

– Właściwie formalnie będzie to stypa, ale wszyscy uczestnicy będą się radować, więc to słowo jakoś mi nie pasuje. Grzebać będziemy oczywiście wszystkie nadzieje warszawskiej prokuratury na wygranie z kancelarią Żelazny & McVay.

Nie spodziewała się, że Olgierd będzie tak długo milczał, ale wciąż to robił. Być może zapomniał, z kim ma do czynienia i czego powinien się spodziewać. Nie, nie on, upomniała się w duchu Chyłka. Tego jednego przeciwnika postrzegala jako równego sobie.

– Jesteś tam, Pader?

– Tak – odparł chłodno. – Czekam, aż skończysz te wygłupy.

- To uzbrój się w cierpliwość.
- Odburknął coś niezrozumiałego.
- Co tam wykrztuszasz?
- Pytam, czy ty sama wiesz, co robisz?
- Zazwyczaj nie.
- Co to za farsa z Pauliną Feruś?

A zatem o to chodziło. Młoda prokurator najwyraźniej poczuła krew i już zabierała się do podążania jej tropem. Nic dziwnego, na początku kariery każdy na jej miejscu skorzystałby z okazji. Mogła zbudować sobie renomę na wiele lat.

Albo tragicznie się zbłąźnić.

- Nie wiem, o czym mowa – odparła Chyłka.
- O cały ten cyrk, który...
- Zatrudnili Feruś w którymś? Dobra decyzja. Na sali sądowej udowodniła, że nadaje się do takich miejsc. Właściwie jak wy wszyscy.

– Daj sobie spokój.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała szybko. – Bo mam znacznie ważniejsze rzeczy do roboty niż zajmowanie się młodymi siksami, które uciekają ci spod skrzydeł.

Ponownie odpowiedziała jej cisza, a ona miała tego powoli dosyć.

- Powinniśmy się spotkać – odezwał się po chwili Paderborn.
- Wręcz przeciwnie, nigdy nie powinniśmy tego robić. Ale pech chce, że czasem zmusza nas do tego sytuacja.
- Posłuchaj... – zaczął łagodząco Olgierd. – Twój klient narobi ci problemów.
- Nie on jeden. Ale lubię bronić niewinnych, więc jakoś przeżyję.
- Nie jest niewinny.
- Ty tak twierdzisz.
- Ja, badania toksykologiczne i recepta, którą wystawił Rafał Kranz.

Joanna mimowolnie rozchyliła lekko usta, a potem przełożyła telefon do drugiej dłoni. Mimo łączącej ich osobliwej relacji nie było powodu, by Olgierd o czymkolwiek ją informował. Najwyraźniej jednak z jakiejś przyczyny postanowił to zrobić.

– Wypisane przez niego farmaceutyki były tymi, które sprawiły, że ofiara zmarła, Chyłka – dodał Paderborn. – Bronisz winnego człowieka.

Izolotka, Areszt Śledczy Warszawa-Mokotów

Nurt, z którym zdecydował się płynąć Kordian, stawał się coraz bardziej rwący. Oryński czuł, że traci kontrolę nad sytuacją i przestaje rozumieć, w którym kierunku go znosi.

Wniosek o skazanie upadł, a Paulina Feruś z jakiegoś powodu zobaczyła wszystko w zupełnie innym świetle. Znacznie mniej korzystnym dla niego. W większości przypadków zapewne nic by to nie zmieniało, bo prokurator w trakcie procesu nie mógł modyfikować treści aktu oskarżenia, w tym było jednak inaczej.

Istniały pewne furtki i jedna z nich została nie tyle uchylona, ile otwarta na oścież.

Feruś miała trzy możliwości. Mogła odstąpić od oskarżenia, złożyć wniosek o zmianę opisu bądź kwalifikacji prawnej czynu. Zdecydowała się na trzecie wyjście, starając się wykazać, że doszło nie do eutanazji, za którą groziło maksymalnie pięć lat więzienia, ale do zabójstwa. I dążyła do tego, by Oryńskiemu wymierzono najwyższy wymiar kary – dożywocie.

Początkowo przypuszczał, że to wszystko w pewnym momencie okaże się tylko sprytnym wybiegiem Chyłki, im dłużej jednak trwał w niewiedzy, tym więcej nachodziło go wątpliwości. Tym bardziej, że sprawa szybko posuwała się naprzód.

Feruś za punkt honoru postawiła sobie, by jak najszybciej wyprostować sytuację. Zaczęła od doprowadzenia do tego, by Kordiana uznano za więźnia niebezpiecznego, a skończyła na zdecydowanej ofensywie w sądzie.

Po kilkunastu dniach w izolatce Oryńskiego opuściło poczucie komfortu, które towarzyszyło mu, gdy zyskał ochronę przed Gorzymem. Przestrzeń w celi zdawała się kurczyć, czas płynąć wolniej, a powietrze tężeć.

Kordian nie widywał się z nikim. Wciąż nie ustanowił adwokata, choć przypuszczał, że Chyłka czeka, aż wyznaczy ją do obrony. Nie zamierzał tego robić. Jeśli Joanna miała mu pomóc, musiała to zrobić na jego warunkach.

Któregoś dnia w końcu pojawił się klawisz z korespondencją. Przeszła przez cenzurę, choć większość zapewne gdzieś na jej etapie utknęła. Do Kordiana dotarły wyłącznie pisma urzędowe.

Jednym z nich była informacja związana z tym, co go czeka.

Sąd wyraził zgodę na zmianę kwalifikacji prawnej czynu. Oryński będzie odpowiadał z artykułu o zabójstwo, a w jego sprawie orzeknie pięcioosobowy skład – dwóch sędziów zawodowych oraz trzech ławników.

– To wszystko? – zapytał Kordian, kiedy strażnik zbierał się do wyjścia.

– A czego więcej byś chciał?

Listu od Chyłki, skwitował w duchu Oryński. Najlepiej dość obszernego, w którym

tłumaczyłaby mu, co to wszystko ma znaczyć. I jakim cudem znacznie poważniejszy zarzut ma sprawić, że wyjdzie z więzienia.

– Choćby jakichś wieści ze świata zewnętrznego – odpowiedział.

– Tam wszystko bez zmian.

Funkcjonariusz wyszedł na korytarz, rzucając mu jeszcze krótkie, nic niemówiące spojrzenie. Trudno było stwierdzić, czy przyjmuje, że więzień trafił tu za oszczędzenie swojej matce dalszych cierpień, czy za zabicie jej z zimną krwią.

– Miesięcznice dalej się odbywają? – spytał Oryński. – Pod sejmem wciąż protestują, a pod KPRM-em odliczają dni od niepublikacji wyroków Trybunału?

Klawisz nie odpowiedział. Nie zamknął jednak drzwi, co dawało nadzieję, że mimo wszystko ma coś do przekazania. Może Joanna zadbała o to, by przemycić krótką, ale znaczącą wiadomość? Choćby dyrdymałę mogącą podnieść go na duchu?

– Wszystko po staremu – odezwał się beznamiętnym głosem strażnik. – Ale mówią o tobie w mediach.

– Tak?

– Prokurator powtarza, że dopuściłeś się czynu zasługującego na szczególne potępienie.

Magiczna formułka ustawowa. Sprawiała, że sędziowie mogli szarpnąć się na najwyższy wymiar kary, a w dodatku brzmiała tak, że natychmiast ustawiała całą narrację w sferze publicznej.

Kordian nie spodziewał się, że jego sprawa zyska rozgłos. Chyłka jednak najwyraźniej postarała się o to, by było inaczej.

– Zrobiłeś to? – odezwał się klawisz.

Pytanie zaskoczyło Oryńskiego. Przyjrzał się rozmówcy, starając się stwierdzić, ile ma lat i jaki staż pracy. Musiał być świeżo po szkoleniach, skoro w ogóle formułował takie pytania względem oskarżonych.

– A jaka to różnica? – odparł Kordian. – Lawrence’a McKinneya też o to pytano, zaprzeczał i przysięgał, że jest niewinny, a potem trafił na trzydzieści jeden lat do więzienia.

– Nie słyszałem o nim.

– Gdybyś mieszkał w Tennessee, usłyszałbyś. To była głośna sprawa.

Klawisz nadal się nie wycofał, więc Oryński uznał, że warto skorzystać z okazji do pociągnięcia rozmowy. Przy odrobinie szczęścia może uda mu się dowiedzieć czegoś więcej – choć strażnik zapewne liczył na dokładnie to samo.

– W siedemdziesiątym ósmym dostał sto piętnaście lat, więc i tak wyszedł przed czasem – ciągnął Kordian. – Skazano go na podstawie zeznań ofiary, sąd nie miał wątpliwości co do winy. W dwa tysiące ósmym badania DNA wykazały jednak, że nie miał nic wspólnego z przestępstwem.

– I?

– I wypuszczono go w następnym roku. Wiesz, jakie odszkodowanie dostał?

– Nie.

– Siedemdziesiąt pięć dolarów.

Kordian bezradnie wzruszył ramionami, a klawisz oparł się o framugę. Sprawiał

wrażenie dobrego kumpla prowadzącego niezobowiązującą rozmowę o pierdołach. Oryński wiedział jednak, że będzie się starał wyciągnąć z niego jakieś szczegóły dotyczące sprawy – izolowani więźniowie chętnie się rozgadywali, a strażnicy mogli potem pochwalić się przy piwie unikalną wiedzą.

– Ale przynajmniej wyszedł – dodał Kordian.

– Ty też na to liczysz?

– Gdybym nie liczył, to dawno dyndałbym na tygrysie.

– No tak – przyznał funkcjonariusz. – Ale jak będziesz się bronił? Podobno mają jakieś dowody.

– Zawsze podobno je mają. Niewinnych skazuje się codziennie na całym świecie i za każdym razem czymś trzeba się podeprzeć. A często potem tym samym podetrzeć, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Rozmówca skrzywił się, jakby uwierała go świadomość, że mógłby wdać się z więźniem w krytykę wymiaru sprawiedliwości.

– Co mówią o mnie w mediach? – zapytał Kordian.

– Nic dobrego.

– Już mnie osądzili, skazali i przekreślili?

– Nie, ale... no wiesz, niektórzy mówią, że nie ma gorszego przestępstwa od posłania na tamten świat osoby, która sprowadziła cię na ten.

Oryński oparł się o ścianę i zamknął oczy. Nie chciał nawet wyobrazić sobie tych wszystkich bredni, które ludzie z pewnością wygłaszali już pod jego adresem. Spotka go wyjątkowy ostracyzm i trudno będzie liczyć, by ktokolwiek się za nim wstawił. Ale plan Chyłki musiał być tego warty.

Musiał.

– Rzecznik sądu też zabrała głos – dodał funkcjonariusz.

– I co powiedziała?

– Że proces najprawdopodobniej nie potrwa długo.

– Wiadomo, kiedy się zacznie?

– Za kilka tygodni.

Kordian otworzył oczy, a strażnik natychmiast dostrzegł w nich wyraźny niepokój.

– Coś nie tak?

Jego głos zdradzał, że klawisz ma nadzieję usłyszeć odpowiedź twierdzącą.

– Nie, wszystko w porządku. Myślałem tylko, że prokuraturze się spieszy.

– Może i tak, ale jest wokanda, prawda? Nie mogą ot tak wcisnąć twojej sprawy zamiast jakiejś innej.

Oryński uznał, że najlepiej będzie, jeśli skończy tę rozmowę. Niczego więcej się nie dowie, a do przemyślenia miał całkiem sporo. Do tej pory cały czas żył nadzieją, że pierwsza rozprawa odbędzie się niebawem – zanim skończy się jego wygnanie do izolatki. I zanim Gorzym będzie miał okazję się do niego dobrać.

Teraz wszystko wskazywało na to, że sprawdzi się czarny scenariusz. Nie było mowy, by Kordian pozostał w odosobnieniu przez kilka tygodni.

– Ja bym się cieszył – dodał po chwili strażnik. – I korzystał, póki jeszcze bym mógł.

- Korzystał? – mruknął Oryński, rozglądając się po celi. – Z czego?
- Z tego, że na razie jesteś tutaj, a nie w jakimś dołku o zaostrowym rygorze.
- Rzeczywiście, jest się z czego cieszyć.
- No, na razie tak. Bo trafiłeś tu jako gość, który skrócił matce cierpienia.

W nowym miejscu przedstawił się jako matkobójca. A takich nie traktuje się dobrze.

Tajemnicą poliszynela było, że gwałciciele i pedofile mieli za kratkami parszywe życie, a funkcjonariusze przymykali na to oko. Ale jak było w przypadku ludzi, którzy mordowali własne matki? Przemoc wobec kobiet była traktowana jednoznacznie – czasem Kordian miał wrażenie, że w takich miejscach stanowi ona większy powód do wstydu niż na wolności. W przypadku zabójstwa matki z pewnością piętno było jeszcze wyraźniejsze.

- A z tej nory niedługo wyjdiesz – dodał jakby na pocieszenie funkcjonariusz.
- Niedługo? To znaczy?
- Pewnie posiedzisz jeszcze dwa, może trzy dni.
- Co potem?
- Przydzielą cię do nowej celi w tym skrzydle.

Na samą myśl o tym, że niewiele trzeba, by trafił do miejsca będącego niczym innym jak celą śmierci, wzdrygnął się. Strażnik jeszcze przez moment próbował wyciągnąć z niego coś więcej, po czym w końcu odpuścił. Wyraźnie niezadowolony zatrzasnął drzwi i po chwili Kordian usłyszał cichnące kroki na korytarzu.

Czasu miał niewiele. Możliwości działania jeszcze mniej.

Nie mógł zrozumieć, co strzeliło do głowy Chyłce. Proces z pewnością nie ruszy szybciej, niż mówił klawisz. I do tego czasu dawno stanie się bezprzedmiotowy, bo nie będzie kogo oskarżać.

Oryński usiadł na pryczy i zwiesił głowę. Nie pozostało mu nic innego, jak przywołać w duchu słowa Joanny. „To, że nie ufam samej sobie, nie znaczy, że ty nie możesz”.

Miała stuprocentową rację. Ale jeśli rzeczywiście był gotów to przyjąć, nie mógł dłużej się łudzić, że wszystko będzie się odbywało na jego warunkach.

Zaśmiał się cicho. Najwyraźniej Chyłka odnosiła sukcesy, nawet gdy nic nie robiła. Wystarczyło, by inni ludzie działali – lub ociągali się, jak w tym wypadku sąd.

Kiedy klawisz wrócił do celi Oryńskiego, ten poprosił go o kartkę i coś do pisania. Uznał, że czas najwyższy sporządzić stosowne pełnomocnictwo.

Most Łazienkowski, Śródmieście

Gdyby prowadziła sama, dotarcie z Argentyńskiej na Rakowiecką zajęłoby jej niecałe dziesięć minut – i to jeśli wziąć pod uwagę, że trochę korkowałoby się na Wale Miedzeszyńskim przed zjazdem na most. Widząc jednak, jak opieszale prowadzi kierowca Ubera, Joanna zaczęła przypuszczać, że w sali widzeń pojawi się dopiero za pół godziny.

– Wyprzedź pan tego dezela – rzuciła, wychylając się między fotelami i wskazując na samochód przed nimi. – Inni klienci czekają z komórkami w rękach. Kasa panu ucieka sprzed nosa.

Chłopak siedzący za kierownicą zerknął na nią z ukosa.

– Tak się pani spieszy?

– Już od momentu poczęcia. Byłam wcześniakiem.

Kierowca wbił wzrok przed siebie i nie odpowiedział. Sprawiał wrażenie, jakby był pierwszy dzień w robocie i niespecjalnie rozeznawał się w topografii lewobrzeżnej Warszawy, bo zamierzał obrócić wokół placu Na Rozdrożu i dotrzeć na miejsce Ujazdowskimi. Chyłka natychmiast go zrugła, twierdząc, że staną w korku przed Bagatelą.

Dlatego często wołała jeździć z taksówkarzami. Wprawdzie oni też próbowali ją zagadywać, jakby small talk był jedną ze świadczonych usług, ale kiedy widzieli, że jej się spieszy, potrafili zrobić, co trzeba.

Koniec końców dotarcie na miejsce zajęło jej niewiele ponad kwadrans. Zapłaciła gotówką, jak zawsze, od kiedy tylko firma wprowadziła taką możliwość. Coś sprawiało, że nie mogła do końca zaufać wszystkim tym aplikacjom, które wymagały dostępu do numeru karty debetowej, CVC czy daty ważności.

Była sporo przed czasem, a potem musiała odsiedzieć swoje w poczekalni. Kiedy w końcu wpuszczono ją do sali widzeń, Oryńskiego jeszcze nie było. Skorzystała z okazji, by tym razem kupić coś w bufecie.

Zastanawiała się nad wyborem tylko przez moment. Potem zajęła miejsce przy ostatnim ze stolików po drugiej stronie, tuż przy zakratowanym oknie. Nawet tutaj nie mogło jednak być mowy o jakiegokolwiek prywatności, byle szept był łatwo słyszalny przez innych osadzonych i strażników.

Nie inaczej było w pomieszczeniu, gdzie z osadzonymi można było rozmawiać wyłącznie przez szybę. Trzy małe boksy obok siebie nie zapewniały nawet minimum dobrych warunków do prowadzenia rozmowy. Chyłka obawiała się, że właśnie tam będzie musiała spotkać się z Oryńskim, ale administracja więzienna najwyraźniej uznała, że Zordon zachowuje się w sposób wzorowy.

Kiedy w końcu się pojawił, uznała, że jego wygląd potwierdza tę konkluzję. Wprawdzie nosił teraz pomarańczowe ubranie enek, ale już na pierwszy rzut oka było widać, że to więzień, który nie sprawia strażnikom kłopotów. I który ściąga na siebie problemy ze strony współosadzonych.

Na powitanie Kordian uniósł lekko kąciki ust, ale trudno było to nazwać uśmiechem. Usiadł przy stole i spojrzał na to, co Chyłka przed momentem nabyła w bufecie. Przesunęła czekoladę w jego stronę.

– Milka Bubbly White? – jęknął Oryński.

– Wydała mi się odpowiednia.

– Zdajesz sobie sprawę, że inni więźniowie to widzą?

– Boisz się, że dmuchana biała czekolada umniejsza twoją męskość? – spytała, zakładając rękę za oparcie krzesła. – Na twoim miejscu raczej bym się nie obawiała.

– Sugerujesz, że nie ma czego umniejszać?

– Sugeruję, że i tak masz tu przechłapano. Równie dobrze możesz zjeść cholerną czekoladę.

Sięgnął po milkę, otworzył ją i przez moment się wahał, jakby nie był pewien, czy poczęstować Chyłkę. Na plus zapisała mu, że tego nie zrobił. Potraktowałaby to jako obrazę. Gotowa była przełknąć jedynie gorzkie czekolady, z zawartością kakao powyżej osiemdziesięciu pięciu procent, słodzone syropem z agawy – i to tylko dlatego, że to właśnie z niej wytwarzano tequilę.

Oryński jednak pochłonął dwa pierwsze rządki w ułamku sekundy. Dopiero po chwili zreflektował się, że Joanna mu się przygląda, i przestał przeżuwać.

– Spokojnie – poradziła. – Nie zatopiłam w środku wytrycha.

– Szkoda – odparł z pełnymi ustami. – Bo wygląda na to, że moją jedyną opcją na wydostanie się stąd jest ucieczka.

Chyłka zmarszczyła czoło.

– No co? – spytał. – To nie jakiś zupełnie niestworzony scenariusz. Ludzie uciekają z więzień. Jak ten twój kumpel z Sol-Ilecka.

– To nie mój kumpel. I jest... specyficznym człowiekiem.

– Mniejsza z nim. W samych Stanach rocznie daje nogę około dwóch tysięcy więźniów, a to w końcu kraj, z którego pochodzi określenie „supermax”. W dodatku niektóre państwa prawnie dopuszczają ucieczkę.

– Ta?

– W Meksyku uciekinierom nie grożą za nią żadne sankcje, o ile nie popełnią przestępstwa w trakcie dawania nogi.

– Świetnie, Zordon, ale ty nie uciekłbyś nawet z escape roomu.

Wrzucił do ust kolejny kawałek czekolady.

– W takim razie masz inny pomysł?

– Przecież nie przyszedłem tu po to, żeby dokarmiać cię cukrem i tłuszczem kakaowym, który kamufluje się jako dmuchana czekolada – odparła, a potem sięgnęła do kieszeni. Wyjęła z niej złożoną kilkakrotnie, pogiętą kartkę.

– Co to jest?

– Pełnomocnictwo, któregoś mi był udzielił.

– Jest jakiś konkretny powód, dla którego używasz czasu zaprzeczonego?

– Nie.

Skinął głową, ale nie zdążył skomentować dosadniej, bo Chyłka przerwała kartkę na pół, zmiała ją, a potem rozejrzała się za koszem. Usiadła jednak od niego za daleko, by ryzykować rzut.

– To jakaś deklaracja? – spytał nieco skołowany Kordian.

– Tak. Nie mam zamiaru cię bronić.

– Szkoda, że nie powiedziałaś wcześniej. Zgodzilibyśmy się w końcu co do czegoś.

– Wolałam poczekać, aż zmienisz zdanie.

Mimo że powiedział to lekkim tonem, widziała w jego oczach brak zrozumienia. Najchętniej podałyby mu wszystko na tacy, ale obecność innych osób wymuszała lawirowanie wokół tego, co naprawdę chcieli powiedzieć.

Zerknęła na kilku więźniów siedzących najbliżej. Zdawali się zajęci swoimi sprawami, ale tak naprawdę byli czujni. Kordian najwyraźniej też to dostrzegał.

– To miejsce uczy podzielności uwagi jak żadne inne – bąknął.

– Bez dwóch zdań.

– Jest tu nawet ktoś, kto dzięki temu dorobił się przydomka Kim Peek. Właściwie to jedyna osoba, z którą udało mi się...

– Interesuje mnie to jak surrealistyczne obrazy naćpanych pędzli, Zordon. Pełnomocnictwo było mi niezbędne – ucięła. – Inaczej nie miałabym jak się z tobą zobaczyć.

– No tak.

– Ale polecę ci dobrą kancelarię.

– Żelazny & McVay nie wchodzi w grę?

– Nie, Artur się uparł, że nie możemy mieć z tobą nic wspólnego.

Oryński znał zwyczaje panujące na dwudziestym pierwszym piętrze Skylight na tyle dobrze, by się domyślić, że nie rozminęła się z prawdą. A także by wiedzieć, że gdyby rzeczywiście zależało jej na tym, by to jej kancelaria go broniła, załatwiłaby to z McVayem.

– Więc co polecasz? – spytał.

– Clifford Chance są niezłi w procesach – rzuciła. – Łaszczuk i Wspólnicy też robią robotę.

– Nie znam nikogo stamtąd.

– Nie? W jakim świecie ty żyjesz, Zordon?

– Nie znam osobiście. A chcę kogoś, komu mogę zaufać.

Wiadomość między wierszami odczytała bez trudu. I miała nadzieję, że stanowcze skinienie głową uświadomi mu, że może na niej polegać. A także że powinien zdać się na to, co mu proponuje.

– CzMK – odezwała się.

– Czymański Messer Krat? Mówisz poważnie?

– To twoja najlepsza opcja.

Gdyby nie potrzeba zachowania pozorów, z pewnością natychmiast by zaoponował. Zamiast tego jednak milczał, nie odrywając spojrzenia od jej oczu. W końcu

chrząknął potwierdzająco.

- Przyspieszą termin mojej rozprawy?
- A wyglądają ci na takich, którzy układają wokandę?
- Nie.
- No właśnie.
- To pewien problem, bo zależy mi na czasie.

– Spiesz ci się gdzieś? Nic dobrego nie czeka na ciebie za murami tego miejsca, Zordon. Jesteś bezrobotny, w perspektywie masz długą naukę do kolejnego egzaminu aplikacyjnego, co więcej, do nowego sezonu *Stranger Things* jeszcze daleko.

– Czeka na mnie dziewczyna.

– Dziewczyna? – prychnęła Joanna. – Wydaje mi się, że od przynajmniej dwudziestu lat nikt tak się do niej nie zwracał.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu i wydawało jej się, że to znacznie lepszy sposób, by przekazać sobie to, co istotne.

Widziała, że nie rozumiał, dlaczego wskazała największego konkurenta Żelaznego & McVaya, ale nie miało to żadnego znaczenia. Na tym etapie nie musiał zdawać sobie sprawy, na czym polega jej plan. Wystarczyło, by go nie komplikował.

– Zastanowię się nad CzMK – oznajmił w końcu.

– Teraz będziesz się zastanawiać? Trzeba było to zrobić wcześniej, zanim władowałeś się w to bagno. Zanim było za późno.

– Więc mam się po prostu na ciebie zdać.

– W tej i w każdej innej sprawie – potwierdziła. – W szczególności powinieneś posłuchać mojej rady, jeśli chodzi o tę dziewczynę, która rzekomo czeka na ciebie na wolności.

– Rady? Chyba mi umknęła.

– Jeszcze jej nie sformułowałam.

– To proszę bardzo, nie krępuj się. Co w jej sprawie proponujesz?

– Żebyś ją pogonił.

– To byłoby dość skomplikowane, jest wyjątkowo uparta – odparł, krzywiąc się, jakby na samą myśl o tym poczuł ciężar potencjalnych konsekwencji.

Joanna spojrzała na niego z rezerwą.

– Masz rację – przyznała po chwili. – W takim razie skończ chociaż z mówieniem o niej jako o dziewczynie.

– Skoro Anne u Gillian Flynn tak określano, to równie dobrze można i ją.

– Okej – przyznała. – Z tym jestem się w stanie zgodzić. Ale ta deklaracja, że na ciebie czeka, wydaje się naciągana.

Oryński pochylił się lekko i zmrużył oczy.

– No, nie wiem – zaoponował. – Wygląda, jakby tak było.

– Nie sądzę.

– Sama dała mi to do zrozumienia.

– Jedyne, co starała ci się przekazać, było związane z tą pieprzoną czekoladą – odparła, wskazując na milkę. – Fakt, że ją kupiła, powinien ci uświadomić, jak beznadziejną masz tu renomę. I jak bardzo musisz się postarać, żeby przetrwać.

- Renoma nie może być beznadziejna. Oznacza bardzo dobrą opinię.
- Nie poprawiaj mnie, Zordon, bo ja poprawię tobie przegrodę nosową.

Chciał zripostować, ale Chyłka szybko uniosła rękę. Obawiała się, że zaraz zabrną za daleko i by uchronić się przed przekroczeniem granicy, uciekną w tematy związane z procesem. Wokół zaś z pewnością było wiele czujnych uszu. Wprawdzie nie wsadziła jeszcze kija w prokuratorskie mrowisko, ale zbliżyła go do kopca królowej na tyle, by ta go zauważyła. I zaczęła bacznie przyglądać się Joannie.

Chyłka nie miała wątpliwości, że są z Oryńskim pod lupą strażników. Paderborn przycisnie administrację, by wiedzieć o wszystkim, co ma jakkolwiek związek z Kordianem.

I może nawet zacznie składać strzępki informacji w logiczną całość. Tyle że będzie już za późno, by cokolwiek zrobić.

– To by było na tyle – rzuciła Joanna. – Posiedzieć tu, żebyś zdążył zjeść czekoladę? Czy chcesz ostrzyć sobie zęby na te wszystkie smakowe latte macchiato, które wypijesz na wolności?

– A będę je pił?

– Ku mojej trwodze, tak. I to całkiem niedługo.

Nie czekała na odpowiedź, miała zresztą serdecznie dosyć tej konspiracji. Podniosła się, pożegnała Kordiana szybkim spojrzeniem, a potem się oddaliła. Odwróciła się dopiero przed wyjściem na korytarz, ale zobaczyła tylko plecy Oryńskiego, kiedy jeden z klawiszy kazał mu wstać.

Opuściła więzienie z duszą na ramieniu. Miała wrażenie, że zostawia Kordiana na pożarcie wygłodniałym bestiom, nie zapewniwszy mu choćby namiastki bezpieczeństwa.

Wiedziała, z czego wynika niepokój, który na dobrą sprawę poczuła dopiero teraz. Niszcząc pełnomocnictwo, bezpowrotnie utraciła sposobność, by się z nim kontaktować. Od teraz będzie mógł się widywać jedynie z prawnikami CzMK, a ona zobaczy go dopiero, kiedy wyjdzie z więzienia.

Nie jeśli; kiedy. Powtórzyła to sobie w duchu, a potem wezwała taksówkę.

Przypuszczała, że nie będzie musiała długo czekać ani na taryfę, ani na kolejne spotkanie z Zordonem. Na tym froncie nie obawiała się niespodziewanych komplikacji.

Drugi tymczasem wydawał się coraz bardziej niebezpieczny. Zdjęcie, które w internecie wygrzebał Kormak, trafiło do mediów. Spodziewała się tego, właściwie nie sposób było go ukryć.

Opinia publiczna wydała już wyrok skazujący na Rafała Kranza, a doniesienia o niewłaściwym traktowaniu pacjentek tylko podsycaly negatywne emocje. Najgorsze było jednak to, że Joanna nie tylko nie dziwiła się dziennikarzom i komentatorom, ale i chętnie podpisałaby się pod ich osądami.

Logika kazała sądzić, że w istocie miała bronić winnego człowieka.

Kiedy wsiadała do taksówki, umysł miała tak zaprzątnięty kolejnymi wnioskami, że jedynym ratunkiem wydawała się tequila. Wiedziała jednak doskonale, jaki będzie scenariusz nadchodzących tygodni, miesięcy, zapewne i lat, jeśli każe taksówkarzowi zatrzymać się pod jakimś sklepem.

Początkowo byłoby jak w niebie. Potem coraz lepiej, aż osiągnęłaby PNR. Po jego

minięciu zapadłaby w błogi sen, a rano nie czułaby wyrzutów. Nie należała do osób, które w ten sposób traktują swoje potknięcia. Zamiast się zatrzymywać i sprawdzać, co je spowodowało, szła dalej.

Tuż po otwarciu oczu postanowiłaby, że tego wieczora po prostu się nie napije. Rano taka decyzja przyszłaby z łatwością. I Chyłka byłaby przekonana, że w niej wytrwa. Nigdy jednak nie działało to w ten sposób.

Koniec końców udało jej się nie kupić alkoholu – ani tego dnia, ani w kolejnych. Sprawa Kranza utknęła w miejscu, ale jej echo coraz wyraźniej słyszalne było w mediach.

Znacznie szybciej postępowała ta dotycząca Zordona.

Najistotniejsze było to, że sąd wyznaczył już ławników. Podjęto pierwsze czynności, domknięto wszystkie sprawy formalne i ustalono termin pierwszej rozprawy. Teraz pozostawało jedynie poczekać kilka tygodni, aż nastanie wyznaczona pora.

Przynajmniej z punktu widzenia wszystkich poza Chyłką i Kranzem. Tylko oni dwoje mieli pewność, że do procesu nie dojdzie.

Ginekolog miał bowiem w garści jednego z ławników. I doskonale wiedział, że to właśnie on zostanie wyznaczony do najbliższej rozprawy karnej. Chyłka musiała się natrudzić, by żadna nie zajęła miejsca tej, która miała dotyczyć Oryńskiego, ale ostatecznie jej się to udało.

Kiedy tylko dowiedziała się o ławniku, zrozumiała, że musi natychmiast doprowadzić do zmiany kwalifikacji prawnej czynu. Bez zarzutu zabójstwa nie było mowy, by ten człowiek znalazł się w składzie orzekającym.

Kranz nie znał go osobiście, ale twierdził, że ma informację na jego temat, która okaże się przydatna.

W pierwszej chwili nie wyglądało to Chyłce na nic, co mogłoby pomóc w wyciągnięciu Zordona z więzienia. Gdyby zatajone powiązania wyszły na jaw, mężczyzna zostałby wyłączony, a Oryński tylko by na tym stracił.

Po tym jednak, jak Kranz wyjaśnił, na czym polega jego propozycja, w mig zrozumiała, jak wiele może ugrać.

Nie potrzebowała bowiem uciekać się do żadnych przekrętów. Żona ławnika była jedną z pacjentek Kranza – i należała do raczej rozgadanych kobiet. Sama cierpiała na niezbyt uciążliwą przypadłość, ale ze szczegółami opisywała, z jakimi problemami zdrowotnymi zmagają się jej męż. Nie szczędziła też informacji na temat tego, że został powołany na ławnika. I że długo zastanawiał się, czy w swoim stanie powinien w ogóle przyjmować tę rolę. W końcu się zgodził, ale szybko stało się jasne, że prędzej czy później zamierza zrezygnować.

Kiedy Chyłka zaczęła badać temat, przekonała się, że raczej prędzej. W jej gestii leżało jedynie to, by mężczyzna wytrzymał odpowiednio długo i został formalnie przydzielony do sprawy Zordona.

Kranz okazał się w tym względzie pomocny. Przekonał lekarza zajmującego się ławnikiem, by ten dopiero w ostatnim momencie oznajmił pacjentowi, iż orzekanie i inne sytuacje stresowe nie wchodzi w grę.

Niedługo po tym, jak wszystkie sądowe formalności dopięto na ostatni guzik, ławnik zrezygnował. Chyłka dostała dokładnie to, na co liczyła.

Jak to bywało w większości spraw, które miały szybko się rozstrzygnąć, nie wyznaczono zapasowego członka składu orzekającego. W takiej sytuacji prawo przewidywało tylko jeden scenariusz – cały proces musiał się odbyć od początku.

I tyle wystarczyło, by Joanna w końcu mogła zakasać rękawy i zabrać się do roboty.

Miała czystą kartę. Wszystko, co działo się w procesie do tej pory, zostało przekreślone. Wszystko musiało rozpocząć się od początku. Każdy dowód miał zostać przywołany, każdy przeanalizowany. Każdy świadek na nowo przesłuchany, każdy argument obydwu stron na nowo podniesiony.

Przynajmniej w teorii. W praktyce bowiem Chyłka nie miała zamiaru dopuścić choćby do tego, by odczytano sygnaturę sprawy na korytarzu sądowym.

W tym celu musiała się spotkać z Paderbornem. Właściwie to od niego zależało, jak dalece skomplikowane zadanie przed nią.

Przystał na rozmowę chętnie, jakiś czas wcześniej sam zresztą ją proponował. Kłopot sprawiło jedynie ustalenie miejsca. Ze względu na muzyczne tło do rozmowy obojgu odpowiadało Hard Rock Cafe, ale bynajmniej nie był to teren neutralny. Ostatecznie padło na niewielki lokal przy Śniadeckich.

Chyłka przysła w koszulce z Eddiem i w skórze. Paderborn miał na sobie obcisłą marynarkę i koszulę typu slim. Jedyne ustępstwo z jego strony polegało na tym, że nie założył krawata.

Zajęli miejsca przy stoliku obok gabloty, w której wisiała podpisana koszulka „Czarnego Ziutka z Killerami”. Biał się kleił, z sufitu zwisała polska flaga z napisem „KULT”, a z głośników sączył się nowy singiel jakiejś grunge’owej kapeli na antenie Antyradia. Było w sam raz.

Paderborn zamówił czarne IPA o kuszącej nazwie „Nosferatu”, a Joanna zdecydowała się na kawę i stek. Powiodła wzrokiem dokoła, uznając, że znalazła się w świątyni piwa. Z jednej strony nie było to najlepsze miejsce dla alkoholiczki, z drugiej jednak nie miało to wielkiego znaczenia, bo właściwie się za nią nie uznawała. Przynajmniej nie do końca.

– Poleciłabym ci do piwa basturmę, ale jak tylko się pojawia, stali bywalcy i pracownicy od razu całą wyżerają.

– Co takiego?

– Suszone mięso prosto z Rosji.

– Nie przyszedłem tu, żeby omijać unijne embargo.

– To raczej Ruscy nakładają je na nas, nie my na nich.

– A powinno być odwrotnie – odparł, rozglądając się.

Joanna też omiotła wzrokiem lokal. Nie dostrzegła niczego niepokojącego, a mimo to Olgierd sprawiał wrażenie, jakby czuł się nie na miejscu.

– Coś ci nie pasuje? – spytała. – Muzyka z pewnością trafia w gusta, więc pewnie atmosfera nie taka? Wolisz tę na siłce? Podczas crossfitu?

– Skąd wiesz, że...

– Bo crossfit ma reguły odwrotne do *Podziemnego kręgu*.

Paderborn wyglądał, jakby nie załapał, o co chodzi.

– Pierwsza zasada, nigdy nie mówisz o klubie walki – podjęła Chyłka. – Druga

zasada, nigdy nie mówisz o klubie walki.

– Tak, wiem – odparł Olgierd, podnosząc kufel. – Dziwi mnie tylko, skąd wiesz, co trenuję.

– Na Facebooku chętnie się podniesionymi kilogramami, Pader.

– Jeśli potrafisz je podnieść, to nie chwalenie się, ale oznajmianie faktu – odparował prokurator. – Poza tym to klub mnie oznacza. I nie sądziłem, że mnie obserwujesz.

Joanna zerknęła na niego z powątpiewaniem.

– Nie obserwuję, tylko idę za radą Nelsona Mandeli. Gość pokonał swoich przeciwników nie dość, że w wyrafinowany, to jeszcze ostateczny sposób. I cały świat go za to pokochał.

– Tobie to nie grozi – zauważył cicho Olgierd i napił się. Piwo wyraźnie niespecjalnie mu smakowało. – A co to za rada?

– Poznaj swojego wroga i jego ulubiony sport.

– I co to ma dać?

– Fakt, że nie wiesz, utwierdza mnie w przekonaniu, że nigdy nie odniesiesz zwycięstwa na miarę Mandeli.

Skrzyżowali spojrzenia i przez chwilę się nie odzywali. Na antenie radia właśnie emitowano reklamy. Dwoje prawników także zdawało się zrobić sobie przerwę w utarczkach słownych.

Ostatecznie Paderborn uznał jednak, że najwyższa pora przejść do rzeczy.

– Najpierw zmiana kwalifikacji prawnej, a teraz proces od nowa? – spytał. – Do czego ci to potrzebne? Niczego w ten sposób nie ugrasz. W najlepszym wypadku uda ci się uzyskać wyrok w dolnych granicach widełek, ale o uniewinnieniu nie ma mowy. Robisz w tym zawodzie na tyle długo, żeby o tym wiedzieć.

Joanna milczała.

– Co ty odstawiasz, Chyłka? – spytał.

– Makarenę.

– Co?

– Ale tylko kiedy szukam telefonu w którejś kieszeni i nie mogę go znaleźć.

Ewidentnie nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Przygotuj się na podobne wygibasy – dodała. – Bo wychodząc z tej urokliwej meliny, będziesz zdeterminowany, żeby nie tylko wyciągnąć Oryńskiego z Rakowieckiej, ale także wycofać akt oskarżenia i zapomnieć o całej sprawie.

Twarz Olgierda spoważniała, kiedy odstawiał kufel. Nie mógł przejść obojętnie obok tego, że w głosie Chyłki nie było nuty niepewności.

ul. Rakowiecka, Mokotów

Wizyty strażników o określonych porach były dobrym znakiem – to te niespodziewane, wykraczające poza codzienną rutynę stanowiły powód do obaw. Kordian wiedział, że dopóki Gorzym i jego ludzie nie sięgną głęboko do portfela, jest bezpieczny. Przypuszczał jednak, że im dłużej będzie pozostawał w izolatce, tym większa szansa, że pokaźna suma pieniędzy przejdzie z rąk do rąk.

Kiedy między porą śniadaniową a obiadową zjawił się jeden z klawiszy, wszystko od razu stało się jasne. Oryński nie miał wyznaczonego żadnego widzenia, nie sporządził jeszcze nawet pełnomocnictwa dla Pawła Messera.

Rozległ się dźwięk otwieranego starego zamka w drzwiach, a potem w progu stanął funkcjonariusz, który jakiś czas temu próbował wyciągnąć z niego jakieś smaczki w sprawie procesu.

– Na korytarz – rzucił.

Kordian przyjrzał mu się, starając się cokolwiek stwierdzić.

– Coś nie tak? Przeszukanie celi?

– Nie.

– Więc...

– Nasiedziałeś się tu już wystarczająco długo, Oryński.

A zatem tak miało się to rozegrać. Nie wpuszczą tutaj Gorzyma. Nie zaprowadzą też Kordiana do ciemnego korytarza, w którym ten będzie na niego czekał. Nie, załatwili sprawę znacznie prościej, doprowadzając do cofnięcia decyzji o odizolowaniu.

– No już, zbieraj się. Szkoda czasu.

– Wracam do normalnej celi?

– Nie.

– Więc o co...

– Wychodzisz.

W pierwszej chwili zabrzmiało to jak żart. W kolejnej jak echo jego własnego szaleństwa.

– Co takiego? – wypalił.

– Prokuratura wycofała akt oskarżenia.

– To niemożliwe.

– Możliwe, możliwe. Skorzystali z tego, że proces miał się zacząć od początku.

Kordian wciąż miał wrażenie, jakby to wszystko było wyjątkowo perfidnym dowcipem, na który zdecydowała się więzienna administracja.

– Ale...

– Nie mam całego dnia. Zabieraj graty, jeśli jakieś tu masz, i wychodź.

Mimo szoku, w jakim się znalazł, nie trzeba było powtarzać mu tego dwa razy. Nie miał ze sobą żadnych rzeczy, wyszedł z celi jedynie z bagażem doświadczeń, który miał taszczyć jeszcze przez długi czas.

Odebrał wszystko, co po aresztowaniu zdał w więziennym depozycie, nadal nie rozumiejąc, co tak naprawdę się wydarzyło. Podpisał wszystkie dokumenty, nie czytając nawet tego, co napisano dużymi literami. Wciąż nie mógł opędzić się od myśli, że wszystko to jest całkowicie nierealne.

Dopiero kiedy ruszył korytarzem w kierunku wyjścia, dotarło do niego, że to nie omamy. Chyłka jakimś sposobem doprowadziła do uwolnienia, w dodatku udało jej się sprawić, że akt oskarżenia wycofano.

Nie mógł wyobrazić sobie powodu, dla którego to Paulina Feruś miałyby to robić. Przypuszczał jednak, że niebawem wszystkiego się dowie, bo gdy tylko przekroczył więzienną bramę, zobaczył nowy model iks piątki zaparkowany nieopodal. O otwarte drzwi od strony kierowcy opierała się Chyłka.

Oryński zatrzymał się w pół kroku. Trudno było przesądzić, czy większą konsternację wywołał w nim ten widok, czy fakt, że wyszedł na wolność. Powiódł wzrokiem po czarnym samochodzie, a potem znów ruszył przed siebie.

– Wiem, że na najlepsze rzeczy trzeba czekać, Zordon, ale mógłbyś się pospieszyć – rzuciła z oddali.

Nie odrywając od niej wzroku, zatrzymał się tuż przed nią.

– Mam na myśli oczywiście perspektywę spotkania ze mną, żeby była jasność – sprecyzowała. – Nie odwrotnie.

– Nie, oczywiście, że nie.

Nie wiedział, co dodać. Nadal był zbyt skołowany, by objąć rozumem, co się stało.

– Jeszcze nic do ciebie nie dociera?

– Nie, chyba nie.

– W takim razie wyłożę ci to wyjątkowo jasno: wbrew temu, co sądziłeś, nie byłeś na życiowym zakręcie, ale na rondzie. Przegapiłeś swój zjazd, zrobiłeś kółko i...

– O czym ty mówisz? – przerwał jej, znów gwałtownie kręcąc głową, jakby mógł w ten sposób otrząsnąć się z konsternacji. Wbił wzrok w iks piątkę, a potem przeniósł go na Joannę. – Jak to się stało?

– Normalnie. Poszłam do dealera, oznajmiłam, że wiem o wyrabianiu normy na koniec miesiąca i premiach, i wytargowałam...

– Nie mam na myśli samochodu.

– A – odparła, zerkając w kierunku aresztu śledczego. – To zasadniczo nie było takie trudne, jak dostanie upustu. Prokuratura wycofa akt oskarżenia.

– Tak, wiem. Ale... jak?

Chyłka wzruszyła ramionami.

– Wiesz, jak się nazywa ten dźwięk, który rozlega się, kiedy zamykasz lodówkę i coś się w środku przewraca?

– Nie.

– Czyjś problem – odparła, a potem otworzyła szerzej drzwi. – Nie mój.

Wsiadła do środka, a Oryński stał przez moment jak słup soli. Kiedy Joanna

opuściła szybę i skinęła na niego ręką, otworzył tylne drzwi, rzucił swoje rzeczy na kanapę, a potem obszedł auto i zajął miejsce pasażera.

– Mów, zanim ruszysz.

– Nic z tego – odparła. – Lepiej mi się myśli, jak kręcę kierownicą. Poza tym mam spory deficyt.

Joanna zmieniła tryb na skrzyni biegów na sportowy, a potem niemal kopnęła pedał gazu. Silnik wydał z siebie drapieżny pomruk, w którym Chyłka zdawała się rozplýwać. Z uznaniem pokiwała głową.

– Dałam im szansę, Zordon, żeby mogli wycofać się rakiem z całej tej śmierdzącej sprawy.

– A śmierdziała?

– Na kilometr, jak serowe cheetosy – odparła, przewijając albumy Iron Maiden na wyświetlaczu nad wywiewami powietrza. – Ale jednocześnie była równie smakowita jak one, więc Feruś, Paderborn i inni chętnie utyłali sobie ręce.

Kordian miał wrażenie, jakby mgła niewiedzy wokół niego gęstniała. Za murami więzienia otrzymał właściwie tylko dwie informacje. Najpierw dowiedział się, że zmieniono kwalifikację czynu. Potem, że jeden z ławników zachorował, a ponieważ nie wyznaczono zastępcy, proces musiał odbyć się od nowa.

Wiele to z jego perspektywy nie zmieniało. Najwyraźniej jednak pozostawało sporo rzeczy, których nie był świadomy.

– Co zrobiłaś? – spytał.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Chcesz wersję chronologiczną czy...

– Po prostu powiedz mi, co się, do cholery, stało.

– Okej – odparła i nabrała tchu. – Pierwszy krok był prosty. Kupiłam laptopa na Wolumenie.

– W mekce piratów? Myślałem, że ta giełda już nie działa.

Najwidoczniej było inaczej. Kordian doskonale pamiętał weekendowe wypadki na bazar na Bielanach, mimo że od ostatniego minęło już kilkanaście lat. Zawsze wracał obłowiony nielegalnymi grammi komputerowymi i płytami CD.

– Działa – odparła Chyłka. – Choć nie mają już takiego rozmachu. Chyba że chodzi o warzywa, owoce i wszelkie stare barachło. Mnie interesowało to ostatnie. Potrzebowałam anonimowego grata.

– I znalazłaś go.

– Tak. Wysłuzonego, ale wciąż sprawnego della. Zabrałam go w ostatnią podróż na pewną komendę.

– Pewną?

– Tę, w której straszy Szczerbaty.

Oryński milczał. Wizyta u znajomego policjanta, z którym swego czasu Chyłka była związana, nie mogła nic zmienić w jego sytuacji.

– Zrobiłam to pod byle pretekstem, zależało mi tylko na tym, żeby usiąść z laptopem pod jednym z gabinetów i wysłać ci kilka maili.

– Mnie?

– No, nie konkretnie. Na twoją skrzynkę w kancelarii. Później Kormak pogrzebał przy nich trochę, antydatował, co trzeba, sama nie wiem. Tłumaczył mi coś o kodzie, o tym, że niektóre serwery dodają coś w rodzaju stempla z datą, inne nie... ostatecznie pewnie wszystko dałoby się zweryfikować i ustalić, że to typowa głównoprawda, ale nikt nie miał powodu, by to robić.

Oryński głęboko wciągnął powietrze nosem. Zapach nowego samochodu był przyjemny, jak wszystko, co rzekomo toksyczne.

– O czym ty mówisz, Chyłka?

– O tym, że dostałeś maile z anonimowego konta, w których nadawca przypominał ci, co się stało na moście Poniatowskiego.

Tamto zdarzenie pamiętał równie dobrze jak wizyty na Wolumenie. Zatrzymał go wówczas jeden z funkcjonariuszy, a potem podłożył mu do bagażnika chlorek potasu i tiopental. Był to początek całego ciągu problemów Oryńskiego. I wszystko dlatego, że zaczęli z Chyłką zbyt głęboko grzebać w sprawie Fahada Al-Jassama.

– Nadawca kilkakrotnie ci groził, twierdząc, że ujawni to, co określał jako „całą prawdę”. Powoływał się nawet na rzekomy testament, który twój ojciec miał zniszczyć. Ale to nieistotne. Najważniejsze było zapewnienie, że jeśli zgodzisz się na wyrok skazujący, dostaniesz niższy wymiar kary i nie odpowiesz za zabójstwo, tylko za eutanazję.

– Nigdy nie dostałem takich maili.

– Dostałeś, dostałeś. A potem przez przypadek dotarł do nich Kormak, kiedy starał się na tobie jakoś odegrać. Ostatecznie przekazał je prokurator Feruś, dzięki czemu ta mogła ustalić dwie rzeczy: po pierwsze, że dogadałeś się z kimś w prokuraturze, a po drugie, że powinieneś odpowiedzieć za zabójstwo.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Cierpliwości – odparła i wyminęła autobus zjeżdżający na przystanek. – Na razie musisz wiedzieć tyle, ile wiedział Paderborn, zanim się z nim spotkałam.

– Czyli?

– Czyli że Feruś wpadła na trop czegoś podejrzanego. I zrozumiała, że z jakiegoś powodu ktoś chciał załatwić całą tę sprawę jak najszybciej. I jak najkorzystniej dla ciebie, bo zamiast dożywocia groziło ci raptem kilka lat.

– No tak. Ale dlaczego ktokolwiek miałby...

– Bo zostałeś wrobiony. I sprawca obawiał się, że to wyjdzie na jaw.

Oryński bezskutecznie starał się stwierdzić, czy Chyłka nadal przedstawia mu fikcyjną wersję zdarzeń, na którą składał się cały jej scenariusz, czy ostatecznie przyjęła, że rzeczywiście go wrobiono.

– Ktoś w końcu podłożył te środki do bagażnika twojego rydwanu ognia, prawda? – spytała.

– Prawda.

– A więc logiczne jest, że cała sprawa była ustawiona od samego początku. Ktoś w prokuraturze tym wszystkim sterował. Przynajmniej z punktu widzenia Feruś.

Z jej być może tak, przyznał w duchu Kordian. W rzeczywistości tiopental i chlorek potasu rzeczywiście zostały podłożone, ale przez służby. A wszystko po to, by

ABW czy wywiad mogły kontynuować swoje ówczesne działania.

Tyle że Paulina Feruś nie mogła o tym wiedzieć. Wszystkie informacje były opatrzone klauzulą tajności – i nawet gdyby prokurator była tego świadoma, nie ustaliłaby, do kogo się zwrócić w tej sprawie.

Kordian pozwolił sobie na lekki uśmiech. Tam, gdzie pojawiały się nadużycia władzy, komplikacje zawsze były największe. Tym razem dosięgnęły tych, którzy byli ich autorami.

– Kij trafił w sam środek mrowiska – dodała Joanna. – Ale trzymała go Paulina Feruś.

– Poszła z tym do przełożonych?

– Ostatecznie tak, ale najpierw siksa popełniła największy błąd, jaki mogła. Złożyła wniosek o zmianę kwalifikacji, zanim się z kimkolwiek rozmówiła. Obawiała się, że ktoś uwali sprawę, jeśli będzie zwlekała. Poczowała się do odpowiedzialności, bo nie zauważyła przekrętu, ciążyła jej presja czasu. Ale to jej nie usprawiedliwia, popełniła typowy grzech nowicjusza.

Oryński na moment się zamyślił. To ten wniosek wprowadził wszystko w ruch. Po nim nie było już odwrotu.

– Koniec końców zwróciła się do Paderborna. Jemu mogła ufać.

– A on zgłosił się do ciebie.

– Tak – przyznała. – I ze względu na to, że wie o sprawie Al-Jassama, nie musieliśmy długo rozmawiać o jedynym możliwym wyjściu.

– Zagroziłaś, że wszystko ujawnisz?

– A jakże. Manipulację, udział służb, wątek muzułmanina i tak dalej.

– Więc zmusiłaś ich, żeby wycofali akt oskarżenia w zamian za milczenie.

– Mniej więcej. Z punktu widzenia Feruś zarzuty i tak okazały się lewe, więc nie miałam przeciwko sobie zbyt wielkiego oporu. A Pader doskonale wiedział, że im szybciej i sprawniej to załatwi, tym lepiej.

– A tajemnica adwokacka? I państwowa?

– Ani jedna, ani druga nie odnosi się do rzekomego policjanta, który wysyłał ci te maile z komendy. Namierzenie laptopa to podobno nie problem, jeśli godzisz się na warunki Google'a, który zapisuje twoją lokalizację.

Joanna uśmiechnęła się niemal rozbijającą.

– Mhm.

– Ostatecznie wszystko sprowadziło się do krótkiej propozycji z mojej strony: albo odpuszczają, zanim dojdzie do pierwszej rozprawy w nowym procesie, albo na jaw wyjdą maile, manipulacja wymiarem sprawiedliwości, układanie się po kątach z oskarżonym i...

– I cały brud ze sprawy Al-Jassama.

– To też. Bo wprawdzie sama nie mogłabym niczego wyśpiewać, ale pomyśl tylko, ilu dziennikarzy zdzierałoby sobie gardło jak Bruce Dickinson w swoich najlepszych latach.

Oryński przypuszczał, że rzeczywiście tak by się stało.

– Informacje od Kranza były kluczowe – dodała. – Gdyby nie ten ławnik, nie byłoby mowy o wyzerowaniu całej sprawy. A to było niezbędne, bo w przeciwnym

wypadku prokuratura szłaby w zaparte. Nigdy nie wycofali by się w trakcie, a nawet jeśli, sąd miałby zbyt dużo wątpliwości, zaczęłyby drążyć sprawę. W obecnej sytuacji jednak i wilk syty, i owca cała. Przepchną to bez trudu, nawet nie narażając się na medialną gównoburzę.

– Trochę im się jednak oberwie za niesłuszne ściganie Bogu ducha winnego prawnika.

– Trochę – odparła Joanna. – To kluczowe słowo.

Odwrócił się do niej i czekał, aż na niego spojrzy, ale Chyłka nie odrywała wzroku od wymijanych aut.

– Jesteś zdolna do wszystkiego – odezwał się.

– Tylko kiedy czegoś naprawdę chcę.

– I kiedy los się do ciebie uśmiechnie, tak jak w przypadku otrzymania informacji od Kranza.

– Były kluczowe, ale na pomysł z wysłaniem maila z komendy i wrobieniem Feruś i tak bym w końcu wpadła. Siksa zaczęłaby drążyć tunele pod położonymi i nieświadomie podkładać tam ładunki. Różnica w takim scenariuszu polegałaby tylko na tym, że...

– Proces trwałby w najlepsze przez rok, może dłużej.

– Ani chybi – przyznała. – A ty do tego czasu przeniósłbyś się z Rakowieckiej na Powązki.

– Realna możliwość.

– O tak. Na tyle, że wymyśliłam już nawet, jak sprawić, żeby twój grób odwiedzali jacyś ludzie.

Kordian uniósł brwi.

– Darmowy hotspot w mogile – oznajmiła. – Ściągnąłbyś w ten sposób wszystkich szukających darmowego wi-fi.

– Świetny pomysł.

– Prawda? Dbam o ciebie, jak mogę, Zordon.

– A jednak chciałaś scedować część odpowiedzialności na CzMK.

Chyłka westchnęła głęboko i pokręciła głową, a on odniósł wrażenie, że gdyby nie prowadziła nowej iks piątki, a jakikolwiek starszy samochód, pozwoliłaby sobie na schowanie twarzy w dłoniach.

– Słuchasz mnie w ogóle czy manifestuje się twoja amuzja?

– Co się manifestuje?

– Twoja wrodzona dolegliwość.

– Pierwsze słyszę.

– Zdiagnozowałam ją już przy naszym pierwszym spotkaniu.

– To jakaś wydumana choroba?

– Amuzja? Nie, to naukowo stwierdzona głuchota wybiórcza w stosunku do niektórych tonów muzycznych.

Kordian otworzył schowek po stronie pasażera i szybko przejrzał zawartość. Chyłka musiała niedawno wyjechać z salonu, bo nie było tam jeszcze żadnych płyt ani paczek papierosów na czarną godzinę.

– Chcesz powiedzieć, że skoro lubię Willa Smitha, to ewidentnie mam problemy ze słuchem?

– Ja też go lubię, Zordon. Ale w *Dniu Niepodległości*, jako aktora. Jak każdy normalny człowiek – odparła pod nosem. – Poza tym mówiłeś, że przerzuciłeś się na naszych polskich tuzów liryki rapowanej.

– Tak, ale...

– Zresztą nieważne. Mamy ważniejsze rzeczy do obgadania.

Zamknął schowek, a potem wbił wzrok przed siebie.

– Dokąd my w ogóle jedziemy? – zapytał.

– Na Argentyńską. Uczymy twoją nawrotkę na życiowym rondzie.

– Zaczęłaś pić?

– Jeszcze nie – odparła ze śmiertelną powagą.

Właściwie trudno było Oryńskiemu w to uwierzyć, ale być może Joanna przechodziła w ten sposób żalobę. Jedno było pewne – prędzej czy później ten okres dobiegnie końca i znów zrobi się problematycznie.

Kordian nie miał zamiaru skupiać się teraz na potencjalnych zakrętach, które były przed nimi. Chyłka miała rację – jego passa się odwróciła, życie wykonało zdecydowany zwrot.

Mógł zacząć od nowa, bez ciężącego na nim wyroku, bez wiszącego nad nim miecza Damoklesa, w końcu bez wpływu Langer na jego przyszłość. Droga do aplikacji znów stała się otworem, a powrót do Żelaznego & McVaya był realną możliwością.

Tylko czy chciał opuszczać rondo na tym zjeździe? I znaleźć się na drodze, która wcześniej nie zaprowadziła go w dobre miejsce? Nie miał odpowiedzi na te pytania. Przypuszczał też, że szybko ich nie uzyska.

Tym bardziej, że w najbliższej przyszłości zapewne będzie pochłonięty czymś zupełnie innym. Spojrzał na Chyłkę, nie mając wątpliwości, że plan na nadchodzące dni miała już dla nich ułożony.

– Co teraz? – zapytał.

– Teraz? Zjedziemy w Saską, a potem...

– Wiem, którędy do ciebie na osiedle, Chyłka. Miałem na myśli szerszą perspektywę.

– Uczymy twoje wyjście, a potem bierzemy się do roboty.

– To znaczy?

– Mamy pewną rozgrywkę do wygrania. Testament do obronienia, zarzut zabójstwa do obalenia.

– I jest na to jakaś szansa?

– To pytanie retoryczne, jeśli wziąć pod uwagę, że to ja prowadzę tę sprawę.

Nie skomentował, nie wiedząc dokładnie, jakie są okoliczności. Nie interesował się do tej pory Rafałem Kranzem, ale przypuszczał, że niebawem pozna każdy mniej lub bardziej istotny fakt z życia lekarza.

Najwyraźniej miało jednak się to stać wcześniej, niż przypuszczał. Kiedy podjeżdżali na osiedle, Chyłka nagle wyraźnie zwolniła, dostrzegając coś w oddali. A przynajmniej takie wrażenie początkowo odniósł Kordian – zaraz potem zreflektował

się, że chodzi o kogoś, nie coś.

Przy głównej furtce stał Kormak ze słuchawkami na uszach, rozglądając się nerwowo. Wyglądał, jakby przez cały tydzień namiętnie wciągał gandalfa białego, a potem bez ostrzeżenia został odcięty od kolejnych dostaw.

Joanna zatrzymała się obok niego, a on dopiero po chwili dostrzegł, że w icks piątce znajduje się dwoje prawników. Zbliżył się do okna od strony kierowcy, kiedy Chyłka opuszczała szybę.

– Słuchasz audiobooka *Lśnienia*, Kormaczysko? – powitała go.

– Co? Nie. Dlaczego?

– Byłoby adekwatnie – odparła, wzruszając ramionami. – Wyglądasz jak Danny Torrance w najgorszym momencie tej historii.

Nie zareagował w żaden sposób. Przez chwilę wlepił w nią nieruchomo wzrok, a potem zbliżył się do samochodu, położył ręce na drzwiach i nachylił się do środka przez otwarte okno.

Uwadze Oryńskiego nie uszło, że przyjaciel nawet nie zająknął się o nowym aucie. Ani o tym, że widzi Kordiana na wolności.

– Przeanalizowałem dokładniej to zdjęcie z Tropical Islands – odezwał się Kormak.

– Metadane były jak Hiroszima i Nagasaki po zrzućeniu bomb, ale w końcu udało mi się coś znaleźć.

– Co konkretnie?

– Datę wykonania tej fotki. Została zrobiona dwa tygodnie temu.

– I co z tego?

– To, że wedle ostatnich ustaleń prokuratury Beata Widera zmarła przeszło trzy tygodnie temu – odparł chudzielec i zwiesił głowę.

Na moment zaległa ciężka cisza.

– O ile nie zmartwychwstała, nie mogła być na tym zdjęciu – dodał Kormak.

– Więc to fotomontaż? Zapewniałeś, że nie.

– Pomyliłem się.

Nie zdarzało się to często, przynajmniej nie w takich sprawach. Kormak był wyraźnie zażenowany, a im dłużej Chyłka się nie odzywała, tym bardziej jego wstyd zdawał się rosnać.

– Jedyne, co mogę powiedzieć, to... – Urwał i niepewnie podrapał się po głowie. – To wyjątkowo porządna robota.

– Jak porządna? – spytała Joanna. – Na poziomie domorosłego grafika geniusza czy NASA?

– Na poziomie najlepszych specjalistów na świecie – odparł pod nosem Kormak. – Sam nie wiem, jak to możliwe. Ale jedno jest pewne: Kranz mówił prawdę. Był tam z żoną.

Kordian odchrząknął, chcąc zaakcentować swoją obecność. Chyłka spojrzała na niego, jakby dopiero zmaterializował się na siedzeniu pasażera.

– Co to wszystko znaczy? – zapytał.

– Że bronimy niewinnego człowieka, Zordon. I że mamy od groma roboty.

Rozdział 2

Sawant

1

XXI piętro, biurowiec Skylight

Musiał czuć się tutaj jak intruz. Chyłka przypatrywała się Oryńskiemu, kiedy ten szedł korytarzami kancelarii, i miała wrażenie, że najchętniej zawróciłby, zjechał windą na parter, zaopatrzył się w latte macchiato i nigdy więcej tu nie wracał.

W dodatku wszyscy mijani pracownicy Żelaznego & McVaya patrzyli na niego, jakby wrócił z zaświatów. I to pewnie nie tylko dlatego, że bez garnituru właściwie nie przypominał człowieka, którego znali.

Zwyczajowy tumult zdawał się gdzieś zniknąć, wszyscy na moment się zatrzymali. Dopiero gdy dwoje prawników weszło do gabinetu Chyłki, kancelaryjne życie wróciło do normy.

– Chyba zrobiłem furorę – odezwał się cicho, siadając przed biurkiem.

– Jeśli masz zamiar się użalać, idź do Jaskini McCarthyńskiej.

– Nie, po prostu...

– Zordon – przerwała mu, unosząc rękę.

– No?

– Kiedy zakładasz konta w internecie i rozwija ci się lista z wyborem roku urodzenia, wybierasz prawdziwy, nie?

Skinął głową.

– A więc jesteś już duży. Poradzisz sobie z kilkorgiem ludzi, którzy niespecjalnie ucieszyli się na twój widok.

– Kilkorgiem?

Rzeczywiście wydawało się, że wszyscy pracownicy kancelarii rzucali mu albo podejrzliwe, albo wręcz oskarżycielskie spojrzenia. Zarzuty, które mu postawiono, były jak trudny do pozbycia się smród. Trafił do więzienia, przesiedział tam sporo czasu – to także tworzyło jednoznaczne wrażenie, że coś było na rzeczy. Jeśli dodać do tego fakt, że wcześniej został wyrzucony z Żelaznego & McVaya, a dalszej odsiadki uniknął

w niejasnych okolicznościach, należało się spodziewać, że powrót nie będzie łatwy.

Tylko czy w ogóle można było mówić o powrocie? Zanim znaleźli się w Skylight, Joanna musiała długo go przekonywać, by przyszedł tutaj razem z nią. Upierał się, że nie ma czego szukać w kancelarii, a jeśli zobaczy go Artur Żelazny, mogą pojawić się niepotrzebne problemy.

– Liczyłeś na ciepłe przyjęcie? – spytała.

– Cóż, niektórych z tych ludzi brałem za przyjaciół i...

– Lepiej ich nie mieć – przerwała mu. – Są jak cienie. Łatwo dostrzegalni i tuż przy tobie, kiedy świeci słońce, ale znikają, jak tylko na horyzoncie pojawiają się chmury.

Kordian schował ręce do kieszeni i zgarbił się.

– Naprawdę fascynuje mnie, jakim cudem jako tako funkcjonujesz w społeczeństwie.

– Nie ciebie jednego. Jest wiele tomiszczy naukowych opracowań na temat osobowości socjopatycznych.

Pokiwał głową w zamyśleniu, a ona nie miała wątpliwości, że nie usłyszał ani słowa. Myślni był daleko, z pewnością wybiegł już w przyszłość i nie zobaczył tam niczego dobrego.

– Patrzyli na mnie, jakbym miał trąd.

– Raczej jak na matkobójcę, który wywinął się od odpowiedzialności – odparła Chyłka, sięgając za siebie po popielniczkę. – Nazywajmy rzeczy po imieniu.

– W porządku. W takim razie powiedzmy sobie wprost: nie powinno mnie tu być.

– Nikogo z nas nie powinno, korporacja to piekło.

– Miałem na...

– A mimo to Japończycy pracują ponad sto godzin tygodniowo. Wyrabiają ich trzy tysiące rocznie, nie mając dnia wolnego przez piętnaście lat. Wiesz, że mają tam specjalne określenie na taki stan rzeczy?

– Nie.

– *Karoshi*. Oznacza dosłownie śmierć z przepracowania.

– Mnie to nie grozi, bo nie pracuję.

– Pracujesz, pracujesz, Zordon. Tyle że nikt ci za to nie zapłaci i nie będziesz występować w sądzie. Poza tym wszystko po staremu. Będziesz wstawał bladym świtem, stawał się na posterunku i babrał w rzeczach, o których chciałbyś jak najszybciej zapomnieć.

– Pomijając wszystko inne, nie mam tu żadnego posterunku.

Wskazała na krzesło, na którym siedział.

– Mam pracować z tobą w gabinecie?

– Docień tę propozycję – poradziła mu. – Bo wpuszczam tutaj kogokolwiek rzadziej, niż George Martin wydaje kolejne tomy *Pieśni Lodu i Ognia*.

– Doceniam, chociaż nie bardzo wiem, co właściwie miałbym robić – odparł, prostując się. Spojrzał wymownie na paczkę papierosów, którą Joanna właśnie otwierała.

– Od researchu masz Kormaka, a od wszystkiego innego... siebie.

– Trafnie ujęte.

Na potwierdzenie tych słów poczęstowała go czerwonym marlboro.

– Ale tutaj będziesz mi składać jedynie raporty.

Mruknął coś niezrozumiałego z papierosem w ustach.

– Pracować będziesz w terenie.

– To znaczy?

– Muszę sprawdzić wszystko, co ma związek z Widerami, Kranzem, jego żoną, jego psem, kotem, żółwiem czy ptakiem z rodziny fregowatych.

– Ma ptaka z...

– Nie, podobnie jak nie ma kota ani psa. Ale wspominam o fregowatych, bo darzę ten rodzaj wyjątkową sympatią.

– Nie chcę nawet pytać dlaczego.

– Nie musisz. I tak się dowiesz – odparła i zaciągnęła się głęboko. – Te opierzone sukinsyny śpią tylko przez dwanaście sekund, co pozwala im nie przerywać lotu przez długie miesiące. Wyobrażasz to sobie?

– Nie.

– Czuję, że w pewnym sensie mam z nimi coś wspólnego.

– Bez wątpienia.

Westchnęła, jakby perspektywa takiego funkcjonowania rzeczywiście była kusząca.

– I ty też będziesz miał – odparła. – Bo przed tobą sporo roboty.

Właściwie przed nimi obojgiem – w dodatku nie tylko tej zawodowej. Chyłka miała świadomość, że równie dużo pracy będzie ich kosztowało ustalenie, do czego w istocie prowadzą się ich relacje.

Kiedy siedział w areszcie, rzuciła kilka deklaracji, ale miały przede wszystkim tchnąć w niego nieco życia i nadziei. Sama do końca nie wiedziała, ile było w tym prawdy.

A Kordian znał ją na tyle dobrze, by również zdawać sobie z tego sprawę. Może nawet lepiej niż ona sama.

Nie zmieniało to faktu, że po raz pierwszy od długiego czasu mogli w końcu wszystko wyprostować. Teraz nic nie stało temu na przeszkodzie. Potrzebowali tylko krótkiego oddechu, by razem zastanowić się nad przyszłością.

– Naprawdę liczysz na to, że będę pracować za darmo? – odezwał się Oryński.

– Liczę to ja jedynie sprawy, które wygrałam w sądzie, Zordon. Wszystko inne jest albo pewnikiem, albo czymś, na co nie warto tracić czasu.

– W takim razie zakładasz, że...

– Uznaję, że mi pomożesz, bo niczego nie pragniesz bardziej.

– Rozumiem...

Zgasiła papierosa, nie odrywając od niego wzroku.

– A oprócz tego to idealny sposób, żebyś wrócił do kancelarii.

– Tak?

– Wkupisz się w łaski innych partnerów, pokazując, że jesteś gotów zapierdzielać jak te fregowate. I to bez jakiegokolwiek zapłaty.

Oryński milczał.

– Ostatecznie rozumieją, że twoje miejsce jest tutaj. I przywrócą cię na dawne

stanowisko – ciągnęła. – Dodatkowym bonusem będzie bezbrzeżne wkurwienie Żelaznego.

– Z pewnością okaże się pomocne.

Zbyła tę uwagę milczeniem. Opór Artura będzie niemały, ale zmagali się z nim już nie raz i nie dwa. Poza tym miała po swojej stronie Harry’ego McVaya, który mimo swojej coraz mniejszej aktywności wciąż sprawował rząd dusz w firmie. Przynajmniej częściowo.

– Podejdiesz jeszcze raz do aplikacji – dodała. – A potem przywdziejesz wreszcie normalną togę, a nie tę twoją imitację, którą uszyłeś sobie, żeby kpić z sądów.

– Nie wiem, czy...

– Czy zdasz za drugim razem? Ja też nie, ale w razie czego spróbujesz znowu. Wiesz, ile razy obecny minister sprawiedliwości i prokurator generalny zdawał egzamin?

– Nie.

Chyłka otworzyła usta, ale przez moment się nie odzywała.

– Cóż... – rzuciła. – Ja też nie, ale na pewno nie raz. A zobacz, jak wysoko zaszedł.

– Ten przykład jakoś do mnie nie przemawia.

– Ale przemówi do ciebie mój uśmiech – odparła, wykrzywiła usta w czymś, co miało przypominać grymas zadowolenia, a potem na powrót spoważniała. – Tak czy inaczej mam już wszystko rozplanowane. Od dzisiaj bierzesz się do roboty.

Podniósł się, odłożył marlboro do popielniczki, a potem podszedł do okna. Przez chwilę wyglądał na plac Defilad, a Chyłka obróciła się na krześle.

– Najpierw powinienem wiedzieć, o co w sprawie Kranza w ogóle chodzi.

– Tego nawet ja nie wiem.

– A jednak coś musisz mieć. – Oryński odwrócił się i przysiadł na parapecie. – I nie tylko ty, bo prokuratura z jakiejś przyczyny go ściga.

– Ścigają go, bo to łakomy kąsek. Poza tym doskonale wiesz, jak jest. Najpierw wybierają jakiegoś delikwenta, a potem robią wszystko, żeby udowodnić mu winę. Gdyby byli tak skrupulatni, zanim wytypują sobie tego nieszczęśnika, może nawet udawałoby im się znajdować prawdziwych sprawców.

– Jesteś pewna, że ten nim nie jest?

– Wszystko na to wskazuje – odparła i wyciągnęła nogi. – Alibi wprowadzić nie ma, trochę dowodów świadczy na jego niekorzyść, ale skoro zdjęcie zostało zmanipulowane... ktoś musi za tym stać, nie?

Kordian patrzył przed siebie w zamyśleniu.

– Może – rzucił w końcu. – A co to za dowody?

– Poszlakowy jest taki, że w testamencie dostał absolutnie wszystko.

– To nie poszlakowy, tylko wydumany. Prokuratura musi mieć znacznie więcej.

– Mają jakąś receptę.

– A ja talon na kurwę i balon – odparł pod nosem. – Co z tego?

Joanna uniosła brwi, czekając, aż rozwinie temat talonu. Nie kontynuował go jednak.

– Naprawdę jeszcze go trzymasz? – spytała.

– To kiedyś będzie pamiątka rodzinna – oznajmił i machnął ręką. – Ale bardziej

mnie interesuje ta recepta.

– Jest jednym z tych problemów, których nie możesz zakopać, bo potem okazuje się, że były ziarnami.

Tym razem Oryński zamilkł.

– Coś z nich w końcu wyrasta – dodała.

– Tak, zrozumiałem przenośnię. Możesz konkretniej? O co chodzi z tą receptą?

– Miał wypisać ją sam Kranz, choć nie wiem jeszcze, na czyje nazwisko. Pewnie na swoje. Znalazły się na niej środki, których ślady odkryto podczas sekcji zwłok. I ustalono, że to one spowodowały zgon.

Kordian podrapał się po karku.

– To już coś – przyznał. – Pytałaś go o to?

– Byłam zajęta wyciąganiem cię z więzienia. Ale na wszystko przyjdzie pora.

– W porządku – odparł ciężko i nabrał tchu. – A więc mamy dziewczynę, która napisała testament, lekarza, który...

– Mamy denatkę, nie dziewczynę. Truchło.

– Właściwie każdy z nas nim jest, tyle że chwilowo nosimy w nim duszę.

– Piękna myśl. Urzekła mnie.

– Zatem mamy martwą dziewczynę – podjął Kordian. – I oprócz recepty wszystko inne wskazuje na to, że nie zabił jej nasz klient.

Trudno było przyjąć to za absolutny pewnik, ale z ich punktu widzenia rzeczywiście tak to wyglądało. Strona przeciwna z pewnością jednak patrzyła na to z zupełnie innej perspektywy.

– W takim razie jak zginęła? – kontynuował Oryński. – Ktoś ją zabił? Czy sama odebrała sobie życie?

– Nie wiem.

– O ile dobrze pamiętam statystyki, kobiety najczęściej popełniają samobójstwo przez otrucie.

– Zapomniałeś już, co sędzę o statystyce, Zordon? – odparła urażona Chyłka.

– Gdzieżby. Cały czas w głowie mam twoje słowa o tym, że jeśli mój sąsiad bije żonę codziennie, a ja nigdy, to statystycznie rzecz biorąc bijemy swoje żony co drugi dzień.

Skinęła głową z aprobatą, jakby właśnie rozwiązał wyjątkowo skomplikowany kasus.

– Słuszny przykład. Nie wspomnę już o tym, że gdyby jeden człowiek na świecie był nieśmiertelny, statystycznie rzecz biorąc długość życia całej ludzkości wyniosłaby nieskończoność – dodała. – Ani o tym, że statystycznie rzecz biorąc, w Iranie dokonuje się najwięcej operacji zmiany płci! Nawet więcej niż w słynącej z tego i chwalonej za liberalizm w tej sferze Tajlandii. Wiesz, dlaczego tak jest?

– Nie.

– Bo w Iranie homoseksualizm jest zagrożony karą śmierci. Ale ci, którzy wpadną, mogą się poddać operacji zmiany płci.

– Aha.

– Na koniec nie wspomnę też o tym, że według statystyki średnio każdy człowiek

na świecie ma jedno jajo i jeden jajnik.

- Nie wnikajmy w to – odparł. – Powiedz mi lepiej, od czego zaczniemy.
- Od ustalenia, kto miałby interes w zabiciu tej dziewczyny.
- Oprócz naszego klienta.
- Oprócz niego.

Kordian popatrzył na nią wyczekująco, najwyraźniej licząc na to, że ma już konkretny plan działania. Ten wprawdzie Chyłka ułożyła już jakiś czas temu, ale nie wiedziała, czy na cokolwiek się zda.

– Ja przycisnę żonę Kranza – powiedziała. – Dowiem się, czy rzeczywiście byli w Tropical Islands i czy Rafał przypadkiem nie kręcił czegoś na boku. Potem zajmę się trzema braćmi dziewczyny.

- Okej. A co z moją rzekomą pracą terenową?
- W jej ramach wypuścisz się na jedną z niezgłębionych warszawskich mielizn.
- Czyli?
- Prześledzisz cały proces dzikiej reprivatyzacji.
- Chyłka...

– Względnie zawężisz swoją kwerendę do tej nieruchomości przy Grójeckiej. Chcę wiedzieć, kto to pierwotnie miał, kiedy, kto skupił potem roszczenia, jak tytuł własności trafił do Widerów i tak dalej.

- To brzmi jak zadanie dla Kormaka.
- On będzie zajęty ustalaniem, co wie prokuratura.
- W takim razie może Old Man? Był swojego czasu specjalistą od...
- Harry jest zajęty innymi sprawami, nie ma czasu. Poza tym ostatnio i tak już za dużo ci pomaga, choć nie masz o tym pojęcia.

Przypuszczała, że będzie musiała wysłuchać namów, by jednak przydzieliła zadanie Kormakowi, ale Oryński milczał. Może sam doszedł do wniosku, że im dalej będzie się trzymał od prokuratury, tym lepiej dla niego. Narobił tam sobie wrogów na lata, nie miała co do tego wątpliwości.

Po chwilowym namyśle pokiwał głową i ruszył w stronę wyjścia, na odchodnym posyłając jej jeszcze krótki uśmiech. Kiedy zamknął za sobą drzwi, Chyłka siedziała nieruchomo ze wzrokiem wbitym przed siebie.

Moment później potrząsnęła głową, starając się skupić na sprawie. W mieszkaniu bez trudu zmiotła z podłogi wszystkie papiery dotyczące Oryńskiego, oczyścić umysłu jednak tak łatwo nie mogła.

Zamknęła na moment oczy i zapaliła kolejnego papierosa. Nikotyna zdawała się pomocna przy zbieraniu myśli.

Co miała prokuratura?

Wynik sekcji zwłok, testament, zapewne także zdjęcie, toksykologię i list pożegnalny. O niczym więcej Chyłka nie mogła pomyśleć, niczego więcej nie znaleziono. Co w takim razie pozwalało im sądzić, że uda się wsadzić Kranza za kratki?

Sprawdziła wszystkie elementy. Wszystkie oprócz listu.

Lekarz przywołał z pamięci treść, ale nie było w niej nic, co by go pogrzyżyło. Najwyraźniej to nie ona była kluczowa.

Chyłka zabębniła palcami o blat biurka, potarła nerwowo bliznę pod uchem i zamyśliła się tak głęboko, że zapomniała o odłożonym do popielniczki marlboro. Co istotnego mogło się wiązać z listem?

Przez moment bezwiednie przesuwiała palcem po piętnie dżihadu. W końcu zaklęła pod nosem i sięgnęła po telefon. Wybrała numer Kranza.

– Jesteś na wolności? – rzuciła.

– A dlaczego miałbym...

– To dobrze. Z tymi poręczeniami majątkowymi nigdy nie wiadomo – ucięła, nie mając zamiaru tracić czasu.

– Przecież...

– Jak wyglądał ten list, który znalazłeś w kanciapie?

– List?

– List pożegnalny, człowieku. Ten, który napisała twoja rzekoma ofiara.

Liczyła na szybką i konkretną odpowiedź, ale Rafał milczał.

– Było w nim coś charakterystycznego? – spytała.

– Właściwie wszystko. To w końcu wiadomość od osoby, która miała zamiar się zabić. I to zrobiła.

– Były tam jakieś elementy, które nie pasowały? Niewyraźne znaki na dole strony, bazgroły, cokolwiek?

– Nie, sam tekst.

– Wyraźny? Bez problemu go rozczytałeś?

– Tak, przecież to był wydruk. Nie napisała listu odręcznie.

Chyłka zmarszczyła czoło. Mimo że nie była zwolenniczką metod statystycznych, trudno było przejść obojętnie obok przytłaczającej liczby listów samobójczych pisanych odręcznie. Z drukowanymi właściwie się nie spotkała.

Kranz dodał coś jeszcze, ale Joanna miała już głowę zaprzątniętą innymi sprawami. To, co usłyszała, było znaczące. Nie, więcej – było kluczowe. I zanim się rozłączyła, zrozumiała dlaczego.

Natychmiast zerwała się z krzesła i popędziła prosto do Jaskini McCarthyńskiej, po drodze taranując kilku nieszczęsnych praktykantów. Szarpnęła za drzwi i wpadła do środka jak huragan, zastając Kormaka przed komputerem.

– Musisz mi szybko... – wyrzuciła z siebie, ale urwała, widząc wyraźną grozę na twarzy chudzielca. Zbliżyła się o krok do biurka, uspokajając oddech. – Co się stało? – zapytała.

Kormak nie odpowiadał, wbijając w nią puste spojrzenie.

– Co się dzieje?

Chłopak odwrócił laptopa w jej kierunku, a ona szybko się zbliżyła.

– Było kolejne samobójstwo – powiedział cicho Kormak. – Użyto... użyto tych samych substancji, co w przypadku Widery, i...

Cisza, jaka zaległa w Jaskini McCarthyńskiej, zdawała się destrukcyjna jak pożar. Joanna miała wrażenie, że jest osaczona płomieniami i nie ma możliwości ucieczki.

Złapała za skraj biurka, a potem jeszcze raz przeczytała nagłówek artykułu, który wyświetlił Kormak.

„Nie żyje znany adwokat, jeden z założycieli renomowanej kancelarii Żelazny & McVay”.

ul. Złota, Śródmieście

Niewiele było przyjemniejszych rzeczy w życiu Oryńskiego niż pierwszy łyk kawy po opuszczeniu biurowca Skylight. A przynajmniej takie wrażenie odnosił po długim odwyku od wszelkich smakowych latte.

Korzystając z nieobecności Chyłki, zupełnie sobie pofolgował, zamawiając w Costa Coffee ciasteczkową mochę z bitą śmietaną i kawałkami czekolady. I bynajmniej nie planował na tym poprzestać. Musiał nadrobić wszystkie te zaległe kawy, które wypiłby, gdyby nie spędził tyle czasu w mokotowskim areszcie.

Pod znakiem zapytania pozostawał jednak deficyt innej natury. Wprawdzie lorafen brał w więzieniu nieprzerwanie, bo lekarz ostatecznie stwierdził, że jego stany lękowe tego wymagają, ale odstawił gandalfa białego. I przyszło mu to bez większego trudu, choć początkowo spodziewał się problemów. Szczególnie gdy wziął pod uwagę, jak zwiększył dawki po niezdanym egzaminie.

Pociągnął łyk kawy i rozejrzał się po okolicy. Tłumy ludzi wylewały się z Dworca Centralnego, kilka samochodów czekało, by wjechać na parking pod Pałacem Kultury, a całe mrowie przechodniów spieszyło się nie wiadomo gdzie. Na dobrą sprawę nic się tu nie zmieniło, a jednak Kordian czuł się, jakby trafił do obcego świata.

Napił się jeszcze raz, otarł usta i spróbował skupić się na zadaniu. Propozycja Chyłki, by pomagał przy sprawie, rzeczywiście mogła się okazać dobrym pomysłem. Zwłaszcza jeśli miał zamiar powalczyć o możliwość powrotu do kancelarii.

Co do tego nie był wprawdzie przekonany, ale póki nie podjął decyzji o wyborze innej drogi zawodowej, postanowił trzymać się porad byłej patronki. Wbrew temu, co nieraz jej mówił, zazwyczaj wychodził na tym dobrze.

Nie pozostało mu nic innego, jak przystąpić do działania. Wiedział doskonale, od czego zacząć – jak większość mieszkańców stolicy orientował się w temacie reprivatyzacji. Przynajmniej na tyle, by mieć pojęcie, do kogo się zwrócić.

Kordian sięgnął po komórkę i zaklął pod nosem. Rozładowana. Najwyraźniej nie tylko będzie musiał zapomnieć o pewnych nawykach więziennych, ale też przypomnieć sobie te, które były drugą naturą współczesnego człowieka na wolności.

Uśmiechnął się pod nosem i ruszył w kierunku złotego daihatsu YRV, zaparkowanego po drugiej stronie PKiN-u. Gdyby rydwan ognia dysponował gniazdem USB, nie byłoby problemu, ale na takie luksusy w używanym japończyku z dwa tysiące drugiego roku nie było co liczyć. Oryński mógł wprawdzie kupić ładowarkę do gniazda zapalniczki, ale przypominał sobie o tym zawsze poniewczasie.

Po przydługim postoju w korku na Marszałkowskiej w końcu dotarł pod siedzibę NSI. Zostawił samochód na parkingu stacji, twierdząc, że jest umówiony z jednym z reporterów.

Pokerowa twarz i powszedni, nieco zblazowany ton głosu najwyraźniej zrobiły swoje, bo ochroniarz ani nie dopytywał o szczegóły, ani nie sprawdził tego telefonicznie. Zanotował tylko numer rejestracyjny samochodu, a potem podniósł bramkę.

W recepcji Kordian powtórzył to samo, co powiedział ochroniarzowi.

– Jestem umówiony z Bianczim – dodał. – Może pani przekazać, żeby zszedł?

Dziewczyna za ladą przyjęła poprawny uśmiech. Zapewne na wszelki wypadek, mając na uwadze, że może chodzić o coś istotnego lub że gość jest kimś ważnym, kogo nie rozpoznała.

– Oczywiście – odparła. – Jak się pan nazywa?

– Kordian Oryński.

Zaczęła przeglądać listę.

– Był pan umówiony na jakieś nagranie?

– Nie, na rozmowę.

– Do Bianczego?

– Mhm.

– Niestety nie ma tutaj pana nazwiska.

– Musiał zapomnieć mnie zgłosić. Może pani do niego przekreślić i go opieprzyć?

Recepcjonistka podniosła wzrok.

– Ewentualnie przekazać, że czekam na dole?

Uśmiechnęła się, skinęła głową, a Oryński odszedł kawałek i usiadł na fotelu w lobby. Patrzył wyczekująco na dziewczynę, dopóki ta chwilę później nie posłała mu kolejnego uśmiechu, sugerującego, że młody dziennikarz niebawem zejdzie.

Bianchi jeszcze jakiś czas temu był bodaj najbardziej charakterystycznym reporterem sejmowym, ale po jednej z głośniejszych afer jego status w świecie dziennikarskim znacznie się poprawił. Zatrudniono go w redakcji NSI, w dodatku planowano, że wspólnie z kilkoma osobami będzie odpowiadał za nowy, na razie otoczony mgiełką tajemnicy program.

Oryński znał go z uczelni, obaj kończyli UW. Nieraz bywali na tych samych imprezach i zazwyczaj wybierali te same dania. Niewielu było takich, którzy wcinali kiełki – i może dlatego szybko odnaleźli wspólny język.

Dziennikarz zjawił się po kilku minutach i mimo że Kordian dawno go nie widział, szybko uznał, że stary znajomy niespecjalnie się zmienił. Nadal wyglądał jak uosobienie wszystkich najnowszych hipsterskich trendów.

Sama jego ksywa powstała, bo jeden z posłów przekreślił wymowę firmy Bianchi, która produkowała między innymi oldschoolowe rowery miejskie. Jednym z nich chłopak dojeżdżał na Wiejską i parkował obok rządowych limuzyn, co w pewien sposób sporo o nim mówiło.

– Wypuścili cię? – spytał na powitanie młody dziennikarz.

Oryński podniósł się i uściśnął mu rękę.

– Nie śledzisz newsów?

– Tylko te istotne – odparł Bianczi. – Muszę filtrować, bo inaczej bym zwariował. Od lokalnych w ogóle trzymam się z daleka.

Kiedy rozmówca usiadł na fotelu, Kordian zrozumiał, że najwyraźniej nie ma co liczyć na wejście za bramkę bezpieczeństwa. Być może Bianczi nie miał w nowej pracy jeszcze odpowiedniej swobody, by wprowadzać każdego.

– Poza tym jest od groma roboty przy tym nowym programie – dodał. – Ledwo mam czas skoczyć na Poznańską.

– Dalej tam chodzisz?

– Odpowiem filozoficznie: a czymże jest wieczór bez wizyty w Tel Avivie, Beirucie albo Znajomych znajomych?

– Dla mnie właściwie normą.

Bianczi parsknął cicho.

– Dla ciebie niedawno normą było więzienne żarcie, więc każda opcja to progres.

Założył nogę na nogę, a uwadze Kordiana nie uszło logo New Balance na butach. Fakt, że ta firma potrafiła usadzić się na hipsterskim rynku tak dobrze, jak w przypadku środowiska biegaczy, sprawiał, że ktoś powinien dać jej głównemu strategowi Nobla z ekonomii.

Oprócz tego Bianczi miał wszystkie inne niezbędne atrybuty. Kraciatą flanelową koszulę, jeansy vintage i najnowszy model iPhone'a z niepoważnie dużym wyświetlaczem. Położył telefon na stoliku i na moment włączył ekran, co właściwie stanowiło odpowiednik ponaglącego spojrzenia na zegarek.

– Nie wiedziałem, że byliśmy umówieni – odezwał się, zerkając na recepcjonistkę.

– Ja też nie – odparł Kordian. – Przynajmniej do momentu, aż dostałem polecenie służbowe, żeby uzupełnić wiedzę.

– Hę?

– Kancelaria chce, żebym dowiedział się tego i owego. A ty jesteś najbardziej odpowiednią osobą, do której mogę się zwrócić.

– Kancelaria? Przyjęli cię z powrotem do Żelaznego i McVaya?

– Niezupełnie.

– Więc próbujesz wkupić się w łaski?

– Mniej więcej – odparł Kordian, uznając, że dzięki temu znajomy będzie chętniejszy do współpracy. – Ale potrzebuję twojej pomocy.

– Możemy skoczyć wieczorem do Hali Gwardii. Po paelli z krewetkami, małżami i kalmarami padniesz z kulinarnego orgazmu, ale wcześniej obgadamy, co...

– Goni mnie czas.

– Okej – odparł niepewnie Bianczi, rozplatając nogi. Pochylił się i przyjrzał Oryńskiemu. – O co chodzi?

– O reprivatyzację.

Dziennikarz błagalnie uniósł oczy.

– To się chyba nigdy nie skończy – rzucił.

– Co?

– Ten temat. Nie chce umrzeć ani śmiercią naturalną, ani zarżnięty przez polityków pastwiących się nad nim w specjalnie powołanych komisjach.

Trudno było się z tym nie zgodzić.

– Nawet jak go ubiją i wszystko wydaje się jasne, regeneruje się jak pieprzony Wolverine – dodał Bianchi. – A jego adamantowe szpony siekają całe to miasto na mielonkę.

– W punkt.

Właściwie porównanie pasowało do sytuacji jak pięść do nosa, ale Kordian zdawał sobie sprawę, że musi trochę schlebić rozmówcy.

– Relacjonowałeś parę takich spraw, więc pomyślałem, że najlepiej będzie się zwrócić do ciebie.

– Parę? – jęknął dziennikarz. – Wysiadywałem godzinami na posiedzeniach komisji reprivatyzacyjnej, nie tylko słuchając tych wszystkich urzędników, którzy zonglowali winą jak gorącymi kartoflami, ale też spisując każde słowo, opisując każdy wątek i... – Urwał i westchnął głęboko. – Nie wspominał tego najlepiej.

– Ewidentnie nie masz szczęścia do komisji.

Bianchi uśmiechnął się porozumiewawczo i pokiwał głową.

– Ani do przydziału zadań – zauważył. – Poza tą gehenną musiałem się przekopać przez tony akt urzędowych, przejść kilometry ścieżek na cmentarzach, wykonać pierdyliard telefonów za ocean i przepytałem jeszcze więcej osób na żywo, w poszukiwaniu spadkobierców ludzi, którzy być może nigdy nie istnieli.

Oryński starał się przyjąć pełną uznania minę.

– Co chcesz usłyszeć? – spytał w końcu dziennikarz.

– A co możesz mi powiedzieć?

– Prawie wszystko. Czyli o wiele za dużo.

– Interesują mnie grunty przy Grójeckiej.

Młody reporter potarł brodę w zamyśleniu.

– Nie w Śródmieściu, na Woli albo Mokotowie? To tutaj działa się cała magia.

– Najwyraźniej nie tylko.

– W innych miejscach nie było głośnych przejęć – odparł. – Choć kiedy w okolicach Grójeckiej jakiś czas temu doszło do wyburzenia warsztatu samochodowego, poprzedni właściciel gruntu był na posesji i... robotnicy trochę go poturbowali. Głośna sprawa.

– O co chodziło?

– Mniej więcej o to samo co w każdym innym przypadku, to standardowy scenariusz – odparł ciężko Bianchi. – Działka przed wojną należała do niejakiego Schulza, potem stała się niczyja, jak cała Polska w trakcie wojny, a kiedy nastał PRL, władze przywłaszczyły sobie teren. Po osiemdziesiątym dziewiątym ktoś urządził tam sobie własny biznes, ale ileś lat później jakiś spryciarz skontaktował się ze spadkobiercami Schulza i namówił ich, by mógł w ich imieniu wystąpić do sądu. Towarzyszyła temu oczywiście odpowiednia umowa, dzięki której po zwrocie działki spryciarz kupił ją za kilkaset tysięcy. Potem spieniężył grunt za niecałe dwa miliony.

Rzeczywiście był to jeden z typowych scenariuszy, choć dość prosty, jeśli wziąć pod uwagę, jak potrafią kombinować. Wszystko rozgrywało się podobnie w przypadku większości terenów, które miasto zwracało spadkobiercom. Mimo że czasem prawnicy,

którzy rzekomo ich reprezentowali, podawali wiek swoich klientów jako oscylujący między stu dwudziestoma a stu trzydziestoma latami.

– To było przy Grójeckiej? – spytał Oryński.

– Gdzieś w okolicy, nie pamiętam dokładnie.

– Mnie chodzi konkretnie o...

– Wiem, o co – przerwał mu Bianci. – Chyba nie pomyślałeś, że naprawdę filtruje wiadomości? Jestem jak wiatrak, w który wpada całe to gówno krążące w mediach.

– Znowu w punkt.

Dziennikarz odpowiedział niewyraźnym uśmiechem.

– Chodzi ci o nieruchomości położone między stacją Rakowiec a Raclawicką.

Oryński od początku spodziewał się, że nie będzie musiał precyzować, dlaczego interesują go te sprawy.

– A konkretnie o działkę, na której znaleziono zwłoki Beaty Widery.

Kordian potwierdził ruchem głowy.

– Tę działkę, która niebawem stanie się własnością Rafała Kranza – ciągnął Bianci. – Lekarza, u którego Widera rzekomo była tylko raz w życiu, a mimo to właśnie jemu zapisała cały swój majątek. Tuż przed tym, jak się otręła.

– Niezupełnie.

– Nie?

– Bo działka nie tyle stanie się jego własnością, ile stała się w momencie otwarcia spadku – sprostował Oryński. – Czyli w momencie śmierci. Wtedy spadkobierca wstępuje we wszystkie...

– Nie musisz sięgać po prawniczą nowomowę – uciął Bianci. – I bez tortur wszystko ci wyśpiewam.

– A wiesz coś na ten temat?

Dziennikarz wzruszył ramionami.

– Na tym polega moja parszywa robota.

– Więc co się działo z tą nieruchomością?

– Nie powiedziałem, że wiem, co się z nią działo.

– W takim razie...

– Tylko że orientuję się w temacie – dodał Bianci. – A najwyraźniej jest w czym.

– To znaczy?

– Jakiś czas temu prokuratura wszczęła postępowanie w sprawie twojej działki.

– Żadna ci ona moja. Poza tym to chyba nic dziwnego? W większości wypadków prędzej czy później pojawia się ktoś, kto twierdzi, że reprivatyzowano niezgodnie z prawem.

Dziennikarz zerknął na telefon, ale tym razem nie włączył wyświetlacza, najwyraźniej wychodząc z założenia, że samo spojrzenie będzie dostatecznie wymowne.

– Tyle że w większości przypadków nie umarzano postępowania – oznajmił. – W tym tak.

– I? Komisja potem z pewnością wzięła to pod lupę.

– Nie wzięła. Albo temat był zbyt mało medialny, bo nie chodziło o Śródmieście, albo nic nie było na rzeczy. Albo ktoś miał interes w tym, żeby nie interesować się

gruntem Widerów. My w każdym razie się zainteresowaliśmy.

– Teraz? – spytał Oryński, nachylając się w stronę rozmówcy. – Czy już wcześniej mieliście go na celowniku?

– Po odkryciu zwłok.

Kordian odetchnął. Gdyby coś podejrzanego kazało dziennikarzom zainteresować się tematem wcześniej, z pewnością znaczyłoby to ni mniej, ni więcej, że wraz z Chyłką znów wdepnęli w wyjątkowo grząskie piaski.

– Odbiliśmy się jednak od ściany – dodał Biancki.

– Hm?

– Wystąpiliśmy do urzędu miasta o podanie informacji, ale odmówili.

– To też się zdarza.

Biancki niechętnie skinął głową.

– Upierają się, że to się nie kwalifikuje do informacji publicznej, a więc nie mają prawnego obowiązku przedstawiania czegokolwiek.

– Złożyliście pismo do samorządowego kolegium odwoławczego?

– A jak myślisz? Pewnie, że tak. Ale zanim dojdzie do rozprawy, wszystko, co ważne, zamiotą pod dywan.

Kordian się wyprostował.

– Oni? – spytał. – Czyli kto?

– Bracia Widerowie.

– A co oni do tego mają?

Biancki sięgnął po telefon i tym razem go aktywował. Już otwierał usta, by udzielić odpowiedzi na pytanie, ale nagle zamarł jak rażony piorunem. Zmarszczył brwi, przesunął palcem po ekranie, a potem spojrzał niepewnie na Kordiana.

– Lepiej sprawdź komórkę – poradził.

– Rozładowała mi się.

Na twarzy dziennikarza odmalowało się wyraźne niedowierzanie, a zaraz potem zakłopotanie. Chrząknął nerwowo.

– Więc prawdopodobnie nic nie wiesz...

– O czym?

Podał mu telefon, a Oryński spojrzał na wyświetlacz.

– Chyba najlepiej będzie, jak pojedziesz do swojej kancelarii – powiedział Biancki.

– I to natychmiast.

Plac Defilad, Śródmieście

Po drugim okrążeniu Pałacu Kultury i Nauki Chyłka zatrzymała się na Patelni. Miała wrażenie, że wszyscy ludzie pędzący z przejścia podziemnego do stacji metra Centrum zlewają się w jeden nieprzerwany łańcuch.

Trzęsącą się ręką wyciągnęła kolejnego papierosa, nie pamiętała którego. Wiedziała jednak, że po raz drugi w ciągu ostatniej godziny pali w tym samym miejscu. Wbijając wzrok w przejście, którym mogła się dostać na drugą stronę Marszałkowskiej. Do carrefoura lub biedronki, gdzie na długich regałach prawdopodobnie stało wystarczająco dużo alkoholi, by zwalić z nóg pół Śródmieścia.

A z pewnością wystarczająco, by wyłączyć jej świadomość. I by sprawić, że to, co się wydarzyło, stanie się nierealne. Choćby na moment.

Harry.

Wciąż nie mogła w to uwierzyć. Nie dopuszczała do siebie, że to prawda. Nie w przypadku McVaya. On jeden był...

Urwała myśl, zaciągnęła się głęboko, a potem spojrzała na dopiero co zapalonego papierosa. Od nadmiaru nikotyny robiło jej się już niedobrze. Rzuciła niedopałek na chodnik, odwróciła się i ruszyła z powrotem w kierunku Skylight.

Kiedy minęła wejście do zamkniętego Muzeum Techniki, pod którym niegdyś masowo zatrzymywały się autobusy, zauważyła żółte daihatsu skręcające z Emilii Plater. Nawet w tradycyjnie długim miejskim korowodzie aut trudno było je przegapić.

Stanęła za bramką parkingową i poczekała, aż Kordian ją dostrzeże. Zrobił to niemal natychmiast, a jego minorowy wyraz twarzy dowodził, że wie już, co się stało. Zaparkował nieopodal i szybkim krokiem dołączył do Chyłki.

– To prawda? – zapytał.

Skinęła głową. Oboje mieli miny, jakby niedawno dowiedzieli się o końcu świata. Milczeli przez moment, szukając odpowiednich słów.

– Jak to się stało? – dodał w końcu Kordian.

– Kormak twierdzi, że to te same środki, które...

Urwała, nie mogąc zebrać myśli. Właściwie ledwo rozpoznawała własny głos, wydawało jej się, że wydobywa się z ust kogoś innego. Oryński spojrzał w kierunku Skylight, jakby chciał zasugerować, że lepiej tę rozmowę odbyć w kancelarii, w znajomych czterech ścianach. Joanna jednak nawet nie drgnęła. Po raz kolejny poczuła, że powinna się odwrócić i bez dalszego wahania skierować do jednego ze sklepów.

– Chodzi o leki, które wypisał Kranz – dodała.

– Nie rozumiem.

– W jednym i drugim wypadku...

Potrząsnęła głową, w końcu dochodząc do wniosku, że musi wziąć się w garść. Zanim jednak zdążyła się odezwać, zaniósł się suchym, nikotynowym kaszlem.

Sięgnęła do kieszeni żakietu po paczkę papierosów.

– Harry... – zaczęła i jeszcze raz kaszlnęła. – Harry odebrał sobie życie, używając tych samych środków, które Kranz przepisał Beacie Widerze – wyrzuciła z siebie.

Nadal nie potrafiła zrozumieć, jak mogło do tego dojść.

Nie chodziło o metodę, o konkretne środki, o związek z Kranzem, ale o sam fakt. Fakt, że Harry McVay popełnił samobójstwo.

Jej mentor, wieloletni przyjaciel. Jedna z niewielu osób, którym mogła zaufać. I bodaj jedyna, która w momentach kryzysu zawsze stanowiła oparcie. Człowiek z marmuru, z żelaza, nie do zdarcia.

Zapaliła z oporem, jakby to była jakaś forma ukarania się za to, że dopuściła do tej sytuacji.

Kordian zbliżył się o krok i ujął jej dłoń. Spojrzała na niego zaskoczona, ale szybko przekonała się, że zrobił to tylko po to, by też zapalić. Delikatnie wysunął paczkę, nie odrywając wzroku od jej oczu.

Wyraźnie nie wiedział, co powiedzieć. A Chyłka była mu wdzięczna, że nie próbował robić tego na siłę. W takich sytuacjach niemal każdy odczuwał irracjonalny, kategoryczny imperatyw, by za wszelką cenę pokonać przybijającą ciszę – dla Joanny była jednak wytchnieniem. Przynajmniej częściowym.

Milczeli jeszcze przez chwilę, nie ruszając się z miejsca. Patrzyli na biurowiec, w którym Harry McVay zbudował razem z Żelaznym coś, co zmieniło życie wielu osób i na lata je połączyło. Coś, co dalece wykraczało poza zwyczajną kancelarię prawną.

– To jest, kurwa, niemożliwe – odezwała się Chyłka.

Kordian wciąż nie odpowiadał.

– Mam na myśli te środki, Zordon.

– Nie musimy teraz...

– Musimy – zaoponowała i cisnęła peta na ziemię. – Nie wiem, co się stało Widerze, ale jedno jest pewne: McVay nigdy by się nie zabił.

Oryński spojrział na nią bez przekonania, a ona doskonale wiedziała, co to oznacza.

– Tak, tak, wiem, co chcesz powiedzieć – mruknęła.

– Co?

– Że żaden samobójca nie wypisuje swoich zamiarów na czole. I że gdyby przed targnięciem się na swoje życie mieli w zwyczaju to ogłaszać, zapewne udawałoby się temu zapobiec.

Kordian mruknął potwierdzająco.

– Ale ten cholerny Brytyjczyk nie zrobiłby tego w ten sposób. Odszedłby z klasą, a nie jak jakiś ćpun pod mostem. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– W dodatku nie użyłby tych samych środków co Widera. Nie pozwolilby sobie na to. Nie chciałby mieć nam w sprawie i nie...

Urwała, czując, jak opuszczają ją siły. Zawsze sądziła, że jej barki udźwigną wszystko, co zrzuci na nie los. Być może jednak się pomyliła. Być może utrata dziecka i jednej z najbliższych osób to zbyt wiele.

Poczuła, że Kordian znów dotknął jej dłoni. Tym razem nie po to, by poczęstować

się papierosem. W pierwszym odruchu chciała się wycofać, rzucić jakiś niewybredny komentarz, ale tego nie zrobiła. Pozwoliła, by zamknął jej dłoń w swojej. Kiedy ścisnął mocniej, odniosła wrażenie, jakby chciał zachować coś cennego. Nie, więcej, jakby wisiał nad przepaścią i szukał ostatniego ratunku. Jakby od tego dotyku zależało jego życie.

Tymczasem było zupełnie odwrotnie.

– Na tym etapie wszystko jest możliwe – odezwał się po chwili. – Nie wykluczajmy niczego.

– Nie wykluczamy.

– Więc musisz też przyjąć możliwość, że...

– Że co? Że Harry zobaczył toksykologię, dzięki temu dowiedział się, jaka mieszanka jest potrzebna, i skorzystał z okazji? – dopowiedziała. – Przyjmuję taką opcję, Zordon. Ale jest równie prawdopodobna jak to, że któryś z tysięcy meteorytów spadających rocznie na Ziemię wyrządzi nam realną szkodę.

Widziała, że nie jest przekonany, czy powinni teraz, na gorąco, roztrząsać tę kwestię. Dla niej było to jednak najlepsze rozwiązanie. Tylko w ten sposób mogła poradzić sobie z sytuacją – zakładał on bowiem, że Joanna skupi się na szukaniu winnego. I go odnajdzie.

– Ktoś go zabił, Zordon – powiedziała, cofając rękę.

Spojrzał przelotnie na jej dłoń, ale nie skomentował.

– Kto? – spytał z powątpiewaniem. – I dlaczego?

– Dowiemy się.

– Jak? – Pokręcił głową. – Chyłka, daj sobie czas na...

– Dałam go sobie wystarczająco, zrobiłam dwie rundki wokół Pajaca. Mam dosyć kręcenia się w kółko. Potrzebuję odpowiedzi.

Zanim zdążył zareagować, ruszyła w stronę Złotych Tarasów. Kordian nie zwlekał i szybko się z nią zrównał, a po chwili oboje w milczeniu weszli do windy w Skylight. Chyłka wcisnęła dwudzieste pierwsze piętro, a potem spojrzała na Oryńskiego.

– Możliwości jest wiele – powiedział, mimo że o nic nie pytała. – W tym taka, że to Kranz jest winny.

– Chyba żartujesz.

– Nie.

– Po pierwsze nie miał nic wspólnego z Harrym – odparła stanowczo. – A po drugie nie wydaje ci się, że znalazłby lepszy sposób niż powielenie modusa ze sprawy Widery?

– Modusa?

– *Modus operandi*, Zordon, sposób działania.

– Wiem, co to znaczy – odbąknął. – Ale nie słyszałem, żebyś spolszczała łacińskie terminy.

– Za dużo przebywałam ostatnio z prokuratorami.

– Może – przyznał bez przekonania. – A może za mało.

– Co masz na myśli?

Winda dotarła na miejsce, drzwi się otworzyły, ale żadne z prawników się nie poruszyło.

– To, że za bardzo skupiasz się na obronie Kranza. I przez to nie dostrzegasz, że to

wszystko może być jakąś wielopiętrową manipulacją.

– Skupiam się na mojej robocie – zaoponowała. – Którą jest właśnie to, żeby bronić tego faceta.

Wyszli na korytarz, od razu odnotowując panujący wokół niecodzienny spokój. Całe kancelaryjne życie zdawało się zatrzymać, zupełnie jakby wszyscy umówili się na wyjątkowo upiorne *mannequin challenge*.

– I wbrew temu, co twierdzą niektóre pacjentki, Kranz to nie żaden diabeł wcielony – dodała. – A w każdym razie nie stać byłoby go na tak przemyślny wybieg.

– Tak to wygląda z twojej perspektywy, bo ci pomógł, ale...

– Mnie? – prychnęła. – Raczej tobie, Zordon. Gdyby nie on, wciąż siedziałbyś na Rakowieckiej. A może raczej leżałbyś. Na podłodze w jednej z cel.

W jego oczach na moment pojawiła się pustka, o głębi której Joanna nie chciała myśleć. Upomniała się w duchu, by trzymać się od tych tematów jak najdalej.

– Tak czy inaczej nie masz wobec niego żadnego długu – zauważył.

– Oczywiście, że nie mam. Ani wobec niego, ani kogokolwiek innego. Zaciąganie kredytów to nie moja specjalność.

Przeszli pustym korytarzem w kierunku Jaskini McCarthyńskiej, nie musząc odzywać się słowem. Oboje wiedzieli, dokąd najlepiej się skierować. Kiedy jednak Chyłka chwyciła za klamkę, okazało się, że gabinet Kormaka jest zamknięty.

Żelaznego także nie było w kancelarii, właściwie na posterunku zostali tylko młodszy stażem prawnicy i praktykanci, którzy najwyraźniej nie byli pewni, czy w takiej sytuacji powinni pozwolić sobie na wcześniejsze wyjście.

Byli równie skołowani, widząc Chyłkę. Kilku podjęło próbę złożenia kondolencji, ale stanowcze spojrzenie i parę wycudzonych przez Joannę przestróg sprawiły, że szybko zrezygnowali.

W końcu dwoje prawników zamknęło się w gabinecie Joanny. I mimo że na zewnątrz nie panował zwyczajowy gwar, dopiero tutaj poczuli spokój.

– Co teraz? – spytał Kordian.

– Najwyraźniej jesteśmy zdani na siebie.

– Bo wszyscy inni uznali, że to czas na refleksję i zadumę.

Zgromiła go wzrokiem.

– Żałoby mam już po kokardę, Zordon. Nie potrzebuję więcej.

Wyraźnie nie wiedział, co odpowiedzieć, a ona zdawała sobie sprawę, że ta uwaga była niepotrzebna. Ale nawet gdyby w porę ugryzła się w język, zapewne prędzej czy później ta lub podobna myśl znalazłaby ujście.

– Najlepszym, co mogę zrobić dla siebie i dla Harry'ego, jest dotarcie do prawdy.

– Niezupełnie.

Nie zabrzmiało to zbyt dobrze, ale Oryński szybko to sobie uświadomił i sprostował:

– Najlepszym posunięciem w tej chwili będzie zadzwonienie do Williama.

Tego się nie spodziewała. Właściwie przypuszczała, że z ust Kordiana nigdy nie usłyszy imienia człowieka, z którym po alkoholu raz posunęła się stanowczo za daleko. I który okazał się ojcem jej dziecka.

– Nic nie wie, prawda? – spytał.

Otworzyła usta, ale był to jeden z niewielu momentów w jej życiu, kiedy nie miała pojęcia, co powiedzieć.

– Mam na myśli śmierć Harry’ego, nie ciążę.

– Wiem.

Kordian popatrzył na nią ponaglająco.

– Na pewno ktoś go poinformował – dorzuciła.

– Gdyby to się stało w Krakowie, pewnie tak by było. Ale zmarł tutaj.

Ciało McVaya odnaleziono w pokoju hotelowym, na jednym z ostatnich pięter śródmiejskiego Novotelu. Chyłka od razu uznała, że to samo w sobie podejrzane. Gdyby Harry chciał odebrać sobie życie, zrobiłby to na swojej zapuszczonej posesji na Targówku, niedaleko Ząbek. Joanna doskonale pamiętała ich wizytę w tamtym miejscu. Przywodziło na myśl muzeum PRL-u, a jednocześnie odcięty od okolicy mikrokosmos, w którym rządziły drobnoustroje i gryzonie.

Wzdrygnęła się na myśl o tamtym miejscu. Wiedziała jednak, że McVayowi te warunki nie przeszkadzały. Kiedy zatrzymywał się w Warszawie, zazwyczaj kierował się właśnie na Elsnerów; na palcach jednej ręki mogła policzyć sytuacje, kiedy wynajmował coś na mieście. Co on w ogóle robił w Novotelu? Dlaczego nie powiedział jej, że jest w Warszawie? I kto...

Nie, nie było sensu teraz się nad tym zastanawiać. Oryński miał stuprocentową rację, pierwszym posunięciem powinno być skontaktowanie się z Williamem.

Tyle że nie miała zamiaru robić tego sama. Podniosła telefon, wybrała numer Żelaznego, a potem poprosiła go, by załatwił tę sprawę. Nie czekała na odpowiedź i rozłączyła się tuż po tym, jak wypowiedziała ostatnie słowo.

Kordian przez chwilę patrzył na nią bez wyrazu.

– W porządku – odezwał się w końcu. – Od czego zaczniemy?

– Od tego, że powiesz mi, czego się dowiedziałeś.

Uniósł pytająco brwi.

– W sprawie reprivatyzacji.

– A co to ma do rzeczy?

– Najwyraźniej całkiem sporo, bo McVay też grzebał w tym temacie.

– I sądzisz, że tym samym podpisał na siebie wyrok?

Nie miała zamiaru spekulować, więc jedynie wymownie spojrzała na Oryńskiego. Możliwości było zbyt wiele, przynajmniej na razie.

– Dlaczego ktoś miałby...

– Słuchaj, Zordon – przerwała mu. – Albo przestaniesz podawać w wątpliwość wszystko, o czym pomyślę, albo wywalaj stąd. Nie mam ani czasu, ani ochoty na dyskusje.

– Ale...

– Widzisz tu gdzieś korynckie kolumny? Nie, bo to nie jest, kurwa, ateńska kolebka demokracji, tylko kancelaria prawna.

Oryński odchrząknął niepewnie.

– Ostro – zauważył.

– Ostro to się robi przy jedzeniu vinaloo z *naga jolokia*, o ile przyrządzi ci je prawdziwy Hindus, a nie Polak pracujący w kebabie. Ja po prostu jestem sobą.

– To się ceni.

– Nie zawsze i nie w każdym przypadku. Bezwzględni zabójcy i krwawi dyktatorzy znacznie lepiej sprawdzają się w społeczeństwie, kiedy nie są sobą, prawda? – odparła pod nosem i na moment zrobiła pauzę. – W tym wypadku ktoś jednak wyraźnie dopuścił swoją skrzywioną naturę do głosu. I nie zrobił tego bez powodu.

– Sugerujesz, że...

– Że zabójstwo Harry'ego ma coś wspólnego z tym, czym się ostatnio zajmował – dopowiedziała, mając nadzieję, że Kordian przestanie kwestionować sam fakt. Nie odezwał się. – Nie byłby to pierwszy raz, kiedy dochodzi do czegoś takiego w związku z przekrętami na rynku roszczeń.

– Masz na myśli Jolantę Brzeską?

Chyłka uznała, że nie musi odpowiadać na to pytanie. Sprawa tej kobiety wstrząsnęła całą Warszawą, być może całym krajem. Dla wielu była przykładem tego, jak daleko sięgały macki baronów nieruchomościowych w stolicy.

Ciało Brzeskiej odnaleziono w Lesie Kabackim w dwa tysiące jedenastym roku, dwa lata później śledztwo umorzono z powodu niewykrycia sprawców. Przyjęto, że działaczka stowarzyszenia lokatorów sama odebrała sobie życie.

– Ta sprawa nadal nie została wyjaśniona, Chyłka.

– Niektórych nie trzeba wyjaśniać.

– Słuchaj...

– Chyba nie wierzysz w te bzdury o samobójstwie? – spytała. – Nikt nie zabija się, polewając naftą i podpalając, do cholery.

Mimo to właśnie taką kwalifikację prawną przyjęła prokuratura, a potem prowadziła postępowanie pod tym kątem. Dopiero gdy sprawa nabrała rozgłosu i pojawiły się opinie biegłych, przyznano, że nie można wykluczyć zabójstwa. Ostatecznie jednak niczego konkretnego nie ustalono.

Chyłka miała nadzieję, że w przypadku McVaya sytuacja się nie powtórzy.

– Wiesz, w ilu sprawach cywilnych i karnych Brzeska brała udział? – spytała Joanna. – Ilu lokatorów chciała wybronić przed eksmisją, bo rzekomy dawny właściciel zajmował budynek? Jak wielu osobom podpadła i ilu układom zagroziła?

– Nie.

– I nie musisz. Za wystarczający dowód, że coś w tej sprawie jest nie tak, możesz uznać to, że prokuratorzy, widząc zwęglone zwłoki, od razu postawili hipotezę o samospaleniu. Absurd.

Chyłka pokręciła głową, podniosła się i podeszła do okna. Wbiła wzrok w skrawek placu Defilad, który przez lata był kością niezgody między różnymi środowiskami rządzącymi Warszawą.

Czasem miała wrażenie, że całe to miasto po wojnie stało się odpowiednikiem zachodnich Ziemi Odzyskanych. Tyle że tam napływająca ludność fizycznie zajmowała puste domy, porzucone przez uciekających Niemców. Tutaj odbywało się to w sądach lub u notariuszy. A mieszkania bynajmniej nie były opuszczone.

Niejasna przeszłość dotyczyła wielu prawników, oficjeli, ale także zwykłych ludzi, których rodziny były obciążone grzechami poprzednich pokoleń. Chyłka nie mogła przestać myśleć o tym, że McVay mógł trafić na jeden z nich.

Odwróciła się i przysiadła na parapecie.

– Czego się dowiedziałeś? – powtórzyła.

Oryński również wstał, minął biurko i oparł się o blat. Znaleźli się naprzeciwko siebie, w odległości, którą Chyłka oceniła w duchu jako „kłopotogenną”.

– Na dobrą sprawę tylko tyle, że śledztwo w sprawie działki na Grójeckiej zostało umorzone. A teraz urząd miasta odmówił wydania informacji na jej temat, bo to rzekomo nie podchodzi pod ustawę o dostępie do informacji publicznej.

Joanna na moment uniosła wzrok. Potem wbiła go w Kordiana.

– Komisja reprzywatyzacyjna się za to nie wzięła?

– Nie. Najwyraźniej nie trafili na nic podejrzanego, bo wydoiliby tę krowę na hektolitry politycznego mleka. I wykarmiliby nim całe zastępy wyborców.

Wnioski nasuwały się same, choć były wyjątkowo mętne – dla Chyłki nie ulegało wątpliwości, że w tej sprawie istnieje wiele szaf, w których na przestrzeni lat pozamykano całe mnóstwo trupów.

– Zostałoby im jeszcze sporo materiału na płatki śniadaniowe – dodał Kordian.

– He?

– Tak rzuciła kiedyś jakaś dziewczyna w *Familiadzie*. Że z mleka robi się płatki śniada...

– Nie drwij sobie z komisji weryfikacyjnej, Zordon. Szanuję każdego, kto kiedykolwiek i w jakikolwiek sposób stanął w obronie praw lokatorów. Bez względu na to, czy spoczywa na Wawelu, czy buduje drugą linię metra, czy mówi o hatakumbach.

Kordian niechętnie skinął głową.

– Od tej strony niczego nie ustalimy – powiedziała, wstając. – Pieprzona stołeczna zmowa milczenia ma się zbyt dobrze.

– Co proponujesz?

Joanna stanęła przed nim i popatrzyła mu prosto w oczy.

– Ugryźć tę sprawę od strony Kranza.

– Ale twierdzisz, że jest niewinny...

– Co nie znaczy, że nie wie, o co w tym wszystkim chodzi. W końcu to jemu z jakiegoś powodu Widera wszystko zapisała, prawda?

Kordian również wstał. Znaleźli się jeszcze bliżej siebie.

– Prawda – potwierdził. – Dodatkowo zastanawia mnie jedna rzecz.

– Jaka?

– Kranz wciąż nie odrzucił spadku, nie myślę się?

– Nie.

– Dlaczego?

Nie miała na to pytanie żadnej odpowiedzi.

Rondo Jazdy Polskiej, Śródmieście

Po drodze do siedziby prokuratury okręgowej Chyłce udało się złamać przepisy kilkanaście razy – a przynajmniej tylu doliczył się Oryński – mimo że cała podróż nie mogła trwać dłużej niż kwadrans. Na jej listę osiągnięć Kordian wciągnął między innymi kilkukrotne wymuszenie pierwszeństwa, przekroczenie dopuszczalnej prędkości i przejeżdżanie na czerwonym świetle. Mimo to jedno musiał Chyłce oddać – nigdy nie zmieniała pasa bez kierunkowskazu.

– Dobrze się czujesz, Zordon?

– Świetnie.

– Nie wyglądasz najlepiej.

– Może dlatego, że jeżdżąc daihatsu, przyzwyczailem się do... normalnych prędkości.

– Normalne to one nie były. Ciągnąłeś się jak korek na chińskiej sto dziesiątce.

– Na czym?

Posłała mu spojrzenie z ukosa.

– Słyszałeś kiedyś o Titanicu? I górze lodowej, z którą się zderzył?

– Coś niecoś.

– A o tej tragedii nie?

– Nie wydaje mi się.

Chyłka westchnęła głęboko, jakby samo wspomnienie tego zdarzenia napawało ją głębokim smutkiem.

– Straszna rzecz – powiedziała. – Doszło do niej w dwa tysiące dziesiątym, kiedy na chińskiej autostradzie numer sto dziesięć zrobiło się ponad sto kilometrów korka. Kierowcy stali dziesięć dni.

– Brzmi rzeczywiście gorzej niż horror religijny.

Joanna potrząsnęła głową, jakby starała się odpędzić koszmar.

– Posuwali się naprzód o kilometr dziennie – powiedziała. – Śni mi się to czasem po nocach.

Nawet jeśli tak było, i tak jej zazdrościł. Sam od pewnego czasu zasypiał jedynie po to, by przewinąć swoje życie do przodu. Sen nie przynosił ukojenia, nie regenerował ani ciała, ani duszy. Ilekroć Oryński zamknął oczy, wracał do kolejnych wydarzeń w areszcie śledczym. Przeżywał je od nowa, od samego początku.

– Zordon?

Spojrzał na Joannę, uzmysławiając sobie, że o coś pytała.

– To zależy – odparł.

– Co?

– Pytałaś o coś, więc odpowiadam.

– W ciemno – zauważyła. – Bo wyraźnie nie słyszałaś, co mówiłam.

– Ano nie. Coś ważnego?

– Bardzo ważnego – odparła z powagą. – Oznajmiłam ci, jak radzę sobie z tymi chińskimi koszmarami.

– Jak?

– Wyobrażam sobie, że jadę amerykańską międzystanówką. W całej tej ich gigantycznej siatce, która ma prawie osiemdziesiąt tysięcy kilometrów, są tylko dwa skrzyżowania ze światłami. Dwa. Wyobrażasz sobie, jak bym tam zapierdalała?

Mimowolnie się uśmiechnął.

– Nic by mnie nie zatrzymało.

Zaparkowała pod budynkiem prokuratury i spojrzała w stronę tylnego wejścia.

– Mam wrażenie, że tutaj możesz powiedzieć to samo – rzucił Kordian.

– Dobrze prawisz, Zordon. Nawet bardzo dobrze.

Jakby na potwierdzenie tego oboje ruszyli szybkim i zdecydowanym krokiem w stronę ogrodzenia. Zanim jednak dotarli do bramy, zobaczyli Olgierda Paderborna wychodzącego z budynku.

Byli umówieni w jego gabinecie, ale prokurator najwyraźniej zmienił zdanie i nie miał zamiaru przyjmować ich u siebie. Opuścił teren placówki i wskazał jedną z ławek pod drzewem, nieopodal miejsca, na którym stała iks piątka.

Żadne z trojga prawników się nie odezwało, więc atmosfera natychmiast stała się napięta. Paderborn usiadł na ławce, a potem spojrzał na przednią szybę bmw.

– Co jest, Pader? – spytała Chyłka. – Szukasz biletu?

Nie odpowiedział.

– Szykujesz się do zmiany zawodu? – dodała. – Pomysł całkiem niezły, pasowałbyś mi na parkingowego. Opaleniznę już masz, choć pewnie...

– Mamy ważniejsze sprawy – uciął.

– Ważniejsze od opłaty za postój w strefie miejskiej? No coś ty. To żywotnie interesująca mnie kwestia. Szczególnie od momentu, kiedy zaczęła się inwigilacja przez parkometry.

– Nie ma żadnej...

– A jak inaczej nazwiesz obowiązek wprowadzania przez kierowcę swojego numeru rejestracyjnego?

Olgierd pokręcił lekko głową, nie odzywając się. Oryński uznał, że coś poważnego faktycznie jest na rzeczy, ale Chyłka zdawała się tego nie dostrzegać. A może widziała to jak na dłoni – i stąd te dywagacje.

– Dzięki temu wiecie, kto, kiedy, jak długo i gdzie się znajdował, nie? Bo dane z parkometrów idą prosto do ABW. A oni chętnie dzielą się z wami wszystkim.

Dopiero teraz Kordian uzmysłowił sobie, że to nie żadne przypadkowe dygresje, tylko przypomnienie, na co te dwie instytucje pozwoliły sobie w jego sprawie. Zaśmiał się w duchu. Nic, co robiła Chyłka, nie było przypadkowe.

– Usiądziecie? – rzucił oschle Olgierd.

– Nie. Będziemy wisieć nad tobą jak chmury burzowe. Tak jest bardziej adekwatnie.

Paderborn rozpiął marynarkę i rozparł się wygodniej na ławce, zakładając ręce za oparcie. Kordian skrzywił się i syknął pod nosem, uznając, że dominujący gest nie

zapowiada niczego dobrego.

Dopiero po chwili zreflektował się, że Joanna mu się przygląda.

– Coś nie tak, Zordon?

Oryński wskazał milczącego prokuratora.

– Jego barki są prawie tak szerokie jak sama ławka.

– No, no – rzuciła pod nosem. – Podoba ci się Pader? Nigdy bym nie powiedziała.

Właściwie z pewnych powodów byłam przekonana, że nie gustujesz w przysmakach z tej samej palety.

– Nie gustuję – odparł. – Ale nie musisz być głodna, żeby wiedzieć, że świeżo wypieczona pizza wygląda smacznie. Tak samo nie musisz być gejem, żeby docenić...

– Na tym może zakończmy – wpadła mu w słowo Chyłka i przeniosła wzrok na Olgierda. – Skąd ta pozycja samca alfa?

Odgiął się lekko, ale tyle wystarczyło, by mięśnie na klatce piersiowej wyraźnie się zarysowały. Prokurator nadal wydawał się przekonany, że wszystko kontroluje. Mimo to nie pozwolił sobie choćby na cień uśmiechu.

– Stąd, że chmury wiszą raczej nad wami.

– Nie zauważyłam.

– W takim razie powinnaś sprawdzić prognozę, bo sytuacja wyraźnie się zmieniła.

– W jaki sposób?

– Twój klient dał nogę.

Chyłka nie dała po sobie poznać zaskoczenia, ale Oryński doskonale wiedział, że nie miała pojęcia o zniknięciu Kranza. Oboje byli przekonani, że lekarz jest na miejscu. I czeka na pierwszą rozprawę.

– Nie ma go w Warszawie – dodał Olgierd.

– Skąd wiesz? Śledzicie go?

– Nie, odpowiada przecież z wolnej stopy.

Chyłka przewróciła oczami.

– W waszym przypadku ma ona tak dużo wspólnego z rzeczywistością, jak Wielka Stopa w Górach Skalistych, więc oszczędź sobie tych bzdur.

– Nie śledziliśmy go – powtórzył Paderborn. – Ale z oczywistych względów chcieliśmy porozmawiać z nim po tym, co zrobił Harry McVay.

– Lub co mu zrobiono.

Olgierd spoważniał jeszcze bardziej i zmienił pozycję. Tym razem położył ręce na kolanach i pochylił się lekko. Nagle zaczął przypominać dobrego starego kumpla, który do tej pory jedynie sobie żartował.

– Sprawdziliśmy dokładnie miejsce zdarzenia, Chyłka. Nie znaleźliśmy śladów świadczących o udziale osób trzecich.

– A Eratostenes z Cyreny nie miał dowodu na to, że Ziemia nie jest płaska. Mimo to był pewien, że ma rację. I proszę, proszę, okazało się, że rzeczywiście ją miał.

– Zapewniam cię, że...

– Że zrobiliście, co w waszej mocy. Wiem. Zazwyczaj to robicie, a skutki widać gołym okiem.

Unikała tematu zniknięcia Kranza, ale jeśli lekarz rzeczywiście postanowił

wyjechać, stanowiło to dla nich nie lada problem.

Paderborn podniósł się, a potem popatrzył na dwójkę prawników.

– Jeśli macie z nim jakiś kontakt, wytłumaczcie mu, że w ten sposób tylko sobie szkodzi.

– Wy szkodzicie znacznie bardziej, zarzucając mu zabójstwo Beaty Widery.

– Zarzucamy mu tylko to, na co wskazują dowody.

– Poszlaki.

Olgierd się nie odezwał, choć Chyłka wyraźnie liczyła na to, że uda jej się wciągnąć go w wymianę zdań. Może właśnie dlatego tu przyjechali? Nie zdradziła Kordianowi powodu, dla którego umówiła spotkanie z Paderbornem. Być może chciała wy badać, jak mocny materiał ma prokuratura.

– W dodatku te poszlaki są dość marne – dodała.

– To ty tak sądzisz.

– Nie tylko ja. Potwierdzi to też każdy biegły informatyk.

Oskarżyciel po raz pierwszy sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– A powołam ich cały legion – zapowiedziała. – I zapewniam cię, że będzie składał się przede wszystkim z młodych, zdolnych i kreatywnych ludzi, poirytowanych waszymi zakusami na ograniczanie swobody w internecie.

– Ale...

– Ale dlaczego w ogóle wspominam o informatykach? – przerwała mu z satysfakcją. – A jak myślisz?

Po raz kolejny nie doczekała się odpowiedzi. Tym razem jednak zapewne dlatego, że Olgierd nie wiedział, jakiej powinien udzielić.

– Może dlatego, że wiem, co uznajecie za dymiący pistolet w tej sprawie – rzuciła, obserwując jego reakcję. – I po twoim zdziwieniu widzę, że mam rację. Dzięki, Pader.

Skinąwszy na Oryńskiego, Joanna odwróciła się w stronę iks piątki. Żadne z nich nie pofatygowało się, by pożegnać Paderborna choćby zdawkowym skinieniem, a po chwili odjeżdżali już Chocimską w stronę placu Unii Lubelskiej. Iks piątka przemknęła obok głównego wejścia do prokuratury na rogu, a potem Chyłka bez pardonu włączyła się do ruchu, skręcając w Klonową.

Oryński zabębnił palcami o deskę rozdzielczą.

– Wytłumaczysz mi, co się właśnie stało? – odezwał się.

– Musiałam coś potwierdzić.

– Zauważyłem. Paderborn chyba zresztą też.

– I chciałbyś wiedzieć, co to takiego?

– Tylko jeśli to rzeczywiście istotne.

– Nie fatygowałabym się w te smętne rejony Mokotowa, gdyby było inaczej.

– Nie są smętne. Zresztą gdzieś tutaj mieszkał kiedyś Gombrowicz i...

– Chodzi o to, Zordon, że list pożegnalny Beata napisała na komputerze – wpadła mu w słowo Joanna.

Oderwał wzrok od zdezorientowanego przechodnia na pasach, którego Chyłka minęła w odległości najwyżej kilkudziesięciu centymetrów. Nieszczęśnik mylił się, sądząc, że może spokojnie wejść na zebrać tylko dlatego, że ma zielone światło.

– I co w tym dziwnego? – zapytał Kordian.

– To, że testament napisała ręcznie.

– Jak każdy, kto chce, żeby jego ostatnia wola była ważna.

Testament holograficzny był jego zdaniem reliktem przeszłości, ale nie miał zamiaru o tym wspominać. Wydawało mu się absurdalne, że wszystko inne może zostać spisane na komputerze i opatrzone zwykłym podpisem, a ostatnia wola musi być w całości sporządzona odręcznie, inaczej staje się nieważna. Kiedyś być może nie stanowiło to problemu, bo maszyny do pisania co do zasady mieli ci, którzy rozeznawali się w tych sprawach, ale teraz? Z łatwością mógł wyobrazić sobie staruszków na zapadłej wsi ze starym pecetem, z perspektywy których komputerowy wydruk zdawał się bardziej wiarygodny.

– Jedno i drugie napisała mniej więcej w jednym czasie – powiedziała Joanna. – Przynajmniej według tego, co ustalił Kormak. A ja mu wierzę.

– Ja nie, ale tylko dlatego, że znam go lepiej niż ty.

Chyłka puściła tę uwagę mimo uszu, a Kordian zrozumiał, że jego towarzyszka odpłynęła myślami.

– Byłoby logiczne, gdyby obydwaj dokumenty sporządziła w ten sam sposób – mruknęła.

– Przyszli samobójcy raczej nie cechują się wielką logiką – zauważył Oryński.

– Wiesz to z autopsji?

– Nie. Nie jestem jeszcze na tym etapie. Choć stan depresyjny już z całą pewnością mam.

Joanna wzruszyła ramionami.

– Niespecjalnie cię to martwi – zauważył.

– Tak mnie ukształtowało społeczeństwo, które martwi się czyjąkolwiek depresją dopiero, kiedy nieszczęśnik pożegna się ze światem.

– To ma mnie podnieść na duchu?

– A potrzebujesz podnoszenia?

– Raczej tak.

– W takim razie: głowa do góry.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem, a Chyłka posłała mu uśmiech tak krótki i nieznaczny, że właściwie mógłby uchodzić za mikroekspresję.

– Czekasz na więcej?

– Tak.

Odchrząknęła cicho.

– Nie przejmuj się. Dasz radę. Zuch chłopak.

– Dzięki – odbąknął i przez chwilę milczał. – Ale nawet gdybyś sobie nie drwiła, to doskonale wiesz, że mówienie osobie w depresji, żeby się nie przejmowała, jest równie pomocne, jak powiedzenie komuś z chorobą Alzheimera, żeby przestał zapominać.

– Poradzisz sobie. Mówiłam ci już, że zjechałeś z życiowego ronda. Przed tobą prosta droga do celu.

Problem polegał na tym, że sam nie wiedział, co konkretnie jest tym celem. Przynajmniej w szerszej perspektywie. Ta węższa była znacznie łatwiejsza do oceny.

– Mniejsza z tym – rzucił. – Wróćmy do tego listu.
– Chętnie.
– To wciąż nic podejrzanego. Ludzie piszą teraz więcej na klawiaturze niż odręcznie.

– Nie rozumiesz, Zordon.
– Nie, najwyraźniej nie.
– Nie wzbudziłoby mojego zdziwienia to, że napisała list pożegnalny na tablecie, macbooku czy innym sprzęcie, na którym by go potem zostawiła. Ale to nie do końca tak.
– A jak?
– Po napisaniu tego listu wydrukowała go.
– I co z tego? Chciała, żeby testament i list znajdowały się w jednej kopercie.
– Tyle że w niej nie wylądowały. Ostatnia wola była w jej mieszkaniu, a list w kanciapie przy Grójeckiej, gdzie znalazł go Kranz.

Oryński zmarszczył czoło. Nadal nie oznaczało to niczego konkretnego, ale najwyraźniej coś mu umknęło. Coś, co Chyłka zweryfikowała podczas rozmowy z Paderbornem, choć ten nie miał zamiaru tego przyznać.

– Powiesz mi w końcu, o co chodzi? – spytał Kordian.
– Nie wiem. Czerpię nieopisaną przyjemność z dręczenia cię.

Kordian odwrócił się w jej stronę, ale ona wbijała wzrok przed siebie, jakby szykowała się do wykonania szeregu skomplikowanych manewrów na torze wyścigowym.

– Słyszałaś kiedyś, że potwory nie istnieją? – spytał.
– No – odbąknęła. – Nie muszą, bo są ludzie.
– Ktokolwiek na to wpadł, miał na myśli ciebie.

Tym razem na niego popatrzyła.

– To jeden z najpiękniejszych komplementów, jakie od ciebie usłyszałam.
– Wiem.
– W nagrodę powiem ci, co wzbudziło moje podejrzenia – oznajmiła, nagle zmieniając pas. – Beata Widera nie miała drukarki.

Kordian milczał, czekając na coś więcej.

– To wszystko? – zapytał.
– Tyle w zupełności mi wystarczyło, żeby odkryć, jaki dowód ma prokuratura – odparła, jakby nieco zawiedziona tym, że jemu najwyraźniej potrzeba było więcej informacji. – To bez sensu, Zordon. Dziewczyna pisze testament, potem chowa go do koperty, odkłada pióro, siada do komputera i pisze list pożegnalny, żeby go później wydrukować. Po co? Tym bardziej że nie ma drukarki i będzie się musiała pofatygować do znajomych?

Teraz Kordian zaczynał rozumieć.

– To niepotrzebne ryzyko – dodała Joanna. – Ktoś mógłby zobaczyć, co drukuje. I cały plan poszedłby w strzępy.

– W porządku, może to nie do końca sensowne.

– Ale w pełni sensowne jest to, że list został wydrukowany na sprzęcie Kranza – obwieściła bez cienia wątpliwości. – To jest dymiący pistolet. To jest dowód.

Jeśli ktoś rzeczywiście chciał zrobić ginekologa w zabójstwo, właściwie był to idealny sposób. Wystarczyło udowodnić, że to na jego komputerze powstał plik. Lub że list wydrukowano właśnie u niego.

Później wystarczyłaby odpowiednio przekonująca narracja prokuratury. Bez większego trudu wykazano by, że Rafał spreparował nie tylko pożegnalną wiadomość, ale także samo pożegnanie.

– Założmy, że masz rację.

– Nie zakładajmy tego, Zordon, tylko przyjmijmy za jeden z filarów, na którym opiera się istnienie świata.

Skinął głową, byleby szybko zbyć temat.

– Jak mieliby udowodnić, że to na drukarce Kranza powstał list?

– Pierwszy sposób jest oczywisty, ślad po pliku zostałby na jego komputerze.

– Tyle że drukować można i przez USB, i z innego sprzętu, i bezprzewodowo po sieci, i...

– I niedługo będzie pewnie można, dyktując treść Siri albo innemu gadającemu asystentowi – dokończyła za niego. – Wszystko to prawda, ale przed jednym nie uciekniesz.

– Przed bólem, cierpieniem i ogólną beznadzieją życia?

– Przed nimi też – przyznała. – Ale w tym wypadku miałam na myśli znowę wielkich korporacji z rządami.

Przypuszczał, że przy okazji zająknie się o jego rzekomym zamiłowaniu do teorii spiskowych. Tym razem jednak Chyłka z jakiegoś powodu odpuściła zwyczajowy przytyk.

– Nie każdy o tym wie, ale wszystkie większe firmy produkujące drukarki mają podpisane umowy z krajowymi władzami – ciągnęła. – Sprowadzają się one do obowiązku drukowania niedostrzegalnych gołym okiem oznaczeń, z których można korzystać przy badaniach kryminalistycznych. Do dwa tysiące siedemnastego lista konkretnych modeli była ogólnie dostępna, ale potem firmy przestały udostępniać te dane.

– Sądziś więc, że prokuratura potwierdziła, że drukarka Kranza została użyta.

– Jestem tego pewna, Zordon.

– W takim razie mają mocny dowód.

– Wystarczający, żeby wygrać proces.

Oryński pokiwał głową zamyślony.

– I wystarczający, żebym uznał, że Rafał Kranz rzeczywiście może być winny – dopowiedział. – Bo wszystko to zaczyna się układać w naprawdę niepokojącą całość.

Nie skwitowała, ale w tym wypadku milczenie wydawało się zgodą.

ul. Alzacka, Saska Kępa

Najpierw alkohol, potem artykuły spożywcze – tak przedstawiała się frontowa ekspozycja żabki, przed którą stała Chyłka. Wsunęła ręce do kieszeni, jakby to mogło sprawić, że nie otworzy drzwi spożywcza, nie wejdzie do środka i po chwili nie opuści go z butelką tequili.

Zrobiła krok do przodu, ale się zawahała. Żałoba. Ta jedna myśl wystarczyła, żeby Joanna odłożyła kupno butelki na jakiś czas.

Na jak długo konkretnie, nie wiedziała. Pamiętała, że w przypadku śmierci żony czy męża należało nosić żałobę przez ponad rok, w przypadku rodziców pół roku. Ale dziecka? To nie była powszechna wiedza. Nie bez powodu.

Ostatecznie Chyłka doszła do wniosku, że w tym wypadku żałoba nigdy się nie kończy.

Potrzebowała innej cezury czasowej i postanowiła, że będzie nią czas trwania stanu poporodowego. Dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, że to nieadekwatne określenie. Poszukała w internecie lepszego, bardziej odpowiadającego temu, co ją spotkało. Na zapytanie o „stan popołogowy” w Google wyskoczyło jej jednak tylko kilka wyników.

Czuła się, jakby należała do wąskiego grona osób, które przeżyły taką tragedię. W rzeczywistości nie była jedyna. W samych Stanach, gdzie opieka prenatalna stała przecież na wysokim poziomie, rocznie dochodziło do kilkudziesięciu tysięcy martwych urodzeń.

Joanna wyciągnęła ręce z kieszeni i ruszyła w stronę wejścia do sklepu, nie zastanawiając się, co ma zamiar zrobić. Był to zwykły odruch. Kiedy złapała za klamkę, rozległ się dzwonek telefonu.

Zamarła, a potem wyjęła komórkę. Dzwonił Artur Żelazny, z pewnością po to, by poinformować, że jest już w umówionym miejscu. Tym razem to on miał się pofatygować do niej, nie odwrotnie.

Chyłka zajrzała przez szybę do sklepu, a potem odwróciła się i odeszła. Skierowała się szybkim krokiem ku Saskiej i po chwili skręciła w prawo. Po niecałych dwustu metrach dotarła do niewielkiego parkingu i już z oddali dostrzegła samochód Żelaznego.

Skinęła na niego, mijając auto. Siwy, zadbany mężczyzna w garniturze wysiadł z drogiego samochodu bez wahania. Joanna doskonale wiedziała, skąd ta uległość.

Poczekala na niego przy budce z kebabem, a kiedy do niej dołączył, wzięła *dürüm döner*.

– Znalazłoby się lepsze miejsce na spotkanie – zauważył Artur.

– Nie, nie znalazłoby się – odparła, wskazując menu. – Weź picie, żebyśmy się nie powtarzali.

– Dziękuję, już jadłem.

Chyłka odgryzła stanowczo zbyt duży kawałek duruma, by łatwo poradzić sobie z jego przeżuciem. Obracając go w ustach, patrzyła wyczekująco na Żelaznego. Sprawę, z którą do niej przyszedł, chciała załatwić jak najszybciej. A potem zając się Rafałem Kranzem.

Wcześniej tego dnia lekarz w końcu się do niej odezwał. Wydusiła z niego wszystko, co mogła, a teraz pozostało jej zbadać każdy aspekt jego tłumaczeń.

Potrzebowała tego. Teraz bardziej niż kiedykolwiek praca mogła przynieść jej choć trochę ukojenia.

– Ale ty najwyraźniej się głodziłaś.

Wymamrotała, że tak, bo nie jadła od dobrej godziny, ale odniosła wrażenie, że nie zrozumiał.

– Powinniśmy porozmawiać – dodał.

– Właśnie... to... robimy – odparła, na moment umieszczając nadmiar ciasta, mięsa i warzyw za zębami.

– Niezupełnie. Ty miałeś turecką baraninę, a ja staram się...

– Właściwie jest polska – ucięła. – I z baraniną więcej wspólnego masz ty niż moje danie.

Rozmówca się skrzywił.

– Znasz to powiedzenie o wilku w owczej skórze, nie? – zapytała, ale nie miała zamiaru czekać na odpowiedź. – W twoim przypadku trzeba by je odwrócić.

Żelazny rozejrzał się niepewnie. Nie przywykł do prowadzenia rozmów w takich miejscach. I właśnie dlatego to na nie zdecydowała się Chyłka.

– Sugeruję, że jesteś baranem w wilczej skórze, Artur.

– Tak, domyśliłem się, co masz na myśli.

– Więc domyślasz się też, że nie możesz liczyć na mnie w tym, co planujesz.

– A co to takiego?

Joanna ugryzła donera, tym razem starając się wziąć jeszcze większy kęs. Trochę sosu skapnęło z kebabu, ale Chyłka zrobiła sprawny unik i maź wraz z kilkoma kawałkami warzyw wylądowała na chodniku.

Proponując to spotkanie, Żelazny dobrze wiedział, że Joanna będzie świadoma, jakie motywacje mu przyświecają. I do czego mogą doprowadzić w najbliższej przyszłości.

– Jedyne, co planuję, to odpowiednio zając się sprawą Harry’ego.

Gdyby nie miała pełnych ust, z pewnością zrugowały go za eufemizm i skorygowała: nie sprawą, ale zabójstwem. Być może jednak tak naprawdę nie musiała tego robić, bo Artur równie dobrze jak ona wiedział, że McVay nie odebrałby sobie życia.

– Trzeba zorganizować pogrzeb, zając się szeregiem kwestii urzędowych i...

– I biznesowych – dopowiedziała niewyraźnie Joanna. – Bo o to ci chodzi.

– Cóż, kancelaria musi działać.

– Pod twoim przewodnictwem, rzecz jasna.

– Zmiany siłą rzeczy są nieuniknione.

Przełknęła ostatni kawałek i zgromiła rozmówcę wzrokiem.

– Naprawdę mógłbyś odczekać jeszcze trochę, zanim zaczniesz się sadzić na

przejęcie części Harry'ego – zauważyła.

– Nie sadzę się na nic. Mówię tylko, że jego odejście wszystko zmienia.

– Nie wszystko.

Pokręcił bezradnie głową, jakby rozmawiał z nastolatką i nie mógł przekonać jej do czegoś, co dla osób z większym doświadczeniem życiowym jest oczywistością.

– Nie ma Żelaznego & McVaya bez jednego z imiennych partnerów – powiedział ze spokojem, być może nawet z wyrachowaniem. – To chyba jasne.

– Jasne jest to, że chcesz samowładztwa. I by je osiągnąć, potrzebujesz mojego poparcia.

– To nie tak.

– To właśnie tak – zaproponowała, odchylając kawałek wrapsa. Dostała stanowczo za dużo kapusty pekińskiej. – Ta pieprzona kancelaria nigdy nie była zgraną drużyną, tylko dwoma zwalczającymi się obozami. Jeden właśnie stracił lidera i obawiasz się, że to ja przejmę po nim schedę.

– Ty?

Sprawiał wrażenie, jakby traktował takie wyjście jako niedorzeczność, ale stanowiło to jedynie grę. Doskonale wiedział, kogo obóz McVaya darzył największym szacunkiem. Tylko Chyłka mogła zebrać wszystkich zwolenników Brytyjczyka z Warszawy, Krakowa i innych miast. Być może jako jedyna. I być może jeśli ona nie skonsoliduje tych ludzi, nikt tego nie zrobi – a obóz McVaya po prostu przestanie istnieć.

Skończy się podział kancelarii, a Żelazny zacznie zbierać niedobitki strony przeciwnej. Pojawi się pewien opór, niektórzy być może będą mieli zakusy na stworzenie przeciwwagi dla grupy Artura, ostatecznie jednak nikomu się to nie uda.

– Z całym szacunkiem, ale od pewnego czasu robisz wszystko, żeby stać się raczej ciężarem niż atutem tej firmy – powiedział Żelazny, nie patrząc na nią.

Obróciła się w jego stronę i poczekała, aż spojrzy jej w oczy. Zrobił to po dłuższej chwili.

– Gdyby w całym tym twoim pierdoleniu tkwiło choć ziarno prawdy, nie spotkałbyś się ze mną pod budą z kebabem, Artur – zauważyła, a potem zawinęła donera w papier. Opuścił ją apetyt. – Chcesz usłyszeć ode mnie deklarację, że ci nie zagrozę. Może nawet, że cię poprę. Że nie wyciągnę ręki po władzę, że zrezygnuję z możliwości stania się imiennym partnerem, która się przede mną otworzyła. Że przymknę oko na mały zamach stanu, który planujesz. I że przegapię okazję, żeby popchnąć swoją karierę do przodu. Tego oczekujesz, prawda?

Chciał odpowiedzieć, ale Joanna mu na to nie pozwoliła.

– Jeśli tak, to mnie, kurwa, nie znasz.

Odwróciła się i ruszyła w stronę Argentyńskiej, nie mając zamiaru nawet zdawkowo machnąć mu na pożegnanie. Czując na sobie jego spojrzenie, przyspieszyła kroku. Minęła zabkę, co znów wiązało się z natłokiem myśli w głowie, a potem wsiadła do iks piątki.

Odetchnęła. Czowała się lepiej w znajomym otoczeniu, w dodatku wiedziała, co musi zrobić. Nie mogła zajmować się teraz Żelaznym i sprawami kancelarii. Kluczowe było to, by jak najprędzej rzucić się w wir pracy.

Uruchomiła silnik i pojechała do Śródmieścia. Widząc wolne miejsce przy żółtym daihatsu, zaparkowała obok niego, a potem skierowała się do mieszkania jego właściciela.

Zanim Kordian jej otworzył, minęło sporo czasu. Miała wrażenie, że czekała przed drzwiami dłużej, niżby to wynikało z logiki.

Stanął w progu lekko zasapany, jakby właśnie skończył trening interwałowy. Chyłka przyjrzała mu się uważnie, zerknęła do środka, a potem ruszyła przed siebie. Omiotła wzrokiem kawalerkę.

– Nikt nie sprząta szybciej od faceta, któremu wydaje się, że umoczy.

Oryński zdawał się nieco zmieszany.

– Co? – spytała. – Zbyt bezpośrednio?

– Nie. Po prostu nieswojo się czuję, ilekroć używasz nomenklatury napalonych licealistów.

– Już ci kiedyś tłumaczyłam, że dostosowuję się do rozmówcy. To cenna cecha.

Szybkim ruchem zrzuciła żakiet, a potem zawiesiła go w pokoju. Weszła do aneksu kuchennego i otworzyła szafkę, w której powinny być nerkowce. Nie zawiodła się.

– Ale odsuń łóżkowe perspektywy, Zordon – powiedziała, siadając przy stole.

– Na jak długo?

– Powiedzmy, że dopóki nie pozbędę się obwisłego brzucha.

Usiadł naprzeciwko i przełknął ślinę.

– I dopóki nie przestanę odciągać mleka.

– Może niepotrzebnie zaczęliśmy...

– Nie, dlaczego? Chętnie wygadam się komuś, jeśli chodzi o sprawy kobiece. Próbowalam na jednym z forów, ale jak tylko rozmowa zesłała na fantazje seksualne inspirowane E.L. James, uciekłam w popłochu.

Oryński spojrzał wymownie na paczkę orzeszków, a Chyłka przysunęła ją bliżej siebie. Przyjechała tutaj, żeby dzielić się informacjami, nie nerkowcami.

– Wiesz, co mnie najbardziej martwi, jeśli chodzi o *Pięćdziesiąt twarzy Greya*? – spytała.

– To, że ktoś je czyta?

– Nie. To, że w naszym DNA jest sześć przecinek cztery miliarda par bazowych.

– Rzeczywiście. Bardzo niepokojące.

– Nie, nie, posłuchaj – rzuciła poważnie. – Różnice w DNA występują na poziomie jakiejś jednej dziesiątej procenta, a to oznacza, że różnimy się przeciętnie niemal sześcioma i pół milionami par bazowych.

– Chyba się pogubiłem.

– Zaraz się odnajdziesz. Bo to oznacza, że szansa, iż dwie osoby na świecie mają identyczne DNA, jest jak jeden do sześciu i pół miliona.

– Mhm.

– Nie ma dwóch identycznych ludzi – ciągnęła. – Szansa na to jest dokładnie taka sama, jak to, że sześć i pół miliona razy podrzucisz monetę i za każdym razem wypadnie ci orzeł.

– No tak, ale...

– Wiesz, co to znaczy? Zdajesz sobie sprawę, ile różnych twarzy jest na całym

głobie? – ciągnęła z coraz większym strachem w głosie.

– Znacznie więcej niż pięćdziesiąt.

– Otóż to! Wyobraź sobie, ile potencjalnych sequeli ta kobieta może napisać.

Zaśmiał się pod nosem i pokręcił bezradnie głową. Chyłka wrzuciła nerkowca do ust, a potem przeżuwała go powoli, wbijając wzrok w okno. Dopiero po chwili potrząsnęła głową i wróciła do realnego świata.

– Ale dość apokaliptycznych wizji – powiedziała. – Mamy światełko w tunelu.

– Jakie?

– Kranz w końcu się ze mną skontaktował.

Oryński nagle spoważniał.

– I? – odezwał się. – Wyjaśnił, dlaczego ucieka przed prokuraturą?

– Twierdzi, że nie przed prokuraturą, ale przed dziennikarzami. Rzucili się na niego jak wygłodniałe koty na miskę mleka.

– Koty nie piją mleka, Chyłka.

– Nie? – zapytała bez przekonania. – A ty co, stałeś się specjalistą? Imię zmieniłeś na Jarosław?

– To podstawowa wiedza – odparł, a potem machnął ręką. – Ale chętniej posiadałbym tę o Kranzu. Co on wyprawia?

– Mówi, że musiał dać nogę, bo nie wytrzymał. Jego żona też nie.

Kordian przez chwilę się namyślał, raz po raz spoglądając na paczkę orzeszków. W końcu chyba ostatecznie zrezygnował z dobrania się do nich.

– Zastanawiam się... – zaczął. – Rozmawiałaś z nią o tamtym zdjęciu z Tropical Islands?

– Pewnie. Potwierdziła, że była tam z mężem. I że nigdy nie widziała Beaty Widery w jego pobliżu, co akurat nie byłoby niczym dziwnym, nawet gdyby miał z nią romans.

Oryński potwierdził cichym pomrukiem.

– Ale rozmowa z nią niespecjalnie mnie interesowała. Liczyło się to, co miał mi do powiedzenia Rafał.

– A co miał?

Odgięła się do tyłu i coś strzeliło jej w plecach. Miała wrażenie, że ciało nigdy nie wróci do siebie po przebytej ciąży. Ale być może tak powinno być. Być może psychika i fizjologia powinny iść w parze.

– Zapytałam go, czy wypisał Widerze receptę na te środki, którymi się otruła. Zarzeka się, że nie. I że może to udowodnić.

– To chyba dobrze, nie?

– Chyba – przyznała. – Bo nie wiem, na ile to prawda. Będzie trzeba sprawdzić bazy danych... czy cholera wie co. Nie nadążam już za tymi wszystkimi nowinkami od NFZ-u.

Miała wrażenie, że nie ona jedyna – i że fundusz wyprzedza w tym względzie sam siebie, wprowadzając zmiany, których nawet minister nie zdążył zrozumieć. Nie wiedziała, czy istnieje jakiś ogólny rejestr recept, do którego obligatoryjnie wprowadza się wszystkie przepisane leki.

– W takim razie nasza linia obrony ma się opierać na tym, że zdjęcie to wyjątkowo

dobrze zrobiony fotomontaż, a recepta była fikcyjna? I że wystawił ją ktoś inny lub sfalszowała sama Widera?

– Jeśli idzie o te dwie sprawy, tak. Ale to trzeci argument prokuratury jest najpoważniejszy.

– Wydruk – bąknął Oryński. – Pytałaś o to Kranza?

– A jak myślisz? Od tego zaczęłam. Utrzymuje, że nie ma o niczym pojęcia i że to niemożliwe, żeby ktokolwiek przepuścił coś przez drukarkę bez jego wiedzy.

Kordian nie wydawał się przekonany, a ona się nie dziwiła. Domorosłemu hakerowi do pełni szczęścia właściwie wystarczyłoby, żeby drukarka miała funkcję działania w sieci. A takich było coraz więcej.

– Widzę twój brak wiary, Zordon.

– Wiem – przyznał. – I przypuszczam, że widziałabyś też swój, gdybyś była na moim miejscu.

– Niezupełnie, bo Kranz oznajmił mi, że drukarkę ma w gabinecie, nie w domu.

– I to z jakiegoś powodu znaczące?

– Z takiego, że zawsze przed wyjściem z roboty przełącza niewielki magiczny pomarańczowy przycisk na rozgałęziaczu – odparła ciężko i uświadomiła sobie, że jej głos sugeruje, jakby liczyła, że któreś tłumaczenie Kranza okaże się wewnętrznie sprzeczne, a on sam winny.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Że albo gospodarz jest w gabinecie, albo sprzęt jest wyłączony, bo Kranz zawsze wyłącza złodziejkę. Utrzymuje, że nikt oprócz niego nie mógłby skorzystać z drukarki.

Kordian zaklął pod nosem.

– To problematyczne. I kładzie całą naszą linię obrony.

– Nie przeczę.

– A jednak wspomniałaś o promyku nadziei.

– Nie zobaczyłeś go?

– Jakoś niespecjalnie.

– A uwidoczniałam ci go już na samym początku.

– Masz na myśli żonę? – zapytał, a ona szybko skinęła głową. – Jej zeznania nie będą miały wielkiego znaczenia, bo po pierwsze... cóż, jest żoną. Po drugie nie ma nic wspólnego z receptą, a po trzecie nie obali zarzutu z wydrukiem.

– Nie szkodzi.

– Nie?

– Wystarczy, że poda w wątpliwość samo zdjęcie – powiedziała z przekonaniem Chyłka, zamykając paczkę nerkowców. – Dzięki temu rozpoczniemy skomplikowaną operację wszczepiania wątpliwości do umysłów sędziów.

– Jakoś mnie to nie przekonuje.

– Zeznania żony będą pierwszym nacięciem, ale zapewniam cię, że sięgniemy w głąb ich mózgowcaszek.

– Planujesz trepanacje?

Joanna z namaszczeniem opuściła głowę.

– W przypadku mózgow sędziów? Zawsze, mój drogi – skwitowała. – Mój świder

wkręci się wyjątkowo głęboko, a w rezultacie członkowie składu orzekającego zostaną uleczeni z wybiórczej ślepoty, na którą cierpią.

– I co dostrzegą?

– Spisek. Manipulację. Zmowę.

– A konkretnie?

– Konkretnie to nie wiem – przyznała i pozwoliła sobie na niewyraźny uśmiech. – Ale jedno stanie się dla nich jasne: skoro ktoś sfalszował zdjęcie, to najwyraźniej w całej tej sprawie chodzi o wrobienie Kranza. A jak już dorzucę im w pakiecie potencjalnego innego sprawcę, uznam, że operacja się udała. Pacjent nie przeżył.

Chyłka była przekonana, że przynajmniej do pewnego stopnia uda jej się zrealizować ten plan. Podstawowa technika w obronie osoby podejrzanej o zabójstwo była prosta – należało przedstawić sądowi i prokuraturze wiarygodną wersję alternatywną. A przede wszystkim kandydata na prawdziwego zabójcę. Kozła ofiarnego.

Zeznania żony były idealnym przyczynkiem do zbudowania odpowiedniej teorii – bo skoro jeden dowód został spreparowany, inne także mogły. Żaden z sędziów nie przejdzie obok tego obojętnie.

Joanna czuła, że jest na dobrej drodze. I tkwiła w tym przekonaniu aż do momentu, kiedy zadzwoniła do niej żona Kranza.

Zobaczywszy, czyje imię i nazwisko widnieją na wyświetlaczu, Chyłka natychmiast podniosła rękę, uciszając Kordiana, i odebrała, jakby chodziło o zaproszenie do programu od samego Wojewódzkiego.

Kobieta przeprosiła ją już na samym początku rozmowy, była wyraźnie rozstrzęsiona. Nie zapowiadało to niczego dobrego.

– Zaraz... – jęknęła Chyłka. – Co pani...

– Nie mogę kłamać w sądzie. Przepraszam.

– Moment, moment.

– Pani mecenas... to ponad moje siły... Nie chcę, nie potrafię tego zrobić.

– Ale...

– Nie byłam z nim w tamtym parku wodnym – dodała trzęsącym się głosem. – I nie mogę... po prostu nie mogę dłużej...

Nie dokończywszy, rozłączyła się. Joanna zamarła z komórką w dłoni, nie wiedząc, co zrobić. Czuła na sobie pytające spojrzenie Oryńskiego, ale je zignorowała. Zaklęła pod nosem i ponownie wybrała numer żony Kranza. Kobieta jednak nie odpowiadała.

Chyłka trzasnęła telefonem o blat stolika.

– Co się stało? – zapytał Oryński.

– A jak myślisz?

– Wycofała zeznania?

– Tak.

– Ale... dlaczego?

Joanna nie odpowiadała.

– Przecież to zdjęcie naprawdę jest fotomontażem.

– Może jednak nie – odburknęła niewyraźnie.

– Jak nie, skoro zostało zrobione po śmierci Widery?

Chyłka potarła skronie, starając się nie myśleć o tequili.

– Albo to fotomontaż, albo dziewczyna zmartwychwstała, żeby zrobić sobie fotkę z Kranzem – dodał Kordian. – Jak inaczej to wytłumaczysz?

Nie miała zamiaru odpowiadać na żadne z retorycznych pytań. Obracała je w głowie, szukając odpowiedzi, stanowczo zbyt długo.

Mimo to wciąż nie wiedziała, o co w tej sprawie tak naprawdę chodzi.

– Dostyc tego – rzuciła, podnosząc się. – Bierz nerkowce. Wychodzimy.

– Dokąd?

– Do miejsca, z którego dalej poprowadzi nas głos z zaświatów.

Nie zabrzmiało to zbyt uspokajająco, ale Chyłka nie zamierzała tracić ani minuty więcej na spokój. Uznała, że najwyższa pora wejść na najwyższe obroty.

Elsnerów, Targówek

W takiej sytuacji większość prawników, których znał Oryński, zwiesiłoby głowę i uznało, że dostali od losu zbyt mocno w kość. Chyłka jednak nie należała do większości. Fakt, że wytracono im z ręki najmocniejszy argument, zdawał się sprawiać, że w Joannę wstąpiły nowe siły.

Na potwierdzenie tego pobiła chyba miejski rekord przejazdu ze Śródmieścia na północno-wschodnie rubieże Warszawy. Zatrzymali się pod ogrodzonym, zapuszczonym domem, niedaleko miejsca, w którym zaczynały się Ząbki.

– Czyń honory, odźwierny – rzuciła Chyłka.

Kordian wysiadł z auta i przeskoczył przez płot. Odciągnął zardzewiałą zasuwę bramy, a potem otworzył ją na oścież. Przypomniawszy sobie, że ostatnim razem polecił mu to zrobić Harry McVay, kiedy znaleźli się tutaj, by omówić najważniejsze kwestie dotyczące sprawy Langerera.

Chyłka wjechała na teren posesji, a potem rozejrzała się niepewnie.

– Jest jeszcze gorzej niż wcześniej – zauważyła. – Chaszcze większe niż w środku amazońskiej dżungli. Tylko tubylców brakuje. I kilku protestujących ekologów.

– Dzwonić po Wajraka?

– Nie, po taki kaliber sięga się tylko, żeby bronić Puszczy Białowieskiej.

Trawa, samosiejki i chwasty rzeczywiście potęgowały wrażenie, że nieruchomość została porzucona i pozostawiona na pastwę losu. W rzeczywistości jednak Harry czasem tu przebywał, płacił także pewnej kobiecie, by zaglądała od czasu do czasu. Zajmowała się jednak wyłącznie tym, co w środku, najwyraźniej nie dostrzegając, że coraz trudniej było przedostać się do drzwi wejściowych.

Chyłka pociągnęła za klamkę, ale drzwi ani drgnęły.

– Co za absurd... – mruknęła. – Równie dobrze można by zamykać pojemniki na kompost.

Porównanie było trafione, przynajmniej jeśli wziąć pod uwagę smród, który unosił się w powietrzu. Gdzieś w okolicy coś bez wątplenia gniło i Oryński miał tylko nadzieję, że na obejściu, a nie wewnątrz budynku.

– Poczekaj tutaj – poleciła Chyłka i ruszyła w stronę ulicy.

– A ty dokąd?

– Do sąsiadki.

Dopiero teraz Kordian przypomniał sobie, że kobieta, której płacił McVay, mieszkała tuż obok. I że zobowiązywała się do wizyt raz w miesiącu, głównie po to, żeby przewietrzyć mieszkanie.

Oryński powiódł wzrokiem po azbestowym dachu, dostrzegając, że kilka dachówek

ledwo się trzyma. Nie ulegało wątpliwości, że przy pierwszej większej wichurze odlecą w siną dal.

Chyłka po chwili wróciła z kluczem i skinąwszy na Kordiana, weszła do środka. Oryński spodziewał się podmuchu stęchlizny, ale zamiast tego poczuł odświeżacz powietrza. Przywodził na myśl zapach świeżo skoszonej trawy w lekko mglisty dzień.

– Harry musiał niedawno tutaj być – zauważył.

– Był.

– Wiedziałaś, że przyjechał do Warszawy?

– Nie. Ostatnie informacje od niego miałam, kiedy był w Krakowie.

– Zazwyczaj chyba...

– Mówił mi, kiedy miał wpaść, tak – ucięła. – Ale tym razem najwyraźniej uznał, że nie muszę wiedzieć.

– Że nie musisz czy że nie powinnaś?

– Raczej to drugie – przyznała, kiedy wchodzili do kuchni.

W tym miejscu także niewiele się zmieniło. Na drewnianym emaliowanym stole leżała czerwono-biała cerata, którą śmiało można by przekazać na wystawę przedstawiającą życie we wczesnym PRL-u.

Brakowało radia Jowita, które chyba i tak już nie działało. Najwyraźniej McVay pozbył się kilku rzeczy. Zostawił jednak wyposażenie szafek, o czym Kordian przekonał się, kiedy Chyłka wyciągnęła dwa przezroczyste kubki do kawy.

Nastawiła wodę, a Oryński skrzywił się na samą myśl o liczbie drobnoustrojów, które pokrywają ścianki naczynia, i o ilości osadu w czajniku.

– Czujesz się jak u siebie – zauważył.

– Byłam tu kilka razy – odparła nieobecnym głosem, rozglądając się. – Ale zawsze po to, by szybko załatwić, co miałam do załatwienia, i stąd czmychnąć. Teraz zamierzam zostać tu trochę dłużej.

Spojrzał na nią pytająco.

– Planuję przetrząsnąć całą tę chałupę – zadeklarowała. – A ty mi w tym pomożesz.

– To bezpieczne? Możemy naruszyć i tak wątpliwą integralność strukturalną budynku.

– Nie pierdziel, Zordon, tylko pij kawę, posil się i do roboty.

Rzuciła na stół paczkę nerkowców, postawiła przy niej kubek, a potem przeszła do pokoju obok. Oryński zignorował kozuch na kawie, który nie miał nic wspólnego z typową pianką, a potem wziął niewielki łyk. Smakowało oleiście.

Podczas gdy Chyłka zajmowała się fizycznym przeszukiwaniem domu, on usiadł przy laptopie w sypialni. Był to niewielki, najnowszy model macbooka air – zapewne podstawowe narzędzie pracy Harry'ego podczas podróży.

W dodatku adwokat musiał nabyć go całkiem niedawno, bo system sprawiał wrażenie niemal czystego. Historia w przeglądarce też nie była zbyt obszerna. Kordian przejrzał odwiedzone przez McVaya strony, ale nie znalazł nic, co mogłoby im się przydać.

Właściwie nic, co świadczyłoby, że Harry w ogóle próbował dowiedzieć się czegoś w sprawie, którą prowadziła Chyłka.

– Co ty robisz? – zapytała, wchodząc do sypialni.

Odwrócił się od laptopa.

– A na co ci to wygląda?

– Na przegięcie.

Nie dowierzał, że usłyszał to właśnie z jej ust. Wprawdzie w sądzie nieraz broniła prawa do prywatności, ale poza nim traktowała je raczej w kategoriach niezbyt znaczącego mitu.

Stała obok i zamknęła pokrywę macbooka.

– Wiesz, co mnie najbardziej martwi, Zordon?

– Fakt, że laptop jest tutaj, a nie w hotelowym pokoju przy Marszałkowskiej?

– To też. Ale abstrahując od całej tej sprawy.

Oryński wzruszył ramionami.

– To, że po mojej śmierci nie będzie miał kto wyczyścić historii przeglądarki na moim laptopie.

– Rzeczywiście, niepokojąca myśl.

Pokręciła głową z dezaprobatą.

– Są pewne rzeczy, których się po prostu nie rusza.

– I ty to mówisz?

– Ktoś musi, skoro sam o tym nie wiesz.

Uśmiechnął się lekko, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że to wyłącznie czcze gadanie. Chyłka coś znalazła – tylko dlatego uznała, że nie ma sensu przetrząsać wirtualnych śladów, które mógł zostawić McVay.

– Masz coś – rzucił pod nosem Oryński.

– Mam więcej niż coś. Ale nawet gdybym nie miała, i tak przytrzasnęłabym ci palce klapą laptopa. Są pewne sfery, w które nie wkraczasz.

– Jasne, jasne.

Odwróciła się i poszła w kierunku kuchni.

– Poza tym Harry nie uznawał elektronicznego researchu – dodała. – Wszystkie materiały gromadził tradycyjnie.

A zatem o to chodziło. Kordian powinien się spodziewać, że Chyłka nie bez powodu zignorowała laptopa i zamiast się nim zająć, zaczęła przeszukiwać szafki, komody i inne miejsca, w których gospodarz mógł zostawić dokumenty.

I w końcu je znalazła. Oryński spojrzał na kilka teczek leżących na ceracie i zagwizdał cicho.

– Nieźle. Wyglądają jak wyniesione prosto z IPN-u.

– Bo to oryginały.

– Oryginały czego?

Usiadła przy stole i napiła się wystygłej kawy.

– Trochę aktów własności, trochę umów o przeniesienie nieruchomości, coś z użytkowaniem wieczystym, parę umów sprzedaży...

Kordian usiadł obok i spojrzał na rozłożone papierzyska. Niektóre były poźółkłe, inne wyglądały na nowsze, wszystkie jednak pochodziły minimum sprzed kilku lat.

– Dopiero zaczęłam to przeglądać, ale już widzę, że Harry trafił na jakiś trop.

– Jaki?

Podsunała mu jeden z dokumentów. Była to decyzja urzędowa dotycząca przekazania tytułu własności działki przy Grójeckiej. Większa część była jednak nieczytelna, a kawałek oderwany.

– Sorry – rzuciła Joanna. – Nie to.

Zabrała mu kartkę i podała inną. Ta zdawała się znacznie starsza i jeszcze bardziej wybrakowana.

– Ugryziemy to chronologicznie. Od tego się wszystko zaczęło.

– Co to jest?

– Nie posiadasz umiejętności czytania, Zordon?

Przebiegł wzrokiem tekst, który właściwie był już ledwo widoczny. W dodatku składał się z archaizmów, niejasnych sformułowań i częściowo zamazanych fragmentów, jakby lata temu czymś go zalano.

– Akt notarialny – powiedziała Chyłka.

– Raczej jego resztki.

Kiwnęła głową i syknęła z dezaprobatą.

– Niestety – przyznała. – Ale da się wyczytać, że chodzi o własność kilku pokąźnych działek.

Kordian skupił się na treści, którą był w stanie rozszyfrować. Składała się głównie z ówczesnej urzędniczej nowomowy, obok jednak znajdował się wykaz nieruchomości, a przynajmniej jego część.

– Musiało tu być tego sporo – zauważył.

– Najwyraźniej dokument dotyczył całkiem zaradnego dewelopera.

Brakowało imienia i nazwiska tej osoby, podobnie jak jakichkolwiek innych danych, dzięki którym mogliby zidentyfikować tego człowieka. Oryński skrzywił się i potrząsnął kartką.

– Co to wszystko ma być? – spytał, patrząc na pozostałe, równie zniszczone dokumenty.

– Cała historia działki przy Grójeckiej. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Kordian zerknął na niemożliwy do rozszyfrowania podpis na dole dokumentu. Potem na ten, który widniał na wcześniejszej kartce, którą omyłkowo podsunała mu Joanna.

– To jakiś cyrk – odezwał się. – Nie idzie odczytać nazwiska choćby jednej osoby.

– I to nie przypadek, Zordon. Ktoś umyślnie pousuwał wszystko, co istotne.

– Kto?

– Tego się dopiero dowiem – zadeklarowała z przekonaniem. – Na razie wiem tyle, że na pierwszym dokumencie musiał być pierwotny właściciel.

– Więc w sumie nie wiesz nic.

– Wiem wystarczająco.

– Twój optymizm jest chyba nieuzasadniony.

– Jaki znowu optymizm? Jestem realistką – odparła jakby urażona. – Optymistką staję się tylko w jednej sytuacji. Zresztą nie tylko ja, bo dotyczy to każdego innego człowieka.

– I jaka to sytuacja?

– Kiedy zapala się rezerwa w samochodzie – oświadczyła.

Po błyskawicznym namyśle musiał zgodzić się z tą konkluzją.

– W tej sprawie jestem jednak daleka od wyczerpania paliwa – dodała, zabierając mu dokumenty. – Powiedziałabym nawet, że odkrycie tych papierzysk jest równoznaczne z zatankowaniem do pełna.

– W jakim sensie?

Chyłka wyciągnęła paczkę marlboro i zapaliła, zwyczajowo nie proponując papierosa Kordianowi. Zbył to milczeniem, uznając, że w ten sposób najszybciej dowie się, do jakich wniosków doszła.

– Nie dowiemy się, dlaczego Beata zostawiła cały spadek Kranzowi – podjęła Joanna.

– Nie?

– Na razie nie. W końcu to ustalę, ale tropów nie ma sensu szukać w terażniejszości. Musimy zajrzeć w przeszłość.

– Masz na stanie TARDIS?

Zaciągnęła się głęboko, a jej oczy zamieniły się w dwie niewielkie szparki.

– Czy co mam?

– Coś w guście... no, konchy? – Pokręciła głową. – Chronoportera?

– Też nie. I nie wiem, co to jest.

– DeLoreana?

– Ach, trzeba było od razu mówić, że chodzi o wehikuł czasu.

– Mówiłem – odbąknął, zdziwiony, że Chyłka nie zna ani *Doktora Who*, ani *Terminatora*. Być może rzeczywiście powinien zacząć od nawiązania do samochodu.

– Naszym wehikułem jest to – powiedziała, wskazując na rozłożone dokumenty. – I wprawdzie nie rozpędzimy się do osiemdziesięciu ośmiu mil na godzinę, ale zapewniam cię, że dzięki temu ruszymy w dobrą stronę.

– Jak?

– Tak, jak zrobił to McVay – odparła z przekonaniem, którego Oryńskiemu brakowało. – Najwyraźniej prześledził całą historię tej nieruchomości. Od pierwszej wzmianki urzędowej, przez stan prawny międzywojenny, nacjonalizację dekretem Bieruta i reprzywatyzację po Okrągłym Stole.

Kordian rozejrzał się.

– Z pewnością nie wszystkie dokumenty tutaj są – oznajmiła.

– Czego brakuje?

– Nie licząc luk w tych materiałach, głównie reprzywatyzacyjnych.

Oryński podrapał się po głowie. Harry'emu udało się zgromadzić dane do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, ale z jakiegoś powodu nie miał tych najważniejszych. Być może ich nie potrzebował. Sytuacja była przecież jasna – majątek trafił ostatecznie do rodziny Widerów.

– NSI też próbowała dotrzeć do tych dokumentów, ale bez skutku – zauważył Kordian. – Jakim cudem udało się McVayowi?

– Miał swoje sposoby.

W jej głosie wyraźnie brakowało przekonania. Kordian odniósł nawet wrażenie, że

pojawiła się w nim pewna podejrzliwość.

- To teraz nieistotne – dodała. – Liczy się to, że Harry pokazał nam drogę.
- Pełną zakrętów – ocenił Oryński. – Na tyle, że nie widzę, dokąd prowadzi.
- Nie szkodzi.
- Szkodzi, bo nie wiesz nawet, w którą stronę nią podążyc.
- Bzdury opowiadasz, Zordon. Mamy konkretny trop. Wystarczy, że prześledzimy

wszystko to, co sprawdzał McVay, a...

- A skończymy tak samo jak on?

Od razu zrozumiał, że to był zbyt mocny akcent. Choć jeszcze większym problemem było to, że trafił w sedno. Jeśli Harry rzeczywiście prześledził losy tej działki i nie zdążył podzielić się z kimkolwiek swoimi wnioskami, to właśnie to mogło być powodem, dla którego zginął.

Nie odpowiedziawszy na pytanie Kordiana, Chyłka zebrała wszystkie materiały, stuknęła nimi kilkakrotnie o blat, a potem schowała je do teczki. Wzięła jeszcze łyk kawy i skierowała się do wyjścia.

- Nic tu po nas – rzuciła. – Mamy wszystko, co nam potrzebne.
- Albo wręcz przeciwnie.
- Do czego pijesz?

Rozejrzał się.

- Do tego, że to nie tutaj go znaleziono, tylko w Novotelu, prawda?
- Ano.

– Może dlatego, że ktoś nie chciał, by policja tu grzebała? – podsunął Oryński. – Mam na myśli to, że jeśli w tych teczkach było coś naprawdę przydatnego, to sprawca lub sprawcy mieli czas, by się tego pozbyć.

Chyłka zatrzymała się, spojrzała na niego, a potem skinęła głową.

– To by tłumaczyło, dlaczego w materiałach nie ma nic po osiemdziesiątym dziewiątym – kontynuował Kordian.

Joanna powiodła wzrokiem dokoła i zastanawiała się przez moment. Po chwili bez słowa ruszyła w stronę otwartej bramy wjazdowej. Oryński nie musiał pytać, dokąd się kierują – doskonale wiedział, że Chyłka zamierza przepętać sąsiadkę.

Mimo że Harry płacił jej tylko za comiesięczne wizyty, z pewnością orientowała się, co się dzieje na co dzień na terenie przylegającym do jej posesji. Kiedy chwilę później otworzyła im drzwi, a Chyłka wystrzeliła w jej kierunku serię pytań, przypuszczenia Kordiana się potwierdziły.

– Było tu trzech jakichś elegantów z morskiej pianki – oświadczyła kobieta. – Ale widziałam ich pierwszy raz.

- Kiedy? – spytała Joanna.
- Nie pamiętam.
- Dwa dni temu? Trzy? Cztery?

– Trudno powiedzieć, wszystko mnie się zlewa w jedno... nie wiem nawet, jaki mamy dzień tygodnia.

Chyłka zaklęła cicho i wyciągnęła telefon. Przez chwilę prowadziła nierówną walkę z pękniętym wyświetlaczem, który znacząco utrudniał obsługę. W końcu obróciła

smartfona i pokazała ekran kobiecie.

– To ci trzej?

Sąsiadka mrużyła oczy, przyglądała się przez moment, a ostatecznie pokiwała głową.

– Tak – powiedziała. – Bez wątpienia. Wszyscy podobni, jak trojaczki.

Joanna nabrała głęboko tchu, a potem pokazała wyszukane w Google zdjęcie Oryńskiego. Nawet bez spojrzenia na ekran wiedział, że chodzi o trzech braci zmarłej Beaty Widery.

Cmentarz Rakowicki, Kraków

Refren z *Afraid to Shoot Strangers* nie mógł się rozlec w gorszym momencie. Ksiądz prowadzący ceremonię właśnie wezwał zebranych do krótkiej modlitwy, ale zgromadzeni skupili się raczej na dźwiękach gitar Dave'a Murraya i Janicka Gersa niż na jego słowach.

Chyłka szybko sięgnęła do kieszeni po telefon, klnąc cicho. Jakby do zupełnego blamażu nie wystarczało, że z Zordonem spóźnili się do kaplicy i dołączyli do konduktu żałobnego dopiero przed samym grobem.

Nie zdążyła nawet dobrze się rozejrzeć, choć nie miała wątpliwości, że wśród zebranych musi być William McVay. Popatrzyła na wyświetlacz, chcąc od razu odrzucić połączenie, ale zauważywszy zagraniczny prefiks, zawahała się.

Kordian ukradkowo zgromił ją wzrokiem, ale pozostali żałobnicy nie byli równie dyskretni. Jedna ze starszych kobiet stojących przy samym grobie sprawiała wrażenie, jakby miała zamiar za moment szukać mogiły dla Chyłki.

Joanna zaklęła w duchu, a potem odwróciła się i odeszła kilka metrów. Przesunęła palcem po ekranie.

– Nie prowadzę obecnie spraw za granicą – odezwała się. – Jedyne wyjątkiem jestem w stanie zrobić dla byłych komisarzy z talentem do robienia sobie problemów na wschodzie.

Rozmówca nie odpowiadał. Najwyraźniej nie o to chodziło.

– Halo? – rzuciła pod nosem Chyłka.

– Odwołali mój lot – rozległ się spokojny, nieco chłodny głos.

Joanna od razu go rozpoznała. Odwróciła się gwałtownie w stronę zebranych i powiodła po nich wzrokiem. Williama nigdzie nie było.

– Skąd masz mój numer? – zapytała, choć pewnie mogłaby wpaść na lepszy sposób rozpoczęcia tej rozmowy.

– Sama mi go dałaś.

– Nie przypominam sobie.

– Wielu rzeczy pewnie sobie nie przypominasz z tamtej nocy.

– Wręcz przeciwnie. Pamiętam zbyt wiele.

Odpowiedziała jej chwilowa cisza.

– Jestem na Heathrow – dodał McVay. – Wylot mam dopiero za dwie godziny. Jakaś usterka techniczna.

Chyłka przestąpiła z nogi na nogę, czując na sobie ponaglące i zdziwione spojrzenie Oryńskiego. Chciała skończyć tę rozmowę jak najszybciej, ale nie bardzo wiedziała jak. Nigdy nie odnajdywała się dobrze w całej tej żałobnej konwencji.

Przypuszczała, że powinna złożyć Williamowi kondolencje, może wyrazić żal, że nie udało mu się zdążyć na pogrzeb ojca. Ewentualnie zaoferować jakieś słowa

pocieszenia.

– Po jaką cholere do mnie dzwonisz? – odezwała się.

– Chciałem...

– Właściwie nie interesuje mnie to. Poza tym jestem właśnie na cmentarzu.

McVay namyślał się przez moment.

– Powinniśmy się spotkać.

– Nie, nie powinniśmy. Zresztą i tak nie masz czasu, bo czeka cię tu dużo roboty, a potem szybko wracasz do Londynu.

– Mieszkam w Manchesterze.

– Jeden pies. Ważne, że nie tutaj.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Joanna rozłączyła się, wyciszyła dzwonek i wsunęła telefon do kieszeni. Podeszła do Oryńskiego akurat w momencie, kiedy ksiądz kończył krótkie przemówienie. Zaraz potem uczestnicy pogrzebu zaczęli podchodzić do kilku osób z dalszej rodziny Harry'ego.

Kordian zerknął pytająco na Chyłkę i wskazał kieszeń, w której schowała komórkę.

– Nic ważnego – odparła.

– W takim razie może złożylibyśmy kondolencje?

– A co to zmieni?

– Nic, ale może wypadaloby.

– To podejdz, powiedz, że tracąc ukochaną osobę, zyskali znajomego wśród aniołów, że za jakiś czas będą pamiętać o życiu, a nie śmierci Harry'ego, że jeśli dotychczas nosili go w sercu, to teraz...

– Ty chyba sama go nie masz, co?

Odwróciła się do niego i zmrużyła oczy.

– W pewnym sensie nie – przyznała. – I właśnie w tej sprawie zamierzam zawrzeć z tobą umowę na podstawie artykułu osiemset trzydziestego piątego Kodeksu cywilnego.

– Co?

– Umowa przechowania, Zordon. Depozyt.

– Tak, wiem, ale...

– Ale nie spodziewałeś się romantyzmu prawniczego, rozumiem – odparła, machnąwszy ręką. – Ja też nie, ale cała ta rzewna atmosfera tak na mnie działa.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Że jako deponent oddałam ci przedmiot umowy na przechowanie. A ty jako depozytariusz masz obowiązek zachować je w nie pogorszonej formie.

Otworzył usta i przez moment stał jak rażony piorunem. W końcu lekko potrząsnął głową.

– To chyba najszczerze wyznanie, jakie od ciebie kiedykolwiek usłyszałem.

– Chyba tak. I nie spodziewaj się prędko kolejnego.

Skinął głową, nadal nie wiedząc, jak odpowiedzieć na tę deklarację. Chyłka nie miała zamiaru dawać mu czasu do namysłu. Spojrzała jeszcze na McVayów, a potem pociągnęła Kordiana lekko za rękaw, wskazując drogę do iks piątki.

Chwilę później odjeżdżali z przycmentarnego parkingu, wciąż pograżeni w milczeniu. Trudno było stwierdzić, czy jest ono wynikiem tego, że właśnie pożegnali

Harry'ego, czy ma związek z osobliwą umową przechowania.

Oryński odezwał się dopiero, gdy Joanna wprowadziła do nawigacji nazwę jednej z krakowskich ulic.

– Dokąd jedziemy? – spytał.

– Jesteśmy umówieni na spotkanie.

– Z kim?

– Z asystentką McVaya. Chcę dowiedzieć się kilku rzeczy: co robił w ostatnim czasie, kiedy pojechał do Warszawy i dlaczego.

– I ona ci wszystko powie?

– Nie będzie miała wyboru.

Kordian odprowadził wzrokiem kilka mijanych samochodów, a potem oparł się łokciem o szybę i westchnął. Sprawiał wrażenie, jakby w końcu zrzucił jakiś ciężar z barków.

– A więc depozyt nakazuje przechowanie przedmiotu w niepogorszonym stanie...

– zauważył po chwili.

– No.

– Innymi słowy...

– Nie ma potrzeby używania innych słów – ucięła czym prędzej. – Wszystko jest jasne.

Oryński mruknął potakująco.

– Deponent może też w każdym momencie żądać zwrotu przedmiotu – zauważył.

– Zgadza się, Zordon. Szkoda, że nie jesteś tak oblatany w prawie karnym, może nawet zdałbyś aplikację.

Spojrzał na nią i przez stanowczo zbyt długą chwilę nie odwracał wzroku.

– Naprawdę o tym rozmawiamy?

– Nie, wszystko sobie wyimaginowałaś, nadinterpretując moje słowa – odburknęła, zmieniając raptownie pas.

Kordian odpowiedział milczeniem.

– Oczywiście, że rozmawiamy – dodała niechętnie. – Jesteśmy prawnikami, potrafimy ogarnąć temat, który dla innych mógłby być kłopotliwy.

– Temat bycia razem?

– Raczej zawarcia umowy na wspólne życie.

– Brzmi poważnie.

– Bo to poważna perspektywa – odparła i odwzajemniła jego spojrzenie. – Postanowiłam, że w żadne inne się nie ładuję.

– I naprawdę masz zamiar ustalić...

– Warunki naszej współpracy? – wpadła mu w słowo. – Jak najbardziej. Nie każę ci niczego podpisywać, domkniemy wszystkie najważniejsze postanowienia w formie ustnej.

Uśmiechnął się, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że w tej deklaracji kryje się pewien podtekst. Być może tak było. Wyjeżdżając z Warszawy, Chyłka doszła do wniosku, że najwyższa pora zrobić porządek nie tylko w papierach McVaya i w sprawie Kranza, ale także w relacjach z Zordonem.

Wyjazd był dobrą okazją. Nie najlepszą, ale być może najważniejszą, na jaką mogli w najbliższym czasie liczyć. Z jakiegoś powodu perspektywa załatwienia tej kwestii w Krakowie wydawała się Joannie bardziej sensowna niż zajmowanie się tym w Warszawie.

Krażyła przez jakiś czas wokół rynku, zanim udało im się znaleźć miejsce przy Siennej, tuż przed Małym Rynkiem. Miejsc było niewiele, ale w końcu dopisało im szczęście. Potem ruszyli w kierunku pomnika Mickiewicza.

Chwilę później siedzieli już w Hard Rocku obok Bazyliki Mariackiej, a Justyna Winnicka zjawiała się niedługo potem. Joanna rozmawiała z nią kilkakrotnie, za każdym razem, kiedy odwiedzała Harry'ego w krakowskiej siedzibie kancelarii. Asystentka McVaya zdawała się rzeczowa, kompetentna i do bólu profesjonalna – właściwie sprawiała wrażenie, jakby całe jej życie koncentrowało się wokół pracy. Chyłka przypuszczała, że dogadają się bez trudu.

Nie pomyliła się. Zaczęły od konkretów, nie tracąc czasu na zbędne uprzejmości.

– To oczywiste, że mecenas McVay nie odebrał sobie życia – oświadczyła Justyna.

– I mogę to udowodnić.

– W jaki sposób? – zapytał Oryński.

– Prowadziłam jego kalendarz. Mam wykaz spotkań, które planował.

– To nie przesadza o...

– Zamierza się pan bawić w adwokata diabła? – przerwała mu Winnicka.

Joannie przeszło przez myśl, że raczej w aplikanta. Ale fakt faktem, Kordian miał to w zwyczaju – i była to jedna z cech, które w nim ceniła. Potrafił wyjść poza schemat, stanąć z drugiej strony, przedstawić kontrargumenty i dać rozmówcy do myślenia. W tym wypadku nie było jednak sensu tego robić.

– Jeśli tak, to stracimy tylko czas – dodała Winnicka. – Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że nie chodzi tu o samobójstwo. I przypuszczam, że tak samo było, jeśli chodzi o Beatę Widerę?

– Najpewniej – przyznała Chyłka.

– A więc to prawda, że w obydwu przypadkach zidentyfikowano te same środki?

Joanna potwierdziła ruchem głowy.

– W takim razie szukamy jednego sprawcy.

– Szukam ja i mój depozytariusz – poprawiła ją Chyłka. – Pani ma tylko dać nam odpowiedzi na kilka pytań.

– Jakich?

Nie obruszyła się, nie oponowała, nawet nie westchnęła cicho. Była modelowym przykładem tej grupy ludzi, którymi najbardziej lubił otaczać się Harry. Brytyjczyk cenił sobie precyzję i pragmatyczność, nie tylko w sprawach zawodowych.

Czy tak samo wychował syna? Pojawienie się tego pytania w jej głowie poirytowało Chyłkę. Nie miała zamiaru poświęcać ani chwili Williamowi McVayowi.

– Z kim Harry miał się zobaczyć? – zapytała.

– Tego niestety nie wiem.

– Mówiła pani, że ma listę.

– Spotkań, ale nie osób – wyjaśniła Justyna. – I muszę przyznać, że to dość

niecodzienne. Zazwyczaj wiedziałam o wszystkim, co robił.

Kordian poruszył się nerwowo.

– Dlaczego tym razem było inaczej? – odezwał się.

– To dość oczywiste, prawda? Pan mecenas nie chciał, bym wiedziała, z kim zamierza się rozmówić – odparła beznamiętnym, urzędowym głosem Winnicka. – W Warszawie miał umówione jeszcze jedno spotkanie, na które już nie dotarł. Kolejne miały odbyć się nazajutrz, ale w Krakowie. Planował więc powrót.

– Będziemy potrzebowali tego wykazu – zapowiedziała Joanna.

Asystentka wyjęła smartfona z ekranem o przynajmniej sześciocalowej przekątnej.

– Prześle go na pani kancelaryjną skrzynkę – zaproponowała. – Co oprócz tego państwu potrzeba?

– TARDIS.

Justyna uniosła wysoko brwi.

– Niech się pani nie przejmuję – dodała Chyłka. – Też nie wiedziałam, o co chodzi, dopóki nie pojawił się DeLorean.

– Przyznam, że nie bardzo rozumiem.

– Potrzeba nam wglądu w przeszłość – włączył się Kordian. – A konkretnie potrzebujemy informacji o tym, co Old Man miał wspólnego z reprivatyzacją w Warszawie.

– Przepraszam, kto?

Oryński nabrał głęboko tchu, ponieważ orientując się, że kultura organizacyjna w krakowskim Żelaznym & McVayu najwyraźniej odbiega nieco od stołecznej.

– Tak mówiliśmy na Harry’ego – wyjaśniła Chyłka. – A Artur to po prostu Stary.

Winnicka nie skomentowała. Zamiast tego namyślała się długo nad odpowiedzią, zupełnie ignorując fakt, że dwoje warszawskich prawników dostało swoje dania. Kordian wybrał sałatkę Cobb z kurczakiem, jajkiem, awokado i serami, Joanna tradycyjnie zdecydowała się na hickory-smoked barbecue combo.

– Czego konkretnie państwo oczekują? – spytała Justyna.

– Zacznijmy od Widerów – odparła Chyłka, nabijając kawałek mięsa na widelec. –

Harry znał kogoś z tej rodziny?

– Nie wydaje mi się. A dlaczego miałby?

– Bo trzech braci pojawiło się w jego muzeum PRL-u na Elsnerowie. Prawdopodobnie chwilę przed tym lub zaraz po tym, jak rzekomo odebrał sobie życie w Novotelu.

Winnicka ściągnęła cienkie brwi, ale nie było w tym wyrazie niczego gniewnego czy agresywnego.

– To zastanawiające.

– Tak bym tego nie określiła – odparła Joanna. – Ale może dysponujemy innym słownikiem.

– W każdym razie nic nie wiem o żadnych kontaktach z rodziną Widerów.

– Okej. A jeśli chodzi o szeroko pojętą reprivatyzację?

Winnicka westchnęła, wyraźnie nieprzyzwyczajona do tego, że otrzymuje tak nieprecyzyjne prośby.

– Mecenasa McVay zaangażował się swojego czasu w kilka spraw. Pomagał brytyjskim obywatelom, którzy chcieli odzyskać nieruchomości w stolicy.

– Jako dawni właściciele czy pełnomocnicy Polaków?

– Szczegółów niestety nie znam. Nie pracowałam jeszcze wtedy z panem mecenasem.

Chyłka zaklęła w duchu.

– Opowiadał niekiedy o tamtych czasach, używając chyba określenia „wild east”, ale nie pamiętam niczego konkretnego.

– Może przypomni sobie pani, jak rzuci okiem na dokumentację?

– Dokumentację?

– Mamy trochę papierów Harry’ego w samochodzie – wyjaśniła Chyłka i już chciała się podnieść, ale Kordian powstrzymał ją ruchem ręki.

– Siedź – rzucił. – Mnie sałatka nie wystygnie, a tobie to, co masz na talerzu, może uciec.

– To jakiś wegański przytyk?

– Nie jestem... – zaczął, ale szybko odpuścił. – Zresztą nieważne. Daj kluczyki.

Chwilę później wrócił z teczką akt. Winnicka zaczęła przeglądać je, jakby miała do czynienia z wrażliwymi relikwiami. Chyłka przypatrywała się jej z uwagą, ale wyraz twarzy kobiety nie świadczył o tym, by cokolwiek sobie przypomniwała.

– Przykro mi – skwitowała w końcu. – Nic nie wiem na temat tych nieruchomości. Poza tym materiał jest dość wybrakowany.

Joanna potwierdziła pełnym niezadowolenia mruknięciem.

– Ale skoro bracia Widerowie byli na posesji, być może warto byłoby ich przepytac?

– Z pewnością. Tyle że zaszara trójgłowa hydra nie ma zamiaru kontaktować się z nami przed rozpoczęciem procesu. A potem planują to robić tylko na sali sądowej.

Winnicka podniosła jedną z kartek i przez moment jej się przyglądała. Prawnicy spojrzeli po sobie, oboje dostrzegając, że coś jest na rzeczy.

– O co chodzi? – zapytała Joanna.

– O ten dopisek na skraju strony.

– Dopisek?

Justyna podała Chyłce pośliską kartkę i wskazała konkretne miejsce. Joanna już wcześniej widziała zapisane tam małe cyfry, ale nic jej nie mówiły. Właściwie nie przywiązywała do nich żadnego znaczenia, a po sprawdzeniu ich w internecie zyskała pewność, że nic z nich nie wynika.

– To jakaś wewnętrzna sygnatura – powiedziała. – Albo bazgroły kogoś, kto musiał szybko coś zapisać i nie miał pod ręką notesu.

– Nie sądzę.

– Bo?

– To pismo pana mecenasa. Robił charakterystyczne jedyńki z belką u dołu i dziewiątki z mocnym zawijasem.

Chyłka zmarszczyła czoło. Nie było sensu upewniać się, czy według Winnickiej rzeczywiście tak jest. Nie wyglądała na osobę, która zwykła formułować tezy bez

odpowiedniego namysłu.

Joanna wbiła wzrok w cyfry. 19011901.

– I co to ma znaczyć? – zapytała. – Po co Harry miałby to zanotować?

Asystentka McVaya nie miała dla niej odpowiedzi. Chyłka poczuła jednak, że trafili na odpowiedni trop.

ul. Argentyńska, Saska Kępa

Rzeczywistość szybko zweryfikowała nadzieje Oryńskiego. Liczył na to, że w drodze powrotnej do Warszawy uda im się wyprostować wszystko, co ciążyło na ich relacjach, ale nie zbliżyli się nawet do tego tematu.

Zamiast tego cały czas poświęcili na rozmowę o McVayu, przedwojennych roszczeniach, braciach Widerach, Kranzu i tym, jak beznadziejnie jego sprawa jest prezentowana w mediach.

Na Argentyńską dotarli późnym wieczorem, a Joanna od razu zabrała się do roboty. Na podłodze w salonie odsunęła trochę materiałów związanych z Rafałem, wygoszparowując miejsce dla tych, które znaleźli na Elsnerowie.

Potem oboje spojrzeli na tę chaotyczną mozaikę z odległości kilku kroków.

– Entropia rośnie – ocenił Kordian.

– Spokojnie. Zbliżam się do mojego punktu.

– PNR?

– Nie, nie. Do punktu potrójnego.

– Tej koncepcji nie znam.

– Chodzi o równowagę termodynamiczną.

Oryński nie miał zamiaru pytać, co to oznacza, ale przypuszczał, że i tak się dowie.

– Stan, kiedy substancja występuje jednocześnie w trzech fazach termodynamicznych.

– Aha.

– Nie masz pojęcia, o czym mówię.

– Mam.

– Gówno prawda – oceniła, nie odrywając wzroku od dywanu z papierzysek, który stworzyła. – To punkt, w którym coś jest zarówno ciałem stałym, cieczą, jak i gazem, Zordon.

– To dopiero brzmi jak gówna prawda.

Joanna oderwała spojrzenie od materiałów i odwróciła się do niego. Chciała zapewne zapytać, czy kiedykolwiek odwiedził salę lekcyjną, gdy odbywały się tam zajęcia z chemii lub fizyki, ale ostatecznie nie skomentowała.

– Podam ci przykład – powiedziała tylko. – Woda jest cieczą, parą i lodem jednocześnie, jeśli osiągnie temperaturę zero przecinek zero jeden stopnia Celsjusza.

Nie był co do tego przekonany.

– A ciśnienie musi wynieść sześćset jedenaście koma siedemdziesiąt trzy pascala.

– Ściemniasz?

– Zazwyczaj – przyznała. – Ale tylko dlatego, że James Bond ma licencję na

zabijanie, a my na kłamanie. Tylko dla niepoznaki nazywamy ją dyplomem ukończenia studiów prawniczych.

Oryński uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Ale w tym wypadku mówię prawdę – zastrzegła. – I jestem blisko mojego punktu potrójnego. Osiągnięcia harmonii w całym tym burdelu.

– Zbliżasz się do nirwany, innymi słowy.

– Nie, grunge’u słuchałam w liceum, od tamtej pory trzymam się prawie wyłącznie heavy metalu – odparła, zbliżając się do dokumentów, które umieściła na podłodze jako ostatnie.

Kordian stanął obok niej i się pochylił. Nie wątpił w determinację Chyłki ani w jej przekonanie, że jest tylko o krok od ujarznienia tego chaosu. Przypuszczał jednak, że rzeczywistość okaże się bardziej skomplikowana od jej wyobrażeń.

– Za dużo tego – powiedział.

– Oj tam. Bywało więcej.

– Może – odparł, starając się złagodzić ton. – Ale nawet jeśli w poprzednich sprawach akta ważyły więcej, nie były tak... rozdrobnione. W tej nic się ze sobą nie wiąże.

Joanna nie odpowiadała, przesuwając spokojnie wzrokiem po wydrukach, niepełnych dokumentach, screenach dostarczonych przez Kormaka i innych rzeczach, które przywodziły na myśl ułamane i zamazane puzzle.

– Nie ogarniesz tego sama – odezwał się.

– Nie?

– Potrzeba ci specjalisty od prawa spadkowego, medycznego, ginekologii, restryktacji, toksykologii i...

– Łączę ich wszystkich w sobie. Zupełnie jak Aleksander Macedoński.

Kordian uśmiechnął się w duchu na myśl o historycznej postaci, która stała się przedmiotem jego pierwszego kolokwium w kancelarii Żelazny & McVay.

– Swojego czasu był jednocześnie królem Macedonii, Persji, Azji i faraonem Egiptu. Nie wspominając o sprawowaniu funkcji wojskowych – wyjaśniła. – Skoro on potrafił skupiać się na kilku rzeczach w jednym momencie, ja tym bardziej mogę.

Oryński jeszcze przez moment patrzył na wszystko, co zebrała Joanna. Przywodziło to na myśl menażerię niezrównoważonego kolekcjonera.

– On rozsypał węzeł gordyjski – dodała Chyłka. – Ja rozwiążę to gównem.

– Twoja determinacja jest budująca.

– Ale?

– Nie ma żadnego „ale”.

– Zawsze jakieś masz, Zordon.

– Nie tym razem.

– Świetnie – odparła, a potem obróciła się w kierunku drzwi. – W takim razie na dziś sprawę uznaję za zamkniętą.

– To jakaś sugestia, że mam wracać do siebie?

– Tak.

Spodziewał się, że Joanna doda coś więcej, ale szybko zrozumiał, że się tego nie

doczeka. Najwyraźniej chciała zostać sam na sam z materiałami, nad którymi będzie się pastwić przez kilka najbliższych godzin.

Nie miał jednak zamiaru na to przystać.

– Pomogę ci.

– Później z pewnością, ale teraz muszę sama to ogarnąć.

Zignorował ją i usiadł po turecku przed niekompletnym wykazem przedwojennych nieruchomości. Podniósł pierwszą z kartek i przesunął wzrokiem po nazwach ulic. Wydawało się, że większość znajduje się nieopodal, w okolicy alei Waszyngtona. Stanowiły tereny działkowe, w międzywojniu z pewnością przeznaczone pod inwestycje.

Chyłka stanęła nad nim i skrzyżowała ręce na piersi.

– Mam powtórzyć sugestię? – odezwała się.

– Możesz powtarzać do woli, ale nigdzie się nie wybieram.

– Wybierasz się. Do obskurnej kawalerki przy Emilii Plater.

– Nie. Postanowiłem spędzić noc u ciebie.

– Niedoczekanie.

Skierował wzrok na niewielką kanapę.

– Walnę się na tapczanie.

– Walnij się w glabellę, Zordon.

– Później z pewnością to zrobię.

– Nie masz pojęcia, o czym mowa.

– Nie – przyznał.

– To miejsce między łukami brwiowymi – wyjaśniła, siadając obok. – I podczas pukania zastanów się dwa razy, czy aby na pewno chcesz drażnić osobę, która cierpi na lalochezję.

– Ze wszystkich twoich przypadłości akurat ta martwi mnie najmniej.

– A która najbardziej?

Obrócił się do niej i posłał jej długie spojrzenie. Chyłka go nie odwzajemniła, skupiając się na jednym z wydruków.

– Chorobliwy pracoholizm – oznajmił. – Szczególnie kiedy staram się patrzeć na ciebie w uwodzący sposób.

– Nie masz takiej zdolności, Zordon.

– Nie?

– Nie – rzuciła bez namysłu, jakby mimochodem, nie odrywając wzroku od dokumentów. – Zdobyłeś mnie nie swoimi oczami, tylko tym, że przewyciężyliśmy odwieczny paradoks w relacjach damsko-męskich.

– Paradoks?

– Wszyscy faceci chcą, żeby grzeczne kobiety były dla nich niegrzeczne. A wszystkie kobiety, żeby niegrzeczni faceci byli dla nich grzeczni.

– I my sobie z tym poradziliśmy?

– Najwyraźniej – odparła półgębkiem. – Choć nie do końca wiem jak.

Nie kontynuowali tematu, całą uwagę poświęcając robocie. Kordian szybko poczuł senność, najwyraźniej wszystkie nieprzespane noce wciąż za nim chodziły. Nie spodziewał się jednak, by udało mu się odrobić deficyt. Już kilka razy łudził się, że prześpi

nieprzerwanie parę godzin, ale ostatecznie budził się po kilkudziesięciu minutach.

Zawsze z tym samym niepokojącym obrazem pod powiekami.

Niewielka cela. Zasunięty rygiel. I Gorzym naprzeciwko niego.

Potrząsnął głową, od razu się rozbudzając. Spojrzał na Chyłkę, ale ta nie odnotowała jego reakcji, zupełnie pochłonięta analizą materiałów. Sprawiała wrażenie, jakby wpadła na jakiś trop, ale gdyby naprawdę tak było, najpewniej już by się o tym zająknęła.

Oryński odłożył teczkę z kopiami aktów notarialnych. Miał dość reprzywatyzyjnych bzdur, musiał zrobić sobie przerwę. Wziął zrzuty internetowych opinii, które dla Chyłki wydrukował Kormak, a potem usadowił się na kanapie.

Nawet nie wiedział, kiedy przysnął.

Zbudził go doniosły odgłos, który dopiero po chwili zidentyfikował jako kłaśnięcie. Potarł oczy i spojrzał na stojącą przed nim Joannę.

– Do rodziny fregowatych z pewnością się nie zaliczasz, Zordon.

– Z pewnością – odbąknął, podnosząc się powoli. – Jak długo spałem?

– Dostatecznie długo, bym coś znalazła.

– Co konkretnie?

Potrząsnęła trzymaną kartką jak trofeum, szturchnęła Oryńskiego pod żebra i usiadła obok niego. Spojrzał najpierw na wydruk, a potem na zegarek stojący na komodzie. Była trzecia w nocy.

– Widzisz to? – spytała Joanna.

– Widzę, że jest trochę późno.

Chyłka obróciła głowę w stronę zegarka i machnęła ręką.

– Raczej wcześniej – zaoponowała. – Ale jakkolwiek by było, to też pora na konkrety.

Podawała mu jeden z papierów, ale Kordianowi tekst się rozmazywał. Zamrugał kilkakrotnie i dopiero wówczas zdołał odczytać treść. Miał wrażenie, że już analizował ten dokument i do niczego konkretnego nie dotarł. Głównie dlatego, że był w połowie zalany, a w połowie po prostu zniszczony.

– Widzisz? – powtórzyła.

– Nie.

Rozłożyła bezradnie ręce i westchnęła.

– To pierwszy z dokumentów urzędowych, które dotyczą działki przy Grójeckiej – powiedziała. – Cholera wie, co to konkretnie za bzdury, bo z treści niewiele wynika, ale jest data urodzenia jednej ze stron.

– Aha.

Wskazała mu właściwe miejsce, ale Kordian nadal nie rozumiał, dlaczego miałyby się to okazać znaczące.

– Data jest niepełna – zauważył. – Widać tylko dzień, miesiąc i...

– I początek roku, dzięki czemu wiesz, że chodzi o dwudziesty wiek.

– To trochę za mało, żeby namierzyć osobę, której ten akt dotyczy.

– Za mało? – zapytała z niedowierzaniem. – A dziewiętnasty stycznia nic ci nie mówi?

Kordian potarł kark, żałując, że kilka godzin wcześniej nie wpadł na to, by położyć się w sypialni Chyłki. Gdyby wiedział, że tak dobrze będzie mu się spało na Argentyńskiej, z pewnością by to zrobił.

– Dziewiętnasty stycznia – powtórzyła. – Myśl, Zordon.

– O tej porze nie zwykłem tego robić.

– Czasem mam wrażenie, że nie tylko o tej – odparła, kręcąc głową. – Weź pod uwagę to, co Harry zanotował na skraju jednego z papierzysek.

19011901. 19.01.1901. Oczywiście.

Joanna musiała dostrzec błysk zrozumienia w jego oczach, bo poklepała go po plecach. Kordian natychmiast zwrócił wzrok z powrotem na kartkę, jakby mogły pojawić się na niej nowe informacje.

– Dziewiętnasty stycznia tysiąc dziewięćset pierwszego roku – powiedziała Joanna.

– Mamy datę urodzenia.

– Czyją?

– Osoby, od której zaczął się cały łańcuszek transakcji dotyczących działki przy Grójeckiej.

– I co nam to daje?

– Nam nic – odparła. – Ale mi dało to, że wiedziałam, czego szukać w pozostałych materiałach.

Ton jej głosu nie pozostawiał wątpliwości, że starania zaowocowały czymś konkretnym. Na potwierdzenie tego zamachała przed nim kolejną kartkę.

– Na jednym z zapisów transakcji są szcątkowe dane stron – kontynuowała. – Oczywiście Widerowie zamazali imię, prawie całe nazwisko i tak dalej, ale ostał się rok urodzenia zbywcy.

– Tysiąc dziewięćset pierwszy.

– Otóż to, Zordon – potwierdziła – I jak tak dalej pójdzie, będziesz budził we mnie większy szacunek niż podwójna nieprzerywana na jezdni.

– Ona jakoś niespecjalnie się nim cieszy.

– No właśnie.

Zamilkł, a Joanna sięgnęła ręką w stronę komody. Popielniczkę położyła na kolanach Oryńskiego, a potem oderwała nylonową osłonę paczki papierosów.

– Wygląda na to, że nasz pierwotny właściciel sprzedał prawo własności komuś, kogo nazwisko kończyło się na „ter”.

– Niewiele mi to mówi. Chyba że chodzi o Pottera.

– Mnie też niewiele mówiło – oznajmiła. – Ale od czego jest Kormak?

Oryński dopiero teraz na dobrą sprawę zrozumiał, jak wiele go ominęło z powodu kilkugodzinnej drzemki. Chyłce udało się wyłowić z dokumentów wystarczająco dużo, by w końcu trafić na jakiś trop.

Data urodzenia pierwszego właściciela. Trzy ostatnie litery nazwiska człowieka, któremu ten przekazał działkę. Dwa elementy, które mogły stanowić dla Kormaka wystarczający przyczynek do poszukiwań.

– Chudzielec wklepał datę urodzenia do cmentarnej bazy danych warszawskich nekropolii.

– Jest taka?

– Oczywiście, że jest. Cmentarze²⁴ czy coś w tym guście. Jak sama nazwa wskazuje, otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę, w każdej chwili możesz zaświecić wirtualnie świeczkę. Ale Kormak oświetlił sobie drogę czymś innym.

– Trzema literami nazwiska.

– No, no. W moim rankingu naprawdę przeskoczyłeś podwójną cięgłą.

– Przechodzę samego siebie. I oczekiwania innych.

– To samo można powiedzieć o kimś, kto zapchał kibel.

– Co proszę?

– Jak by na to nie patrzeć, przekraczasz wtedy oczekiwania projektanta sedesu.

Kordian uznał, że najlepiej będzie, jeśli zamilknie. Choć w uwadze Chyłki było coś, co zasługiwało na pochwałę.

– Więc Kormak znalazł tego człowieka?

– Tak – potwierdziła z satysfakcją Chyłka. – Felicjan Klawitter. Urodzony dziewiętnastego stycznia tysiąc dziewięćset pierwszego roku. Niestety nie dożył naszych czasów.

– Coś takiego.

– Zmarł dwudziestego czwartego grudnia siedemdziesiątego piątego – dodała. – Strasznie pechowo.

– Co mu się stało?

– Nic. Po prostu wyciągnął kopyta. Pech nie dotyczy okoliczności, tylko czasu śmierci. Dzień przed założeniem Iron Maiden. Nie doczekał jednego z najważniejszych wydarzeń w historii dwudziestego wieku.

– To rzeczywiście niefortunne – odburknął Oryński. – Ale może zostawił jakichś zstępnych, którzy mogli doświadczyć nowej fali brytyjskiego heavy metalu?

– Tak się składa, że zostawił.

– Kormak ich namierzył?

Ledwo o to zapytał, odniósł wrażenie, że zrobił to zupełnie niepotrzebnie. Wymowne milczenie Joanny zdawało się je potwierdzać.

– Córnka Klawittera mieszka na Woli, przy Czorsztyńskiej.

– To też jakieś zreprzywatyzowane mienie?

– Nie. Szczypior to sprawdził, kobieta nie ma nic wspólnego z żadnymi przekrętami. I wygląda na to, że sam Felicjan też nie miał.

– A więc był pierwotnym właścicielem?

– Dowiemy się – zapewniła. – Bo z samego rana jedziemy na Czorsztyńską po odpowiedzi.

Kordian znów popatrzył na zegarek.

– Już jest samo rano.

– Nie, teraz jest pora dekorowania.

– Dekorowania? – spytał, rozglądając się. – Nie masz tu ani jednego obrazu.

Podniosła się z kanapy, a jemu wydało się, jakby była nieco rozczarowana tym, że nie załapał, o co chodzi.

– Obrazami dekorujesz ściany – powiedziała. – Muzyką swoje życie.

Podeszła do starej wieży Technicsa, która równie dobrze mogłaby wylądować na półce elektromarketu w dziale retro, a potem włączyła jedną z płyt.

Z głośników popłynęły dźwięki gitar otwierających kawałek *The Wicker Man*. Nie sposób było pomylić ich z żadnymi innymi. I Kordian nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to hymn zwycięstwa.

W końcu mieli trop. Znaleźli ślad, dzięki któremu podążą dalej – a Chyłka zapewne nie odpuści, dopóki nie dotrze do celu. Usiadła na fotelu, osunęła się lekko i zamknęła oczy. Wyglądała, jakby mimo głośnej muzycznej dekoracji od razu zasnęła. Oryński przypuszczał jednak, że do tego daleko. Rozgrywała już w głowie wszystko, co rankiem będzie się starała wyciągnąć z córki Klawittera.

A być może rozkładała na czynniki pierwsze inne kwestie. Mieli ich na głowie niemało – od łączących ich relacji, przez majaczącą na horyzoncie walkę o władzę w Żelaznym & McVayu, zabójstwo Harry’ego, obronę Kranza, aż po całą sprawę spadku, którego z jakiejś przyczyny lekarz do tej pory nie odrzucił.

9

ul. Czorsztyńska, Wola

Dzień Chyłka rozpoczęła podobnie, jak zakończyła poprzedni – jedyna różnica polegała na tym, że zamiast albumu *Brave New World* katowała *Book of Souls*. Głośniki iks piątki dudniły niemal ogłuszająco, ale Oryński nie narzekał. Albo przyzwyczyił się do takiego stanu rzeczy, albo wiedział, że żadne apele w niczym nie pomogą.

Okazja do rozmowy nadarzyła się dopiero, gdy wyszli z bmw w pobliżu niewielkiego dwupiętrowego budynku naprzeciwko parku Moczydło. Część bloków w głębi odnowiono, ten jednak miał starą, chropowatą elewację, zabazgraną autografami domorosłych grafficiarzy.

– O szóstej rano może nie być chętna do rozmowy – zauważył Kordian, kiedy zatrzymali się przed drzwiami na klatkę schodową.

– Jej chęci są nieistotne.

– Chyba że zdecyduje się nam nie otworzyć. Albo śpi. Albo wyszła już do pracy.

– Felicja nie pracuje.

– Ta kobieta ma na imię Felicja?

– Tak, po ojcu. W dodatku nazwisko ma takie samo jak on, bo jest starą panną.

Oryński obrócił się do Joanny, kiedy ta przycisnęła guzik domofonu.

– Jak starą?

– Nie jakoś przesadnie. Niedawno dobiła do osiemdziesięciu trzech lat.

Chyłka wcisnęła przycisk jeszcze raz, tym razem znacznie dłużej, a Kordian posłał jej równie przeciągłe spojrzenie.

– Zamierzamy nękać staruszkę?

Nie doczekał się odpowiedzi, bo Felicja Klawitter w końcu odebrała. Głosu nie miała zaspanego, co Chyłki przesadnie nie dziwiło. Z jakiejś przyczyny im więcej lat spędzało się na tym świecie, tym wcześniej zaczynało się dzień.

Weszli do środka, a potem skierowali się do jednego z mieszkań na parterze. Gospodyni otworzyła im z pewną nieufnością, jakby spodziewała się domokrażców. Zobaczywszy jednak kobietę w T-shircie i skórzanej kurtce oraz chłopaka w rozpiętej koszuli i marynarce, wyraźnie odetchnęła.

– Spokojnie – odezwała się Joanna. – Nie jesteśmy Świadcami Jehowy. Nie przyszliśmy też orznać pani metodą na wnuczka ani wciskać pani szerokopasmowego internetu, którego w najlepszym wypadku mogłaby pani użyć do...

Urwała, kiedy Oryński znacząco odchrząknął.

– Joanna Chyłka – dodała. – Kancelaria Żelazny & McVay.

Przeszło jej przez myśl, że niebawem nie będzie mogła przedstawiać się w ten sposób. Artur zrobi wszystko, żeby jedno z nazwisk zniknęło z szyldu.

– A to Zordon – dodała.

Oryński uprzejmie skinął głową.

– Ojej... – odparła staruszka.

Kordian i Chyłka spojrzeli po sobie.

– Czy coś się stało? – spytała Felicja.

– Gdzieś eksplodowała supernowa, w innym miejscu jakiś pulsar zapadł się do czarnej dziury, a w naszej najbliższej okolicy przemknął rój asteroid. Dzień jak co dzień w kosmosie, ale jeśli miała pani na myśli nasz ziemski, polski padół, to... nie, chyba nie. Za wcześnie. Przy Wiejskiej jeszcze śpią.

Klawitter zgarbiła się jeszcze bardziej, choć przed momentem wydawało się to Joannie niemożliwe.

– Dopiero za chwilę pierwsi mężowie stanu zaczną robić bardak w porannych programach telewizyjnych i wzywać swoich zwolenników do działania, jak muezini w minaretach – dodała na jednym tchu Chyłka, a potem zerknęła do mieszkania. – Możemy wejść?

– Ależ...

– Chcemy porozmawiać o pani ojcu.

– O moim ojcu?

– Mam mówić głośniej? – zapytała Chyłka, wypatrując aparatu słuchowego. – Jakby co, Zordon może nadawać na migi. Umie rapować, więc to dla niego pestka.

Zanim na twarzy kobiety zdążył się pogłębić wyraz zdziwienia, Kordian zrobił krok do przodu i przejął inicjatywę. Głosem, który Joannie kojarzył się z czytaniem fragmentu Ewangelii przez ministranta, oznajmił, że zajmują się w kancelarii pewną sprawą, która ma związek z Felicjanem Klawitterem. Potem zapewnił, że mają tylko kilka pytań, bo nie chcieliby zajmować kobiecie zbyt wiele czasu.

Ta jednak najwyraźniej łaknęła kontaktu z ludźmi. Nie dość, że wpuściła ich do środka, od razu zaparzyła herbaty i podała nieco szczerstwiele ciasto cytrynowe.

Chyłka się skrzywiła.

– Bergamotka... – mruknęła.

– Hę?

Wskazała na torebkę w jednej z ozdobnych ceramicznych filiżanek.

– Earl grey – dodała. – Jakoś niespecjalnie dobrze mi się kojarzy.

Oryński nie miał okazji wniknąć w temat, bo gospodyni wróciła z dwoma platerami, na których ułożyła kilka rzędów ptasiego mleczka, trochę rodzynek i garść paluszków. Wszystko sprawiało wrażenie, jakby zbyt długo leżało w słońcu.

Mimo to Kordian od razu sięgnął po ptasie mleczko. Obgryzł czekoladę, a potem wrzucił do ust sam środek.

– Przyniosę panu więcej, panie Zordan.

Chyłka nie mogła powstrzymać cichego prychnięcia. Kordianowi udało się zachować powagę. Przełknął kawałek i odparł, że nie trzeba.

– Nie przyszedł tu, żeby drenować pani zapasy na wypadek konfliktu atomowego z ZSRR – zauważyła Joanna. – Interesuje nas wprowadzić przeszłość, ale nieco bardziej zamierzchła.

Kobieta wciąż wydawała się zmieszana, ale była też wyraźnie wdzięczna losowi za to, że zesłał jej dwójkę niespodziewanych gości. Chyłka nie potrzebowała wyników researchu Kormaka, by zorientować się, że Felicja Klawitter nie ma już nikogo bliskiego. A jeśli nawet, to nie ma zbyt wiele okazji, by się z tymi osobami widzieć.

– Jak mogę pomóc? – zapytała.

– Przypominając sobie czasy międzywojenne.

– Urodziłam się w trzydziestym piątym, tak że...

– Jak wspominał pan Zordan, chodzi nam o pani ojca. Felicjana.

Gospodyni skinęła lekko głową, jakby nawet po kilkudziesięciu latach wspomnienie ojca wywoływało w niej nostalgię. Chyłce przyszło do głowy, że jeśli dorobi się tak sędziwej kadencji na tym świecie, pewnie będzie reagowała podobnie na każdą wzmiankę o pasożycie. Być może nawet gorzej.

– Co chcieliby państwo wiedzieć?

– Wszystko.

Kobieta nabrała tchu, a w jej oczach pojawił się błysk zadowolenia. Zupełnie jakby perspektywa wygłoszenia długiego monologu podniosła ją na duchu.

– Ojciec mój...

– W lipcu wyjeżdżał do wód? – wtrąciła się Joanna.

Kobieta wyraźnie nie czytywała Schulza, więc prawniczka machnęła ręką.

– Ojciec mój był dobrym, porządnym człowiekiem – zaczęła jeszcze raz gospodyni.

– Czyli nie prawnikiem? – spytała Chyłka.

– Prawnikiem? Och, nie. Bednarz z niego był, jeden z najlepszych przed wojną, jeśli wierzyć jego opowieściom. Powiadał, że końcem lipca i początkiem sierpnia przychodzili do niego mieszkańcy całej okolicy, szykując się do kieszonka...

– Ówcześni entuzjaści slow foodu, jasna sprawa – ucięła Joanna. – Ale co wytwórca cebrzyków, beczek i innych pojemników miał wspólnego z handlem nieruchomościami?

Felicja była wyraźnie zaskoczona. Spojrzała na Kordiana, jakby to on mógł udzielić odpowiedzi na pytanie. Posłał jej pokrzepiający uśmiech, zachęcając do mówienia.

- Nie miał nic wspólnego... – odparła niepewnie Klawitter.
- Nie skupował roszczeń?
- Roszczeń?
- Do domów, mieszkań, działek... czegokolwiek?
- Przed wojną?
- Po wojnie, w trakcie, obojętnie.
- Nie. O ile mnie pamięć nie płata figli, nigdy o niczym takim nie wspominał.

Joanna spojrzała na Oryńskiego, a on na nią. Nie trzeba było wiele, by stwierdzić, że coś w dokumentach McVaya najwyraźniej jest nie w porządku. Chyłka skinęła lekko głową do Kordiana, by podjął temat.

Oryński oparł ręce na kolanach i pochylił się lekko.

– Mamy dokumenty, na których pani ojciec figuruje jako strona przy umowie sprzedaży pewnej nieruchomości.

– Jakiejże?

– Przy Grójeckiej. Chodzi o obecne ogródki działkowe, a wtedy pewnie jakiś teren inwestycyjny.

– Wtedy? Kiedy to było?

Na to pytanie nie mieli odpowiedzi. Data transakcji była zamazana, podobnie jak większość jej szczegółów. Na dobrą sprawę nie sposób było ustalić, czy rzeczywiście jest to umowa przeniesienia własności – takie było jednak najbardziej logiczne założenie.

– Niestety nie wiemy – powiedział Oryński. – Liczyliśmy na to, że pani nam w tym pomoże.

– Ale ojciec nie miał żadnych nieruchomości.

– Może pani o czymś nie wiedziała?

Pokręciła głową tak energicznie, jakby ubył jej kilkanaście lat.

– Powiedziałby mnie.

Chyłka w pierwszej chwili chciała dopytać, czy rozmówczyni jest pewna, ale szybko uznała, że nie ma sensu. W jej reakcji nie było cienia wahania. Krzty niepewności. Ani przeblysku obłudy.

– A po wojnie? – odezwała się Joanna. – Nie miał związku z żadnymi nieruchomościami?

– On nie.

Chyłka uniosła brwi. Zawieszenie głosu przez kobietę było obiecujące.

– A kto miał?

– Kilkoro znajomych. Bywali u nas, czasem zjawiali się sami, bez zapowiedzi. Tak to kiedyś było, że ludzie przychodzili, bo nie było ani jak uprzedzić, ani nic... A czasem to myśmy ich zapraszali, bośmy wiedzieli, że mają problemy.

– Co to za znajomi?

Kobieta podała nazwiska dwóch rodzin, a Chyłka zanotowała je w pamięci. Nic jej nie mówiły, nie pojawiały się też nigdzie w dokumentach Harry'ego.

– Rozmawialiśmy wtedy często o nacjonalizacji, o tym, jak Bierut zabrał wszystko przedwojennym właścicielom... wystarczyło, że wydał jeden dekret. Wie pani, ile tego przepadło?

– Nie.

– Ponad czternaście tysięcy hektarów...

– Sporo.

– Dwadzieścia cztery tysiące budynków, czterdzieści tysięcy działek...

Nie pierwszy i zapewne nie ostatni raz Chyłka mogła się przekonać, jak dobrze działa pamięć tamtego pokolenia. Miała wrażenie, że tego samego nie będą mogły powiedzieć kolejne. Chyba że wezmą pod uwagę to, jak skutecznie informacje utrwalają się w iCloudzie.

– Przed wojną państwo miało dwa procent nieruchomości – dodała Felicja. – Po wojnie przejęło prawie wszystkie... cała Warszawa przeszła w ręce władzy.

– I pani ojciec nic nie stracił?

– Nie, ale dużo się o tym u nas dyskutowało. Jakby ojciec mój miał jakąś nieruchomość, toby na pewno o tym wspomniał.

Chyłka musiała uznać, że tak rzeczywiście było. W najgorętszym okresie, podczas odbudowy niemal w całości zniszczonej lewobrzeżnej stolicy, z pewnością nie ukryłby przed córką faktu posiadania parceli. Zresztą nie miałby ku temu powodu.

Ale w takim razie skąd jego nazwisko w aktach? I to jako pierwsze, które dotyczyło Grójeckiej?

I dokąd prowadziły nici tamtej sprawy? Jakim cudem docierały do Widerów, a ostatecznie do Rafała Kranza, ginekologa zajmującego się Beatą?

Joanna potarła nerwowo piętno dżihadu, starając się zebrać myśli. Nie było sensu wybiegać zbyt daleko, prędzej czy później wszystko ułoży się w logiczną całość. Na razie musiała poznać początek tej sprawy.

Skoro Felicjan nie uczestniczył w przeniesieniu własności, musiał mieć inny związek z nieruchomością. Ale co mogło łączyć z nią bednarza? Chyłka przez moment się zastanawiała i ostatecznie doszła do wniosku, że nie mogło chodzić o sprawy zawodowe.

– Może ojciec pomagał komuś z tych znajomych, którzy u państwa bywali? – podsunęła.

– Nie, uparcie trzymał się od tego z daleka.

– A prosili go o pomoc?

– Tak, tak, kilkakrotnie. Ojciec był poważanym człowiekiem, wiadomo było, że można mu ufać.

– I odmawiał?

– Za każdym razem.

– Dlaczego?

Klawitter zmrużyła oczy i długo się namyślała. Prawnicy zdążyli wypić prawie całą herbatę i zjeść kilka kawałków przeterminowanego ptasiego mleczka, zanim na twarzy gospodyni po raz kolejny nagle odmalowało się ożywienie.

– Już rozumiem... – zaczęła. – Może chodzić państwu o to, że był kiedyś pełnomocnikiem. Dawno, jeszcze przed wojną.

Chyłka wyprostowała się jak struna, Oryński nachylił się do staruszki, by nie uronić ani słowa.

– To o to się państwu rozchodzi? Matko Boska, na śmierć o tym zapomniałam... on o tym nie mówił, nie wracał do tego. Nie wiem dlaczego. Raz, może dwa słyszałam od niego o tym pełnomocnictwie, jak miałam jeszcze żółto w dziobie. Ale było coś takiego. Było na pewno.

Joanna pociągnęła lekko nosem – tylko po to, by sprawdzić, czy w mieszkaniu unosi się zapach nikotyny. Potrzebowała papierosa. Pilnie.

– O jakim pełnomocnictwie mowa? – włączył się Kordian.

– Och... ciężko mnie sobie przypomnieć szczegóły. Nie wiem, czy ojciec w ogóle o nich mówił.

– Proszę spróbować.

Przez moment milczała, mając wyraźne trudności z przypomnieniem sobie czegokolwiek.

– Będę musiała podzwonić po rodzinie... – powiedziała. – Może kto coś wie. Ale to była jakaś przysługa, którą ojciec zrobił znajomemu. Były może lata dwudzieste, był młody jeszcze.

Bardzo młody, jeśli wziąć pod uwagę, że urodził się w tysiąc dziewięćset pierwszym.

Kiedy Felicja odeszła, by wykonać kilka telefonów, Chyłka tworzyła już zręby tego, co musiało się wydarzyć w sprawie Grójeckiej.

– Klawitter nie był pierwszym właścicielem – odezwała się do Kordiana. – Tylko jego pełnomocnikiem. Sprzedał w jego imieniu nieruchomości jeszcze przed wojną.

– Okej – odparł Oryński, drapiąc się po głowie. – I co potem? Kto ją kupił?

Wiedzieli, że o ile nie planują przeprowadzić szturm na zamknięte, być może wybrakowane miejskie archiwa urzędowe, odpowiedź mogą znaleźć tylko w jednym miejscu. Oboje zwrócili wzrok w stronę Felicji.

Ta rozmawiała z kimś jeszcze przez kilka minut, głównie kiwając głową, jakby osoba po drugiej stronie mogła to zobaczyć. W końcu podziękowała, odłożyła słuchawkę i spojrzała na prawników.

– Niestety mało kto pamięta tę sprawę – oznajmiła. – Ojciec nie lubił do tego wracać.

– Tak, mówiła pani – bąknęła Joanna.

– Ale kuzynka moja, Staśka, co mieszka teraz w Ostrowi Mazowieckiej, skojarzyła nazwę.

– Nazwę? – spytał Kordian. – Czego?

– Spółki. Bo to jakaś spółka kupiła poprzez ojca tę działkę.

– I co to za spółka?

– Nazywała się jakoś z łaciny. Staśka mówi, że to było tłumaczenie słowa dobro czy zdrowie. Coś takiego.

Chyłka mimowolnie wstrzymała oddech.

Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała.

Kordian dopiero po chwili zorientował się, że jego towarzyszka zastygła w zupełnym bezruchu. Zdarzało się to stanowczo zbyt rzadko, by mógł to zignorować.

– Chyłka?

- To... to jest, kurwa, niemożliwe.
- Co?
- Dobro, zdrowie.
- Nie rozumiem, co...
- To po łacinie *salus*, Zordon.

Biurowiec Skylight, Śródmieście

Winda zdawała się jechać na dwudzieste pierwsze piętro wyjątkowo wolno. Oryński kręcił się nerwowo po niewielkiej przestrzeni, pocierając tył głowy. Wciąż nie mógł uwierzyć, że zamieszany w to wszystko może być Salus.

Firma ubezpieczeniowa, w której władzach zasiadał Piotr Langer. Spółka, która była reprezentowana przez Żelaznego & McVaya. I genialna w swej prostocie pralnia brudnych pieniędzy.

– Przestań się wiercić – rzuciła Joanna.

– Nie wiercę się.

– Krążysz jak „Dymitr Doński” przy wodach przybrzeżnych NATO.

Zatrzymał się i popatrzył na nią z powagą.

– Lepsza od analogii z rosyjskimi okrętami byłaby ta z bombowcami. Bo zamierzamy zrzucić porządny ładunek atomowy wprost na głowę Żelaznego, prawda?

Chyłka sprawdziła godzinę na telefonie, jakby jedyną niewiadomą było to, czy o tej porze zastaną Artura w gabinecie na końcu długiego korytarza.

– Tak – potwierdziła. – O ile trzyma się swojej rutyny.

– Zazwyczaj to robi.

– Bo zazwyczaj nie musi poświęcać czasu na walkę o władzę w kancelarii – odparła ciężko, opierając się plecami o ścianę windy. – Teraz zapieprza od jednego biura do drugiego, zaciągając pachółków do swojego pospolitego ruszenia.

– Przeciwno komu?

Wzruszyła lekko ramionami.

– Komukolwiek, kto wystąpi przeciw niemu.

Chciał zapytać, czy to aby nie będzie ona, ale dotarli na dwudzieste pierwsze piętro i Joanna natychmiast ruszyła przed siebie.

– Chodź, panie Zordan – rzuciła, obracając się przez ramię.

By dostać się do gabinetu Żelaznego, musieli przebić się przez hordę młodych stażem i wiekiem pracowników, z których każdy zdawał się realizować jakąś dziejową misję – a przynajmniej takie wrażenie odnosił Kordian, widząc ich zaangażowanie.

Czy kilka lat temu sam taki był? Nie, chyba nie. O ile dobrze pamiętał, do HR-owca w pierwszym dniu pracy szedł spokojnym krokiem. A potem po prostu starał się przetrwać, mając za patronkę jedną z najbardziej zasadniczych prawniczek w mieście.

Teraz, kiedy otwierała drzwi gabinetu Żelaznego, wyglądała na jeszcze bardziej bezkompromisową. Trwało to jednak tylko chwilę. Ledwo przekroczyli próg, cała determinacja Chyłki zdawała się zniknąć. Zastąpiła ją głęboka konsternacja.

– Co ty tutaj robisz? – odezwała się.

Oryński zamknął za nimi drzwi, a potem spojrzął na dwóch mężczyzn w środku. Siedzieli przy biurku – Artur na swoim miejscu, zwyczajowo obracając w dłoni spinki do mankietów, a jego gość naprzeciwko. Młodszy z mężczyzn obejrzał się przez ramię i w odpowiedzi na pytanie posłał Chyłce długie spojrzenie.

Kordian nigdy nie widział Williama McVaya, ale poznał go bez trudu. Był podobny do ojca, miał te same arystokratyczne rysy twarzy. Właściwie przywodził na myśl dziedzica brytyjskiego tronu.

Był nieco młodszy od Chyłki, ale Oryński przypuszczał, że góra dwa lub trzy lata. Miał wysokiej klasy granatowy garnitur, kremową koszulę i czerwoną poszetkę w kieszonce marynarki. Krawata nie nosił, zamiast tego rozpiął ostatni guzik koszuli.

William podniósł się powoli z krzesła. Nie wyglądał na zaskoczonego wizytą Chyłki, zupełnie jakby się spodziewał, że ta prędzej czy później wtargnie do biura imiennego partnera.

– Pytałam o coś.

– Moglibyśmy najpierw...

– Przywitać się? – wpadła mu w słowo. – Właśnie to zrobiliśmy.

Uwadze Kordiana nie uszło, że Chyłka nie patrzyła na rozmówcę, ale na Żelaznego. Oskarżycielsko, jakby spodziewała się, że Artur stara się ugrać coś za jej plecami.

W końcu przeniosła spojrzenie na McVaya.

– Cokolwiek tu usłyszałeś, od razu potraktuj jako postprawdę.

– Rozmawialiśmy o ojcu.

– Zapewniam cię, że tak się tylko wydawało.

William uniósł brwi.

– Cenię Artura między innymi za to, że nigdy nie traci czasu na czczą gadaninę – dodała. – Jeśli porusza jakiś temat, ma w tym interes. Możesz być więc pewny, że o czymkolwiek rozmawialiście, nie miało to wiele wspólnego z Harrym.

McVay nie skomentował, ale jego czujne spojrzenie kazało Oryńskiemu sądzić, że doskonale wie, z kim ma do czynienia. I że nie należy do ludzi, których można ograć, wykorzystując ich żalobę.

Na dobrą sprawę nie wyglądał, jakby w ogóle ją przeżywał. Zwrócił wzrok na Kordiana, a potem wyciągnął do niego rękę. Kiedy Oryński ją uściśnął i się przedstawił, wydało mu się, że rozmówca nieprzypadkowo ścisnął odrobinę zbyt mocno.

W dodatku stanowczo za długo bez słowa patrzyli sobie w oczy. Przestali dopiero, kiedy Joanna znacząco odchrząknęła.

– Nie chcę tu widzieć żadnych zabaw w Trumpa i Macrona – oznajmiła, a potem zajęła miejsce, które przed momentem zwolnił William. – Właściwie w ogóle nie chcę was widzieć w jednym pokoju.

Na moment zapadła niewygodna cisza.

– Nie przesadzasz? – zabrał głos Żelazny. – Trochę empatii by cię nie zabiło.

– Mam jej pod dostatkiem. Ale staram się tego nie okazywać, kiedy jest coś pilnego do załatwienia.

Mimo że właściwie nie musiała dodawać nic więcej, William McVay najwyraźniej nie odebrał sugestii, by zostawić ich samych. Chyłka westchnęła przeciągle i schowała

ręce do kieszeni spodni.

– Mamy świetną kawę z automatu – rzuciła do Brytyjczyka.

– Nie pijam kawy.

– Nie szkodzi. Przecież nie proponuję jej dlatego, że dbam o twój poziom kofeiny

– odparła stanowczo. – Kluczowe jest to, że automat stoi na korytarzu.

Kordian przypuszczał, że są na jak najlepszej drodze do eskalacji wiszącego nad Chyłką i Żelaznym konfliktu, ale zanim którakolwiek ze stron się do tego zabrała, William wystąpił w roli rozjemcy. Oznajmił, że i tak ma kilka spraw do załatwienia, a potem skierował się do drzwi.

Zanim wyszedł, obrócił się jeszcze w stronę biurka.

– Zdzwonimy się – powiedział.

Nie doczekał się odpowiedzi, a Kordian nie był pewien, czy Brytyjczyk zwracał się do Żelaznego, Chyłki czy może obojga. Kiedy zamknął za sobą drzwi, atmosfera stała się nieco luźniejsza.

Nie trwało to jednak długo.

– Salus – rzuciła Joanna.

Artur obrócił w dłoni drogie spinki, przechylając głowę.

– Co z nim?

– Chcę wiedzieć, co ma wspólnego ze sprawą, którą prowadzimy.

– My? – spytał z powątpiewaniem Żelazny, patrząc z ukosa na Kordiana. – O ile mnie pamięć nie myli, pożegnaliśmy się z tym młodzieńcem.

Oryński dawno nie słyszał, by imienny partner używał w stosunku do niego tego określenia. Ilekroć to robił, brzmiało to wyniośle, ale także w jakiś sposób oskarżycielsko.

– Zadałam konkretne pytanie – odezwała się Chyłka. – Oczekuję konkretnej odpowiedzi.

Artur uśmiechnął się, potrząsając lekko zamkniętą dłonią.

– I tego, że przestaniesz się bawić tymi klejnotami. Szału można dostać.

Nie odłożył spinek. Nie zanosilo się też na to, by odpowiedział na pytania Joanny.

– Nie folgujesz sobie nadto? – mruknął.

– Nie, wręcz przeciwnie. Chyba przesadnie się powściągam.

Żelazny podniósł się, a potem obrócił do nich plecami. W więzieniu taki gest Oryński wzięłby za wyraz zaufania, tutaj jednak stanowił jego dokładne przeciwieństwo.

– Taka jesteś pewna swojej pozycji w tej firmie? – odezwał się Artur. – Naprawdę myślisz, że możesz wszystko?

– Oczywiście, że mogę. Jak wszyscy. Możliwości każdego z nas są nieograniczone, dopóki jesteśmy w stanie zaakceptować konsekwencje swoich działań.

Żelazny uniósł głowę, jakby nagle wyjątkowo zainteresowały go chmury zbierające się nad iglicą Pałacu Kultury i Nauki.

– Może z jednym wyjątkiem – dodała. – Od dawna próbuję użyć Mocy, ale bezskutecznie. Kormak twierdzi, że mam za mało midichlorianów, żeby dusić ludzi siłą woli.

Artur obejrzał się na moment.

– Przyszłaś tu, żeby wygłaszać pseudofilozoficzne banały i popkulturowe żarciki?

– Nie, przyszedłam tu, licząc na zdarzenie, które w annałach zapisze się jako Cud ze Skylight – odbąknęła. – Innymi słowy na to, że okażesz się rozsądny.

Wstała z krzesła i odwróciła się do Kordiana.

– Najwyraźniej jednak trafiłam pod zły adres.

– Albo nie rozumiesz, co oznacza rozsądek.

Chyłka zaśmiała się cicho.

– W dzisiejszych czasach to coś równie niespotykanego jak midichloriany – odparła. – A ty cierpisz na największy deficyt, Artur. Bo mogłeś zaoferować mi pomoc, ugrać coś i...

– I co? – zapytał, odwracając się od okna. – Sprawić, że mnie poprzysz?

– Nie idźmy tak daleko. Dyktatorów szykujących przewrót z zasady nie popieram – oznajmiła, krzyżując ręce na piersi. – Chyba że działają dla szczytnych celów, jak odsunięcie od władzy komunistów.

Imienny partner odchrząknął z dezaprobatą.

– Byłabym gotowa pójść na pewne ustępstwa też w innym wypadku.

– Jakim?

– Gdybyś okazał się skarbnicą wiedzy w sprawie Salusa.

Żelazny się nie odezwał.

– Ale skoro nie mogę na ciebie liczyć, muszę zwrócić się do ponuraka, pod skrzydłami którego swego czasu karierę rozwijał w zawrotnym tempie Zordon.

– Do Buchelta? On nic nie wie.

– Ciekawe, bo to za jego sprawą Salus został naszym klientem.

– Co nie znaczy, że...

Żelazny urwał, a Kordian zrozumiał, że imienny partner właśnie wdepnął w pułapkę rozmówczyń.

Twierdząc, że Borsuk nic nie wie, na dobrą sprawę przyznawał, że sam zdaje sobie sprawę z tego, o co chodzi Chyłce.

Przysiadł na parapecie, głęboko nabrał tchu, a potem wskazał na dwa krzesła przed biurkiem. Prawnicy nie czekali na werbalne zaproszenie. Zajęli miejsca i poczuli, że dopiero teraz mogą rozpocząć właściwą rozmowę.

– Powiesz mi, co wiesz – zapowiedziała Joanna. – A w zamian ja nie będę rzucać ci kłód pod nogi, bo wyraźnie nie umiesz budować z nich schodów.

– Co takiego?

– Nie będę ci robić problemów w firmie, Artur.

– To poważna deklaracja?

– Tylko takie składam.

– Ale potrafisz się z nich dość szybko wycofać.

– Jedynie kiedy robię krok w tył znad urwiska – odparła, a potem machnęła ręką. – Dajmy temu spokój. Ty chcesz mojego poparcia w przejęciu kancelarii, ja chcę wszystkiego, co wiesz o tej pieprzonej firmie ubezpieczeniowej. A jestem pewna, że wiesz sporo.

– Po czym wnosisz?

– Po tym, że przez lata pomagałeś im w niejasnych interesach.

Żelazny spojrzął niepewnie na Oryńskiego, jakby się obawiał, że osoba spoza kancelarii może wywlec na światło dzienne pewne kłopotliwe dla niej fakty. Prawda była jednak taka, że Kordian doskonale je znał. Przy sprawie Salus kontra Bukano współpracował z Lwem Bucheltem i dowiedział się wystarczająco wiele, by stanowić problem.

Tyle że nic nie wskazywało na to, by spółka ubezpieczeniowa była zamieszana w reprivatyzację. Nie miała też żadnego związku z Kranzem, rodziną Widerów czy Felicjanem Klawitterem. Przynajmniej na pierwszy rzut oka – na drugi mogli zaś liczyć tylko, jeśli Żelazny im na to pozwoli.

Prawdopodobnie nikt nie wiedział więcej niż on. Nawet Buchelt, stary prawnik zajmował się bowiem tylko tym, do czego go dopuszczano.

– Więc? – spytała Joanna.

– Musimy uzgodnić warunki.

– Są proste. Ty dajesz mi wszystko, co wiesz o Salusie, ja nie będę ci wchodzić w drogę, kiedy zaczniesz swój marsz na Rzym.

– Porównywanie mnie do Mussoliniego raczej ci nie pomoże.

– Mogłam sięgnąć po przykład Hitlera i *Kristallnacht*.

Oryński spodziewał się, że na tym przepychanka się nie skończy, ale najwyraźniej nie docenił relacji łączącej dwoje prawników. Znali się od lat, współpracowali niemal nieprzerwanie. Rozumieli się bez słów i oboje wiedzieli, czego się po sobie spodziewać. A tarcia między nimi nigdy nie przerwały cienkiej nici zaufania.

Wystarczyła, by nie musieli precyzować warunków porozumiewania. Sprawa była jasna.

– W porządku – odezwał się w końcu Artur, wracając na swoje miejsce. – Ale nadal nie wiem, jakich konkretnie informacji ode mnie oczekujesz.

Chyłka zwróciła wzrok na Oryńskiego, a ten szybko przejął pałeczkę. Wy tłumaczył, w jaki sposób dotarli do daty urodzenia, potem osoby Klawittera i ostatecznie spółki, której Felicjan dzięki pełnomocnictwu sprzedał działkę przy Grójeckiej.

Artur nie wydawał się zaskoczony, w dodatku wciąż ignorował Kordiana.

– To wszystko? – spytał Żelazny.

– Całej reszty zamierzamy dowiedzieć się od ciebie – odparła Joanna.

– W takim razie czeka cię rozczarowanie.

– Nie szkodzi. Jestem przyzwyczajona.

Artur albo nie potraktował tego jako przytyku, albo postanowił, że brnięcie w konflikt niczego dobrego nie przyniesie.

– Wedle mojej najlepszej wiedzy Salus nie skupował żadnych roszczeń – odezwał się po chwili Żelazny. – Nie nabywali też żadnych przedwojennych budynków.

– A działki?

– Każda działka w tym zasranym mieście jest przedwojenna.

– Mam na myśli te, które rzeczywiście mają jakąś kłopotliwą historię.

– Nie. Firma trzymała się od tego z daleka.

Salus nie chciał przyciągać niepotrzebnej uwagi, co dla Oryńskiego było

całkowicie zrozumiały. Liczba przekrętów, jakich dopuszczano się w ramach działalności ubezpieczeniowej, była odpowiednią motywacją, by trzymać się z dala od głośnych tematów.

– Ale wiesz coś więcej, Artur – zauważyła Chyłka. – Inaczej nie twierdziłbyś, że od Buchelta niczego się nie dowiemy.

– Może.

– Więc słucham. I Zordon też, mimo że starasz się sprowadzić go do roli powietrza. Puścił to mimo uszu i wyprostował się na krześle.

– Salus działał już przed wojną – zaczął. – I jako spółka akcyjna był wpisany do RHB.

– Do czego? – włączył się Kordian.

– Rejestru handlowego. Działu B – rzuciła Joanna.

Żelazny skinął lekko głową.

– Przedsiębiorstwo było właściwie rodzinne, nie miało wiele wspólnego z dzisiejszym gigantem, który działa pod tą firmą. Zresztą ciągłość prawna w tej sprawie to kwestia... dość dwuznaczna.

– To znaczy?

– Przedwojenny Salus nigdy nie został reaktywowany. Spółka zawiązała się po wojnie na nowo.

– Dlaczego?

– Bo poprzednik nie miał wielkiego majątku, za to sporo długów. Nie było sensu ożywiać trupa, który dawno zgnił.

– A jednak i tamta spółka przed wojny, i dzisiejszy moloch nazywają się tak samo.

– Chodziło o kontynuowanie tradycji. Kupiono znak towarowy, pewnie jakieś know-how, nie pamiętam szczegółów. Nowi właściciele, czy raczej założyciele obecnego Salusa, chcieli mieć czystą kartę.

Kordian ściągnął barki do tyłu i kilka pęcherzyków powietrza strzeliło mu w stawach. Nie do końca rozumiał wszystkie te zabiegi, ale zdawał sobie sprawę z jednego – to wszystko, co powiedział Artur, równie dobrze mogli usłyszeć od Lwa Buchelta.

Było jeszcze coś. Oboje z Chyłką na to czekali, a Żelazny był tego świadomy.

– Sytuacja wydawała się nieskomplikowana – podjął. – Przynajmniej do pewnego momentu. W dziewięćdziesiątym pierwszym pojawiła się informacja, że przedwojenny Salus został przez kogoś reaktywowany. Stało się to wiele lat wcześniej, ale z jakiegoś powodu zagubiło się w aktach.

– I?

– Właściciele nowego przedsiębiorstwa obawiali się, że ktoś zgłosi się do nich z pretensjami. Nie miałyby wielkich szans na wygraną w sądzie, ale sytuacja mogła okazać się kłopotliwa.

– Co zrobili?

Żelazny podniósł spinki i przerzucił je z jednej dłoni do drugiej.

– Nic.

– Nic? – powtórzyła z powątpiewaniem Joanna.

– Czekali na rozwój wydarzeń, ale ten, kto reaktywował dawnego Salusa, nigdy się do nich nie odezwał.

– Dlaczego nie?

– Nie wiem. Była to dziwna sprawa, ale ostatecznie nie było powodu, by się nią interesować. Wszystko zostało po staremu.

– Oprócz tego, że pojawił się drugi Salus – zauważyła Chyłka. – Co się z nim stało?

– Nic.

Prawniczka stęknęła cicho.

– Artur, to nie są konkrety, do kurwy nędzy.

– To prawda – przyznał.

– I wszystko to wybełkotałby nam Borsuk – dodała. – Owszem, trwałoby to kilka godzin dłużej, ale ostatecznie efekt byłby taki sam.

Żelazny pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– Buchelt jednak o czymś by wam nie powiedział.

– To znaczy?

– O tym, kto w latach siedemdziesiątych reaktywował przedwojennego Salusa.

– Kto?

– Richard Nelson.

– Kolejny notariusz z Saint Kitts i Nevis?

Nazwę karaibskiego państwa Oryński dobrze kojarzył, nie tylko dlatego, że niegdyś zrobiło się o nim głośno za sprawą przemianowania na San Escobar. To właśnie z tego kraju pochodzili prawnicy, których warszawscy handlarze roszczeń wykorzystywali do przekrętów na rynku nieruchomości.

– Nie – odparł szybko Żelazny. – Richard Nelson nie miał nic wspólnego z podejrzanymi państewkami w Ameryce Środkowej.

Chyłka uniosła brwi.

– Jest Brytyjczykiem – dodał Artur. – I był jednym z pierwszych klientów Harry’ego McVaya.

Hard Rock Cafe, ul. Złota

Krwisty stek nie pomógł, deser w postaci klasycznej szarlotki z kruszonką także nie. Chyłka odłożyła widelczyk, a potem sięgnęła po serwetki.

Na jednej z nich zanotowała to, co do tej pory udało się ustalić.

„Pierwszy właściciel → pełnomocnictwo dla Klawittera → nabycie przez przedwojennego Salusa → reaktywacja spółki po wojnie przez Richarda Nelsona”.

Spojrzała na łańcuch zdarzeń, starając się odpowiednio umiejscowić Harry’ego McVaya. Włączył się do sprawy na ostatnim znanym jej etapie? Czy może był zaangażowany wcześniej?

– Nie wygląda to najlepiej – odezwał się Oryński.

Podniosła wzrok znad serwetek i wbiła go w hot fudge brownie, które pochłaniał Kordian. Wyjadł już lody waniliowe, sprawnie omijając pojedynczą wisienkę na górze i pokruszone orzechy włoskie.

– Powiedziałabym więcej: wygląda ohydnie.

– Miałem na myśli sprawę, nie deser.

Zmiała serwetkę i rzuciła ją na talerz po steku. Wydawało jej się, że ogólny obraz jest na wyciągnięcie ręki – tyle że przez nieprzeniknioną mgłę Joanna nie widziała, w którym kierunku powinna sięgnąć.

– Muszę wiedzieć, skąd w tej sprawie Harry – mruknęła.

Kordian wetknął łyżeczkę w lody i na moment przerwał jedzenie.

– Jest pewna osoba, która może znać odpowiedź – zauważył.

– Nie zamierzam się z nim kontaktować.

– Bo?

– Bo to widmo przeszłości. A te zostawiam za sobą.

– Nie mówię, że masz z nim rozmawiać o was – powiedział cicho Oryński. – Ale William może wiedzieć coś na temat Brytyjczyka, który reaktywował Salusa.

– Może, ale nie musi. Jeśli to się działo w latach siedemdziesiątych, raczej wiele nie pamięta.

– Raczej nie – przyznał Kordian. – Ale Harry mógł mu o tym wspomnieć. A może sam do czegoś dotarł, zajmując się sprawami spadkowymi. Tak czy inaczej, musimy to sprawdzić.

Zaległo ciężkie milczenie. Nawet muzyka płynąca z głośników nie zdawała się rozrzedzać atmosfery.

– Przynajmniej jeśli chcesz poznać rolę Harry’ego w tym wszystkim.

– Nie tylko jego, ale i kilku innych osób.

– Kranza i Widerów.

– Otóż to. Wszyscy są ze sobą w jakiś sposób związani.

Oryński pokiwał głową w zamyśleniu, ale Joanna nawet się nie łudziła, że dotrze

do jakiejś sensownej tezy. Był równie zagubiony jak ona.

Chyłka musiała przyznać, że trafiła jej się jedna z najbardziej skomplikowanych spraw. Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się jasne – Rafał Kranz dziedziczył po dziewczynie, która albo sama odebrała sobie życie, albo ktoś jej w tym pomógł.

Sprawa jednak obrosła w tyle kolejnych warstw, że nie sposób było dostrzec jej prawdziwego kształtu.

W dodatku nad wszystkim wisały ciemne reprzywatyzyjne chmury. Joanna zaczynała powoli odnosić wrażenie, że przesłaniają jej to, czym naprawdę powinna się zajmować. Miała klienta, powinna pracować nad linią obrony.

Tymczasem zamiast przygotowywać się do procesu, podążała niejasnym tropem działki, którą odziedziczył. I której mógłby łatwo się pozbyć, składając krótkie oświadczenie woli.

Rafał jednak wciąż nie zrzekł się spadku. Chyłka starała się wyciągnąć z niego powód, dla którego nie podjął takiej decyzji, ale Kranz zdradził jedynie tyle, że dopóki nie wie, co się tak naprawdę dzieje, nie zamierza działać pochopnie.

Joanna rzuciła pod nosem przekleństwo, a potem z rozrzewnieniem spojrzała na stolik obok, przy którym kobieta i mężczyzna pili piwo.

– Do wszystkiego dojdziemy – odezwał się Kordian. – Nie jesteśmy na zakręcie, tylko na rondzie.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– W takim razie kręcimy się na nim w kółko jak pieprzone fidget spinnery.

– Nie jest tak źle.

– Nie? – prychnęła. – Mamy gigagramy reprzywatyzyjnego gówna na śniadanie, tony mętnych tłumaczeń Kranza na lunch, kilogramy niejasności w sprawie śmierci McVaya i dziewczyny na obiad i całkiem sporo gramów komplikacji w kancelarii.

Kordian przez moment szukał właściwej odpowiedzi, ale w końcu zrezygnował.

– To ostatnie wiąże się nie tylko z tym, co obiecałam Żelaznemu, ale też z twoją perspektywą zawodową.

– To teraz najmniej istotne.

– Teraz może i tak – przyznała. – Ale jak zaczniesz się zbliżać do wieku emerytalnego, będziesz liczył każdy rok składkowy.

– Nie to miałem na myśli.

Machnęła ręką.

– Jesteśmy w dupie ciemnej jak vantablack.

Kordian znów zamilkł, więc Chyłka uznała, że nie ma pojęcia, o czym mowa. Najwyraźniej nie śledził głośnej sprawy, w której całkiem obrotny brytyjski artysta, Anish Kapoor, opatentował vantablack.

– To najciemniejszy odcień czerni, Zordon.

– Wiem, co to jest. Ale czerń właściwie nie jest kolorem, więc...

– Co?

– Mówię, że czerń nie ma odcieni i ze względu na to...

– Czyżbyś mnie poprawiał?

Podrapał się z tyłu głowy, jakby odpowiedź na to pytanie wymagała głębokiego

namysłu i zachowania ogromnej roztropności.

– Mówię tylko, że Kapoor opatentował produkt, który nie odbija żadnego światła. A nie kolor.

– Jak zwał, tak zwał. Fakt jest taki, że ktokolwiek chce zrobić wyjątkowo ciemną sukienkę, musi mu płacić za wykorzystanie patentu.

Oryński na powrót zajął się swoim deserem.

– My w każdym razie taniem płacić nie musimy, bo nie jest tak źle.

– Tak ci się tylko wydaje.

– Przynajmniej wiemy, na czym stoimy w najważniejszej kwestii.

– To znaczy?

Wskazał na nią i na siebie, a potem posłał jej porozumiewawcze spojrzenie. Chyłka otworzyła usta, by powiedzieć, że w tej sprawie mrok przepuszcza jeszcze mniej światła, ale ugryzła się w język.

Może miał rację. Może przy tym wszystkim, co się działo, ich relacje rzeczywiście wychodziły na prostą. Nie występowali przeciwko sobie, jak przy sprawie Bukano. Nie musieli zmagać się z atakami na jedno czy drugie jak podczas obrony Sendala czy al-Jassama. I nie mieli przeciwko sobie człowieka, którego życiowym celem była właściwie czysta destrukcja, jak ostatnio.

– Trochę niepokoi mnie fakt, że nie doczekałem się riposty.

– Chciałam jej udzielić.

– Ale?

– Ale uznałam, że ten jeden raz możesz mieć rację, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, że tracę grunt na każdym innym froncie. – Westchnęła, ale nie na tyle przeciągle, by dać mu czas na odpowiedź. – Widerowie nadal unikają mnie jak ognia, Kranz kontaktuje się tylko telefonicznie, a jego żona milczy jak grób.

Echo jej deklaracji, że nie była z mężem w Tropical Islands, wybrzmiewało jednak dość głośno.

– Więc tak, na naszym wspólnym froncie sytuacja rysuje się najlepiej.

– Może w takim razie czas wyprowadzić atak?

– Jeśli pytasz, zamiast oznajmiać, to moja odpowiedź brzmi: nie.

– A jeśli nie pytam?

– To po prostu bierz się do roboty.

Oryński odsunął puchar z deserem na skraj stołu, jakby natychmiast chciał się go pozbyć.

– Tu i teraz? – odezwał się.

– Nie, najpierw musimy pójść do notariusza i sformalizować naszą umowę przedwstępną – odbąknęła, a potem wywróciła oczami. – Oczywiście, że tu i teraz, Zordon.

Przesunął ręką po blacie, uśmiechając się półgębkiem.

– Jeśli usłyszę jakiś tandetny tekst na podryw, który wiąże się z tym stołem, od razu wychodzę.

– W *Top Gunie* podziałało.

– Ten film wyszedł w osiemdziesiątym szóstym, Zordon. I grał w nim młody,

jeszcze niespaczony scjentologią Tom Cruise. W dodatku miał czarne awiatory.

Oryński oparł ręce na blacie i pochylił się lekko.

– Po awiatory mogę skoczyć na Marszałkowską.

– Niepotrzebne ci. Wystarczy, że zamiast tego stołu znajdziesz jakiś bilardowy.

Uśmiechy, którymi się wymienili, sprawiły, że przynajmniej część ciężaru zdawała się spaść z barków Chyłki. Zamówili po jeszcze jednym deserze, a kiedy wychodzili z Hard Rocka, nie musieli uzgadniać, dokąd się skierować. Od razu spojrzeli w stronę Emilii Plater.

Nie zdążyli jednak przejść nawet kilku kroków, kiedy zza ich pleców rozległ się chłodny, doniosły głos:

– Nie mówiłaś prawdy.

Joanna natychmiast się obróciła.

– Gorszą kawę piłem tylko na stacji benzynowej – dodał William, wyciągając ręce z kieszeni. – I to w czasach, kiedy mówiło się na nie „cepeeny”.

Kordian też się odwrócił i przez moment sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar zasugerować natrętowi, że najlepszym, co może zrobić, jest zostawienie ich w spokoju.

– Wtedy nie podawali na nich kawy – zauważył.

– Może źle pamiętam. Rzadko odwiedzałem tutaj ojca.

– A jednak, jeśli pominąć ten dziwaczny akcent, po polsku mówisz całkiem nieźle.

– Wy za to najwyraźniej macie z tym pewne problemy.

Chyłka początkowo nie miała zamiaru wdawać się w rozmowę, wychodząc z założenia, że Brytyjczyk znalazł się tu przypadkiem. Wyglądało jednak na to, że tak nie jest.

– Inaczej odezwalibyście się do mnie po wyjściu z gabinetu Artura.

Oryński zrobił krok ku niemu.

– Bo? – zapytał.

– Bo najwyraźniej szukacie informacji, które ja posiadam.

– Nie masz pojęcia, czego szukamy.

McVay też zbliżył się do Kordiana, a Joannie przeszło przez myśl, że być może nie powinna być bierna i warto włączyć się w tę małą walkę kogutów, póki nie jest jeszcze za późno na interwencję. Wiedziała, jak niewiele trzeba, by dwóch facetów posunęło się o krok za daleko.

– Artur zadzwonił do mnie, by dowiedzieć się, co wiem o Richardzie Nelsonie.

– A wiesz cokolwiek?

William nie odpowiedział, ale nie musiał. Wyraz jego twarzy mówił sam za siebie – mimo że sam Brytyjczyk najwyraźniej nie był skłonny powiedzieć więcej. Wsunął ręce do granatowych garniturowych spodni i popatrzył na Chyłkę.

– Powiedziałem mu, że nie mam żadnej wiedzy na ten temat – zadeklarował.

– Ale to nie do końca prawda?

– Nie.

Znów zamilkł, a Joanna doszła do wniosku, że nie może dłużej grać nieobecnej. Sięgnęła do torebki po paczkę papierosów, ostatecznie uznając, że perspektywa czegokolwiek, co planowali z Kordianem jeszcze przed momentem, bezpowrotnie

przepadła.

Zapaliła i podała marlboro Oryńskiemu. Kiedy sobie podpalał, posłała długie spojrzenie McVayowi.

– Czego chcesz w zamian? – zapytała.

– Niczego.

– Więc dlaczego po prostu nie powiesz, co wiesz?

– Bo nie mam odpowiednich warunków.

– To znaczy?

Uśmiechnął się niemal niezauważalnie, jak typowy Brytyjczyk.

– Przekażę ci wszystko, co wiem o Nelsonie, Chyłka. Ale tylko tobie – rzucił, zerkając kontrolnie na Oryńskiego. – To mój jedyny warunek.

– Jest bzdurny.

– Jest uzasadniony. I kiedy wysłuchasz, co mam ci do powiedzenia, sama się o tym przekonasz.

– W porządku – odparła ciężko, a potem obróciła się w stronę Hard Rock Cafe.

– Nie tutaj – zaproponował William. – U ciebie.

Zanim Kordian zdążył zalać ją falą obiekcji, a ona miała okazję zastanowić się nad tym, czy dobrze robi, zgodziła się na warunki McVaya. Nie miała zamiaru bawić się w przeciąganie liny ani tracić więcej czasu. Dostatecznie długo tkwiła w niewiedzy, a osoba Richarda Nelsona najwyraźniej wiązała się przynajmniej z częścią odpowiedzi.

– Iks piątka stoi w Tarasach – rzuciła, wskazując Brytyjczykowi kierunek.

– Mam ją sam znaleźć?

– Masz odejść kawałek, żebym mogła rozmówić się z Zordonem – odparła pod nosem. – Naprawdę musisz popracować nad wyłapywaniem sensu między wierszami. Szczególnie kiedy ktoś się z nim przesadnie nie kryje.

McVay oddalił się trochę, a Chyłka nabrała głęboko tchu. Przypuszczała, że będzie kosztowało ją trochę wysiłku, zanim zdoła przekonać Oryńskiego, że to dobry pomysł. Ten jednak szybko uniósł rękę w geście „stop”.

– Wyceluj argumentacyjnego kałacha w inną stronę – oznajmił. – W moją nie musisz puszczać serii.

– Nie miałam zamiaru.

– Ach, no tak – odparł z przekąsem. – Chciałaś się tylko upewnić, czy nie mam nic przeciwko.

– Zgadza się.

– Podobnie jak Kim Dzong Un, który przed kolejnymi testami rakiet balistycznych pyta cały świat, czy aby nikomu to nie przeszkadza.

– Niespecjalnie doceniam porównania do skośnookich dyktatorów, Zordon.

– Wiem. I dlatego ich używam.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa.

– Jesteś pewna, że coś od niego wyciągniesz? – zapytał w końcu.

– Sam zaproponował, że opowie o wszystkim.

– W takim razie to dobra decyzja.

– I nie będzie cię uwierać?

– Będzie jak cholera – przyznał. – Ale ostatecznie jego taktyka jest dla mnie zrozumiała. Chce być z tobą sam na sam.

Chyłka przypuszczała, że to ani taktyka, ani działanie powodowane tym, co miał na myśli Oryński. William gotów był podzielić się swoją wiedzą wyłącznie z Joanną, bo wiedział, jak blisko była z jego ojcem. A to oznaczało, że coś podejrzanego jest na rzeczy. Coś, co mogłoby przedstawić Harry’ego w niekorzystnym świetle.

Nie odzywała się do McVaya, kiedy szli do iks piątki. Po tym, jak wsiedli do auta, oznajmiła jedynie, żeby nie zapinał pasów. Nie odpowiedział, przynajmniej nie od razu. Odezwał się dopiero, kiedy wyszli z samochodu na parking przy Argentyńskiej.

– Dlaczego prosiłaś, żebym nie zapinał pasów?

– Nie prosiłam, a poleciłam.

– Może kompromisem zgodzimy się, że apelowałaś?

– Może nie – odparła, idąc w stronę windy. – I chodziło o kompensację ryzyka.

– Nie obilo mi się to o uszy.

– Jak i z pewnością wiele innych istotnych rzeczy – rzuciła. – Pasy są niebezpieczne.

– Większość ludzi jest innego zdania.

– Bo nie wiedzą o tym, że od kiedy je wprowadzono, znacznie zwiększyła się liczba pieszych i rowerzystów zabitych na ulicach. Wiesz, jaki był powód? – spytała, ale nie czekała na odpowiedź. – Złudne poczucie bezpieczeństwa. Kierowcy poczuli się pewniej, od kiedy mogli przypiąć się pasami, więc zaczęli jeździć szybciej i mniej uważnie.

Omiotła McVaya wzrokiem, stając przed drzwiami mieszkania.

– Podobnie jest w twoim przypadku.

– Doprawdy?

– Zakładasz ten swój brytyjski garnitur przywodzący na myśl modę z *Mad Men* i przez to czujesz się pewniej. Do tego stopnia, że wydaje ci się, jakbyś mógł dyktować warunki gry.

– A uczestniczymy w jakiejś?

Chyłka włożyła klucz do zamka.

– Jeśli tak, to najwyraźniej udaje mi się dyktować choć część warunków. W końcu jesteśmy tutaj sami – odparł, podchodząc bliżej. – A garnitur nie jest brytyjski, tylko włoski. Od Cornelianiego.

Weszła do mieszkania, odwiesiła kurtkę w przedpokoju, po czym od razu włączyła wieżę. Był to niemalże odruch bezwarunkowy. Potem wskazała gościowi miejsce przy stole w kuchni.

– Siadaj i nie rozgaszczaj się – powiedziała. – Na herbatę z mlekiem nie licz, na dalsze rozmowy o dupie Maryni też nie.

– Te wasze frazeologizmy naprawdę są zastanawiające – zauważył.

– Wasze są nie lepsze. I pewnie dla dupy Maryny znalazłby się odpowiednik.

– Jest – przyznał. – *Shoot the breeze*. Wydaje się jednak bardziej... wysmakowany.

Zajął miejsce, rozpiął marynarkę i założył nogę na nogę. Wyglądał jak model jednego z tych magazynów dla współczesnych dżentelmenów, typu „GQ” czy „Esquire”. Joanna usiadła na kanapie i pochyliła się, opierając ręce na kolanach.

- Mam dla ciebie jeszcze bardziej wysublimowaną wersję – oznajmiła.
- Chętnie ją usłyszę.
- Skończ pierdolić – rzuciła. – Chcę usłyszeć, kim jest Richard Nelson, co miał wspólnego z twoim ojcem, a potem zamknąć ten temat.
- Skoro prowadzisz tę sprawę w sądzie, raczej jej prędko nie zamkniesz.
- Miałam na myśli inny temat.

Chyba zrozumiał, że chodzi o kontakty z nim, bo się nie odezwał. Chyłka skupiła wzrok na jego oczach, starając się stwierdzić, czy sytuacja jest dla niego dostatecznie jasna. Niechętnie tłumaczyłaby mu rzeczy oczywiste, ale w razie potrzeby była gotowa rzucić kilka oględnych haseł o tym, że ich wyskok był jednorazowy, bezmyślny i powodowany nadmiarem alkoholu.

Przyglądając mu się, starała się też zobaczyć osobę, którą spotkała ostatnim razem. Wtedy William McVay sprawiał wrażenie typowego uwodziciela, idealnego kandydata na jednonocną przygodę. Teraz po tamtym mężczyźnie właściwie nie było śladu. I zapewne nie powinno jej to dziwić, w końcu facet przyleciał uporządkować sprawę ojca.

- Chyba rzeczywiście nie zaproponujesz mi herbaty – odezwał się.
- Z całą pewnością nie.
- Więc przejdę do rzeczy. A potem dam ci spokój.

Skinęła głową bez emocji.

- Ojciec zaczynał praktykę w Manchesterze, gdzie...
- Znam historię Harry'ego, jego butikowej kancelarii, przenosin do większej firmy, mezaliansu z Polką, przenosin do kraju nad Wisłą i rozkręcenia biznesu z Żelaznym – wpadła mu w słowo. – Przejdź do tego, co mnie interesuje.

McVay też się pochylił.

– Nelson był jednym z jego pierwszych klientów w tej większej firmie, o której wspomniałaś – powiedział, jakby nie przeszkadzała mu obcesowość rozmówczyni. – Ojciec był już wtedy związany z matką, ale od decyzji o przenosinach dzieliło ich jeszcze sporo czasu.

– Ale bywał w Polsce.

– Bywał. I zaczynał się już rozeznawać w temacie ewentualnej praktyki tutaj. Dzięki temu trafił na niego Nelson, któremu ktoś w Manchesterze dał znać, że jest pewien młody prawnik ostrożnie zgłębiający polskie prawo.

- I? Po co ktoś taki był potrzebny Nelsonowi?
- Bo ten miał zamiar zająć się wybudzaniem przedwojennych spółek.
- Salusa.

– Niezupełnie – zastrzegł William. – Nelson szukał po prostu dobrych okazji, nie celował w nic konkretnego. Wiedział, że możliwości jest sporo, bo przed wojną działało tu prawie dwieście tysięcy różnych podmiotów, które można było reaktywować.

Chyłka sięgnęła po pilota od wieży i ściszyła nieco.

– W czterdziestym szóstym znacjonalizowano majątek tych podmiotów, ale nie je same – ciągnął McVay. – Dzięki temu nie przestały istnieć, nie przeszły nawet na własność Skarbu Państwa.

– I to stworzyło potem warunki bandzie sukinsynów, którzy chcieli wykorzystać

sytuację – wtrąciła. – Tak, wiem, jak to działało.

– Więc wiesz też, że w przypadku spółki akcyjnej wystarczyło objęcie jednej akcji.

– Mhm.

– Ojciec pomógł Richardowi Nelsonowi nabyć pojedynczą akcję Salusa.

– W jaki sposób?

William zaśmiał się cicho.

– Cholera wie – przyznał. – Może poszedł na bazar, może na pchli targ, może spreparował jakiś dokument lub znalazł coś, czego można było użyć do objęcia tego śmiesznie małego udziału. Handlowali tym obok stanowisk z warzywami.

Chyłka pomyślała o pełnomocnictwie, które miał Felicjan Klawitter. Na jego podstawie Salus kupił od kogoś grunt przy Grójeckiej, ale ten dokument z pewnością nie mógł być potem podstawą do podjęcia działania przez Harry'ego. Być może McVay na tym etapie dał się komuś ograć, a może sam złamał prawo. W polskim biznesie panowały wtedy zasady rodem z Dzikiego Zachodu, wszystko było możliwe.

Ludzie rzeczywiście fałszowali dokumenty lub kupowali je na bazarach, gdzie trafiały dzięki tym, którzy po wojnie szabrowali budynki. Po latach wystarczyło zanieść taką akcję do sądu rodzinnego i wystąpić o ustanowienie kuratora, który będzie działał w imieniu nieistniejących już organów spółki.

– Harry stał się kuratorem? – zapytała.

– Tak. Ustanowił go sąd na wniosek właściciela jedynej istniejącej akcji, Richarda Nelsona.

– Co się stało potem?

– Ojciec zwołał walne zgromadzenie akcjonariuszy.

– Na które stawiała się tylko jedna osoba.

William mruknął potwierdzająco, jakby ten fakt nie wymagał słownego komentarza.

– Ustanowiono odpowiednie organy, podjęto stosowne uchwały i...

– Po co? – przerwała mu Chyłka. – Ta spółka nigdy nie zgłosiła żadnych roszczeń wobec istniejącego teraz Salusa.

– Bo nie chodziło o mącenie w biznesie ubezpieczeniowym, tylko o przejęcie kilku nieruchomości.

– Kilku? Słyszałam o jednej.

– Bo tylko jedna dotyczy twojej sprawy.

Joanna wyprostowała się, nabierając tchu. Zrozumiała, że dzięki dotarciu do Klawittera, a później Salusa, Harry'ego McVaya i Richarda Nelsona, w końcu ułożyła cały łańcuch zdarzeń. Potrzebowała tylko potwierdzenia od Williama.

Nie musiała długo na nie czekać.

– Nelson przejął działkę przy Grójeckiej – podjął McVay. – A potem sprzedał ją Wojciechowi Widerze. Ojcu dziewczyny, która zostawiła ją w spadku twojemu klientowi.

Chyłka ścisnęła mocniej pilota, przez moment trwała w bezruchu, a potem wyłączyła muzykę. Czas na dekorowanie nią rzeczywistości będzie później. Teraz potrzebowała maksymalnego skupienia.

Dopiero po chwili zorientowała się, że McVay świdruje ją wzrokiem.

– Trochę odpłynęłaś – zauważył.

Wstała, a potem zaczęła chodzić po salonie.

– Zastanawiam się, co to wszystko znaczy, do kurwy nędzy.

– Że masz wyjątkowo skomplikowaną sprawę.

Zatrzymała się i pokręciła głową.

– Przynajmniej dwukrotnie doszło do jakichś przekrętów – powiedziała bardziej do siebie niż do gościa. – Klawitter musiał nakombinować, skoro przez resztę życia wstydził się za to, co zrobił. Do tego stopnia, że nie chciał się włączać w reprivatyzację nawet wtedy, kiedy jego znajomi walczyli o zwroty.

William milczał, ale nie miało to żadnego znaczenia. Niewiele brakowało, a Joanna zapomniałaby o jego obecności.

– Salus mógł więc nabyć działkę na lewych papierach – dodała. – I tak samo mogło się stać później w przypadku Nelsona.

– Niewykluczone.

Podniosła wzrok i przez chwilę przesuwiała nim po suficie.

– Harry miał dostęp do wszystkich tych dokumentów, zaczął na powrót w nich grzebać – mruknęła. – Musiał odkryć coś istotnego. I dlatego...

Nie dokończyła, w porę uświadamiając sobie, że jednak nie jest sama.

– I dlatego zginął – dopowiedział William. – Tak. Na to wygląda.

Chyłka przygryzła dolną wargę i mimowolnie potarła bliznę na szyi. Potem sięgnęła po papierosy, przypuszczając, że na jednym się nie skończy.

– Wiesz, co to oznacza, prawda? – dodał McVay. – Beata Widera musiała odkryć to samo, co mój ojciec. Bo oboje zginęli od przyjęcia tych samych środków.

Wiedziała, że nie musi potwierdzać.

– To oznacza, że jeśli ty także się do tego dogrzebiesz...

– Skończę tak samo jak oni?

– Nie. Ale z pewnością będzie ci to groziło.

Zapalając marlboro, Chyłka pomyślała, że trudno temu zaprzeczyć.

Reserved, Złote Tarasy

Pizama ze *Star Wars* nie była najlepszym wyborem, ale Kordian wrzucił do koszyka pierwszy lepszy zestaw, nie mając zamiaru przebierać. Pranie robił raz na dwa tygodnie, dotychczas wydawało się to wystarczające – podobnie było z liczbą pizam, które miał na Emilii Plater. Co noc budził się jednak zlany potem, a T-shirt właściwie można było wyżymać. Wracały obrazy z mokotowskiego aresztu, w głowie echem odbijał mu się głos Gorzyna. Sytuacja nie poprawiała się, wręcz przeciwnie, wydawało się, że jest coraz gorzej.

Z pewnością nie pomagał fakt, że wczorajszego wieczora Chyłka się nie odezwała. Rankiem Oryński wciąż nie miał od niej żadnej wiadomości. Przyszło mu do głowy, by samemu się z nią skontaktować, ale szybko odrzucił tę możliwość. Uznałaby to z pewnością za przejaw namolności.

Wiadomość, którą dostał, opuszczając reserved, bynajmniej nie poprawiła sytuacji. „Kranz się odezwał” – pisała w esemesie Joanna. „Musisz się z nim spotkać”.

Oryński bez zastanowienia wybrał jej numer. Czekał na nawiązanie połączenia bez skutku, po czym zrezygnował z dalszych prób i wklepał na smartfonie odpowiedź. Chyłka jednak nie odpisała.

Usiadł w Green Caffè Nero na pierwszym piętrze, zamówił kisz z łososiem i serem feta, a potem wypił chai latte. Kiedy zbierał się do wyjścia, Joanna w końcu się odezwała. Odebrał od razu.

– Po to ktoś ci pisze wiadomość tekstową, Zordon, żebyś do niego nie dzwonił.

– Potraktowałem to jak wyzwanie – odparł. – Znajomość z tobą z jakiegoś powodu do tego przyzwyczajają.

– Uznam to za komplement.

– Słusznie.

– Ale w tym wypadku nie chodziło o żaden *challenge*. Nie mogłam gadać.

– Bo?

– Bo jestem na lotnisku, czekam na samolot.

– Co proszę?

Westchnęła prosto do słuchawki.

– Naprawdę cię dziwi, że w dwudziestym pierwszym wieku ktoś może przemieszczać się inaczej niż tramwajem lub zdezelowanym japapońcem?

– Daihatsu nie jest zdezelowane – zaproponował. – I co ty robisz na lotnisku?

– Czekam.

– Tak, słyszałem, ale...

– W dodatku to czekanie wydaje się bez końca, bo lot ma jakieś opóźnienie –

burknęła. – Ktoś naprawdę powinien zacząć budować kina w strefach odlotów, zbiły na tym prawdziwą fortunę.

– Chyłka...

– Może w Ryanairze znowu jest eksodus pilotów. Albo jakiś wulkan wybuchł, tak czy owak...

– Powiesz mi, co ty tam robisz?

– Lecę do Manchesteru. Niestety razem z McVayem.

Kordian odstawił pusty kubek po latte.

– Jesteś? – spytała.

– Właściwie trudno powiedzieć. Stale wytrącasz mnie z rzeczywistości.

Westchnęła głośno.

– Siedzę na lotnisku w Modlinie, Zordon. Lecę na kilka dni do Anglii. Ryanaiem. Maszyna to boeing siedem trzy siedem osiemset. Podróż potrwa jakieś dwie i pół godziny. Płacę za to niewiele ponad tysiącza. Coś jeszcze chcesz wiedzieć?

– Nie, nie, to mi w zupełności wystarcza. Nie interesuje mnie przecież powód, dla którego ni stąd, ni zowąd lecisz do Manchesteru.

– Z McVayem.

Oryński potarł nerwowo czoło. Niechętnie musiał przyznać, że ten element rzeczywiście był z jego punktu widzenia w tej chwili najbardziej niepokojący.

– Więc? – zapytał.

Joanna przez moment milczała.

– Podjęcie tropu Nelsona to jedyny sposób, żeby dowiedzieć się, o co chodzi – odezwała się w końcu. – To on wybudził Salusa. On przejął Grójecką. I on sprzedał tę działkę Widerze.

– Ale...

– W jego dokumentacji jest coś, co sprawiło, że Beata i Harry zginęli – ciągnęła Joanna. – A ja nie dotrę do niej, jeśli tam nie polecę. To, co zostało w Polsce, czule potraktowali bracia Widerowie. Zresztą sam widziałeś.

– Zaraz...

– Nie ma innej opcji, Zordon.

Chciał stanowczo zaoponować, ale szybko uznał, że równie dobrze mógłby próbować przekonać Putina i Kim Dzong Una, by wprowadzili w swoich państwach liberalną demokrację. Przypuszczał zresztą, że kiedy pierwszy szok minie, podzieli wnioski Chyłki.

Tylko czy to naprawdę możliwe, że przez rozgrzebywanie przeszłości ktoś zamordował Bogu ducha winną dziewczynę i imiennego partnera jednej z największych warszawskich kancelarii?

– Nie zejdzie mi długo – zapewniła Joanna. – Wpadam tam, przyciskam Nelsona, kupuję koszulkę Carricka i wracam do domu.

– Carricka? Nie lepiej Romelu Lukaku albo...

– Nie. Ci nowi mnie nie interesują, lubię weteranów.

– Na jednego z pewnością trafisz, szukając odpowiedzi. Nelson to nie byle płotka.

– Nie? – spytała z zaciekawieniem. – Czyżbyś robił jakiś research, niedoszły

adwokacie?

- Miałem nadmiar wolnego czasu w nocy.
- Trzeba było przyjechać na Argentyńską.
- Przypuszczałem, że jesteś zajęta.
- Niby czym?

Wzruszył ramionami, jakby mogła to zobaczyć.

– Najwyraźniej planowaniem lotu z samego rana – odparł tonem, który świadczył jednoznacznie, że chce zbyć temat. – W każdym razie Richard Nelson ma dużą szansę stać się Richardem N., jeśli kiedykolwiek zdecyduje się wrócić do Polski.

– Poszarżował nie tylko w sprawie działki przy Grójeckiej?

– Ba – potwierdził Oryński. – Gość reaktywował kilkanaście dawnych spółek, w większości wypadków przedstawiając papiery, które nabył za bezcen. Nie miał nic wspólnego ani z przedwojennymi właścicielami, ani z roszczeniami. Mimo to udało mu się w ten sposób nabyć parę budynków.

– Z lokatorami.

– Otóż to – potwierdził Kordian, dochodząc do wniosku, że przyda mu się kolejne latte. – Nikogo oczywiście nie wywalił na bruk, ale podniósł czynsz o kilkaset procent. Ostatecznie w kilku przypadkach doszło do eksmisji.

– *Nihil novi.*

Chyłka miała stuprocentową rację. Scenariusz powtarzał się w przypadku porażającej liczby warszawskich kamienic. Osoby niemające nic wspólnego z poprzednimi właścicielami nabywały majątki, a potem usuwały ludzi, których zastały na miejscu. I nie miało żadnego znaczenia, że ci mieszkali tam legalnie od kilkudziesięciu lat, a podstawa prawna przejęcia była wątpliwa.

Liczyła się rękojmią wiary publicznej ksiąg wieczystych. Jeśli coś zostało w nich zapisane na którymś etapie, stawało się niepodważalną prawdą. Rzeczywistość częstokroć nie miała znaczenia, a jeśli Kordian dobrze pamiętał, zasada ta obowiązywała już w Kongresówce w dziewiętnastym wieku.

To tyle, jeśli chodziło o to, czy ważniejsze jest prawo, czy sprawiedliwość.

– Wyciągnę wszystko z Nelsona – zapowiedziała Joanna. – Ty skup się na Kranzu.

– W jaki sposób? – zapytał z powątpiewaniem Oryński. – Nie mam żadnych uprawnień, Chyłka. Nie mogę działać ani w jego imieniu, ani z twojego polecenia, ani...

– Dasz sobie radę – ucięła. – Szczególnie że to on wyciągnął do nas rękę.

– Do ciebie.

– To nie ma znaczenia. Jesteśmy jak jeden organizm.

– Ja i ty?

Potwierdziła cichym pomrukiem.

– Osobliwa symbioza byłaby właściwszym porównaniem.

– Mniejsza z detalami – odparła, a Kordian mógłby przysiąc, że machnęła przy tym ręką. – Liczy się to, że waginolog w końcu chce rozmawiać. I chyba przestał się ukrywać.

– Najwyższa pora. Do procesu kilka dni.

Przez chwilę Joanna milczała, a Oryński słyszał w tle typowe dla portu lotniczego dźwięki. Informowano o kolejnych przylotach i odlotach, kogoś wzywano do kontroli

bagażu, a wszystko to odbywało się przy akompaniamencie kakofonii głosów podróżnych.

– Nie przepadam za lotniskami – oznajmiła nagle Chyłka.

– Za dużo ludzi w jednym miejscu?

– Nie, chyba nie o to chodzi. Kiedy się patrzy na te wszystkie kontrole, człowiek ma wrażenie, że domniemanie niewinności tu nie istnieje.

– I martwi cię to jako adwokatkę hołdującą najszlachetniejszym ideom?

– Daj spokój – prychnęła. – Martwi mnie to, bo jest uzasadnione. I pokazuje, w jak perfidnych czasach żyjemy.

– Masz wyraźnie refleksyjny nastrój.

– Bo opuszczam kraj. Dla prawdziwej patriotki to nigdy nie powód do radości, Zordon.

– Szczególnie kiedy prawdziwa patriotka zostawia w nim swojego...

– Nieodłącznego sługusa?

– Nie to określenie miałem na myśli.

– A więc jakie? – spytała z zaciekawieniem. – Chyba nie ukochanego?

– Nie, z pewnością nie – odparł Kordian, wstając od stolika. Podeszedł do lady, a potem na migi pokazał baristce, że chciałby jeszcze jedno latte. – Sam nie wiem, jakiego powinienem użyć.

– Nie ty jeden.

– W końcu trzeba by to ustalić.

– I tak zrobimy. Po powrocie.

Oryński nie mógł pozbyć się wrażenia, że ta deklaracja nie ma całkowitego pokrycia w rzeczywistości. Obecność Williama podczas tej podróży sprawiała, że wszystko stawało pod znakiem zapytania.

– Zajmiesz się Kranzem? – odezwała się Chyłka.

– Jeśli będzie gotów spotkać się z kimś, kto nawet nie pracuje w Żelaznym & McVayu.

– W tej chwili nie ma nawet McVaya, Zordon. To wyjątkowe okoliczności, a on to zrozumie.

– Skoro tak twierdzisz... – odparł bez przekonania. – Gdzie i kiedy mam się z nim spotkać? I co konkretnie mu powiedzieć?

Słyszając, jak Joanna przeciągle nabiera tchu, Oryński zrozumiał, że za moment usłyszy cały szereg instrukcji. Nie pomylił się. Kilka kolejnych minut spędził na notowaniu w pamięci wszystkiego, co miał poruszyć podczas spotkania z Rafałem Kranzem.

Lekarz chciał, by odbyło się w południe w kancelarii, ale z oczywistych względów nie wchodziło to w grę. Zamiast tego Oryński czekał na niego w Mące i Wodzie przy Chmielnej. Miejsce wydawało się właściwe, jeśli wziąć pod uwagę, ile budynków w okolicy podzieliło los działki, którą niedawno odziedziczył Kranz.

Ginekolog zjawił się nieco po czasie, wyraźnie zmachany. Wszedł do lokalu i rozejrzał się niepewnie w poszukiwaniu Joanny. Kordian szybko się podniósł, przykuwając jego uwagę.

– Jestem w zastępstwie mecenas Chyłki – powiedział, a potem się przedstawił.

Liczył na to, że marynarka, krawat i świeża koszula sprawią, że Rafał nie będzie dopytywał o szczegóły. Kiedy lekarz zajął miejsce przy stoliku, wszystko wskazywało na to, że przynajmniej na tym froncie Kordian odniesie sukces.

– Coś się stało? – zapytał Kranz. – Jakież komplikacje?

– Musiała wyjechać.

– Teraz? Na parę dni przed procesem?

– Zapewniam, że nie na wakacje – odparł Oryński, siląc się na lekki ton i nieznaczny uśmiech.

Jedno ani drugie nie doczekało się żadnej reakcji ze strony rozmówcy.

– Gdzie wyjechała? Na jak długo?

Kordian uznał, że najlepiej ugryźć to od innej strony.

– Nie mogę mówić o szczegółach, ale dwóch rzeczy może być pan pewien. Po pierwsze, że Chyłka nie próżnuje. Po drugie, że wyjechała w pańskiej sprawie.

– W mojej? – wypalił Kranz. – Co to ma niby znaczyć?

– Że...

– Wszystko, co się ze mną wiąże, jest tutaj, na miejscu.

– Niezupełnie.

– W takim razie czekam na szczegóły.

Kordian zerknął w stronę przechodzącej obok kelnerki.

– A ja na moją przystawkę – oznajmił. – Zamówiłem frittatine di pasta i o ile wiem, to coś w rodzaju makaronowej zapiekanki z patelni. Ale może tutaj wkładają do pieca, zobaczmy.

Kranz wyglądał, jakby nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

– Choć najwyraźniej nieprędko – dodał Oryński. – Jakoś nikomu się tu nie spieszy. Albo czekają, aż pan coś zamówi, żebyśmy dostali startery w jednym momencie. Zawsze irytuje mnie ten dziwny zwyczaj.

Rafał milczał jeszcze tylko przez chwilę.

– Pan sobie żartuje? – spytał odrobinę za głośno.

– Nie, naprawdę już dość długo czekam na tę frytatę.

– To jakaś kpina.

– Zapewniam, że nie.

Kordian sięgnął po menu, podał je rozmówcy, a potem wskazał na miejsce, gdzie wypisano przystawki. Lekarz natychmiast zamknął kartę i odłożył ją na brzeg stołu.

– Chyba zbyt dużo czasu spędził pan ze swoją mecenas – ocenił. – Albo stara się pan zrekompensować jej nieobecność, przyjmując podobnie nonszalanckie podejście.

– Uczą nas, żebyśmy dopasowywali się do klienta.

– Słucham?

– Pan podchodzi beztróska do całej sprawy, to my też.

– Beztróska? Do cholery, na szali jest nie tylko moja kariera, ale i cała przyszłość.

– Zauważyłem – odparł Oryński, wyglądając frytaty. – Chyłka też, ale pan najwyraźniej nie.

Kranz uniósł dłoń w geście niemego protestu.

– A przynajmniej taki wniosek się nasuwa po pańskim zniknięciu – dodał Kordian, zanim ginekolog zdążył wyrazić bardziej dosadny sprzeciw. – Zamiast przekazać nam każdy najistotniejszy detal i pozwolić, żebyśmy przygotowali pana do procesu, zwinął się pan bez słowa.

– Miałem swoje powody.

– Jakie?

– Nie muszę się panu z tego tłumaczyć.

– Mnie nie, ale sądowi będzie wypadało. Szczególnie jeśli zapyta o to prokurator.

A przypuszczam, że to zrobi, bo niecodziennie znika z radaru człowiek, który ostatecznie może odpowiadać za podwójne zabójstwo.

– Nie miałem z tym nic wspólnego. Ani z dziewczyną, ani z waszym szefem.

– A jednak w obydwu przypadkach użyto tych samych środków, które wypisał pan Beacie Widerze.

– Niczego jej nie wypisywałem.

– Więc skąd recepty?

– Nie wiem.

– I skąd wydrukowany na pańskiej drukarce list pożegnalny?

Rafał odchrząknął niepewnie.

– Tego też nie wiem.

– To może wie pan chociaż, w jaki sposób Beata znalazła się na zdjęciu z panem, już po swojej śmierci?

– Naprawdę muszę odpowiadać na te pytania?

– Tylko jeśli chce pan uniknąć więzienia.

Przerwali na moment, gdy do stolika w końcu podeszła kelnerka. Podała Kordianowi przystawkę, odebrała od obydwu gości zamówienia, a potem dołąła im wody z karafki. Przez cały ten czas Rafał przyglądał się bacznie Oryńskiemu.

– Macie wiele wspólnego, jak widzę – burknął.

– Jeśli to komplement, jest chybiony – odparł Kordian. – Przynajmniej z punktu widzenia Chyłki. Ale wróćmy do pana i tego zdjęcia. Skąd się wzięło?

– Naprawdę nie wiem.

Dalsze maglowanie go w tej sprawie nie miało sensu, Oryński spodziewał się, że Kranz dalej będzie szedł w zaparte. Skoro do tej pory obstawał przy tej wersji, przed samym procesem nie zmieni taktyki.

Zrobi to zapewne dopiero wtedy, kiedy się zorientuje, że znalazł się w naprawdę głębokiej, ciemnej studni. I że jedyna droga ratunku otworzy się, jeśli zacznie mówić prawdę.

– Co w takim razie powie pan sądowi? – spytał Kordian. – Będzie pan utrzymywał, że był w Tropical Islands z żoną?

– Nie. Przecież zadeklarowała, że tak nie zezna.

– No, niezupełnie. Zadeklarowała, że nigdy tam z panem nie była.

Rafał milczał.

– Z kim pan tam pojechał, panie Kranz?

– Byłem sam.

Czy istniała jakakolwiek możliwość, że mówił prawdę? Nie, raczej nie, uznał Kordian. Fotomontaż z pewnością stał na wysokim poziomie, skoro początkowo nawet Kormak dał się oszukać, nikt jednak nie byłby w stanie wkleić na zdjęcie całej postaci. Dodanie twarzy Widery było wykonalne, ale na tym możliwości się kończyły.

– Wątpię, żeby sąd to kupił.

– A co ja na to poradzę? Taka jest prawda.

– W takim razie jest nią też to, że powinien pan zmienić specjalizację na urologię.

W przeciwnym wypadku tam, gdzie spędzi pan resztę życia, będzie pan bezrobotny.

Kranz napił się wody i oblizał usta.

– Waszym obowiązkiem jest bronić mnie najlepiej, jak potraficie.

– I właśnie to chcemy zrobić. Ale potrzeba nam trochę informacji.

– Macie wszystkie.

– Kilku nam brakuje – odparł Kordian. Odnosił wrażenie, jakby rozmawiał nie z klientem, ale z niepokornym podopiecznym, który z przekory nie chce mu wyjawiać istotnych faktów.

– Powtórzę to jeszcze raz, ale więcej nie mam już zamiaru – mruknął Kranz. – Byłem w Tropical Islands sam. Zdjęcie zostało zmanipulowane.

– Sąd na pewno w to uwierzy.

– Macie sprawić, by tak się stało.

Oryński nabrał głęboko tchu, a potem odkroił kawałek przystawki. Chyłka miała rację, kiedy mówiła, że trafił im się wyjątkowo oporny klient. Nie był to pierwszy taki przypadek, ale Rafał Kranz w jakiś sposób wyróżniał się na tle innych.

Brakowało mu wyrachowania Langerera. Nie miał też siły przekonywania jak Sebastian Sendal. I nie był w połowie tak wiarygodny, jak Tesarewicz.

Właściwie prezentował się jak ktoś, kto bez oporów łączy w żywe oczy.

– W porządku... – rzucił z pełnymi ustami Kordian. – Skoro na tym polu pan nam nie pomoże, przejdźmy na inne.

– Bardzo chętnie.

– Dlaczego nie odrzucił pan spadku?

– Bo nie mam ku temu powodu.

– Ma pan przynajmniej kilka – zaproponował stanowczo Oryński, starając się, by jego ton głosu uległ odpowiednio dużej zmianie. – Jednym z nich jest to, że postawiłoby to pana w lepszym świetle.

– Jestem niewinny. Żadne światło mnie nie interesuje.

Najwyraźniej profesjonalny ton głosu nie podziałał. Albo Kordianowi nie udało się go przyjąć.

– W takim razie niech pan się zastanowi nad drugim powodem – dodał. – Ta działka na nic się panu nie zda. A bracia Widerowie i tak obalą testament siostry.

– Jeśli jest pan tego taki pewien, być może powinienem poszukać innej kancelarii.

Oryński pomyślał, że może rzeczywiście tak byłoby najlepiej. Na dobrą sprawę miał dość Kranza, jeszcze zanim go poznał. Wystarczyło poczytać trochę na jego temat w internecie i przejrzeć kilka niewybrednych żarcików, z których zdążył zasłynąć.

Chyłka jednak z pewnością nie zrezygnuje z obrony. Po pierwsze tkwiła już w tej

sprawie zbyt głęboko. Po drugie Kranz jej pomógł – a właściwie nie jej, ale Oryńskiemu. Raz po raz Kordian musiał sobie o tym przypominać, by pociągnąć tę rozmowę dalej.

Wypytał Rafała o wszystkie kwestie, które poleciła mu sprawdzić Joanna, na dobrą sprawę jednak niczego nowego się nie dowiedział. Obawiał się, że prawdę z Kranza wyciągnie dopiero prokurator podczas rozprawy.

A dla obrony będzie to nokautujący cios.

– Więc nigdy nie spotkał pan ani Felicji Klawitter, ani jej ojca?

– Już mówiłem, że nie.

– I nie wie pan nawet, kim jest Richard Nelson?

– Pierwszy raz usłyszałem o nim od pana.

– I nie miał pan nic wspólnego z żadnymi roszczeniami na rynku nieruchomości?

Kranz westchnął błagalnie w odpowiedzi, jakby nie miał już sił zaprzeczać. Jakiś związek między nim a tymi ludźmi musiał jednak istnieć. Tyle że Kormak zawczasu wszystko sprawdził – i to, przy czym upierał się lekarz, pokrywało się z ustaleniami chudzielca.

Oryński miał wrażenie, że ta sprawa jest jak zmora, która będzie się za nimi ciągnąć przez kilka najbliższych lat. Podrapał się po skroni, zastanawiając, czy zapytał rozmówcę o wszystko.

Tak mu się wydawało. I na każde pytanie Kranz miał taką samą, niewiele mówiącą odpowiedź. Jeszcze przez moment Kordian masował pulsujące na skroniach żyły, a potem opuścił rękę.

– Jak mam w to wszystko uwierzyć, panie Kranz?

– Wydawało mi się, że adwokat nie musi w nic wierzyć, tylko bronić.

– To prawda. Ale jeśli przekona pan mnie, łatwiej pójdzie potem z prokuraturą i sądem.

– Nie mam nic więcej do dodania.

Odpowiedź padła szybko i bez namysłu. Kordian przypuszczał, że Kranz ma dosyć całej tej sytuacji nie mniej niż on. Uznał, że pora zakończyć spotkanie. Ale zanim to zrobi, wystrzeli jeszcze kilka salw na ślepo. Nie pozostało mu już nic innego.

– Nigdy nie miał pan żadnych kontaktów z osobami skupującymi roszczenia?

– Nie.

– Może więc z jakimiś prawnikami z Wielkiej Brytanii? Niekoniecznie zajmującymi się...

– Też nie.

– A z Harrym McVayem?

– Chybabym o tym wspomniał, prawda?

– Nie wiem – odparł pod nosem Oryński. – Wydaje się pan większość rzeczy przemilczać.

– Jedyne prawo, z którym kiedykolwiek miałem jakiś kontakt, zajmował się moim funduszem inwestycyjnym. I było to już jakiś czas temu, kiedy wybuchł boom na doradztwo rynkowe.

Raczej na masowe ponoszenie strat na giełdach, poprawił go w duchu Oryński. Tak czy inaczej doradca inwestycyjny nie miał żadnego znaczenia.

– Facet nie był taki jak wy.
– My?
– Drażycie jeden temat, jakbyście byli ślepi na wszystko inne. On miał podzielnosc uwagi.

Kordian sięgnął po portfel i wyjął kilka banknotów z nadzieją, że kancelaria zwróci mu te wydatki. Straconego czasu już nie odzyska.

– Był w tej kwestii mistrzem.
– W jakiej? – spytał Oryński dla porządku, choć na dobrą sprawę nie miał zamiaru słuchać odpowiedzi. Położył pieniądze na stole i podniósł się.

– Podzielnosci uwagi.
– Aha.
– Potrafił jednocześnie załatwiać sprawy z innym klientem przez telefon, śledzić notowania na giełdzie, kiedy jeszcze pokazywano je na paskach informacyjnych, i pisać na...

– Co pan powiedział?

Kranz zmarszczył czoło, zaskoczony nagłym zainteresowaniem ze strony młodego prawnika.

– Że kiedyś nie trzeba było szperać w internecie, żeby wiedzieć, jak stoją akcje spółek. Wystarczyło...

– Miałem na myśli tego adwokata.

– Nie był adwokatem – odparł ciężko Rafał. – Zresztą to i tak bez znaczenia, bo ostatecznie oskarżyli go o jakieś przekręty. Poszedł siedzieć. I dobrze, bo tacy jak on sprawiają więcej problemów, niż ich rozwiązują.

Kordian na powrót zajął miejsce przy stole, ku coraz większej konsternacji rozmówcy.

– Kim Peek – odezwał się Oryński.

Wyraz zdziwienia na twarzy Rafała uwydatnił się jeszcze bardziej. Kordian nie potrzebował werbalnego potwierdzenia, by zrozumieć, że mowa o człowieku, którego miał okazję poznać.

– Tak na niego mówili, prawda? – zapytał mimo to.

– Skąd pan wie?

Oryński potrząsnął głową.

– Nieistotne – odparł. – Liczy się to, co ten prawnik miał wspólnego z pańskimi finansami. I tym razem chcę usłyszeć prawdziwe konkrety.

Nie miał wątpliwości, że je otrzyma. Kranz w końcu zaczął sprawiać wrażenie, jakby zrozumiał powagę sytuacji. Z pewnością pomógł mu w tym alarmistyczny ton, w który uderzył obrońca.

Nie zdążyli jednak podjąć tematu. Obaj zamarli, kiedy zobaczyli, jak do restauracji wchodzi Chyłka, ciągnąc za sobą torbę podróżną.

Mąka i Woda, ul. Chmielna

Dźwięk kółek przetaczających się po podłodze ściągnął uwagę nie tylko Oryńskiego i Kranza, ale także wszystkich innych klientów. Joanna jednak ledwo to dostrzegła. Zatrzymała się przy stoliku, a potem zgromiła wzrokiem lekarza.

– Najwyższa pora, sukinsynu, żebyś powiedział, co się tutaj dzieje – syknęła.

Postawiła torbę przy krześle, a potem uderzyła w rączkę, składając ją. Nie opuszczały jej niepewne spojrzenia zebranych.

– Masz problemy ze słuchem, Kranz? – dodała.

Widziała, że zarówno on, jak i Kordian chcieli zapytać, co tutaj robi. Nie zamierzała dać im jednak na to szansy.

– Poczekaj... – zaczął Rafał.

– Czekam dostatecznie długo. Czas na odpowiedzi.

Odsunęła sobie krzesło i usiadła przy stole, nie odrywając wzroku od ginekologa.

– O co tu chodzi, do kurwy nędzy? – rzuciła. – W co ty się władowałeś? I w co przy okazji nas wciągnąłeś?

Rafał rozejrzał się niepewnie.

– Mów!

– Spokojnie, przecież...

– Czas na spokój skończył się, kiedy wywalono mnie z lotniska – oznajmiła, a potem uderzyła otwartą dłoń o blat stołu.

Kranz poruszył się nerwowo, a Kordian uniósł pytająco brwi. Obaj wyglądali na skołowanych znacznie bardziej, niż mogłaby się spodziewać. Zupełnie jakby przerwała im w kluczowym momencie rozmowy, kiedy dotarli do czegoś, co wprawiło ich w zdumienie.

– Nie rozumiem – odezwał się Rafał, kręcąc głową. – Wyrzucono cię z lotniska?

– Jak pieprzoną potencjalną terrorystkę przylatującą prosto z Jemenu czy innego Sudanu.

– Ale...

– Nie przesłama kontroli bezpieczeństwa.

Obaj mieli na końcu języka kolejne, zapewne niekończące się pytania. Początkowo planowała szybko je zbyć i zająć się wyciągnięciem z Kranza całej prawdy, ale być może najrozsądniej było zacząć od wyjaśnienia tego, co ją spotkało.

Zagubione spojrzenie Kordiana utwierdziło ją w tym przekonaniu.

– Co tam się stało, Chyłka? – spytał.

– Dostałam jasny sygnał, żeby uważać na to, co robię.

– To znaczy?

– Nie przepuścili mnie przez bramki – powtórzyła, patrząc konfrontacyjnie na lekarza, jakby to on zatrzymał ją podczas kontroli osobistej. – Łaziłam przez nie w te i nazad, i za każdym razem pieprzony sprzęt brzęczał jak czujnik cofania podczas wyjątkowo rześkiej ulewy.

Zdziwienie obydwu siedzących przy stole rozmówców było niemal fizycznie wyczuwalne.

– Zdjęłam, co mogłam, wywaliłam wszystko z kieszeni i niewiele brakowało, a robiłabym tam za chodzącą reklamę Victoria's Secret.

Oryński odchrząknął cicho.

– Nie rozmarz się, Zordon.

– Na razie staram się skupić tylko na tym, jakim cudem jesteś tutaj, a nie w Manchesterze.

– Właśnie ci to tłumaczę.

– Mogłabyś nieco przyspieszyć? Bo jest pewna sprawa, która nie cierpi zwłoki.

– Jest ich przynajmniej kilka – odparła niechętnie. – A jedną z nich jest to, dlaczego nie przepuszczono mnie przez kontrolę, zawrócono do hali głównej, kazano czekać na celników, a potem zaprowadzono do niewielkiego pokoiku, w którym na co dzień przesłuchuje się idiotów przemycających narkotyki między pośladkami.

Kelnerka zbliżyła się do stołu, ale słysząc ostatnią wypowiedź nowo przybyłej klientki, zawahała się. Chyłka machnęła do niej ręką na znak, że ma wszystko, co jej do szczęścia potrzebne.

– Zaraz potem okazało się, że mój bagaż rejestrowany też nie został dopuszczony na pokład – dodała. – W jednym i drugim wypadku miało chodzić o niebezpieczne substancje.

– To znaczy?

– Staralam się tego dowiedzieć przez dobrą godzinę, zderzając z biurokratyczną machiną portu lotniczego Warszawa-Modlin. I ani przez moment nie miałam wątpliwości, że ktoś wyjątkowo się postarał, żebym nie dotarła do Manchesteru.

Obaj czekali na konkrety, a Chyłce przeszło przez myśl, że mogła zamówić wołowe carpaccio, zamiast odsyłać kelnerkę.

– Werdykt służb lotniskowych był jasny – mruknęła. – Staralam się przemycić na pokład materiały wybuchowe.

– Właściwie...

– Bez uszczypliwości, Zordon.

– Chciałem tylko powiedzieć, że...

– Że jestem bardziej wystrzałowa niż nitrogliceryna? – wpadła mu w słowo. – Jeśli tak, to wiadoma sprawa. Jeśli nie, to lepiej zamilknij.

Kordian już się nie odezwał.

– Efekt był taki, że celniczka mnie obmacała, rozbebeszyli wszystkie moje bagaże i zamknęli mnie w niewielkim pokoju z dwojgiem niezbyt wesołych ludzi – ciągnęła. – A takiego towarzystwa nie znoszę. Moja wrodzona pogodność na tym cierpi.

Spojrzała znacząco na Kranza, który sam sprawiał wyjątkowo smętne wrażenie. Wyraźnie nie wiedział, jak odnaleźć się w tej sytuacji. Na dobrą sprawę chyba nie

rozumiał, czy jego obrończyni jest całą sprawą zniesmaczona, poirytowana czy rozbawiona.

Ostatecznie reakcja Chyłki była wypadkową wszystkich tych odczuć.

– Żadnych materiałów wybuchowych oczywiście nie znaleźli – dorzuciła.

– Nie licząc twojego charakteru.

– Tak, nie licząc jego.

– Więc skąd to zatrzymanie?

– Ustalenie tego też zajęło mi stanowczo za dużo czasu – odparła pod nosem. –

Ostatecznie okazało się, że miałam na ubraniu i torbie rezydualne ślady prochu.

– Prochu?

– Nie mam na myśli tego białego, który zwykleś wciągać.

Kordian zerknął niepewnie na Kranza, ale ten zdawał się nie usłyszeć uwagi.

– Chodzi o ten, którego drobiny przylegają do ciebie po wizycie na strzelnicy.

Przynajmniej tak twierdzili funkcjonariusze Straży Granicznej, kiedy opuścił ich początkowy dojmujący smutek.

– Byłaś na strzelnicy?

– Jestem na niej codziennie, Zordon. Całe moje życie to wybieranie celów, a potem walenie do nich z pełnego arsenału, jaki mam pod ręką.

Oryński czekał na właściwą odpowiedź, ale na dobrą sprawę powinien sam jej sobie udzielić. Chyłka nie omieszkałaby go poinformować, gdyby rzeczywiście wybrała się na strzelnicę.

– Oprócz tego z żadną inną bronią nie mam i nie miałam nic wspólnego – wyjaśniła. – A więc ktoś postarał się, żeby drobinki prochu się na mnie znalazły.

– Kto?

– Nie mam pojęcia – odparła, po czym przeniosła wzrok na Kranza. – Ale znam kogoś, kto powinien wiedzieć.

Lekarz wzruszył bezradnie ramionami.

– Naprawdę chciałbym móc to wyjaśnić, ale...

– Ale tego nie zrobisz, bo z jakiegoś powodu wciąż jesteś przekonany, że najlepiej wyjdiesz na dalszym łganiu – dokończyła za niego Joanna. – Tak, tyle już zdążyłam zrozumieć sama. I przypuszczam, że Zordonowi nie udało się niczego z ciebie wyciągnąć?

– Naprawdę nie ma czego.

Kordian uniósł lekko palec wskazujący.

– Właściwie jedna rzecz się pojawiła.

– Jaka?

– Facet, z którym siedziałem w celi, zajmował się swojego czasu finansami pana Kranza.

– Żaden on ci pan, Zordon – oznajmiła Joanna. – Więc jeśli jeszcze nie przeszliście na ty, właśnie zrobiłam to w waszym imieniu.

Obaj niepewnie skinęli głowami, a ona założyła rękę za oparcie krzesła. Posłała Kordianowi ponaglące spojrzenie. Ten odpowiedział jednak bezsilną miną.

– To wszystko? – spytała. – Tylko tyle ustaliliście przez cały ten czas?

– Niestety.

– W takim razie Bogu niech będą dzięki, że nie poleciałam. Beze mnie wszystko stoi jak Marszałkowska w godzinach szczytu.

Rafał przysunął się bliżej stołu, jakby miał coś ważnego do powiedzenia.

– Ten prawnik to Michał Błoński – oznajmił.

– Kim Peek – odpowiedział Kordian. – Ksywy nabawił się przez...

– Podzielność uwagi. Tak, pamiętam.

– Nie wiem wprawdzie, dlaczego akurat takiej, ale to chyba nie ma znaczenia.

– Nie ma – potwierdziła Joanna. – Choć jak możesz się domyślać, wykazałam trochę więcej inicjatywy od ciebie i sprawdziłam to po naszym romantycznym spotkaniu w mokotowskiej sali widzeń.

– Było romantyczne?

– Na tyle, na ile może być spotkanie z tobą, Zordon – odparła, a potem sięgnęła po jego kawę. Filiżanka była już jednak pusta. – Kim Peek był sawantem. To na nim wzorowano postać w *Rain Manie*, którą grał Hoffman.

Rozmówcy wyraźnie nie kojarzyli tytułu, ale Joanna zbyła ich niewiedzę machnięciem ręki.

– Peek potrafił równocześnie czytać dwie strony w książce, jedną prawym, a drugą lewym okiem. W dodatku znał na pamięć dwanaście tysięcy pozycji, więc nosił w głowie niemałą bibliotekę. Miał też w głowie nazwy wszystkich autostrad, miejscowości i kodów pocztowych w Stanach. A to tylko kilka kropel w morzu – kontynuowała Joanna. – Jeśli ten wasz Kimpik jest równie uzdolniony, to przypuszczam, że może być mastermindem całej tej sprawy. Jeśli nie... to dlaczego, do kurwy nędzy, w ogóle o nim wspominać?

Popatrzyli na siebie.

– No? – ponagliła jednego i drugiego.

Kordian szarpnął za poły marynarki, a materiał na barkach od razu lepiej się ułożył.

– Nie przygotowuj się jak do audyencji u papieża, tylko mów – dodała Chyłka.

– To po prostu... podejrzan.

– Co konkretnie?

– Fakt, że sprawami finansowymi klienta zajmował się ktoś, kto dzielił ze mną celę.

– Mnie to wygląda na zwykły przypadek – odparła ze spokojem. – Ale sprawdzimy to. Choćby po to, żebyś mógł odwiedzić stare cztery ściany i zwiększyć swoją traumę powięzienną.

– A cierpię na nią?

Zerknęła na niego z ukosa, a potem bez słowa podniosła się i chwyciła za uchwyty torby podróźnej. Mimo że nie okazała przesadnego zainteresowania, musiała przyznać, że związek osadzonego finansisty z Kranzem mógł się okazać znaczący – i zamierzała sprawdzić go jak najszybciej.

Tutaj nie miała czego szukać. Rafał nie był gotów zdradzić im czegokolwiek, nie było sensu tracić na niego więcej czasu. W dodatku musiała się dowiedzieć, kto zniweczył jej plan podróży do Anglii.

Trafiła na konkretny trop, co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości. Inaczej nikt nie zadałby sobie tyle trudu, by wysłać jej jasny sygnał, umieszczając na ubraniu

i bagażach proch.

– Czas na nas, Zordon – oświadczyła, odwracając się w stronę wyjścia. Zanim jednak ruszyła przed siebie, zerknęła na Kranza. – Ostatnia szansa, waginologu. Albo wyśpiewasz nam wszystko w tej chwili, albo zrobisz to przed sądem i prokuratorem za parę dni.

Rafał ograniczył odpowiedź do wymownego rozłożenia rąk.

Dwoje prawników opuściło restaurację, a potem skierowało się ku zaparkowanemu nieopodal żółtemu daihatsu YRV. Chyłka po raz drugi tego dnia pożałowała, że nie pojechała na lotnisko iks piątką.

Oryński przez chwilę siłował się z klapą bagażnika, ale w końcu udało mu się wrzucić do niego torbę Joanny. Potem oparł się o samochód i zapatrzył gdzieś w dal.

– O co tu chodzi, Chyłka?

– Zadaję sobie to samo pytanie, ilekroć widzę, jak ten żółty dezel w ogóle zapala – odparła. – Ale odpowiedzi nadal nie mam.

– Mówię poważnie.

– Ja też. Gruchot dawno powinien wyzionąć ducha.

– Najwyraźniej jest wytrwalszy, niż sądzisz – odpowiedział Kordian, przenosząc wzrok na Chyłkę. – Podobnie jak ten, komu zależy na tym, żebyśmy nie odkryli prawdy.

– Ehe.

– Co to ma niby znaczyć?

– Że nie wiem, co rzec.

– Świetnie...

– Liczyłeś na coś więcej, Zordon? – spytała. – Co mam ci powiedzieć? Że dwoje ludzi zginęło, bo najwyraźniej dotarło do tego, czego ja teraz szukam? Że ktoś wysłał mi jasne ostrzeżenie, żebym dalej nie brnęła? Wszystko to rzeczy oczywiste. A nic więcej dodać do tego nie mogę.

– W takim razie ja dodam, że nie możesz tego bagatelizować.

– Czego?

– Grożącego ci niebezpieczeństwa.

Chyłka zaśmiała się pod nosem, a potem wyciągnęła dłoń w kierunku Oryńskiego. Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– Chcesz poprowadzić?

– Nie chcem, ale muszem.

– Teraz cytujesz Wałęsę?

– Tylko w sytuacjach kryzysowych, a ta do nich należy. Siądę zaraz za sterami kłokota, który przy odrobinie pecha rozkraczy się już na rondzie Dmowskiego.

– To kilkaset metrów stąd.

– Zgadza się.

– Rydwan ognia sobie poradzi – zapewnił Kordian, przechodząc na stronę pasażera. – Ale ty nie, jeśli będziesz traktować to zagrożenie, jakby nie istniało.

– Istnieje. Tyle że nie dla mnie, a dla tego, kto zmusił mnie do użerania się z pogranicznikami w Modlinie. I do bycia obmacywaną przez jakąś francję.

Kordian otworzył drzwiczki, popatrzył na Joannę i w końcu odpuścił. Zajął

miejsce, a kiedy Chyłka usiadła za kierownicą, podał jej kluczyki.

– Więc co zamierzasz? – spytał.

– Modlić się do Świętego Krzysztofa. Obawiam się, że bez wstawiennictwa u patrona kierowców nie dotrzemy na Mokotów.

– Chyłka...

– Zamierzam przepytąć tego twojego Kim Dzong Una – dodała. – A oprócz tego czekać na wieści od Williama.

Kordian zmarszczył czoło.

– Ma sprawdzić, co wie Nelson, i od razu się odezwać.

– Tak, tego akurat się spodziewałem. Zastanawia mnie raczej to, w jaki sposób planujesz od razu rozmówić się z Kimpikiem.

– Mam znajomości przy Rakowieckiej – odparła, ostrożnie przekręcając kluczyk w stacyjce. – Może nie takie jak ty, ale znam jednego klawisza, który szybko załatwi nam widzenie.

Oryński zdawał się powątpiewać, ale kiedy dotarli na miejsce, od razu stało się jasne, że Joanna nie mija się z prawdą. Powinien był się tego spodziewać. Na własnej skórze przekonał się, jak wiele Chyłka jest w stanie załatwić u administracji aresztu śledczego.

Funkcjonariusz, który wyszedł im na spotkanie, był wyraźnie gotowy do współpracy, ale także nieco zmieszany. Joanna знаła go dość dobrze, to on umożliwił jej wejście przed tym, jak Oryński po raz pierwszy spotkał się z Gorzymem. Strażnika raczej rzadko dziwiły nawet te najbardziej osobliwe prośby prawników czy odwiedzających, zbyt długo pracował już za murami więzienia.

A jednak teraz jego konsternacja była dość wyraźna.

– Michał Błoński? – upewnił się.

– Znany też jako Kimpik – odparła Chyłka i korzystając z tego, że stali na świeżym powietrzu, tuż przed bocznym wejściem, wyciągnęła paczkę papierosów.

Klawisz pochylił lekko głowę i potarł kark.

– Ale... do czego wam jestem potrzebny?

– Chcemy się z nim zobaczyć.

– I nie możecie tego zrobić normalnie? Przecież chyba go bronicie?

Joanna zapaliła marlboro.

– Co ty pieprzysz? – spytała z papierosem w ustach.

– Napisał jakieś pismo. Widziałem je, jak przechodziło przez cenzurę.

– Jakie pismo?

– Nie wiem, ale na pewno było tam nazwisko McVay. To wasza firma, nie?

Prawnicy spojrzeli po sobie. Chyłka poczuła, że serce zabiło jej szybciej. Rzadko zdarzało się, by intuicja ją myliła – a w tej chwili kazała jej sądzić, że to, co usłyszą, jeszcze bardziej skomplikuje sprawę.

– Było tam coś więcej? – zapytała. – Imię?

– Chyba... chyba tak. Jak tego następcy tronu, eee... Williama?

Następcą był Karol, ale w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia. Chyłka natychmiast pozbyła się ledwo odpalonego papierosa i skinęła głową w kierunku

budynku.

– Prowadź do tego, kurwa, Kima – oznajmiła.

Sala widzeń, Areszt Śledczy Warszawa-Mokotów

Było to ostatnie miejsce, do którego chciałby wrócić Oryński, ale wiedział, że nie ma wyjścia. Na tym etapie musieli chwycić się każdego tropu, choćby najbardziej wątpliwego.

Do rozprawy pozostało niewiele czasu, a oni nie mieli nic, na czym mogliby zbudować linię obrony Rafała Kranza. W dodatku media wciąż przedstawiały go w najlepszym wypadku jako obcesowego, seksistowskiego prostaka, w najgorszym jako zbrodniarza i mordercę.

Tylko czy Kim Peek mógł w jakikolwiek sposób pomóc? I czy William McVay rzeczywiście wcześniej się z nim kontaktował?

Kiedy prawnicy czekali na więźnia, Kordian próbował znaleźć odpowiedzi na te pytania. By myślało się lepiej, kupił w kantynie czekoladę. I tym razem jadł ją bez obawy, która towarzyszyła mu ostatnio.

Była to miła odmiana. I najwyraźniej milka skusiła nie tylko jego, bo po chwili rozległ się charakterystyczny bulgot, a Chyłka poklepała się po brzuchu.

– Pieprzony borborygmus. Przez ten cyrk na lotnisku nic nie jadłam.

– Trzeba było...

– Zamówić carpaccio w knajpie, wiem. Ale byłam zajęta wyjaśnianiem wam, jak czule są wykrywacze niebezpiecznych substancji.

Sięgnęła po czekoladę, przyjrzała się kostce, a potem odłożyła ją do opakowania.

– Gdzie on jest, do cholery? – rzuciła nerwowo.

– Trzepią go przed celą – odparł z pełnymi ustami Oryński. – Spokojnie, zaraz przyjdzie.

– Jestem spokojna.

– Taa. Niczym Donald Trump wieczorami na Twitterze.

Joanna pokręciła głową z niezadowoleniem. Siedzieli przodem do wejścia i nie odrywali od niego wzroku, wypatrując Kimpika.

– Jeśli już masz mnie porównywać do amerykańskich polityków, weź pod uwagę Reбекę Latimer Felton.

– Nie kojarzę.

– Była pierwszą kobietą, która dostała się do Senatu USA – wyjaśniła nieobecny głosem Joanna, wciąż gorączkowo zerkając w stronę korytarza. – Oprócz tego pisarką, działaczką feministyczną i reformatorką. Zapisła się złotymi zgłoskami w historii amerykańskiej polityki.

Oryński pokiwał głową, niespecjalnie zainteresowany.

– Co ważniejsze, wyznawała teorię supremacji białej rasy i była właścicielką kilku

niewolników.

– W takim razie rzeczywiście jest dobrym materiałem do porównań.

Chyłka w końcu na niego spojrzała.

– Sugerujesz, że jesteś moim niewolnikiem, Zordon?

– Miałem na myśli raczej twoje poglądy.

– Broniałam Roma – zastrzegła. – Że już o muzułmaninie nie wspomnę.

– I na tego pierwszego mówiłaś per ciabata, a na drugiego bisurmanin.

– Liczą się czyny, nie słowa.

Co do zasady był gotów się z nią zgodzić, choć nie w przypadku więźnia, na którego czekali. Słowa Michała Błońskiego mogły okazać się dużo ważniejsze niż to, co zrobił. Po chwili więzień zjawił się w sali widzeń, prowadzony przez jednego z klawiszy.

Zajął miejsce przy stoliku, wyraźnie zaskoczony widzeniem. Sprawiał jednak wrażenie, jakby niespodzianka była raczej przyjemna.

– Nie spodziewałem się, że jeszcze cię tu zobaczę – powiedział do Kordiana.

– Nie planowałem wracać.

Kim Peek popatrzył na Chyłkę, a potem powiódł wzrokiem po korowodzie innych więźniów, którzy właśnie zbierali się w sali na widzenia. Pomieszczenie szybko się zaludniło, wypełniając podniesionymi głosami.

– A jednak tu jesteś – dodał Błoński. – Dlaczego?

– Bo jest coś, w czym możesz nam pomóc.

– Wam? – zapytał więzień, patrząc pytająco na Joannę.

Błyskawicznie się przedstawiła, urzędowym i chłodnym głosem, jakby jej obecność była bez znaczenia. Wprawdzie nie ustalili, w jaki sposób podejść do Błońskiego, ale wydawało się rozsądne, by to Kordian poprowadził rozmowę.

Mieli dobre kontakty, Kim Peek właściwie był jedyną osobą, która zdawała się mu przychylna podczas odsiadki. Nie na tyle, by Oryński mógł liczyć na jego pomoc w kryzysowych momentach, ale przynajmniej było z kim wymienić kilka słów bez obawy, że powie się za dużo.

– O co chodzi? – spytał osadzony.

– Ty nam powiedz.

– Hę?

– Doszły nas słuchy, że kontaktował się z tobą ktoś z naszej kancelarii.

Kim Peek odchylił się i szerzej otworzył oczy.

– Nic o tym nie wiem.

Oryński nie spodziewał się, że więzień będzie zaprzeczał. Nie miał ku temu żadnego powodu.

– Chcesz powiedzieć, że nie znasz Williama McVaya? – spytał.

– Nie znam.

– Słyszałem co innego.

– Co konkretnie?

Właściwie konkretów brakowało. Strażnik poinformował ich jedynie o tym, że doszło do jakiegoś kontaktu między Błońskim a McVayem. Trudno było wywnioskować z tego coś więcej.

Kim Peek czekał na odpowiedź, a gdy zrozumiał, że jej nie usłyszy, rozłożył lekko rękę.

– Nie kontaktowałem się z nikim z waszej firmy. I nie znam Williama.

– A jednak...

– Dajmy temu, kurwa, spokój – włączyła się w końcu Chyłka. – Wiemy, że napisałeś jakieś pismo adresowane do McVaya.

– Skąd ta informacja?

– Z zakopanego pod gruzami Palmyry tajemnego skarbcza, w którym skrywano ją od wieków przed ludzkością.

Więzień uniósł brwi.

– Innymi słowy, gównem cię to obchodzi.

– W ten sposób będziemy rozmawiać?

– Nie. W znacznie gorszy, jeśli nie skończysz z tym pieprzeniem.

– Odpowiadam tylko na wasze pytania – zastrzegł Kim Peek, pozwalając sobie na lekki uśmiech.

Ten ledwo dostrzegalny grymas z jakiegoś powodu wywołał w Oryńskim niepokój.

– To nie moja wina, że nie zadajecie właściwych.

– To znaczy?

Wzruszył ramionami.

– Pisałeś do kogoś z Żelaznego & McVaya czy nie? – zapytała stanowczo Joanna.

– Nie. Pisałem do Williama. A jak ostatnio sprawdzałem, nie był związany z waszą kancelarią. Jeśli nie liczyć nazwiska, rzecz jasna.

Chyłka położyła dłonie na stole i pochyliła się w kierunku rozmówcy. Popatrzyła na niego spode łba, a on zareagował jeszcze szerszym uśmiechem. Tym razem nie sposób było go nie zauważyć.

– W takim razie po jaką cholere do niego pisałeś?

Wzruszył ramionami.

– Poczulem taką potrzebę.

Joanna spiorunowała wzrokiem Oryńskiego, jakby to jego chciała obarczyć winą za to, co tu się działo. A raczej za to, że w istocie nie wiedziała, co się dzieje. Kordian musiał przyznać, że on również nie.

– Co to za brednie? – zapytała. – I co było w tym liście?

– To prywatna sprawa.

Chyłka już nabierała tchu, zapewne po to, by wyprowadzić jeden ze swoich firmowych werbalnych ataków, Kordian jednak w porę ją powstrzymał. W pierwszej chwili miał wrażenie, że położenie dłoni na jej udzie pod stołem było błędem, ale po chwili przekonał się, że odniosło zamierzony skutek. Joanna się nie odezwała.

– William nie jest moim obrońcą, nie pracuje w waszej kancelarii i na dobrą sprawę ma z wami tylko tyle wspólnego, że jest synem Harry'ego McVaya – dodał Kim Peek.

Oryński pomyślał, że rozmówca nie ma pojęcia, jak bardzo się myli.

– To, o czym z nim rozmawiam, to nasza prywatna sprawa. Nic wam do tego.

Chyłka skomentowała to wymownym prychnięciem.

– Bodajes konał w rozpaczy... – dodała pod nosem. – I bodaj ród twój wygaś.

– Co?

Rozsiadła się wygodniej.

– Cytuję Zagłobę. Zawsze tak mam, jak widzę zdrajców. A ty wyglądasz mi na gorszego od Radziwiłła.

Kim Peek nie odpowiedział.

– Nie masz wielkiego rozeznania w układach ze Szwecją w trakcie potopu, co?

– Nie.

– No tak. Ale nie tylko dlatego od razu widać, że mimo ksywy jesteś wyjątkowym tłukiem – dorzuciła. – Nie zrozum mnie źle, mając na uwadze, że wcześniej zbratałeś się tu z facetem, na którym ciążył Gorzymowy wyrok, nie spodziewałam się, żebyś okazał się łebski. Ale wygląda mi na to, że uosabiasz kompletną tępotę.

Podniosła wcześniej odłożoną kostkę milki i wrzuciła ją do ust. Osadzony spojrział na prawniczkę, a potem na czekoladę.

– Bo gdybyś wykazał choć odrobinę dobrej woli i nam pomógł, mógłbyś liczyć na naszą wdzięczność.

– Niby jaką? Załatwicie mi, kurwa, czekoladę?

– Możemy załatwić ci więcej, niż ci się wydaje. Nikt nigdy nie wyszedł źle na wdzięczności dobrze sytuowanych korporacyjnych prawników. W spłacaniu długów jesteśmy lepsi niż Lannisterowie.

To nawiązanie także wyraźnie do niego nie przemówiło.

– Tyle że jesteśmy znacznie lepszymi i bardziej honorowymi sojusznikami – dodała.

– Mam wystarczająco wielu przyjaciół.

Deklaracja Błońskiego zdawała się czymś więcej niż tylko zwykłym kontrargumentem dla słów Joanny. Oryńskiemu przyszło do głowy, że cokolwiek kombinował William McVay, mogło zakładać gratyfikację dla Kimpika.

Ale czy to rzeczywiście możliwe? Syn Harry'ego nie miał żadnego interesu w mąceniu w tej sprawie. Przeciwnie, powinno zależeć mu na tym, by jak najszybciej odkryć prawdziwy powód, dla którego ojciec stracił życie.

– Kranz się do nich zalicza? – odezwała się nagle Chyłka.

– Co?

– Rafał Kranz zalicza się do tego rzekomo szerokiego grona twoich przyjaciół?

Były finansista był wyraźnie zmieszany, ale szybko powściągnął emocje i na powrót przyjął typową maskę zobojętniałego więźnia.

– Niezupełnie.

– Co cię z nim łączy? Mów, żałować nie będziesz. Gwarantuję.

Kordian uznał, że pora na powrót włączyć się do tej wymiany zdań.

– I w niczym ci to nie zaszkodzi – powiedział. – Wiemy przecież, że zajmowałeś się jego finansami.

Rozmówca zrobił głęboki wdech.

– No i? Łączy nas parę nici z przeszłości, to wszystko.

– Inwestowałeś w jego imieniu, prawda? – zapytał Kordian.

– Tuż przed kryzysem, tak – przyznał Kim Peek. – Ale jakie to ma znaczenie?

Znalezienie odpowiedzi na to pytanie było absolutnie kluczowe. Oryński obawiał się jednak, że okaże się bardziej skomplikowane, niż był sobie w stanie wyobrazić.

– Staramy się to ustalić – odezwał się. – I jeśli nie jesteś gotów powiedzieć czegokolwiek o McVayu, to...

– Nie rozumiem – wpadł mu w słowo Błoński. – Dlaczego w ogóle pytasz o Kranza? Nie miałem z nim kontaktu od lat. Zresztą słabo go pamiętam. Nie był jednym z tych, którzy po rynkowych spadkach rzucali się na swoich doradców z pyskiem.

Chyłka i Oryński się nie odzywali, nie mając dla więźnia dobrej odpowiedzi.

– Odebrało wam mowę?

Kordian wyprostował się i dopiero teraz zorientował się, że nie zabrał dłoni z uda Chyłki. Szybko cofnął rękę.

– Bronimy Kranza.

– Tak, wiem. Ale jaki ja mam z tym związek?

– Padło twoje nazwisko.

– W jakim kontekście?

– Spokojnie, nie będziesz miał z tego powodu żadnych problemów.

– Nie spodziewam się ich.

Oryński zmarszczył czoło.

– To dlaczego się zaniepokoiłeś?

– Bo czuję, że chcecie mnie w coś włączyć – odparł niepewnie. – I to tylko dlatego, że nie trajkoczę jak katarynka na temat Williama.

– Nie chcemy cię w nic włączyć, Kim.

– W takim razie skąd to, kurwa, pytanie?

Chyłka zamknęła oczy i cicho westchnęła, jakby obcowanie z ludźmi pokroju Kranza i Błońskiego przekraczało granice jej cierpliwości. W rzeczywistości nie istniały, ale Oryński zachował tę myśl dla siebie.

– Zastanów się – powiedział. – Bronię klienta, który w pewnym momencie rzuca nazwisko człowieka, z którym dopiero co siedziałem w celi.

– I?

– Coś musi być na rzeczy.

– Tylko jeśli szukasz wszędzie teorii spiskowych czy chuj wie czego.

– Nie muszę ich specjalnie szukać. Mam wrażenie, że mnie otaczają.

– O tym właśnie mówię.

Może przesadzali? Może rzeczywiście wszystko to było dziełem przypadku? W końcu więziennych cel na Mokotowie, w których zamyka się finansistów i prawników, nie ma zbyt wiele.

Tyle że istniał jeden element, który kazał sądzić, że rzeczywiście na coś trafili.

– W dodatku okazuje się, że ten człowiek kontaktował się z synem zmarłego właściciela kancelarii – dodał Kordian. – Naprawdę chcesz dalej iść w zaparte?

– A co mam zrobić? Wymyślić dla was jakąś bajeczkę, żebyście dali mi spokój?

Oryński nabrał tchu, by odpowiedzieć. Zanim jednak to zrobił, inicjatywę przejął ktoś inny.

– To byłoby niemądre – rozległ się głos zza pleców prawników.

Wystarczył ułamek sekundy, by Kordian rozpoznał, do kogo należy.

Gorzym potrzebował niewiele więcej czasu, by znaleźć się za jego plecami.

Zanim Oryński zdążył zorientować się, co tak naprawdę się dzieje, było już zbyt późno na reakcję. Wystarczyły chwila zawahania, nagły paraliż i momentalne osłupienie, by Gorzym zrobił to, po co musiał się zjawić w sali widzeń.

Jak Kordian mógł go nie dostrzec? Jak mógł na to pozwolić?

Pytania huknęły mu w głowie jak salwa armatnia, ale to nie one sprawiły, że Oryński poczuł się, jakby został znokautowany. Nie było czasu się nad nimi zastanawiać. Właściwie nie było czasu na nic.

Ledwo wybrzmiały słowa Gorzyma, ten zarzucił masywną rękę nad Joanną i zakleszczył jej głowę w mocnym uścisku. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, więzień wyszarpnął zza paska niewielki nóż sprężynowy.

Potem przyłożył go do szyi ofiary.

Rozdział 3

Alice Cooper

1

Areszt Śledczy Warszawa-Mokotów

Poczucie nierealności sytuacji było tak duże, że Chyłka miała wrażenie, jakby nagle znalazła się w zupełnie innym miejscu. Zniknęły poznaczona ciemnymi gumami posadzka, stoliki i krzesła przywodzące na myśl peerelowskie szkoły, i ściany w bliżej niezidentyfikowanych kolorach.

Została jedynie ona, trzymający ją śmierzdzący potem i napakowany mężczyzna oraz Kordian. Kordian, który stał tuż obok, patrząc na nią tak, jakby widział ją po raz ostatni.

Trybiki maszyny wprawiającej świat w ruch zdawały się zatrzymać. Znajdujący się w sali więźniowie nagle zamilkli, a strażnicy zastygli w bezruchu, jak gdyby nawet lekkie drgnięcie miało sprawić, że wywołają eksplozję miny, na którą nieopatrznie nastąpili.

Rozległ się głośny, tubalny ryk.

Chyłka dopiero po chwili uświadomiła sobie, że pochodził od Gorzyna. Powoli, kawałek po kawałku, zaczynała składać obraz prawdziwego świata, niczym puzzle porzucane na ziemi. Najpierw poczuła chłód ostrza na szyi, tuż obok piętna dżihadu. Potem jeszcze dobitniej kwaśny smród potu mięśniaka. A ostatecznie strach, który jeszcze nie tak dawno temu był jej niemal zupełnie obcy.

– Jeden, kurwa, ruch! – krzyknął więzień.

Joanna dopiero teraz zrozumiała, że Gorzym przed momentem musiał wydać kilka krótkich instrukcji, by nikt nie zdecydował się na nic lekkomyślnego. Właściwie nie musiał tego robić. Sytuacja była dla wszystkich jasna, szczególnie dla klawiszy.

Każdy jeden wyglądał, jakby właśnie śnił koszmar na jawie.

Ale ten prawdziwy przeżywała ona.

– Zajebię tę sukę! – zagrzemiał mięśniak.

Chyłka nie potrafiła przełknąć śliny, nie mogła dobrać głosu. Patrzyła wprost w pełne przerażenia oczy Kordiana, który zdawał się nie oddychać.

Do kurwy nędzy, nie na takie *mamihlapinatapai* liczyła tego dnia.

Gorzym przycisnął mocniej końcówkę noża. Poczwała, jak skóra jej się napina.

– Jeden ruch, jeden mały krok, a pizda zginie! – krzyknął więzień.

Gorzym nie zwykł rzucać słów na wiatr. Wszyscy zdawali się traktować je jako realną groźbę, a nawet więcej – za zapowiedź tego, co nieuchronnie się wydarzy.

Wszyscy z wyjątkiem jednej osoby.

Kordian zrobił krok w ich kierunku, nie odrywając spojrzenia od Joanny.

– Nie słyszałeś, co powiedziałem?!

Oryński powoli i spokojnie uniósł otwarte dłonie. Na jego twarzy malował się głęboki niepokój, ale jednocześnie w jego oczach było coś, co tworzyło złudne wrażenie, że jest w stanie zapanować nad sytuacją.

– Żalony skurwielu – dodał Gorzym. – Nie dość, że to ty władowałeś ją w to gówno, to jeszcze chcesz ją zabić?

– Spokojnie...

– Zrób jeszcze jeden krok, a rozpierdolę jej szyję!

– Nie chodzi ci o...

– Zamknij, kurwa, ryj!

Gorzym tracił nad sobą kontrolę, być może już jej nie miał. Nie było sensu apelować do niego o zachowanie rozsądku, tłumaczyć, że nie opuści murów więzienia, ani tym bardziej próbować tłumaczyć mu, że tak naprawdę chce odegrać się na Oryńskim, nie na niej. Właśnie to ostatnie jeszcze przed momentem ewidentnie zamierzał zrobić Kordian, ale w porę zrezygnował.

Musiał dojść do podobnego wniosku co Chyłka – czas na argumenty skończył się w momencie, kiedy więzień zdecydował się na wyciągnięcie noża sprężynowego.

– Do tyłu! Wszyscy!

Dopiero teraz Joanna na dobrą sprawę poczuła, jak ostra jest krawędź. Kiedy stojące przed nimi osoby dostrzegły, że Gorzym znów przycisnął nóż mocniej, natychmiast wykonały polecenie.

I znów tylko jedna z nich się do nich nie zastosowała.

– To ty ją zajebiesz, Oryński. Ja tylko trzymam kosę, rozumiesz?

– Nie.

Chyłka miała wrażenie, że nie ustoi na nogach.

– Nie rozumiem – powtórzył Kordian, zbliżając się jeszcze trochę. – I ty też chyba nie.

– Zamknij mordę i rób, co mówię.

Oryński się zatrzymał, wciąż nie opuszczając rąk.

– W porządku – zadeklarował. – Ale co dalej? Co zamierzasz?

Rozejrzał się, na dłużej zatrzymując wzrok na strażnikach. Joannie wydawało się, że uporał się z pierwszym szokiem i powoli zaczynał układać w głowie sposób, by ich z tego wyciągnąć. Miała nadzieję, że to nie tylko złudzenie.

– Wydaje ci się, że cię tak po prostu wypuszczą, bo wzięłaś zakładnika?

Gorzym nie odpowiedział. Sapał ciężko, prosto do ucha Chyłki. Prawniczka czuła drażniący, zgniły zapach jego oddechu.

Poruszyła się nerwowo, chyba po raz pierwszy, choć trudno było jej stwierdzić, co

tak naprawdę działa się jeszcze moment wcześniej. Być może w pierwszej chwili próbowała się wyrwać, nie wiedziała. Pewne było jednak to, że wszelkie starania były z góry skazane na porażkę. Chwył Gorzyma był jak metalowy zatrząsk.

– Myślisz, że wyprowadzisz ją stąd, podstawią ci samochód i pozwolą odjechać? – kontynuował Kordian.

– Skończ z tym pierdoleniem!

– Mówię tylko, że to sytuacja bez wyjścia.

Przesunął powoli nogę w ich kierunku, tym razem Gorzym nie zareagował. Chyłka dostrzegła krople potu, które jedna po drugiej spływały po szyi Kordiana.

Co zamierzał? Jeśli wydawało mu się, że może w jakikolwiek sposób ją uwolnić, musiał oszaleć jeszcze bardziej niż Gorzym. Przymknęła na moment oczy, starając się zebrać myśli.

Dała się sparaliżować strachowi, zupełnie oddała inicjatywę. Było to niepodobne do niej. I nie powinno mieć miejsca. Jeśli w tej sytuacji mogła liczyć na pomoc z czyjejkolwiek strony, to jedynie ze swojej.

Nabrała głęboko tchu, a Gorzym natychmiast poprawił chwyt, najwyraźniej obawiając się, że prawniczka zdecyduje się na desperacką próbę ucieczki.

– Zaraz będzie za późno, rozumiesz? – dodał Kordian, ale w jego głosie brakowało pewności, która mogłaby przekonać kogokolwiek. – Jeśli coś jej zrobisz...

– To, kurwa, co? No?

– Nie wypuszczą cię stąd. Ani teraz, ani za dwadzieścia lat. Dołożą ci do wyroku, zostaniesz tu do końca...

– Dosyć mam ciebie i twojego pierdolenia, Oryński.

– Jesteś na jak najlepszej drodze, żeby więcej go nie słyszeć.

Mimo że głos mu się trząsł, Kordian zdawał się odnajdować w sobie coraz więcej niezłomności. Chyłka także. Z każdą kolejną chwilą czuła się coraz bardziej sobą, a coraz mniej kobietą, której na dobrą sprawę nie poznawała.

– Zamkną cię w izolatce i będą tam trzymać, aż...

– Wystarczy tego.

Kordian pokręcił głową, jakby tym gestem mógł zaprzeczyć rzeczywistości, odwrócić bieg zdarzeń. Chyłka widziała, jak gorączkowo poszukuje sposobu, by wyciągnąć ją z tego pata, i jak płonne są to próby.

– Jeśli teraz odpuścisz, jedyną konsekwencją będzie to, że odgibiesz od dzwonka do dzwonka.

Joanna nie była przekonana, czy grypsowanie z Gorzymem to dobre podejście – choć Kordian miał rację. Gdyby oprawca w tej chwili odpuścił, naraziłby się jedynie na to, że przepadnie mu przedterminowe zwolnienie.

Chyłka przypuszczała jednak, że Gorzym jest gotów ponieść znacznie bardziej dotkliwe konsekwencje. Nie mogła jedynie zrozumieć powodu. Nie mogło chodzić o odegranie się na Oryńskim, ich zatarg nie był tego warty.

Ta sytuacja nie miała z ich konfliktem nic wspólnego.

Kiedy Joanna to pojęła, zrozumiała także przyczynę, z której to wszystko się działo. Nie chodziło o Kordiana, nie chodziło o nią. Gorzym zagroził jej życiu z tego samego

powodu, dla którego zatrzymano ją na lotnisku.

Chodziło o sprawę Kranza. I o to, że zaczęli grzebać zbyt głęboko, zbliżyli się do prawdy.

Chyłka zebrała się w sobie i odwróciła głowę do mężczyzny, który trzymał nóż na jej gardle. Jeszcze wyraźniej poczuła jego śmierdzący oddech.

– Czego chcesz? – spytała cicho.

Gorzym nie odpowiadał.

– Co masz mi przekazać?

Milczenie się przeciągało, ale Chyłka miała wrażenie, że trafiła w sedno. Chodziło o kolejną wiadomość. Ktoś najął mięśniaka, by ją dostarczył, najwyraźniej wychodząc z założenia, że cały ten teatr w Modlinie może się okazać niewystarczający.

– Żebyś zajęła się terazniejszością – odezwał się po chwili Gorzym. – I zostawiła przeszłość w spokoju.

Spodziewała się, że usłyszy więcej. I że zanim więzień odpuści, zrobi wszystko, żeby przekaz był wyraźny i doniosły. Ale pomyliła się.

Gorzym odrzucił nóż, popchnął ją z całej siły, a potem uniósł otwarte dłonie i skrzyżował je na karku. Krzyknął, że nie ma innej broni, ale jego głos natychmiast utonął w nawoływaniach strażników, którzy rzucili się na niego, jakby trzymał zapalnik od ładunku wybuchowego.

Obezwładniono go, sprowadzono do parteru, a zanim Chyłka na dobre zrozumiała, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane, już prowadzono go na korytarz.

Patrząc za nim, poprawiła się w duchu. Groźba nie zniknęła wraz z Gorzymem. Przeciwnie, stawała się coraz wyraźniejsza. Chyłka nie wiedziała tylko, kto tak naprawdę ją formułuje.

ul. Rakowiecka, Mokotów

Lepiej nie liczyć wypalonych papierosów, uznał w końcu w duchu Kordian. Razem z Chyłką stali oparci o zaparkowane pod aresztem daihatsu, odpalając właściwie jednego marlboro po drugim.

– Na pewno wszystko w porządku? – odezwał się wreszcie.

– Im dłużej będziesz pytać, tym większa szansa, że nie będzie w porządku. Ale nie ze mną, tylko z tobą. A konkretnie z twoim podbrzuszem, które spotka się z moim kolanem.

Wypuściła dym równie nerwowo, jak robiła to przez ostatni kwadrans.

– Grozisz czy obiecujesz?

Spojrzała na niego z rezerwą.

– Grozi ktoś inny, Zordon. I to nie tobie, ale mnie.

– Jesteś pewna, że...

– Że ten cyrk został odstawiony po to, żeby przypomnieć mi, że mogę podzielić los Beaty Widery i Harry'ego? – dokończyła za niego, a potem się zaciągnęła. – Tak. Jestem pewna.

– To, co powiedział ten skurwiel, mogło nie mieć nic wspólnego z prawdą.

– Ta? – spytała z powątpiewaniem, obracając się w stronę Kordiana. – A nie wydaje ci się, że nie brzmiało to jak jego własne słowa, tylko wiadomość od kogoś innego?

– Wydaje – przyznał. – Co nie znaczy, że tak było. Gorzym potrafi wykazać trochę sprytu.

– Wątpię. Ale nawet jeśli, po cholere miałby to robić?

Oryński nie miał dla niej żadnej dobrej odpowiedzi.

– Tu nie chodziło o ciebie, wasza przeszłość nie miała znaczenia – dodała. – Ktoś najął tego bydlaka ze względu na mnie.

– Możliwe.

– Raczej pewne – zaoponowała. – A ty nie chcesz tego przyznać tylko dlatego, że po pierwsze lubisz obarczać się winą, a po drugie niechętnie dopuszczasz, że coś naprawdę mi grozi.

Spojrzała na w połowie wypalonego papierosa, po czym cisnęła go na ziemię i otworzyła drzwiczki od strony kierowcy. Wsiadła do auta, ale musiała chwilę poczekać, nim Kordian do niej dołączył.

Zajął miejsce po stronie pasażera i przybrał pytający wyraz twarzy.

– Wybieramy się gdzieś?

– Jak najdalej stąd – odparła, uruchamiając silnik.

Nie musiała dodawać nic więcej, by już po chwili Oryński zorientował się, że zmiierzają w stronę Argentyńskiej. Uznał, że to właściwy kierunek, być może najwłaściwszy. Chyłka z pewnością chciała jak najszybciej zamknąć się w bezpiecznych czterech ścianach – bezpiecznych o tyle, że nie było tam ani kropli alkoholu.

Wszędzie indziej istniało ryzyko, że dorwie jakąś butelkę. Przypuszczał, że niewiele dzieli ją od podjęcia takiej decyzji. Po prawdzie sam po wyjściu na Rakowiecką najchętniej napiłby się, zamiast odpalać papierosa.

Spojrzał na Joannę, kiedy wjeżdżali na Saską Kępe. Gdyby nie znał jej tak dobrze, być może dałby się oszukać opanowaniu, które starała się okazywać.

– Zaparkuję kilka przecznic przed Argentyńską – zapowiedziała. – Jeśli jakiś sąsiad zobaczy mnie w tym dezelu, całe osiedle będzie sobie dworować przez lata.

– W porządku. Przejdziemy się.

– Ja się przejdę – odparła. – Ty wsiądziesz za kółko i pojedziesz do siebie.

– Nie zamierzam.

– To masz problem, bo jeśli nic mi nie umknęło, nie dostałeś żadnego zaproszenia.

– Nie musiałem.

W końcu na niego popatrzyła, ale jedynie przelotnie. Kordian nie mógł opędzić się od myśli, że w jej oczach nadal dostrzega powidok tego, co zauważył, kiedy Gorzym ją unieruchomił.

Ale co to w istocie było? Strach? Nie, na pierwszym planie było coś innego. Żal. Zupełnie jakby Chyłka w tamtym momencie próbowała przekazać mu swoje wyrzuty wobec siebie. Wyrzuty, że nigdy nie posunęli się dalej. I że stracili tyle czasu, który mogli spędzić w zupełnie innych okolicznościach.

Może przesadzał. Może widział to, co chciał. Wydawało mu się jednak, że teraz dostrzega to samo.

– Nie musisz mnie pilnować, Zordon – powiedziała nieco poważniejszym tonem. – Gdybym chciała się urznąć w pień, kupiłabym tequilę zaraz po wyjściu z aresztu.

– Wydaje mi się, że jednak byś odczekała.

– Niby po co?

– Choćby po to, żeby móc poprowadzić.

Wydeła usta i podrapała się po skroni.

– Właściwie to sensowne. Jak na ciebie.

– Doceniam, że jesteś w stanie to przyznać.

– Przyznam też, że twoja troska byłaby ujmująca, gdyby nie to, że wiąże się z totalnym brakiem zaufania.

– Nie totalnym – zaoponował. – I wynika tylko z tego, że nieraz pokazałaś, jak szybko potrafisz podjąć i wcielić w życie decyzję o zalaniu się w pestkę.

Westchnęła, a on nie był przekonany, czy rzeczywiście chciała zostać sama, czy było to tylko rutynowe obwieszczenie, że da sobie radę bez jego pomocy. Tak czy inaczej, nie miał zamiaru jej zostawiać. Nie kiedy chwilę wcześniej miała nóż na gardle.

Zaparkowała kawałek przed bramą wjazdową, a potem w milczeniu weszli na osiedle. Joanna nawet nie popatrzyła w stronę monopolowego, ale Oryński nie był pewien, czy stałoby się tak samo, gdyby jej posłuchał i wrócił do Śródmieścia.

W mieszkaniu Chyłki unosił się nieodłączny nikotynowy zapach, który sprawiał, że Kordian poczuł się jak w domu. Gorzko uśmiechnął się w duchu na tę myśl.

– Nerkowce są w drugiej szufladzie od góry, pod mikrofalówką – rzuciła Joanna, a potem zniknęła w łazience.

Oryński wyciągnął orzeszki i zajął miejsce na kanapie. Włączył telewizję i przeskoczył na NSI, ale właściwie nie wiedział nawet, o czym mówią prezenterzy. Przypuszczał, że Chyłka jest jeszcze bardziej nieobecna myślami.

Wyszła z łazienki po niecałym kwadransie, bez makijażu i z rozpuszczonymi włosami. Miała na sobie koszulę, ale spódnice zostawiła w toalecie. Kordian mimowolnie powiódł wzrokiem po jej nogach.

Kiedy Chyłka powoli się do niego zbliżała, uświadomił sobie, że wszystkie dzisiejsze emocje znajdują ujście. W sposób, którego jeszcze przed momentem się nie spodziewał. Przynajmniej nie do końca.

Otworzył usta, wbrew sobie zamierzając rzucić jakiś głupawy dowcip, kilka słów, które miałyby sprawić, że gromadzące się napięcie nagle zniknie. Ostatecznie jednak się nie odezwał.

Chyłka stanęła przed nim, wyłączyła telewizor, a potem odrzuciła pilota na fotel. Patrzyła na niego z góry, a on miał wrażenie, jakby gardło zwęziło mu się do wielkości ucha igielnego. Z trudem przełknął ślinę.

Zbliżyła się jeszcze o pół kroku, a on utkwiał wzrok w jej lekko rozchylonych ustach. Słyszał jej przyspieszony oddech, który zdawał się głośny jak wiatr podczas gwałtownej burzy.

Położył ręce na jej udach, a potem przesunął je w tył. Przyciągnął ją lekko do siebie, jednocześnie się podnosząc. Spojrzeli na siebie z odległości kilku centymetrów, oboje spragnieni wzajemnego dotyku i bliskości.

Ich oddechy się łączyły, jakby tylko dzięki temu utrzymywali się przy życiu, tłocząc w siebie tlen. Chyłka przywarła do niego mocniej, a potem podobnie jak on położyła mu ręce na biodrach i przesunęła je w tył.

Oryński miał wrażenie, że spotkali się po wyjątkowo długiej rozłące. Zupełnie jakby wszystkie ich kontakty od ataku kwasem odbywały się przez niewidzialną barierę, uniemożliwiającą sięgnięcie po to, czego oboje pragnęli.

Zanim w końcu dali temu wyraz, rozległ się dzwonek do drzwi. Chyłka drgnęła, przenosząc wzrok w stronę korytarza, ale nie ruszyła się z miejsca. Na powrót spojrzała Kordianowi w oczy.

– Ktokolwiek to jest, pierdolić go – powiedziała cicho.

Mimo że słowa nie pasowały do otaczającej ich atmosfery, jej głos z jakiegoś powodu zabrzmiał namiętnie, wręcz zmysłowo, jak obietnica tego, na co oboje czekali. Orynskiemu zdawało się, że tembr każdej głoski przyspiesza bicie jego serca.

– Jesteś pewna?

– Jak niczego innego.

Dźwięk dzwonka rozległ się jeszcze raz.

– Masz na myśli olanie natręta czy to, co zamierzamy?

– Jedno i drugie.

– Pytam, bo...

– Bo jakiś czas temu prawdopodobnie otarłam się o śmierć – dokończyła, mrużąc oczy i wsuwając ręce do kieszeni jego spodni. – A ty, jako szarmancki gamoń, zastanawiasz się, czy w jakiś sposób nie wykorzystujesz sytuacji.

– Może.

– Ale prawda jest taka, że to ja ją wykorzystuję.

– Tak?

– Bo to doskonała okazja, żebym przestała się zastanawiać nad konsekwencjami – odparła, zbliżając się tak, że niemal stykali się nosami. – I żebym doszła do wniosku, że kiedy całe życie przelatuje ci przed oczami, albo się żałuje zmarnowanych okazji, albo robi się wszystko, żeby o nich nie myśleć. Trzeciej opcji nie ma.

Kiedy niezapowiedziany gość po raz trzeci nacisnął dzwonek, Kordian mimowolnie obrócił głowę w kierunku drzwi.

– Zordon – upomniała go. – Muszę ci zagrozić śmiercią, żebyś doszedł do podobnych wniosków?

Właściwie wystarczyłoby, by zbliżyli się jeszcze trochę, przyszło mu do głowy.

– Nie – odparł. – Mnie przekonywać nie trzeba.

– Więc olej intruza. I chodź.

Spojrzała w stronę sypialni, ale nie drgnęła ani o centymetr. Nie było to polecenie, raczej pytanie, mimo że ton jej głosu tego nie sugerował.

Oryński pomyślał, że wszystko, co mają, to ta chwila. Że to jeden z tych momentów w życiu, kiedy wyrażenie „teraz albo nigdy” nie wydaje się ani banalne, ani nieuzasadnione.

Ale może nie była to do końca prawda. Może ta kategoryczność była złudą, która powstała, bo oboje zbyt długo na to czekali i zmagali się ze zbyt wieloma przeciwnościami losu.

Teraz wszystkie zniknęły. Mogli zbliżyć się do siebie w tej chwili, za godzinę, rankiem, jutro. Nic nie mogło im w tym przeszkodzić, nie na tym etapie.

Kolejny dźwięk dzwonka odbił się echem w korytarzu.

Komuś wyjątkowo zależało na zobaczeniu się z Chyłką, ale nie to zajęło myśli Kordiana. Zastanowiło go, że ta osoba bez trudu dostała się na osiedle. Ochroniarze nie dzwoniли na domofon, by zapytać, czy wpuścić gościa.

Znów lekko się obrócił. Tyle wystarczyło, by mniej lub bardziej świadomie wysłał jasny sygnał. Chyłka wyciągnęła ręce z jego kieszeni. Popatrzyła na niego, mrużąc oczy, a potem pokręciła głową.

– Niewiarygodne – powiedziała.

– W tej sytuacji powinniśmy chociaż sprawdzić, kto to.

– W tej sytuacji? – spytała z niedowierzaniem. – Nie, Zordon. W tej sytuacji powinniśmy sprawdzać tylko to, czy producent łóżka w sypialni stworzył konstrukcję mogącą przetrzymać trzęsienie ziemi.

Kordian uniósł brwi.

– Otwórz – rzuciła, idąc do sypialni. – Spław upierdliwca, a potem włącz wieżę.

– Jakąs konkretną płytę?

– Powinna być włożona. Jak usłyszysz, że Alice Cooper gra *Poison*, będziesz wiedział, że wszystko jest okej. To najromantyczniejsza piosenka na świecie, więc się pospiesz.

Skinął głową, a potem lekko się uśmiechnął, odprowadzając Chyłkę wzrokiem. W drzwiach sypialni obejrzała się jeszcze przez ramię i bez zdziwienia odnotowała, gdzie skierował spojrzenie.

Kordian nabrał tchu i niechętnie ruszył w stronę drzwi. Co on robił, do cholery? Naprawdę sądził, że musi sprawdzić, kto próbuje się dobić do mieszkania? Czy wynikało to raczej z irracjonalnej potrzeby ucieczki? Z obawy przed tym, co miało się za moment stać?

Gdyby na Argentyńskiej zjawił się ktokolwiek, kto stanowiłby zagrożenie dla Chyłki, z pewnością nie używałby dzwonka, próbując dostać się do mieszkania.

Oryński pomyślał, że właśnie sam odpowiedział sobie na ostatnie z pytań, które pojawiły się w jego głowie. I właściwie przesadnie go to nie dziwiło. Niepokój wydawał mu się w takiej sytuacji naturalny.

Otworzył drzwi, zamierzając jak najszybciej pozbyć się osoby, która stała się dla niego bzdurną wymówką.

Kogo na dobrą sprawę się spodziewał? Filipa? Nie, ojciec Chyłki dawno zrozumiał, że powinien zostawić córkę w spokoju. McVaya? Nie, nawet jeśli udało mu się cokolwiek ustalić, nie zdążyłby wrócić. Możliwości było jeszcze kilka, ale żadna nie wydawała się zbyt prawdopodobna.

Kiedy Kordian zobaczył nieznanego mężczyznę w uniformie firmy kurierskiej, niemal się roześmiał.

Teraz stało się jasne, dlaczego ochroniarze nie dzwonili.

– Dla Joanny Chyłki – powiedział kurier, podając mu paczkę i czytnik, na którym miał się podpisać.

Oryński szybko postawił bohomas rysikiem, a potem podziękował i zamknął drzwi. Odwrócił się w stronę sypialni i zobaczył Joannę stojącą w progu. Opierała się o framugę, a jej mina wyraźnie mówiła, że nie czekała na żadną paczkę.

Dopiero po chwili Kordian zrozumiał, że źle odczytał sytuację.

Owszem, Chyłka nie czekała na tę przesyłkę, ale spodziewała się jej. Kiedy Oryński odwrócił pakunek i zobaczył, że został nadany przez Aliexpress z Chin, wiedział już, co zawiera.

Trwał w bezruchu, nie wiedząc, co powiedzieć. Chyłka wbijała wzrok w niepozorny karton.

– Nie... nie musimy tego otwierać – odezwał się w końcu.

Podeszła bez słowa, odebrała od niego paczkę, a potem przeszła z nią do kuchni. Rozcięła taśmę zabezpieczającą, jakby podrzynała gardło człowiekowi, który odpowiadał za to, że przesyłka właściwie została pozbawiona prawdziwego adresata.

Po chwili Chyłka odpakowała zestaw ubranek dla niemowlaków z Iron Maiden. Rozłożyła je na stole niczym materiały jakiejś sprawy, nad którą miała pracować.

Oryński stanął obok i podał jej paczkę marlboro. Oboje zapalili i przez chwilę patrzyli na zawartość przesyłki w milczeniu.

– W końcu musiało przyjść – odezwała się Chyłka.

– Co z tym zrobisz?

– Nic. Schowam do szafy.

Zaciągnęła się głęboko, a potem spojrzała przelotnie na Oryńskiego.

– Nie na przyszłość – zastrzegła. – Wychodzę z założenia, żeby nigdy nie szukać szczęścia tam, gdzie je straciłam.

Chyłka usiadła przy stole, a Kordian uznał, że najlepiej będzie, jeśli zostawi ją na chwilę samą ze swoimi myślami. Zaparzył dwie kawy, otworzył kolejną paczkę nerkowców, a potem usiadł obok Joanny.

Chciał podsunąć względnie luźny temat do rozmowy, ale nie miał okazji, bo rozległ się charakterystyczny refren z *Afraid to Shoot Strangers*. Chyłka sięgnęła po telefon.

– McVay – oznajmiła, patrząc na ekran, a potem włączyła głośnik i położyła smartfona obok kubka z kawą. Nachyliła się nad nim, odsuwając jedno z ubranek. – Znalazłeś coś? – zapytała.

– Mniej, niż chciałem. I więcej, niż się spodziewałem.

– Bez pokrętnych odpowiedzi, nie mam na nie nastroju – odbąknęła. – Znalazłeś Nelsona czy nie?

– Tak.

– Przycisnąłeś go?

– Nie. Za to zapaliłem znicz na jego grobie.

Joanna i Oryński wymienili się zdezorientowanymi spojrzeniami. Kordian spodziewał się, że do odpowiedzi w Manchesterze niełatwo będzie dotrzeć, ale nie przypuszczał, że problemem okaże się śmierć człowieka, z którym William miał się rozmówić.

Sprawdzali Richarda Nelsona w mediach społecznościowych. Jeszcze tydzień temu Brytyjczyk zamieścił kilka zdjęć dopiero co zakupionej działki w dzielnicy Hulme. Miał swoje lata, ale był w dobrej formie. Nie wyglądał też, jakby cokolwiek mu dolegało.

– Kurwa mać – syknęła Joanna. – W tej sprawie robi się więcej trupów niż u George’a Romero.

– To nie wszystko.

– Niektóre ożyły?

– Nie – odparł ciężko McVay. – Ale sekcja zwłok wykazała, że Nelson przyjął mniej więcej sto pięćdziesiąt miligramów relanium i jakieś siedemset hydroksyzyny.

– Co takiego?

– To te same środki, które wyszły w toksykologii mojego ojca.

I te same, które Rafał Kranz rzekomo wypisał Beacie Widerze, dodał w duchu Oryński. Zmarszczył brwi, sięgając po kawę.

– Kolejne samobójstwo? – spytała z powątpiewaniem Chyłka.

– Nie. Służby tutaj są pewne, że doszło do zabójstwa.

– Świetnie – burknęła Joanna. – Mają jakiegoś podejrzanego?

– Na razie nie.

– Na razie?

– Osoba, z którą rozmawiałem, twierdzi, że to tylko kwestia czasu. Podobno

znaleźli jakieś ślady.

Chyłka zamilkła, zawieszając wzrok na jakimś punkcie przed sobą. W końcu potrząsnęła głową, jakby zbudziła się z krótkiej drzemki. Zebrała wszystkie ubranka w jeden stos i odłożyła je na krzesło.

– Wygląda na to, że władowaliśmy się w transgraniczną sprawę – rzuciła.

– My?

Spojrzała na Oryńskiego i chyba dopiero teraz uświadomiła sobie, że rozmówca nie jest świadomy jego obecności.

– *Figure of speech* – zbyła temat. – Tak czy inaczej mamy trzy ofiary. Pierwsza prawdopodobnie nie odebrała sobie życia, druga na pewno, a trzecia... cóż, jak wiarygodne są te wasze służby?

– Kiedy twierdzą, że ktoś upozorował samobójstwo, zazwyczaj bardzo.

– Mhm – mruknęła. – Pytam, bo ostatnio cierpię na deficyt zaufania do Brytyjczyków.

– Nie powinienem chyba pytać o powód.

– Powinieneś – odparła twardo. – Bo to ty nim jesteś.

– Ja?

Zasunęła krzesło z ubrankami, by zniknęły pod blatem.

– Co masz wspólnego z Michałem Błońskim, William?

– Pierwsze słyszę.

– Kim Peek.

– To także nic mi nie mówi.

– To ciekawe. Szczególnie jeśli uwzględnimy to, że wymieniacie się korespondencją – powiedziała, a potem przyłożyła telefon do ucha. – I on też niechętnie się przyznaje do waszej znajomości.

Oryński nasłuchiwał odpowiedzi, ale ta długo nie nadchodziła. Chyłka zabębniła nerwowo palcami po stole, ostatecznie doczekując się tylko krótkiego oznajmienia, że McVay musi kończyć.

Spojrzała z niedowierzaniem na komórkę.

– Sukinsyn... – rzuciła pod nosem.

Kordian mógłby pomyśleć o kilku innych określeniach, które zdawały się równie trafne. I przynajmniej paru przymiotnikach, z których „podejrzany” wydawał się najbardziej adekwatny.

Biblioteka Uniwersytecka, ul. Dobra

Każda wizyta w nowym BUW-ie była dla Chyłki przypomnieniem, że studiowała w zupełnie innych czasach niż dzisiejsi aspirujący prawnicy. Właściwie mówienie o nowym budynku było dla nich abstrakcyjne, bo mekka akademickich nocnych sów znajdowała się na rogu Dobrej i Lipowej od ładnych kilkunastu lat.

Kordian czekał na nią w sekcji czasopism i magazynów, pochylony nad swoimi notatkami. W przeciwieństwie do niej musiał czuć się tu jak ryba w wodzie. Zapewne niejedną noc zarwał, kiedy w trakcie sesji BUW był otwarty aż do piątej nad ranem.

Joanna powitała go lekkim uśmiechem i usiadła przy długim stoliku. Każde stanowisko miało dobre oświetlenie, ale brakowało tu warunków do skupienia, na prywatność nie było co liczyć. Szczęśliwie niewielu studentów interesowały zgromadzone tutaj czasopisma i mikrofilmy.

Pomieszczenie było surowe, minimalistyczne. Właściwie Joanna miała wrażenie, że w podobnym stylu starano się zaprojektować cały ten kompleks. Może z wyjątkiem ogrodów, tam panował przepych niemal jak w przepastnych zbiorach bibliotecznych BUW-u.

Chyłka przypuszczała, że Oryński zatopi się w nich na długo, ale nie spodziewała się, że potrwa to kilka dni. Tymczasem cały czas, jaki pozostał do rozprawy, spędził na zgłębianiu prawa spadkowego.

Zupełnie jakby za punkt honoru postawił sobie, by przebić wiedzą wszystkich innych. W pewnym sensie przywołał jej na myśl chorobliwie trenującego sportowca lub muzyka owładniętego potrzebą dania jak najlepszego występu.

Tyle że jemu nie było dane występować przed kimkolwiek. A nawet więcej, miał natychmiast zrezygnować z udziału w sprawie.

Tego dnia Chyłka zjawiła się w BUW-ie właśnie po to, by go o tym poinformować. Nie miała innego wyboru.

Wszystko, co zdarzyło się od momentu, kiedy odebrała telefon od McVaya, ostatecznie złożyło się na tę decyzję. Szybko zrozumiała, że będzie musiała ją podjąć. Ale dopiero teraz była na to gotowa.

– A więc jednak tęsknota zwyciężyła – zauważył Oryński, wyłączając wysoką lampkę.

– Co takiego?

– W końcu wyłoniłaś się z kancelarii, żeby mnie zobaczyć.

– To ty zamknęłaś się tutaj, jakbyś rył do prawa rzymskiego.

– W sumie trochę w tym prawdy. Nie mamy wprawdzie *bonorum possessio*, ale można by odnieść znaną ci na pewno paremię *hereditas nihil aliud est, quam successio in*

universum ius quod defunctus habuerit także do ustawowego kształtu dzisiejszego prawa spadkowego jako następcy...

– Jeszcze jedno słowo, a sam będziesz *defunctus*.

Kordian spojrział na nią podejrzliwie.

– Nie jestem pewien, czy pamiętasz, co to znaczy.

– Zmarły.

Potwierdził skinieniem głowy, a potem cicho odchrząknął.

– Pamiętam też, że *bonorum possessio* to dziedziczenie na podstawie orzeczenia pretora – dodała Joanna. – I tyle mi do szczęścia wystarczy, jeśli chodzi o antyczne zwyczaje. Może z wyjątkiem jednego.

– Jakiego?

– Tego, który pochodzi ze starożytnego Efezu. W publicznych kiblach zamożni Grecy mieli służących, którzy siadali na kłopie w oczekiwaniu na nadejście swoich panów. Zwyczaj był zresztą kultywowany w wiekach późniejszych, pisał o tym w swojej autobiografii Roald Dahl.

Oryński sprawiał wrażenie, jakby chciał dopytać o szczegóły, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

– Chodziło o zagranie miejsca – dorzuciła Chyłka.

– Tak, domyśliłem się.

– W takim razie powinienes się też domyślić, że moja wizyta nie ma nic wspólnego z wyimaginowaną przez ciebie tęsknotą.

– Chcesz powiedzieć, że nie brakowało ci mojej obecności przez ostatnie dni?

Właściwie brakowało, choć nie była gotowa tego przyznać. Przed sobą być może tak, przed nim z całą pewnością nie. Nie teraz, kiedy nie pozostało jej nic innego, jak odsunąć Kordiana na boczny tor.

Tych parę dni było jak zmora. Nie dość, że wciąż wracała myślami do pakunku, który dostała, to czuła, że zbierają się nad nią burzowe chmury związane z przyszłością. Zazwyczaj niespecjalnie przejmowała się formułowanymi pod jej adresem groźbami, ale kiedy robił to ktoś pokroju Gorzyma, musiała potraktować je poważnie.

Tym bardziej, że trzy osoby straciły już przy tej sprawie życie.

Nie to jednak było powodem, dla którego musiała pożegnać się na jakiś czas z Oryńskim. Jeśli o to chodziło, przyczyna miała zupełnie inne podłoże. Prawne. I z dwojga złego wolała ten grunt.

– Tak czy owak, twoje cierpienia wywołane rozłąką będą warte ostatecznego efektu – dodał Kordian. – Bo zamierzam być oblatany w spadkowym niczym student przed kołem u wyjątkowo upierdliwego profesora.

– Ci od spadkowego nigdy tacy nie są.

– Mniejsza z tym. Nie ma prawników bardziej obrytych w temacie niż ci, którzy jeszcze nie opuścili murów uczelni.

– Znam kilku sędziów, którzy by polemizowali.

– A mimo to właśnie studenci wypadają najlepiej we wszystkich sprawdzianach wiedzy, które...

– Masz na myśli telewizyjne teleturnieje, Zordon?

Nie odpowiedział, co właściwie stanowiło potwierdzenie. Chyłka skorzystała z chwili milczenia, by zastanowić się, od której strony podejść do tematu. Początkowo zamierzała wyłożyć kawę na ławę, a potem po prostu się oddalić. Nie raz i nie dwa ta strategia okazywała się najwłaściwsza.

Teraz jednak mogła nie wystarczyć. Kłopotem nie było to, że Oryński poczuje się urażony, odsunięty i oszukany. Problem polegał na tym, że nie mogła wyjawić mu, dlaczego musi zostawić tę sprawę w spokoju – a on z pewnością nie da za wygraną, dopóki się tego nie dowie.

Westchnęła, nie mając pomysłu, jak sprawnie to wszystko załatwić.

– Coś cię gnębi – zauważył.

– Frele i ich przeróbki.

– Hę?

– Śląska kapela, która robi covery znanych kawałków – odparła i machnęła ręką. –

Ale nie tylko oni. Sen z powiek spędzają mi wszyscy inni, jestem w stanie zdzierzyć tylko przeróbki Moracchiolego.

Oryński wyraźnie nie kojarzył.

– Leo Moracchioli. Gra metalowe covery – dodała. – Sprawdź sobie na YouTube, najlepiej zaczynając od jakiejś dumnej popowej piosenki.

– Zrobi się – odparł, patrząc na leżące przed nim notatki.

– Proponuję *Despacito*.

– Jak tylko uporam się z tym, co aktualnie mam na tapecie.

Nawet nie spojrzała na to, co wypisał. Wyszła z założenia, że im mniej będzie wiedziała, tym lepiej dla niej – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa bowiem Kordian przez ostatnie dni wgrzył się w prawo spadkowe głębiej niż jakikolwiek prawnik aktualnie zatrudniony w Żelaznym & McVayu.

– W tej chwili to niegodność dziedziczenia – dodał.

– Aha.

– Niespecjalnie cię to interesuje?

– *Pasito a pasito, suave suavecito* – odparła, wzruszając ramionami.

– Nie mam pojęcia, co to znaczy.

– Mniej więcej tyle, co krok po kroczeniu, spokojnie, spokojniutko.

– Nijak pasuje.

– Ale brzmiało całkiem stosownie, dopóki nie zacząłeś dążyć – skomentowała, opierając się o stół. – Czasem nie warto tego robić, Zordon.

Przyjrzał jej się wnikliwie, przez moment nie odpowiadając.

– To z kolei zabrzmiało jak przyczynek do jakiejś Chyłkowej złotej myśli – zauważył. – Albo jak zapowiedź czegoś wyjątkowo perfidnego, o czym dopiero masz zamiar mnie poinformować.

Znał ją dobrze. Może zbyt dobrze.

– Chodzi o to drugie, prawda? – spytał.

– Niewykluczone. To zależy, jak to potraktujesz.

Zamknął notes Moleskine, który kupił jakiś czas temu tylko dlatego, że dostał awans w kancelarii. Teraz z pewnością zdecydowałby się na zwykły zeszyt w kratkę.

Przesunął dłonią po czarnym etui, skrzyżował ręce na piersi i popatrzył na Joannę wyczekująco.

- Żelazny kazał odsunąć mnie od sprawy?
- Nie, nie ma nic przeciwko twojemu nieformalnemu udziałowi.
- Wypuścili Gorzyma z więzienia?
- Po moim trupie.
- Will Smith zadeklarował, że już nigdy nie nagra żadnego kawałka?

Chyłka popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Rozmowa przybierała zbyt lekki ton – stanowczo zbyt lekki, biorąc pod uwagę ciężar, jaki ostatecznie musiał się z nią wiązać. Joanna westchnęła, przysiadła na skraju blatu i zerknęła na czarny notes.

- Ile ich zapisałeś?
 - Jeden.
 - Niewiele jak na kogoś, kto stwarza wrażenie wyjątkowego stachanowca i nadgorliwca.
 - Nie stwarzam żadnego wrażenia, po prostu siedzę w BUW-ie i zapisuję to, co...
 - Właśnie o tym mówię.
 - Większość notatek mam na laptopie. Nie chciało mi się go targać – odparł, kładąc łokieć na stoliku i podpierając głowę. – Ale nazbierałem tego tyle, że właściwie jestem gotowy do napisania podręcznika prawa spadkowego.
 - Nie radzę. Jest dużo porządnych pozycji na rynku, niszy raczej nie znajdziesz. Skowrońska-Bocian jest moim zdaniem najbardziej konkretna. Ale gdyby Pazdan popełnił kiedyś jakiś podręcznik, zdetronizowałby wszystkich.
 - On jest chyba zajęty w Ekstraklasie.
 - Maksymilian Pazdan, ówoku. Profesor, były rektor UŚ.
- Oryński podrapał się po karku.
- Tak czy owak mogę spokojnie naskrobać parę artykułów naukowych.
 - I to jest słuszny kierunek, Zordon. Omiń tylko zapis windykacyjny w przypadku przedsiębiorstwa, bo to jakiś czas temu zgrabnie obrobił Blajer i nie ma w tej sprawie nic do dopowiedzenia.

- Interesowały mnie bardziej kwestie związane z naszą sprawą.
- No tak... – Westchnęła, unosząc wzrok. – Z tym że to już nie nasza sprawa.
- Nie?
- Od dzisiaj prowadzę ją z kimś innym.

Nie tak miała zamiar go o tym poinformować, ale właściwie wyszło samo. Nie pierwszy ani zapewne nie ostatni raz, kiedy nie zdążyła w porę ugryźć się w język.

Kordian prychnął cicho, jakby nie przyjmował, że to realna możliwość. Kiedy jednak Chyłka skwitowała jego reakcję milczeniem, zrozumiał, że mówi poważnie. Powiódł wzrokiem po rozłożonych opracowaniach.

Podręcznika Skowrońskiej-Bocian wśród nich zabrakło. Owszem, była to świetna pozycja dla tych, którzy zamierzali poznać podstawy prawa spadkowego, ale Oryński gromadził monografie bardziej szczegółowe. Chyłka dostrzegła niepoważnie opasłe opracowania na temat kwestii, które na dobrą sprawę można było omówić w jednym podrozdziale.

– Chcesz odsunąć mnie od sprawy? – spytał.

– Chcę czy nie, tak musi być.

– Ale mówiłaś, że Żelazny...

– On nie ma z tym nic wspólnego.

– Więc kto ma?

– Ja – powiedziała bez wahania. – Ja i ty. Wszystko rozbija się o nas.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie, choć w moim przypadku brak zrozumienia dotyczy chyba czegoś innego – rzuciła, a potem zrobiła płytki, krótki wdech, by Kordian nie zdążył wejść jej w słowo. – A konkretnie tego, jakim cudem oboje pozwoliliśmy na to, żeby ktoś niebędący prawnikiem zajmował się tą sprawą.

– Masz na myśli to, jakim cudem ty na to pozwoliłaś.

Mogła złagodzić cios, dać mu do zrozumienia, że nie wszystko zależy od niej. Była jednak przekonana, że w takim wypadku Oryński dążyłby do skutku. Odpowiedziała mu więc wzruszeniem ramion.

– Nie możesz mówić poważnie... – mruknął Kordian, prostując się. Sięgnął po notes, jakby tym samym mógł pokazać, ile pracy włożył w przygotowanie się do procesu.

– Nie po tej harówce, którą...

– Którą sam sobie zafundowałeś – zastrzegła szybko. – Ja poleciłam ci tylko rozeznąć się w reprivatyzacji.

– Co ostatecznie okazało się ślepą uliczką.

– Nikt ci nie kazał przygotowywać się do procesu.

– Nie, ale...

Urwał, kiedy się podniosła i popatrzyła w stronę wyjścia. Był to wystarczająco wymowny sygnał, że rozmowa niechybnie dobiega końca. Nie miała pójść w takim kierunku, ale może było to nieuniknione.

Nie szkodzi, uznała Chyłka. Wyprostuje wszystko niebawem, kiedy sprawa Kranza zacznie się krystalizować. Dzięki McVayowi wiedziała już mniej więcej, czego może się spodziewać. Nie mogła jednak pozwolić sobie na to, by przekazać cokolwiek Oryńskiemu.

– Chyba sobie żartujesz...

– Gdybym żartowała, powiedziałabym, że pociągająco dzisiaj wyglądasz. Szczególnie w otoczeniu tych wszystkich książek.

Kordian omiół wzrokiem regały za sobą.

– To dobre otoczenie.

– Kobiety wolą jednak sztangi, ławki, atlasy i inne tego typu elementy, które zazwyczaj łączą się ze środowiskiem dobrze zbudowanych facetów.

– Nie wydaje mi się.

– I dlatego nie święcisz większych sukcesów w relacjach damsko-męskich.

– Nie święcę ich, bo zafiksowałem się na tobie, Chyłka.

Otworzyła usta, by rzucić kolejną ripostę, ale kiedy Kordian uniósł otwartą dłoń i pokręcił głową, uznała, że nie powinna tego robić. Nie tym razem.

– O co tak naprawdę chodzi? – zapytał.

– O to, że czas wziąć się za bary z rzeczywistością, Zordon.

– A sprowadza się ona do tego, że...

Zawiesił głos, czekając, aż Chyłka dokończy. Na dobrą sprawę powiedziała jednak wystarczająco, by sam mógł domówić sobie resztę. Lekkomyślnie było sądzić, że będzie brał udział w obronie, kiedy sprawa Kranza w końcu trafi na wokandę.

– Chyłka?

– Czas zająć się nie tylko klientami, ale też kancelarią – odpowiedziała w końcu.

– Co masz na myśli?

– To, że nie możemy angażować kogoś, kto nie zdał aplikacji.

– Nie angażujecie mnie. Mój udział jest nieoficjalny.

– Na to też nie możemy sobie pozwolić.

Przypuszczała, że to wszystko nie brzmi tak wiarygodnie, jak by sobie tego życzyła. W tej chwili liczyło się jednak przede wszystkim to, by Oryński jak najprędzej zostawił sprawę Kranza. Na tłumaczenie, przynajmniej częściowe, przyjdzie jeszcze czas.

– Po śmierci Harry’ego zatrzęśliśmy się w posadach, rozumiesz? – dodała.

– Niezupełnie – zaoponował. – Podłoga się zachwiała, ale tylko dlatego, że Artur zaczął kombinować, starając się wyprzedzić ewentualne posunięcia z twojej strony. Posunięcia, z których zrezygnowałaś.

– I trzymam się tego. Ale teraz doszła jeszcze jedna kwestia.

– Jaka?

– William przejął udziały ojca – oznajmiła i nabrała tchu. – A my chcemy, żeby jak najszybciej zaznaczył swoją obecność w firmie. Najlepiej będzie, jeśli poprowadzi obronę waginologa razem ze mną.

Kordian sprawiał wrażenie, jakby nie dosłyszał.

– Zaraz... – zaczął i zmierzwił włosy. – Ale... Jak to?

– Harry zostawił testament, wszystko jest jasne.

Mimo że w tym wypadku była to prawda, ostatnimi czasy Chyłki nie opuszczało przekonanie, że zamiast ułatwiać sprawy związane z dziedziczeniem, testamenty tylko je komplikują.

– Nie bez powodu wspomniałam o zapisie windykacyjnym – dodała. – Harry ustanowił go dla pewności. Wszystko, co związane z jego rolą w kancelarii, przeszło na Williama.

– Przecież...

– Co? Nie mów mi o Brexicie, obowiązuje zasada praw słusznie nabytych – rzuciła czym prędzej, nie chcąc się nad tym rozwodzić. – A trybunał w Luksemburgu jasno orzekł, że prawnik może wykonywać działalność na podstawie uprawnień z innego kraju. To jedna z podstawowych swobód, a oprócz tego ORA wpisuje na odpowiednią listę także prawników z państw spoza Unii. O ile, rzecz jasna, mają odpowiedni tytuł z ministerialnej listy.

Dopiero teraz zrozumiała, że nie to miał na myśli Oryński.

– Nie przypuszczałaś, że zamierza zostać? – mruknęła.

– Nie.

– Nie ty jeden. Ale najwyraźniej marka „Żelazny & McVay” znaczy dla niego

więcej, niż wielu z nas przypuszczało.

– Artur na to przystał?

– A miał wyjście?

Chyłka spodziewała się, że Żelazny tak łatwo nie odpuści perspektywy jednowładztwa, ale po raz kolejny ją zaskoczył. Nie do końca pozytywnie, przypuszczała bowiem, że w jakiś sposób dogadał się z młodym McVayem lub innymi partnerami. Jedno było pewne – nie zrobił nic, co mogłoby zaszkodzić jego pozycji w firmie.

– To nie jest dobry pomysł, Chyłka – rzucił z przekonaniem Kordian.

– Testament to testament.

– Posłuchaj...

– A ostatnie będą pierwszymi.

– O czym ty mówisz?

– O słowach. O woli – odparła, ruszając powoli w kierunku wyjścia. –

W przypadku Harry’ego te zapisy testamentowe to jego ostatnie słowa. W przypadku Williama pierwsze, bo są początkiem czegoś zupełnie nowego.

Oryński podniósł się i ruszył za nią.

– Czegoś, co może się okazać tragedią – zaproponował.

– Nie przesadzaj.

Złapał ją za rękę, a Chyłka się zatrzymała. Spojrzeli na siebie z odległości nie większej niż jeszcze niedawno na Argentyńskiej. Tym razem jednak dzielący ich dystans zdawał się znaczniejszy.

– William jest podejrzany – odezwał się Kordian.

– O co? Przegapiłam moment, w którym ktoś postawił mu zarzuty?

Oryński pokręcił bezsilnie głową.

– Ja właśnie to robię.

– I o co go niby oskarżasz?

– O to, że kombinował z Kimpikiem – odparł Oryński tonem stanowczo zbyt pewnym, by Joanna nie doszukała się w jego słowach drugiego dna. – Ta korespondencja jest podejrzana, coś jest nie w porządku.

– Nie w porządku jest to, że dajesz się ponieść zazdrości.

– Znasz mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że...

– Że sam tego nie widzisz i zaprzeczysz temu z całą mocą, ale tak naprawdę wszystko się o to rozbija.

Puścił jej dłoń i odsunął się kawałek.

– Może – odparł chyba tylko dla porządku. – Ale ty nie widzisz, że podświadomie mu ufasz. I przejedziesz się na tym.

– Nie mam powodu, żeby mu ufać. Wręcz przeciwnie, przyglądam mu się wyjątkowo uważnie, Zordon.

Nie miała zamiaru dodawać nic więcej. Posłała mu jeszcze krótkie, niewiele mówiące spojrzenie, a potem odwróciła się i wyszła z BUW-u. Nie była zadowolona z tego, jak potoczyła się ta rozmowa. Ani z tego, że Oryński prawdopodobnie miał rację.

Sąd Okręgowy w Warszawie, al. Solidarności

Miejsce w ostatnim rządzie wydawało się Kordianowi właściwe. Nie tylko dlatego, że miał stąd najlepszy ogląd na wszystko, co działo się na sali sądowej, ale także ze względu na symbolizm. Może był on nawet ważniejszy od perspektywy.

Chyłka i William go nie dostrzegli, zadbał o to, siadając za kilkoma nieco wyższymi osobami. Oboje prawników z kancelarii Żelazny & McVay robiło piorunujące wrażenie. Oryński gorzko pomyślał, że przywodzą na myśl hollywoodzką parę, która zjawiała się na jednej z doniosłych i prestiżowych gal, kradnąc cały show.

Zadbani, porządnie ubrani, pewni siebie i roztaczający aurę sukcesu – tak pokrótce mógłby ich scharakteryzować, gdyby ktoś go o to poprosił. Nikt jednak nie miał powodu, wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, kim są obrońcy Rafała Kranza. Inni uczestnicy procesu stanowili za to dla wielu znak zapytania.

Ale nie dla Kormaka, który przyszedł na pierwszą rozprawę razem z Oryńskim. Kiedy szturchnął go w żebra i wskazał na sędziego, Kordian doskonale wiedział, co zaraz usłyszy.

– Ultramaryna – szepnął chudzielec.

Nie, tego jednak się nie spodziewał.

– Co?

– Tak się mówi, nie?

– Mówi się cud-miód, ultramaryna. Ta ostatnia w osamotnieniu raczej nie ma wielkiego sensu. A poza tym...

– Nie zgodzisz się?

Zgadzał się w stu procentach. Sędzia sprawiała wrażenie, jakby minęła się z powołaniem, nie korzystając z atutów, które zapewniły jej dobre geny. Z powodzeniem mogłaby zamienić salę sądową na wybieg dla modelek.

– Miałem na myśli, że tak się już właściwie nie mówi – odparł Oryński nieobecny głosem, przenosząc wzrok na Chyłkę.

Biła na głowę sędziego, bez dwóch zdań.

– Ta? Od kiedy?

– Mniej więcej od międzywojnia.

– A ty nagle stałeś się taki oblatany w temacie?

– Nie. Ani w tym, ani jeśli chodzi o sędziego.

– O, w tej drugiej kwestii mogę ci pomóc, przyjacielu. Wiem co nieco na jej temat. Oryński obrócił się do chudzielca i posłał mu pełne zwątpienia spojrzenie.

– Nie mówię, że się znamy czy coś – zastrzegł Kormak. – Ale robiłem przecież research przedprocesowy. Bez tego Chyłka nie weszłaby na salę rozpraw.

Nieco przesadzał, ale Joanna z pewnością czułaby się znacznie mniej komfortowo, gdyby chudzielec nie przygotował ich odpowiednio do zbliżającego się starcia. Po przeciwnej stronie była bowiem nie tylko prokuratura, ale także sędziowie. A ci, podobnie jak ławnicy, ostatecznie byli tylko ludźmi.

Mieli swoje poglądy i słabości, funkcjonowali w określonym, wpływającym na nich środowisku. Ukształtowały ich jakieś zdarzenia z przeszłości, a perspektywy na przyszłość wyznaczały kierunek ich działań.

To wszystko, a prawdopodobnie jeszcze więcej, musiał poznać Kormak. A potem skondensować do odpowiednio krótkiego, acz wyczerpującego raportu, by przedstawić go obrońcom.

– Nie interesuje cię, co wygrzebałem?

– Nie.

Szczypior cmoknął z dezaprobatą.

– Zazwyczaj jesteś bardziej...

– Zaangażowany? – odpowiedział Oryński. – Bo zazwyczaj biorę udział w procesie.

– Chciałem raczej powiedzieć: żywy. Teraz przywodzisz na myśl śniętą rybę.

– I tak się czuję.

Na moment urwali, kiedy cały skład sędziowski zajął swoje miejsca. Przewodnicząca zaczęła od wyjaśniania zebranym, jakie zasady zachowania obowiązują na sali, zapewne spodziewając się, że duże zainteresowanie przełoży się na nieunikniony chaos.

Oryński przypuszczał, że samych widzów jest w pomieszczeniu parudziesięciu, ale kilkunastoosobowa grupa czekała jeszcze na korytarzu. Byli to głównie przypatrujący się rozprawom studenci prawa, ale także przypadkowe osoby. Sprawa Kranza była głośna, przede wszystkim z powodu oskarżeń formułowanych w mediach względem jego podejścia do pacjentek.

Kiedy sędzia skupiała się na sprawach organizacyjnych, Kormak skorzystał z okazji.

– Na nazwisko ma Agneza – szepnął. – A na imię Karina.

– Hę?

– Tak się nazywa nasza SSO, która na okładce „Zwierciadła” mogłaby spokojnie zastąpić Karolinę Gruszkę.

Kordian zerknął na niego niepewnie.

– Nie żebym czytał – dodał chudzielec. – Mignęła mi, jak buszowałem w księgarni, to się zatrzymałem i przyjrzałem. Gdyby nie to, że jest mężatką...

– Masz coś jeszcze?

Kormak podrapał się po skroni i skrzywił, jakby rzeczywiście nieco się zagalopował.

– Agneza ma trzydzieści siedem lat – podjął. – Niezameżna, niezaręczona. Pochodzi z Łodzi, rodzina to typowa klasa średnia. Studia ukończone z wyróżnieniem, statystyki spraw imponujące i świetlana przyszłość przed nią.

– Zna ministra – ocenił Oryński.

– Raczej nie, ale z pewnością pozna, kiedy ten uzna, że pora zrobić z niej sędzię apelacyjną. A to tylko kwestia czasu, bo Agneza idzie jak burza.

Kordian przelotnie popatrzył na rozmówcę.

– Stosunek wyroków utrzymanych do obalonych w apelacji? – mruknął.

– Druzgocący.

– To znaczy?

– Żaden sąd odwoławczy dotychczas ani nie zwrócił jej sprawy do ponownego rozpatrzenia, ani nie uchylił orzeczenia.

– Widać pracuje naprawdę krótko.

– To fakt – przyznał Kormak. – Ale spraw miała już całkiem sporo. Nie jest zielona.

Być może nie była, ale z pewnością mogła za taką uchodzić. Młode, ładne dziewczyny zawsze miały pod górkę, kiedy zakładały łańcuch sędziowski. Uczestnicy postępowania spodziewali się wiekowych, dystygowanych dam jakby żywcem wyjętych z przedwojennych anglosaskich dworów. W korytarzach sądowych najczęściej mijano się jednak jurystki z pozoru przypominające studentki.

Kordian powiódł wzrokiem po pozostałych członkach składu orzekającego. Drugi sędzia zawodowy był w podobnym wieku, siedział lekko zgarbiony. Ławnicy wyglądali, jakby przerażała ich liczba zebranych w sali ludzi.

Karina Agneza jako jedyna robiła wrażenie osoby, która znajdowała się dokładnie tam, gdzie chciała. Przyglądając jej się baczniej, Oryński starał się stwierdzić, co to oznacza dla Joanny. Czekał ją niełatwy proces, ale trudno było powiedzieć, w jakim stopniu wynikało to z meritum sprawy, a w jakim z personaliów.

– Dogrzebałeś się do jej poglądów? – spytał Kordian.

– Ba – odparł jakby nieco urażony chudzielec. – Mamy dwudziesty pierwszy wiek, Zordon. Lajki na Facebooku, podane dalej wpisy na Twitterze i użyte hashtagi na Instagramie mówią więcej niż milion słów.

– Z pewnością.

– Że już o pozornie usuniętych snapach nie wspomnę.

– I jaki obraz się z tego wyłania?

– Kobiety, która wie, czego chce.

– To niespecjalnie pomocne z punktu widzenia obrony.

– Ano nie – przyznał Kormak. – Ale oprócz tego odkryłem, że ma liberalny światopogląd. I w kwestiach gospodarczych, bo nieraz lajkowała jakieś treści związane ze złagodzeniem restrykcji w dziale czwartym Kodeksu pracy, i w kwestiach społeczno-obyczajowych, bo podawała dalej artykuły o Nancy Fitzmaurice.

Oryński wciąż skupiał się na sędzi.

– I tyle ci wystarczyło? – bąknął. – Liberalizacja obowiązków pracodawców i sądowe pozwolenie na eutanazję dwunastolatki w Wielkiej Brytanii?

– To tylko dwie krople w wyjątkowo dużej głębinie. Mogę przedstawić ci pozostałe, jeśli chcesz.

– Do szczęścia mi to niepotrzebne – odparł Kordian, zerkając na Chyłkę.

W przeciwieństwie do niego, ona z pewnością uznała te i inne informacje za kluczowe. Dzięki temu mogła odpowiednio odnieść się do kwestii samobójstwa Widery,

przedstawić w określonym świetle Kranza i starać się podprogowo wpłynąć na sędzie.

W Stanach sztuka ogrywania przysięgłych już od lat sprowadzała się do wirtuozerskich popisów specjalnie najętych firm. Ich pracownicy analizowali każdą cechę charakteru orzekających, prześwietlali całe ich dotychczasowe życie, a potem wskazywali adwokatom, których przysięgłych z puli powinni wybrać do składu, a przeciwko którym zaoponować.

Nie było to już nawet tematem tabu, ale powszechną wiedzą. W dodatku wielu twierdziło, że specjaliści z najlepszych firm potrafią nie tylko przewidzieć ostateczny werdykt, lecz nawet ukształtować jego treść.

W Polsce też analizowano sędziów i ławników. Nikt jednak nie mówił o tym głośno, nie istniały żadne opracowania. Ludzie tacy jak Kormak działali w cieniu, po omacku gromadząc wszystko, na co udało im się trafić.

Czasem takie informacje okazywały się znaczące. Czasem potrafiły doprowadzić do tego, że przy braku zastępczego ławnika proces musiał rozpocząć się na nowo.

Kordian uśmiechnął się w duchu na tę myśl, a potem na powrót skupił na tym, co działo się w sali.

Sędzia przewodnicząca poprawiła toę i łańcuch, wodząc wzrokiem po zebranych, jakby zawczasu starała się zidentyfikować osoby, które mogą nie dostosować się do jej poleceń. Zupełnie niepotrzebnie przesunęła dłonią po grzywce, bo ta trzymała się jak na posągu.

Agneza zaczęła od pytania, czy wszyscy wezwani się stawili i czy nie istnieją przeszkody do rozpoznania sprawy. Potem wyprosiła świadków na zewnątrz, a Oryński poczuł, że serce zabiło mu szybciej. Dla osób postronnych były to niewiele znaczące formalności. Dla prawnika uczestniczącego w procesie stanowiły jednak zapowiedź, że za moment wszystko się zacznie.

Po spełnieniu kolejnych wymogów procesowych Karina Agneza nabrała głęboko tchu.

– Czy oskarżony przyznaje się do zarzucanego mu czynu? – spytała.

Ginekolog powoli się podniósł.

– Nie, Wysoki Sądzie.

– Czy oskarżony otrzymał na piśmie, wraz z aktem oskarżenia, wszystkie pouczenia?

Kranz skinął lekko głową.

– Może pan odpowiedzieć?

– Tak, otrzymałem.

– I zrozumiał pan ich treść?

– Owszem.

Agneza patrzyła mu prosto w oczy, jakby w ten sposób mogła rozstrzygnąć, czy jest winny.

– Czy oskarżony zamierza składać wyjaśnienia?

– Nie, Wysoki Sądzie – powtórzył. – Ponieważ nie miałem nic wspólnego ze śmiercią pokrzywdzonej, nie wydaje mi się zasadne, żebym musiał się tłumaczyć. O ile dobrze rozumiem, w tym kraju obowiązuje domniemanie niewinności.

Obejrzał się przez ramię, rzucając oskarżycielskie spojrzenie w stronę zebranych dziennikarzy, a potem usiadł.

Szczyśliwie zapadła decyzja, by akt oskarżenia nie był czytany w całości. Kordian odetchnął, przypuszczał bowiem, że prokuratura skorzystałaby z okazji, by powtórzyć wszystko, co zebrani już wielokrotnie słyszeli. Z punktu widzenia oskarżycieli każde wspomnienie o rzekomym zabójstwie było pożądane, ale najwyraźniej uznali, że zanudzając obecnych w sali, niczego wielkiego nie osiągną.

Joanna i McVay mieli przeciwko sobie człowieka, którego Chyłka dobrze znała. Kordian pierwszy raz spotkał go na sądowym korytarzu przed sprawą Langerera i wydawało mu się, że było to lata temu. Karol Rejchert pozdrowił ich wtedy środkowym palcem, ale zrobił to tak, by dostrzegli to jedynie oni. Potem wdał się w niezbyt finezyjną przepychankę słowną z Joanną.

Stawali przeciwko sobie wielokrotnie. I mimo że popularny Rej nie mógł dopisać tych starć do listy swoich sukcesów, ta i tak była dość długa. Z pewnością był przeciwnikiem, z którym należało się liczyć.

– Robią niezłe wrażenie – odezwał się cicho Kormak.

Dopiero po chwili Oryński uświadomił sobie, że przyjaciel ma na myśli prawników z Żelaznego & McVaya.

– Jako takie.

– Daj spokój, popatrz na nich.

Kordian niechętnie to zrobił. Nie mógł odsunąć od siebie uporczywej myśli, że dziecko tych dwojga byłoby wyjątkowo szczęśliwe, dysponując taką pulą genów. Nieważne, od kogo dostałoby ich więcej, i tak nigdy nie zaginęłoby w tłumie.

Oryński szczęśliwie nie miał czasu, by rozwinąć tę myśl. Agneza przystąpiła do jednego z najważniejszych etapów postępowania, który właściwie mógł ustawić cały proces. Wydawał się niepozorny – pytania zadawane w tym momencie przez sędziego zazwyczaj były ogólne, nie miały wiele wspólnego z tym, co wszystkich interesowało najbardziej.

Orzekający korzystali jednak z okazji, by zlikwidować luki w wiedzy, których nie mogli wypełnić dzięki zebranych materiałom. A niektórzy starali się poznać nieco przeszłość oskarżonego, wniknąć w jego psychikę i ocenić go jako człowieka.

Agneza wydawała się jedną z takich sędzi.

– Beata Widera jako pacjentka była u pana tylko raz? – zapytała.

Rafał Kranz zmrużył oczy, co wypadło niemal oskarżycielsko.

– Nie tylko jako pacjentka, ale w ogóle.

– Zatem nie spotkał jej pan nigdy więcej?

– Nigdy.

– A kiedy była w pana gabinecie, traktował ją pan tak samo, jak każdą inną pacjentkę?

– Tak.

– To znaczy?

– Z odpowiednim profesjonalizmem, szacunkiem i...

Rozległo się ciche prychnięcie, które w normalnych okolicznościach zapewne nie

zostałoby odnotowane przez zebranych. W sali sądowej, gdzie napięcie sięgało zenitu, było jednak jak głośny gong. Członkowie składu orzekającego uważnie się rozejrzeli.

– Proszę o zachowanie spokoju – odezwała się przewodnicząca.

Nikt nie odpowiedział, a Agneza szybko na powrót skupiła się na oskarżonym.

– Rozmawiał z nią pan o czymkolwiek, co nie wiązało się z celem wizyty?

– Nie.

– Mam na myśli także ewentualne żartobliwe uwagi.

– Ma Wysoki Sąd na myśli rzekome żarty, o których mówiono w mediach.

– Mam na myśli to, o co zapytałam – odparła twardo Agneza, a jej mocny głos wywoływał dysonans, kontrastując z delikatną urodą. – I czekam na odpowiedź.

– Poruszałem tylko tematy związane bezpośrednio z wizytą.

– To znaczy?

– Było to rutynowe badanie.

– Czy w trakcie wizyty Beata Widera w jakikolwiek sposób zasugerowała panu, że zamierza zostawić mu w spadku właściwie cały swój majątek?

Kranz zaśmiał się cicho, co było najgorszą reakcją, na jaką mógł sobie pozwolić. Chyłka i William jednak nawet nie drgnęli. Zapewne w duchu klęli co niemiara, ale kluczowe było, by obrońcy sprawiali wrażenie, że kontrolują sytuację. I swojego klienta.

– Nie – odezwał się Rafał. – Nie było żadnego powodu sądzić, że może umieścić mnie w swojej ostatniej woli. Nie znaliśmy się, widzieliśmy się po raz pierwszy i ostatni, a całe spotkanie trwało najwyżej dwadzieścia minut.

Sędzia uniosła lekko podbródek.

– Może jednak oskarżony chciałby złożyć wyjaśnienia?

– Nie.

– W takim razie proszę odpowiadać precyzyjnie na zadawane pytania.

– Właśnie to robię.

– Nie, wychodzi pan poza zakres tego, o co jest pytany przez sąd.

Wprawdzie Oryński nie mógł dostrzec, co robi Chyłka, ale przypuszczał, że w tym momencie pod stołem lekko trąciła klienta nogą. A przynajmniej tak kazało sądzić milczenie Kranza.

– Czy znany jest panu jakikolwiek powód, dla którego mógłby znaleźć się w testamencie pani Widery?

– Nie.

– Być może ktoś inny z pańskiej rodziny mógłby mieć jakąś wiedzę? Żona?

– Również nie.

– Czy zna pan powód, dla którego pani Widera mogłaby wydziedziczyć swoich ustawowych spadkobierców?

– Nie.

Kordian widział, że ginekolog po raz kolejny chce dodać coś więcej, ale najwyraźniej zaczął się kontrolować. Słusznie, choć prawda była taka, że jego image nie mógł już chyba bardziej ucierpieć.

I bez tego sprawa wydawała się przegrana. Materiał dowodowy był mocny, a fakty mówiły same za siebie. Mimo to Chyłka zdawała się chować w rękawie przynajmniej

kilka mocnych kart.

Cała kancelaria z pewnością miała na to nadzieję. Wizerunkowo sprawa Rafała Kranza mogła się okazać bardziej kłopotliwa niż obrona muzułmanina oskarżonego o przygotowywanie zamachu terrorystycznego.

W przypadku Al-Jassama prawnicy mogli liczyć na wsparcie wszystkich tych, którzy walczyli o równe prawo do obrony, bez względu na rasę, wyznanie i wagę przestępstwa. W sprawie Kranza było jednak inaczej. Kancelaria firmowała swoim szyldem zmagania sądowe człowieka, którego oskarżono nie tylko o zabójstwo Bogu ducha winnej dziewczyny, ale także pomiatanie kobietami. I to w okolicznościach, kiedy są one właściwie bezbronne. I z pozycji, która powinna wiązać się z zaufaniem.

W tym wypadku domniemanie niewinności zdawało się nie działać. Być może nie powinno, uznał w duchu Oryński. Właściwie niewiele brakowało, a Kranz dorobiłby się własnej akcji #MeToo.

Karina Agneza skończyła zadawać pytania, a potem odczytała wyjaśnienia, które w toku postępowania złożył lekarz. Same w sobie zdawały się dostatecznym dowodem na to, że Kranz jest winny.

Jego słowa nie miały sensu. I zdawał sobie z tego sprawę każdy, kto je usłyszał.

– Na czym ona chce zbudować linię obrony? – zagaił cicho Kormak.

– Nie wiem.

– Przecież te brednie są jak przyznanie się do winy.

Kordian nie miał dla przyjaciela żadnej odpowiedzi. Słuchał tego, co odczytywała sędzia, jakby jakimś cudem w tym zapisie mogło się pojawić coś nowego.

Przed odnalezieniem ciała Kranz nigdy nie był na działce przy Grójeckiej. Nie wypisał Winderze środków, których miała użyć, by odebrać sobie życie – i twierdził tak mimo tego, że recepta była w posiadaniu prokuratury. Nie spotkał się z nią poza tym jednym razem w gabinecie – mimo że była na zdjęciu z Tropical Islands. Nie wiedział, że planuje się zabić – choć list pożegnalny pochodził z jego drukarki.

Zaręczał także, że nie miał nic wspólnego ze śmiercią Harry’ego McVaya, mimo że ta nastąpiła z takich samych przyczyn, jak zgon Widery. W zeznaniach znalazła się także deklaracja, że nie wie nic o tym, co w Manchesterze spotkało Richarda Nelsona.

Dotarłszy do końca, sędzia poczuła wyraźną ulgę. Podniosła wzrok i przez chwilę wbijała go w Rafała.

– Czy oskarżony podtrzymuje swoje zeznania? – spytała dla porządku.

Kranz nie odpowiedział, a Oryński zobaczył, że jego prawnicy uchybili odwiecznej zasadzie zachowania na sali sądowej. Oboje drgnęli nerwowo.

Agneza zamknęła jedną z teczek, wciąż patrząc na lekarza.

– Pytałam, czy oskarżony podtrzymuje złożone zeznania.

Milczenie Rafała przeciągnęło się dostatecznie długo, by wszyscy zgromadzeni nagle się ożywili. Każdy natychmiast pojął, że Kranz w istocie ma problem z odpowiedzią na to proste pytanie i kalkuluje, jak powinna brzmieć.

– Czy coś jest nie w porządku? – zapytała przewodnicząca.

– Nie, Wysoki Sądzie, nie... po prostu...

– Tak?

- Nic – odparł, potrząsając głową. – Przez moment nie byłem pewien jednej rzeczy.
- Jakiej?
- To nieistotne. Podtrzymuję moje zeznania w całości.
- Uprasza się jednak oskarżonego, by...
- Przed chwilą pouczono mnie o tym, że nie muszę niczego mówić – przerwał jej

Kranz.

Na sali zaległa cisza. Nieczęsto zdarzało się, by oskarżony wchodził sędziom w słowo. Chyba że niespecjalnie zależało mu na ich sympatii.

- Podtrzymuję zeznania – powtórzył stanowczo, a potem usiadł.

Kordian z pewnością przyjrzałby się Chyłce, starając się stwierdzić, czy dobrze odczytał nieznaczny ruch, który zdawała się mimowolnie wykonać, ale nagle telefon zaczął wibrować mu w kieszeni.

Wyjął go i zerknął na wyświetlacz. Numer mówił mu tylko tyle, że dzwoni ktoś, kto prawdopodobnie jest abonentem T-Mobile. Oryński wyłączył wibracje, a potem schował smartfona.

Ten jednak po chwili zadrgał po raz kolejny. Przy trzeciej próbie Kordian w końcu uznał, że musi chodzić o coś ważnego. Pochwalił się w duchu za to, że zajął miejsce na samym końcu sali, a potem wymknął się z niej, nie przykuwając niczyjej uwagi.

Ktokolwiek starał się z nim skontaktować, przestał dzwonić w momencie, gdy Oryński wyszedł na korytarz. Szybko potwierdził jednak swoją determinację, podejmując czwartą próbę.

Tym razem Kordian odebrał.

– W końcu – rozległ się znajomy głos. – Myślałem, że nigdy nie wyjdiesz z tej sali.

Przez moment Oryński próbował sam siebie przekonać, że źle rozpoznał rozmówcę. Kim Peek nie mógł się z nim skontaktować. Wciąż siedział w mokotowskim więzieniu i miał w nim zostać jeszcze przez kilka dobrych lat.

– Jak...

– Nie traćmy czasu – rzucił Błoński. – Jestem w świetlicy, oglądam proces. Aktualnie zgięty wpół, żeby klawisze nie widzieli, że rozmawiam przez telefon.

– Ale...

– Są sposoby, żeby dostać tu komórkę – uciął Kim Peek.

– Zdaję sobie z tego sprawę, tylko że...

– I dziękuj za to Bogu.

– Ja mam dziękować?

– Tak, bo w przeciwnym wypadku nigdy byś nie...

Urwał, a Kordian przycisnął słuchawkę mocniej do ucha.

– Halo? – spytał niepewnie.

– Kurwa, Oryński, mówiłem, żeby nie tracić czasu – wyszeptał prosto do mikrofonu Kim Peek, ale zrobił to tak, jakby chciał krzyknąć. – Uważaj na McVaya – dodał szybko. – Rozumiesz?

Zanim Kordian zdążył zapytać, co rozmówca ma na myśli, rozległ się dźwięk zakończonego połączenia. Zabrzmiało złowieszczo. Jakby zwiastował cały szereg

nieprzewidzianych problemów.

ul. Dobrzańskiego, Śródmieście

Jeden papieros nie mógł wystarczyć, nie było na to szans. Chyłka odpaliła drugiego z kolei, patrząc na boczną ścianę gmachu, w którym mieścił się sąd okręgowy.

Na sali było stanowczo zbyt wielu gapiów i zdecydowanie zbyt mało osób, których sprawa bezpośrednio dotyczyła. Przede wszystkim brakowało trójgłowej Hydry, którą Joanna miała nadzieję zobaczyć. Braci Widerów.

Z pewnością przyglądali się procesowi, śledząc każde posunięcie prokuratury i obrony. Równie pewne było, że są zadowoleni z kierunku, jaki przybrało postępowanie.

– Trochę tlenu by ci nie zaszkodziło – odezwał się McVay.

Spojrzała na niego raptownie, jakby dopiero teraz się zorientowała, że stoi obok.

– Co?

Brytyczyk wskazał na papierosa, którego trzymała w ustach.

– Sporo tego dymu tłoczysz w płuca.

– Każda kobieta-rakieta potrzebuje paliwa, McVay.

– To konkretne raczej wiele dobrego ci nie przyniesie.

– Przyniesie mi impet, którego potrzebuję. Wiesz, co to jest SRB?

– Nie.

– Paliwo stałe. Wykorzystują je rakiety wynoszące statki kosmiczne na orbitę okołozemską. Mnie go nie potrzeba, żeby nabrać rozpędu, wystarczy nikotyna.

William raz po raz spoglądał w kierunku alei Solidarności. Oboje spodziewali się, że zza rogu zaraz wyłoni się grupka dziennikarzy, którzy tylko czekają na okazję, by wymusić na prawnikach jakieś chodliwe medialnie oświadczenie.

– Pewnie lepsza byłaby tequila, ale chwilowo nie piję.

– Trudno mi w to uwierzyć – odparł McVay, obracając się do niej. – Szczególnie po tym, co widziałem, kiedy ostatnio...

– Nie wracajmy do tego.

Uśmiechnął się przewrotnie.

– Tak dużego kaca potem miałaś?

– Nawet sobie nie wyobrażasz – rzuciła i sztachnęła się głęboko.

Podciągnęła rękaw żakietu, sprawdzając, czy wystarczy jej czasu na jeszcze jednego marlboro. Raczej nie, chyba że się wyjątkowo pospieszy.

– Mimo wszystko moglibyśmy to kiedyś powtórzyć – odezwał się William.

– Skup się na procesie.

– Na czym konkretnie? – spytał z powątpiewaniem. – Na razie wszystko toczy się właściwie bez naszego udziału.

– To się niebawem zmieni.

– Oby. Bo w tym momencie nie wygląda to dla nas dobrze.

Joanna nie zareagowała w żaden sposób, ale słowa McVaya w zasadzie nie wymagały potwierdzenia. Oboje doskonale widzieli, że Rafał nie zrobił dobrego wrażenia

ani na członkach składu orzekającego, ani na publiczności.

Odpowiadał oschle, zdawkowo i roszczeniowo. W dodatku jego wahanie w kwestii podtrzymania zeznań sprawiło, że wątpliwości się namnożyły.

– I jak tak dalej pójdzie, prokurator nas zaorze.

– Poradzę sobie z Rejchertem – odparła Joanna, przeciągając papierosa. – Poza tym orzą co najwyżej chłopci u Wyspiańskiego. I to chaotycznie, bez żadnego ładu i składu, w przeciwieństwie do tego, jak się organizują u Reymonta.

McVay wzruszył ramionami.

– Podoba mi się to określenie.

– Mnie nie. Każdy teraz kogoś orze, co to ma niby znaczyć? Ze społeczeństwa wychodzi jakaś dawna rolniczo-chłopska sympatia? Poza tym to nie pasuje do sytuacji, bo Rej będzie w porywach meł i peł.

– Wchodzimy już na grunt waszego języka, który jest dla mnie...

– Gównu mnie obchodzi, jak dobrze orientujesz się w polszczyźnie – wpadła mu w słowo, wyrzucając niedopałek. – Interesuje mnie tylko to, żebyś na sali sądowej sprawiał wrażenie kompetentnego prawnika, trzymającego rękę na pulsie. Jasne?

Nie odpowiedział, bo w końcu zza winkła ktoś się wyłonił. Nie był to jednak ani dziennikarz, ani żaden z gapiów szukający kontaktu z głównymi aktorami tego przedstawienia.

Oryński wypadł zza budynku wyraźnie czymś zaaferowany, ale kiedy tylko zobaczył McVaya, nagle zastygł. Obrońcy ruszyli ku niemu, a on sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, jak się zachować.

Może sądził, że dotychczas Joanna była nieświadoma jego obecności na procesie? Nie, nie mógł się łudzić, że go nie dostrzegła. Raz po raz obracała się przez ramię, kontrolując, kto wchodzi do sali sądowej.

– Musimy pogadać – oznajmił, patrząc na nią.

– Nie teraz.

– To ważne.

– Nie wątpię, Zordon. Ale w tej chwili jedyne, co usłyszysz z mojej strony, to lalochezyjny monolog.

– Nie sądzę.

Ruszył za nimi w kierunku wejścia do gmachu sądu, najwyraźniej uznając, że się nie zatrzymają.

– Bo to, co mam ci do powiedzenia, sprawi, że chętniej będziesz słuchać, niż mówić.

– To coś nowego.

– Po prostu daj mi minutę.

– Masz ich nawet kilka – oznajmiła, nie zwalniając kroku. – Dopóki nie wejdziemy na salę.

Znów popatrzył na Williama jak na intruza.

– To temat do rozmowy w cztery oczy.

– W takim razie zdecydowanie powinniśmy to przełożyć na później.

– Chyłka...

– Daj mi spokój, Zordon – odparła pod nosem. – Chyba że masz pod ręką frezy, piły albo ściernice.

Oryński wyraźnie nie wiedział, o czym mowa. A może po prostu był myślami daleko i z tego wynikało jego nieobecne spojrzenie.

– Żeby przerobić kłody, które mam pod nogami, potrzebuję całego arsenału narzędzi – dorzuciła Chyłka. – Inaczej schodów z tego nie będzie.

Chciał coś odpowiedzieć, ale nie dała mu na to szansy.

– Mam głównianą sprawę. Beznadziejnych świadków, cały korowód dowodów świadczących na niekorzyść mojego klienta, a jakby tego było mało, jego samego broni się gorzej niż samego Himmlera. Skurwysyn nie pomaga, a wręcz przeciwnie, co otworzy swoją cholerną gębę, dostarcza argumentów stronie przeciwnej. Jest zafajdanym męskim szowinistą, arogansem, prostakiem, seksistą, a na dodatek zwyczajnym, skretyniałym i żalonym durniem.

Zatrzymała się, jakby musiała to zrobić, by nabrać tchu. W rzeczywistości dostrzegła jednak dwóch reporterów czekających przed głównym wejściem. Logo na gąbkach mikrofonów należały do TVN24 oraz NSI.

Chyłka nie mogła przepuścić okazji, by spróbować narzucić własną narrację na antenie dwóch stacji, które z punktu widzenia procesu liczyły się najbardziej.

Zerknęła na zegarek, uznając, że przy odrobinie szczęścia wróci do sali równo ze składem orzekającym. Przyspieszyła kroku, zapominając już o tym, że Kordian chciał jej coś przekazać.

Ledwo zbliżyła się do wejścia, dziennikarze natychmiast ją dostrzegali.

– Pani mecenas! – krzyknął ten z NSI.

Jego odpowiedniczka z TVN24 natychmiast ruszyła w stronę Joanny.

Chyłka uśmiechnęła się dostatecznie szeroko, by każdy widz mógł to dostrzec, ale zarazem nieprzesadnie, by nie uchodzić za arogancką. Obróciła się lekko, tak by za jej plecami widać było sądowe gmaszysko.

– Chyba wiem, o co chcą mnie państwo zapytać – rzuciła, podciągając rękaw. – Obawiam się tylko, że nie mamy wiele czasu. Zaraz koniec przerwy.

Reporterzy sprawiali wrażenie, jakby tego nie usłyszeli.

– Czy Rafał Kranz nadal będzie utrzymywał, że jest niewinny? – zapytała dziennikarka.

– Oczywiście.

– Mimo wszystkich obciążających go dowodów? – dodał pracownik NSI.

Chyłka spojrzała z powątpiewaniem najpierw w jedną, a potem w drugą kamerę.

– A co, ma zrobić tak, jak Thomas Quick? – spytała, choć nie czekała na odpowiedź ze strony reporterów. – Sześć sądów uznało go winnym popełnienia ośmiu zabójstw, opierając się na królowej dowodów: przyznaniu się do winy. W istocie Quick przyznał się nawet do ponad dwudziestu innych morderstw, opisał je zresztą ze szczegółami. Sytuacja bardzo klarowna, prawda?

Joanna przybrała pobłażliwy wyraz twarzy.

– Tyle że takie sprawy zazwyczaj są bardziej skomplikowane, niż wyglądają na pierwszy rzut oka – ciągnęła. – W tym przypadku doszło do nadużycia ze strony władz.

Quickowi podawano mocne środki psychoaktywne, a policja dostarczała mu wszystkich informacji na temat przestępstw, do których się przyznawał. Ostatecznie potwierdzono, że nie popełnił żadnego z nich, a cała sprawa stała się jednym z największych skandali w historii Szwecji.

– Więc twierdzi pani, że...

– Że gdybyście robili wywiad z obrońcą Quicka w początkowej fazie procesu, też nie moglibyście uwierzyć, że ktokolwiek podjął się takiej obrony.

– Rafał Kranz jest pani zdaniem niewinny? – spytała reporterka.

Chyłka nabrała tchu.

– Nie tylko niewinny, ale także poszkodowany w całej tej sytuacji – odparła z bólem w głosie. – Rafał Kranz to porządny, dobrze wykształcony, szanowany za granicą specjalista z zakresu ginekologii. Pacjentki, z którymi rozmawiałam... nie te anonimowe osoby z internetu... wszystkie podkreślają, że odnosił się do nich z szacunkiem. To dżentelmen, w pewnych sytuacjach może nawet galant, który nigdy nie potraktował żadnej kobiety w niegodny sposób. Jego praca polega na tym, by nam pomagać. I właśnie to od lat robi. Teraz spotyka go za to zupełnie bezpodstawna i krzywdząca krytyka.

Joanna odeszła kawałek w stronę wejścia, ale nie miała zamiaru kończyć jeszcze wywiadu.

– Postawię sprawę jasno – dodała. – Rafał Kranz to jeden z najporządniejszych, najuczciwszych i najbardziej godnych zaufania mężczyzn, jakich w życiu spotkałam. Dziękuję.

Idąc do bramek kontroli osobistej, Chyłka czuła na sobie pełne niedowierzania spojrzenie Oryńskiego. Popatrzyła na niego ukradkiem, a potem ruszyła ku sali.

Najwyraźniej przeceniła punktualność Kariny Agnezy. Kiedy wraz z McVayem zajęli miejsce w ławie obrony, sędziów jeszcze nie było.

– Zgrabne przemówienie – zauważył William. – Szczególnie biorąc pod uwagę to, jak w ciągu paru minut przeskoczyłaś z ostrej krytyki do pochwały.

– Taka robota. Jeśli u was wygląda inaczej, proponowałabym ci sprawdzić najbliższy lot do Manchesteru.

– Jeszcze kilka dni temu twierdziłaś, że moja obecność jest kluczowa.

Chyłka westchnęła, mając serdecznie dosyć tłumaczenia mu tego po raz kolejny. A także tego, że William McVay okazał się kolejną osobą, która nie potrafiła oddzielić życia zawodowego od prywatnego.

– Firma w tej chwili tego potrzebuje.

– Firma?

– Szyld kancelarii musi mieć te dwa nazwiska – odparła Chyłka dla porządku, choć była przekonana, że William pamięta o wszystkim, co powiedziała podczas spotkania partnerów. – Inaczej pograżylibyśmy się w chaosie, a na to nas w tej chwili nie stać.

Z punktu widzenia pozostałych członków warszawskiej palestry sytuacja była jasna. Po śmierci Harry'ego na dwudziestym pierwszym piętrze Skylight wystąpiło lokalne trzęsienie ziemi.

Żelazny miał rozpocząć wyniszczającą walkę o władzę, inne kancelarie miały czynić podchody, by podkraść najlepszych prawników, a jedna z najbardziej

rozpoznawalnych adwokatek miała bronić człowieka, który spotkał się z ostracyzmem większości społeczeństwa.

Człowieka, który w dodatku mógł być zamieszany w śmierć imiennego partnera. To wszystko sprawiało, że William McVay musiał wejść w buty, których być może nie był jeszcze gotów założyć.

Dogadał się z Żelaznym, choć Chyłka nie do końca wiedziała, jak ułożyli swoje relacje. Odsunęła załatwienie tych kwestii na później, teraz należało skupić się na obróbce kłód, które znalazły się na jej drodze.

Skład orzekający po chwili wrócił do sali. Joanna przyjrzała się jego członkom, ale z ich twarzy niewiele można było wyczytać. Wszyscy sprawiali jednak wrażenie, jakby poczuli się do wielkiej odpowiedzialności. Jakby sądzili kogoś, kto dopuścił się zbrodni wojennych. Jakby społeczeństwo oczekiwało od nich sprawiedliwego werdyktu.

Niedługo potem Karol Rejchert przystąpił do przesłuchania pierwszego ze świadków. Justyna Kranz sprawiała wrażenie pogodnej, spokojnej kobiety. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę ciężar oskarżeń ciążyących nad jej mężem.

Po kilku standardowych pytaniach prokurator w końcu przeszedł do sedna – i Chyłka widziała, że Rejchert czekał na to niecierpliwie. Miał świadomość, że od tego momentu to on będzie kontrolował przebieg zdarzeń. I że wreszcie nadarzyła się okazja, by odegrać się za sprawę Langerera.

– Wie pani o zdjęciu, które mężowi wykonano w kompleksie basenowym niedaleko Berlina, Tropical Islands?

– Oczywiście.

– Zeznała pani podczas postępowania przygotowawczego, że z nim tam wtedy była.

– Tak, ale później się z tego wycofałam.

– Dlaczego?

– Bo moje słowa rozmijały się z prawdą.

– Gdzie pani wtedy była?

– W domu, w Warszawie.

– Więc dlaczego zeznała pani początkowo inaczej?

– Mąż mnie o to prosił.

Rejchert wydał z siebie cichy pomruk, wsadził ręce do kieszeni, a potem obrócił się do oskarżonego. Nie jemu jednak posłał pełne zaniepokojenia spojrzenie, ale Chyłce.

– Prosił, by złożyła pani fałszywe zeznania?

– Owszem.

– Wprost? Czy może zrobił to w jakiś sposób, który mógłby budzić wątpliwości?

Karol znał doskonale odpowiedzi na pytania. Słuchanie ich dostarczało mu wyraźnej satysfakcji.

– Wprost – odparła żona Kranza.

– Przyznam, że nie do końca rozumiem – odparł Rejchert, na powrót odwracając się w stronę mównicy. – Po prostu kazał pani skłamać, kiedy policja zapyta o dany dzień w Tropical Islands?

– Nie. To nie było tak.

– Może to pani wyjaśnić?

Justyna westchnęła, dając do zrozumienia, że niechętnie, bo niechętnie, ale rozwinie temat. Chyłka nie знаła szczegółów, jej klient był w ich przedstawianiu równie oszczędny, jak w mówieniu o tym, dlaczego nie odrzucił spadku.

– Pewnego dnia powiedział, że istnieje grupa ludzi, którzy życzą mu źle.

Joanna pierwszy raz o tym słyszała, przypuszczała jednak, że Justyna nie mija się z prawdą. Spojrzała na Kranza, ale ten zupełnie ją zignorował. Zaklęła w duchu, robiąc wszystko, by nie dać po sobie poznać zaskoczenia.

– Sprecyzował, kim są ci ludzie? – zapytał Rejchert.

– Nie. Pytałam, ale nie chciał mi podać żadnych szczegółów.

– Kiedy to było? Już po objęciu spadku?

– Nie, nie. Po tym, jak się o nim dowiedział i pojechał na miejsce, został aresztowany. Nie mieliśmy kontaktu.

– No tak – przyznał prokurator, choć wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Chyłka zrozumiała, że wzmianka o „ludziach życzących mu źle” nie jest jedyną rewelacją, jaką dzisiaj usłyszy. Było coś, o czym nie wiedziała. Coś, co dawało Rejchertowi wyraźny komfort.

– Więc kiedy mąż wspomniał o tych ludziach?

– Tydzień, może dwa przed całą tą sprawą ze spadkiem.

– Zrobił to ot tak, bez powodu?

Justyna skinęła głową.

– Proszę świadka o odpowiedź – upomniała ją przewodnicząca.

Żona Kranza potwierdziła jeszcze raz, a Agneza jakby na wszelki wypadek podyktowała kilka słów komentarza do protokołu. Dziewczyna stukająca w klawisze zdawała się nie uronić ani słowa.

– Co konkretnie powiedział pani mąż? – spytał Rejchert.

– Że spreparowano jakieś zdjęcie, które zostanie wykorzystane przeciwko niemu.

– A więc wiedział o nim, jeszcze zanim dotarła do niego wiadomość o testamencie Beaty Widery.

– Tak.

– Której rzekomo nie znał.

– Tak – potwierdziła jeszcze raz Justyna, unikając wzroku męża. – Ale na zdjęciu to niewątpliwie ona. W dodatku...

Urwała, a Chyłka natychmiast zrozumiała, że to wszystko etap wcześniej przygotowanego przedstawienia. Kobieta miała zawiesić głos dokładnie w tym momencie.

– Chciała pani coś dodać – zauważył Rejchert, marszcząc czoło.

– Tak, tylko że...

– Proszę mówić, śmiało.

– To nie jedyne zdjęcie, na którym jest ta kobieta.

Prokurator ściągnął brwi jeszcze bardziej, tym razem patrząc na Joannę. Ostentacyjnie podejrzliwy wyraz twarzy był niemal komiczny, choć Chyłce bynajmniej nie było do śmiechu.

Jakim cudem mogły istnieć inne zdjęcia? Dlaczego Kranz jej o nich nie poinformował? I jakim cudem wiedział o tym zmanipulowanym zdjęciu, jeszcze zanim dotarła do niego wieść o otrzymanym spadku?

To wszystko było bez sensu, przynajmniej z jej punktu widzenia. Owszem, po ustaleniach McVaya w Anglii otrzymała pewien obraz sytuacji, ale elementy, które dodawał do niego Rejchert, były całkowicie niezrozumiałe.

– Są inne fotografie? – zapytał ze zdziwieniem.

– Tak... odkryłam je na telefonie męża.

– Telefonie, który został sprawdzony przez techników?

Justyna w końcu skierowała wzrok na oskarżonego. Chyłka starała się wyczytać coś z jej oczu, ale zdawało się tkwić w nich tylko opanowanie. Nie dostrzegła satysfakcji z odegrania się na mężu.

– To iPhone – odparła, jakby to miało coś tłumaczyć.

– I co w związku z tym?

– Nielatwo uzyskać do niego dostęp. Przy włączonych zabezpieczeniach to właściwie niemożliwe.

Justyna nie miała żadnych kompetencji, by występować w charakterze biegłego, ale najwyraźniej nikomu to specjalnie nie przeszkadzało. Zresztą niedostępność iPhone'ów była powszechnie znanym tematem. Nawet FBI musiało uruchomić całą swoją maszynę prawniczo-sądową, by zmusić Apple do odblokowania jednego z telefonów należących do zamachowca z San Bernardino.

– Kiedy sprawdziła pani telefon męża?

– Po tym, jak został zwolniony z aresztu.

– A więc już po tym, jak zawartość została sprawdzona przez techników.

– Raczej nie została.

– Oczywiście. Miałem na myśli nieudaną próbę – odparł Rejchert i na moment zrobił pauzę. – Jakie zdjęcia znalazła pani na telefonie?

– Różne. Ewidentnie z jakichś wyjazdów, niektóre z warszawskich restauracji, także z pokoiów hotelowych.

– Na ilu była Beata Widera?

– Przynajmniej na kilkudziesięciu. Nie przejrzałam wszystkich, byłam zbyt wstrząśnięta.

Wypowiedź brzmiała na wcześniej przygotowaną, ale nie miało to żadnego znaczenia. Większość świadków stawała na mównicy tak przejęta swoją rolą, że wszystko, co mówili, wydawało się nieautentyczne.

Popatrzwszy na swojego klienta, Chyłka nie miała jednak wątpliwości, że Justyna mówi prawdę. Nie obruszył się, nie protestował, właściwie wyglądał, jakby nie był zaskoczony zeznaniem.

Joanna nachyliła się do niego.

– Niech cię chuj, Kranz – szepnęła.

Uśmiechnęła się lekko, by sędziom i ławnikom nawet przez myśl nie przeszło, że coś w obozie obrony jest nie w porządku.

– To wszystko prawda? – dodała.

– Tak.

– To dlaczego, do kurwy nędzy, dowiaduję się o tym dopiero teraz?

– Nie sądziłem, że dobrała się do mojego telefonu.

Jak armatnie salwy, w głowie Joanny rozległy się wszystkie te zapewnienia Rafała, że spotkał Widerę tylko raz, nigdy się z nią nie kontaktował i nie ma pojęcia, dlaczego zapisała mu spadek.

I podobnie głośno te słowa musiały odbijać się echem w umysłach wszystkich innych zebranych.

– Co zobaczyła pani na tych zdjęciach? – spytał Rejchert.

– Jeśli mam mówić wprost...

– Tylko i wyłącznie.

– Dwoje szczęśliwych, zakochanych w sobie ludzi.

Prokurator powoli obrócił się w stronę Kranza, a potem z głośnym westchnieniem pokiwał głową. Chyłka musiała przyznać, że dobrze ukrywa bezbrzeżną radość, którą musiał odczuwać. Z jego punktu widzenia nie mogło być lepiej.

Z jej wprost przeciwnie.

ul. Chocimska, Stary Mokotów

Olgierda Paderborna nie było w prokuraturze, choć to właśnie z nim miał nadzieję porozmawiać Oryński. Wiedział, że wystarczyło, by podał swoje nazwisko, a oskarżyciel natychmiast zjawiłby się na dole.

Kiedy okazało się, że Paderborn jest w terenie, Kordian przeklął się pod nosem za to, że nie pojechał prosto do aresztu śledczego. To tam powinien się skierować, chcąc się dowiedzieć, co Kim Peek miał na myśli.

Było to jednak zarazem ostatnie miejsce, w którym chciał się znaleźć. A oprócz tego po chwili doszedł do wniosku, że jest jeszcze jeden prokurator, który z pewnością szybko zgodzi się na spotkanie.

Właściwie prokuratorka.

Paulina Feruś zjawiała się po kilku minutach, wyraźnie nie dowierzając, że Oryński naprawdę na nią czeka. Minęła go, witając jedynie zdawkowym skinieniem, a on zrozumiał, że to sugestia, by wyszli na zewnątrz.

– Oby to, co cię sprowadza, było dobre – rzuciła.

– Jest. W dodatku to nagłaćca sprawa, więc...

– Nie tutaj – ucięła, jakby miał zamiar zdradzić jej co najmniej tajemnicę państwową. – W Worku kości.

– Co proszę?

– W klubokafejce przy Bagateli. Czy tam księgarni, jak zwał, tak zwał.

– Naprawdę nie mam za wiele czasu.

– To za rogiem.

Miała rację. Minęli plac Unii Lubelskiej i zeszli w Bagatelę, a dotarcie na miejsce szybkim krokiem zajęło im raptem dwie minuty. Usiedli przy oknie i zamówili po kawie. Potem Feruś położyła na stole smartfona, włączyła dyktafon i przysunęła telefon do Kordiana.

– Chyba żartujesz...

– Po ostatnim? Bynajmniej.

– O ile mnie pamięć nie myli, ostatnio mieliśmy ze sobą do czynienia na sali sądowej.

– Nie rznij głupa.

– Nie rznę. Taki się urodziłem.

Zbyła jego słowa milczeniem, zapewne nieprzypadkowo nie wspominając o Chyłce i Kormaku. Miała nadzieję, że nagranie może stać się kiedyś materiałem dowodowym, i nie chciała mówić nic, co mogłoby być później poczytane za sugestię.

Oryński sięgnął po komórkę i wyłączył nagrywanie.

- Poważnie? – jęknęła Paulina. – W takim razie to koniec rozmowy.
- Nie chodzi o tamtą sprawę.
- Szkoda, bo jest w niej jeszcze sporo do załatwienia.
- To zamknięty rozdział.
- Tak ci się tylko wydaje.

Chyłka miała rację, kiedy jakiś czas temu mówiła, że narobił sobie wrogów w prokuraturze. Być może nawet ten jeden raz pozwoliła sobie na niedopowiedzenie.

Taki stan rzeczy powinien go martwić, ale w pewnym sensie był mu na rękę.

- Chodzi o Rafała Kranza – odezwał się Kordian.

Feruś jeszcze przed momentem wyglądała na gotową do wyjścia. Teraz wyraźnie się zainteresowała.

- Dzięki niemu możesz odegrać się na kancelarii – dodał.
- Na Żelaznym & McVayu?

Oryński potwierdził ruchem głowy, a rozmówczynie prychnęła w odpowiedzi.

- Chcesz mi dać coś na swoją firmę?
- Już tam nie pracuję.
- Ale z pewnością zamierzasz wrócić.
- Nie po tym, co ci przekażę.

Paulina uśmiechnęła się półgębkiem. Nie ufała mu, być może nie wierzyła w ani jedno słowo – w dodatku było to całkowicie uzasadnione. Ostatnim razem, gdy ktoś z Żelaznego & McVaya zgłosił się do niej z rzekomymi rewelacjami, wykoleił jej całe śledztwo.

- Co konkretnie dla mnie masz? – zapytała.
- Informację o tym, że William McVay jest zamieszany w tę sprawę.
- „Tę sprawę”? Masz na myśli śmierć jego ojca i Beaty Widery?
- I Richarda Nelsona.
- To już poza naszą jurysdykcją.
- Jesteś pewna?

Miał nadzieję, że nie złączą zgłębiać tematu właściwości sądów w odniesieniu do przestępstw popełnionych przez obywateli Polski za granicą. Szczęśliwie Feruś odpuściła, wykonując ponagląjący ruch dłonią.

Kordian po raz kolejny pomyślał, że jej ręce są jak rachityczne patyki.

- Nie znam szczegółów, bo nie zdążono mi ich przekazać.

Paulina ponownie parsknęła.

– Użyj jeszcze raz formy bezosobowej, a wychodzę – ostrzegła. – Albo dajesz mi konkretnych ludzi, albo przestanę mnie interesować, co masz do powiedzenia. Rozumiemy się?

Oryński rozumiał doskonale. Nabrał tchu, a potem zrelacjonował jej rozmowę, jaką odbył ze znajomym osadzonym. Niezmiennie beznamiętny wyraz twarzy Feruś kazał mu sądzić, że wciąż nie była gotowa mu uwierzyć.

– Od razu oddzwoniłem – dodał. – Ale komórka jest już wyłączona. Przypuszczam, że strażnicy ją zarekwirowali.

- I czego ode mnie oczekujesz?

– Właściwie przyszedłem na Chocimską, by spotkać się z Paderbornem.
– Mam to traktować jako przytyk?
– Nie. Jako deklarację, że byłem gotów pójść z wami na współpracę i że oczekiwałem szybkiego działania.

Paulina przez chwilę przypatrywała mu się w milczeniu, popijając kawę. Odłożyła kubek dopiero, gdy go opróżniła.

– Okej – rzuciła. – Więc na czym ta współpraca ma polegać?

Kordian oparł ręce na blacie i spojrzał jej prosto w oczy.

– Dacie mi nieograniczony dostęp do Kimpika i pozwolicie mi wyciągnąć z niego wszystko, co wie. A ja w zamian przekażę wam każdy strzępek informacji.

– I?

– Tyle ci nie wystarczy? – spytał Oryński, pochylając się. – Cokolwiek wie Błoński, uderzy to w McVaya. A zatem także w Chyłkę i kancelarię. Jeśli wyjdą na jaw jakieś jego przekręty, niejasne powiązania czy posunięcia, obrona będzie musiała się wycofać.

– Ostateczny efekt będzie więc taki, że ktoś inny będzie bronił Kranza. Co mi po tym?

Kordian zaśmiał się cicho.

– Nie obchodzi cię Kranz. Chcesz dowalić kancelarii, a ja daję ci szansę.

Mówienie o tym w taki sposób było pewnym eufemizmem, Paulina bowiem chciała nie tyle dowalić, ile zniszczyć. I nie kancelarię, ale Chyłkę i Kormaka.

– Co zrobił McVay? – zapytała.

– Nie wiem. Ale najwyraźniej było to na tyle ważne, że Kim Peek musiał się ze mną skontaktować.

– Może gra pod siebie.

– Nie miałby w tym celu.

– Więc zgłosił się do ciebie z dobrej woli?

– Ustalę to, jak tylko umożliwisz mi spotkanie.

Paulina Feruś westchnęła, jakby podjęcie decyzji wymagało głębokiego namysłu. W rzeczywistości mogła zadecydować od razu, bez wahania. Nie miała nic do stracenia, a Służba Więzienna nie będzie miała żadnych oporów przed wyświadczeniem przysługi prokuraturze.

– Zależy mi na czasie – dodał Oryński.

– Dlaczego?

– Bo jeśli klawisze rzeczywiście zarekwirowali ten telefon, Kim Peek albo już wylądował w izolatce, albo zaraz go tam władują.

Feruś obróciła telefon w ręce i przyjrzała się rozmówcy. Oryński odniósł wrażenie, że ocenia nie tylko to, w jakim miejscu się znalazł, ale także całą drogę, która do niego prowadziła.

– Dlaczego to robisz? – spytała.

– Bo ostatnio doszedłem do wniosku, że najlepiej wybierać mniejsze zło.

– I jest nim uderzenie w twoją kancelarię?

– Biorąc pod uwagę alternatywę? Oczywiście, że tak.

Nie wiedział, czym konkretnie mogłaby być, ale jedno nie ulegało wątpliwości –

jeśli William McVay prowadzi własną intrygę, ucierpi na tym nie tylko firma, ale także Chyłka. Być może przede wszystkim ona, bo działania Brytyjczyka musiały dotyczyć jej sprawy.

– W porządku – postanowiła w końcu Paulina. – Załatwię ci widzenie. Ale będę uczestniczyć w tej rozmowie.

– Jasne.

Od początku nie spodziewał się innego scenariusza.

Feruś odeszła od stołu i stanęła przy szerokich oknach wychodzących na Bagatelę. Przy odrobinie dobrej woli czuć tu było jeszcze klimat dawnej, bohemicznej Warszawy. Szczególnie jeśli wzięło się pod uwagę, że to tutaj urodził się Baczyński – i jeśli człowiekowi grały w duszy nokturny zwiastujące nieciekawą przyszłość.

Oryński nie miał wątpliwości, do czego doprowadzi decyzja, którą dziś podjął. Spojrzał na gorączkującą się przez telefon Paulinę i pomyślał, że to jedna z rzeczy, o których pisał Baczyński – chwila bez imienia. Ta, która wypali się w czasie jak w hymnie.

Prokurator nagle urwała, obróciła się do Kordiana i posłała mu nieprzeniknione spojrzenie. Potem zmarszczyła brwi i jeszcze przez moment kontynuowała rozmowę. Jej mina kazała jednak Oryńskiemu sądzić, że coś jest nie w porządku.

– O co chodzi? – spytał, kiedy wróciła do stolika.

Usiadła nieco zmieszana.

– Twój kumpel nie trafił do izolatki.

– To chyba dobrze, prawda?

– Tak – potwierdziła, ale bez przekonania. – Tyle że nikt nie nakrył go z żadną komórką.

Kordianowi przeszło przez myśl, że ta rozmowa zakończy się znacznie gorzej, niż przypuszczał.

– Skąd miałeś informację, że wpadł?

– Tak założyłem, bo się rozłączył, zanim przekazał mi to, co chciał, na temat McVaya.

Feruś pokręciła głową, odsuwając pusty kubek.

– Ze świetlicy zaprowadzono go prosto do celi, nie było żadnych komplikacji. Administracja więzienna twierdzi, że osadzony nie miał żadnego telefonu. Sprawdzą to jednak i dadzą mi znać.

Zerknęła na komórkę, jakby miało się to stać już za moment. Kordian przypuszczał, że dane im będzie poczekać nieco dłużej. Co gorsza, mogli tego uniknąć, skoro Błońskiego nie przyłapano.

Ale w takim razie dlaczego nagle się rozłączył? Może to wszystko stanowiło manipulację, w labiryncie której Oryński się zagubił? Tylko czyją? I kto go do niej wprowadził?

– Nie wyglądasz najlepiej.

– Bo sytuacja najwyraźniej nie jest najlepsza.

Tym razem to Paulina konspiracyjnie nachyliła się nad stolikiem.

– Miej świadomość, Oryński, że jak tylko uznam, że próbujesz mnie rozegrać,

wycofuję się z tego.

Nie miał zamiaru wdawać się w kolejne rozmowy z prokuratorem. Nie wiedział zresztą, co powinien powiedzieć, a gdybania miał serdecznie dosyć. Uznał, że najlepiej będzie, jeśli w ciszy poczekają na wieści z więzienia.

Te nadeszły niecały kwadrans później. Feruś szybko odebrała, jakby czekała na doniesienia o absolutnie kluczowym znaczeniu. Być może tak było, bo odegranie się na kancelarii Żelazny & McVay mogło przywrócić w kręgach prokuratorskich szacunek, który utraciła.

Przez chwilę słuchała, co miał do powiedzenia rozmówca. Oryński odniósł wrażenie, że Paulina z sekundy na sekundę lekko blednie. W końcu wbiła zaniepokojony wzrok w Kordiana.

Nie odłożywszy telefonu, podniosła się i ściągnęła torebkę z oparcia krzesła.

– Zaraz...

Uniosła dłoń, a w jej geście było coś zarazem władczego i oskarżycielskiego. Ostatecznie wrzuciła telefon do torebki i pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Błoński nie żyje – oznajmiła.

– Co?

– Powiesił się w celi. Na pasku od spodni.

Kordianowi odebrało mowę.

– Nikt nic nie widział, nikt nic nie wie.

– Ale...

– Był sam, pozostali więźniowie wyszli na spacer.

– M-monitoring?

– Był włączony, ale na nagraniu niczego nie widać. Michał Błoński wiedział, gdzie się ustawić.

– To niemożliwe...

– Nie? A ja powiedziałabym, że nie tylko możliwe, ale także prawdopodobne – rzuciła przez zęby. – Bo wszystko, co się z tobą wiąże, powinno być z urzędu traktowane jako podejrzone.

Trudno było znaleźć dobrą odpowiedź.

– Facet dzwoni do ciebie i niecałą godzinę później wieszka się w celi – dodała. – A ty masz czelność twierdzić, że był zamieszany w jakieś niejasne działania związane z twoją kancelarią.

– Ale...

– Wciągaj innych w swoje bagno, Oryński.

Kordian podniósł się, choć wiedział już, że nie ma szans, by zatrzymać Feruś.

– Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego – rzuciła, a potem skierowała się do wyjścia.

Oryński z trudem przełknął ślinę. Chciałby, aby zostawienie tej sprawy za sobą było tak proste w jego przypadku. Przypuszczał jednak, że zarówno on, jak i Chyłka zostali wciągnięci w jej tryby na tyle głęboko, że nie mają szansy na ratunek.

Sąd Okręgowy w Warszawie, al. Solidarności

Biegły informatyk był dla Chyłki absolutnie kluczowy. Zresztą nie tylko dla niej – od jakiegoś czasu odnosiła wrażenie, że odgrywają oni w procesach znacznie ważniejszą rolę niż spece od balistyki czy kryminalistyki.

Ale czy mogła się dziwić? Komunalem było twierdzenie, że świat się zmienia. Na takie oświadczenia zawsze odpowiadała, że zauważyli to już w latach trzydziestych producenci papieru toaletowego, którzy reklamowali swoje produkty hasłami, że „są wolne od drzazg”.

Zresztą wystarczyło spojrzeć na listę tak zwanych zawodów przyszłości. Najbardziej rozwojowe miały być stanowiska do spraw bezpieczeństwa w informatyce, komputerów kwantowych, cyfryzacji medycznej, aplikacji mobilnych czy serwisowania sprzętu elektronicznego.

W przypadku Kranza informatyk mógł położyć całą linię obrony. Albo sprawić, że lekarz w oczach opinii publicznej nagle stanie się niewinny.

Joanna musiała jednak poczekać, aż Rejchert zada swoje pytania. Były trafne, ale nie miały kardynalnego znaczenia. Prokurator miał ogłędne pojęcie o temacie, brakowało mu jednak rozeznania, o jakie Chyłka wzbogaciła się dzięki Kormakowi.

Kiedy Rej w końcu odpuścił informatykowi, Joanna posłała mu serdeczne, nieco kokietyjne spojrzenie. Biegły miał najwyżej dwadzieścia parę lat, mimo to jego CV robiło niemałe wrażenie.

Właściwie dziwne było, że w ogóle ima się dorywczych zajęć na sali sądowej. Lista klientów w jego internetowym portfolio kazała sądzić, że nie wychodząc z domu, wykręca przynajmniej podwójną pensję swoich rówieśników pozamykanych w ciasnych klitkach przy Domaniewskiej.

Na początek Joanna zapytała o kilka podstawowych spraw, które Rejchert zręcznie ominął. Chciała wykazać, że wiedza i kompetencje, którymi mógł się pochwalić chłopak, są doceniane także przez znane korporacje.

Kiedy ustaliła, jakie usługi wykonywał dla szeregu firm, w końcu przeszła do rzeczy.

- Odczytał pan wszystkie metadane zdjęcia z Tropical Islands? – spytała.
- Tak jak mówiłem prokuratorowi, nie było z tym żadnego problemu.
- I ustalił pan, że to nie fotomontaż?

To także potwierdził już po pytaniu Rejcherta, ale Joanna wolała sama poprowadzić go od A do Z. Tym bardziej że miał się stać ofiarą całej tej sytuacji. Nie była z tego zadowolona, ale daleka też była od czynienia sobie wyrzutów. Trwała wojna, a generał nie powinien przejmować się pojedynczymi stratami.

– Dokładnie – odparł.

Odpowiedź zazgrzytała jej w uszach. Kalka angielskiego *exactly* wprawdzie weszła już na stałe do języka, ale Joanna po aplikacji najwyraźniej zbyt dużo czasu spędziła w towarzystwie szanowanych warszawskich tuzów palestry. Nawet po latach ich obiekcje do tej formy rozbrzmiewały jej w głowie.

– A więc zdjęcie naprawdę zostało wykonane w tamtym miejscu i czasie.

– Tak wynika z mojej analizy.

– Z analizy, pod którą podpisał się prokurator Rejchert.

Informatyk zerknął w stronę oskarżyciela.

– Tak przed momentem zrozumiałem, tak.

– Jak to możliwe?

– Słucham?

Chyłka skrzyżowała ręce i lekko się odchyliła.

– W metadanych, które według pana nie zostały zmanipulowane, i które prokuratura traktuje w ten sam sposób, jest zapisana data wykonania zdjęcia, prawda?

– Zgadza się, jak już...

– I wynika z niej, że zostało ono zrobione już po śmierci ofiary.

– Tak.

– A zatem powtórzę: jak to możliwe?

– Tego niestety nie wiem. Przypuszczam, że nikt nie wie.

Chyłka popatrzyła kolejno na wszystkich członków składu orzekającego, mając nadzieję, że jej wzrok jest dostatecznie znaczący.

– To zdjęcie stanowi jeden z kluczowych dowodów – powiedziała. – Być może nawet najważniejszy.

– Pewnie tak, ale...

– Pan chce mi jednak powiedzieć, że tak naprawdę nie wie, czy to jest fotomontaż, czy nie?

– Nie jest.

– Ma pan absolutną pewność?

– Tak.

– W takim razie zapytam jeszcze raz: jak to możliwe, że zdjęcie według pana zrobiła sobie martwa dziewczyna?

Biegły uciekł wzrokiem. Nie spodziewał się, że znajdzie się pod ostrzałem pytań obrońców. Przypuszczał raczej, że atak nadejdzie z przeciwnej strony.

– Najmocniej przepraszam – rzuciła Joanna. – Już zadałam to pytanie. A pan odpowiedział, że to niemożliwe.

– No tak.

– Czy niemożliwe jest też, że pan się myli?

– Nie, nie wydaje mi się, żebym...

– Nie wydaje się panu – powtórzyła, jakby usłyszała właśnie najdurniejszą deklarację w całej swojej karierze. – To trochę za mało, nie sądzi pan?

– W jakim sensie?

– Na podstawie pańskiej ekspertyzy prokuratura zbudowała cały akt oskarżenia.

– Bez przesady, to nie...

– Nie przesadzam. Nie zwykłam tego robić, kiedy w grę wchodzi widmo spędzenia całego życia za kratkami – odparła stanowczo. – A właśnie to grozi mojemu klientowi. I to głównie dlatego, że uznał pan jedno zdjęcie za niepodrobione.

– Są inne.

– Miał pan czas je sprawdzić?

– Nie, przecież dopiero co o nich wspomniano.

Chyłka znów powiodła wzrokiem po sędziach i ławnikach. Ostatniej wypowiedzi informatyka nie musiała kwitować, była wystarczająco wymowna.

Milczała odrobinę zbyt długo, by przewodnicząca tego nie wyłapała.

– Pani mecenas? – ponagliła ją Agneza.

Joanna skinęła do niej głową z wdzięcznością, jakby sędzia wyświadczyła jej jakąś przysługę.

– Zostawmy te zdjęcia, to wyraźnie grząski teren – powiedziała, patrząc na bieglego. – Kolejnym koronnym dowodem ma być wydruk listu na drukarce mojego klienta.

– Tak.

– Nie.

– Co proszę?

– Źle się wyraziłam – wyjaśniła Joanna, unosząc bezsilnie spojrzenie. – To drukarka w gabinecie mojego klienta. Właściwie nie należy do niego jako do osoby fizycznej, jest własnością firmy.

Chłopak milczał, a Chyłka dostrzegła w oczach przewodniczącej składu orzekającego niewypowiedziane ostrzeżenie, by trzymała się okoliczności, na temat których biegły ma się wypowiadać.

– Ale mniejsza z tym – dodała adwokat. – Może mi pan powiedzieć, czy istnieje możliwość, by ktoś uzyskał zdalny dostęp do tego sprzętu?

– Tak, oczywiście, że tak.

– Jak bardzo jest to skomplikowane?

– Wszystko zależy od zabezpieczeń sieci. W tym wypadku były dość... standardowe.

– Rozumiem – odparła dla porządku. – Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy łatwiej uzyskać zdalny dostęp do komputera czy do drukarki w takiej sieci?

– Do drukarki. Bez wątplenia.

– Ile czasu zajęłoby to panu w tym konkretnym przypadku?

– Chwilę.

– Zdążyłabym wypalić papierosa?

– Jeśliby się pani pospieszyła.

Doceniła odpowiedź lekkim uśmiechem, tym razem nie patrząc już na członków składu orzekającego. Otrzymali dostatecznie dużo jasnych sygnałów, jak grubymi nićmi szyta jest linia oskarżenia.

Mogła zapytać informatyka jeszcze o kilka spraw, ale nie miała zamiaru przeciągać. Szczególnie że kolejny biegły też miał istotne informacje.

– Dziękuję – powiedziała. – Nie mam więcej pytań.

Po chłopaku miejsce na mównicy zajęła farmaceutka, u której Beata Widera zrealizowała receptę wystawioną przez Kranza. Kobieta nie wyglądała na zadowoloną z faktu, że ciąga się ją po sądach – i właściwie była to naturalna reakcja, występująca u wszystkich tych, którzy chcieli po prostu wykonywać swoją robotę.

Chyłka słuchała Rejcherta piąte przez dziesiąte, odnosząc wrażenie, że podobnie robi przynajmniej część składu orzekającego. Oskarżyciel nie mógł niczego ugrać na zeznaniach aptekarki ani tym bardziej zagrozić obronie.

Pod koniec serii pytań z jego strony Joanna pozwoliła sobie na znudzony wyraz twarzy. Jeden z ławników go dostrzegł – i taki był plan. Nieco solidarności nigdy nikomu nie zaszkodziło, szczególnie w sytuacji, gdy prokurator grillował świadka bez wyraźnej przyczyny.

W końcu Rejchert podziękował, a farmaceutka odetchnęła. Poczawszy jednak spojrzenie Chyłki, znów się spięła. Musiała wiedzieć, że prawdziwe odpytywanie zacznie się dopiero teraz.

– Pamięta pani, co było na recepcie, którą przedstawiła pani Beata Widera? – zaczęła Joanna.

– Oczywiście. Relanium i hydroksyzyna.

– W jakich dawkach?

– To pierwsze w tabletkach po pięć miligramów, drugie po dwadzieścia pięć.

– Kto wystawił receptę?

– Lekarz medycyny Rafał Kranz.

– Na dole widniała pieczętka?

– Tak.

– I podpis mojego klienta?

– Zgadza się.

– Czy odczytywała pani kod kreskowy z recepty?

– Nie, ponieważ go nie było.

– Nie musi być wydrukowany?

– Nie, przy takiej recepcie w zupełności wystarczy pieczętka.

Chyłka mruknęła z namysłem i przechyliła głowę na bok, jakby nie do końca wierzyła w słowa świadka.

– Sporo pani pamięta – zauważyła. – Powiedziałabym nawet, że podejrzenie sporo.

– Pani mecenas... – zaapelowała sędzia. – Świadek nie występuje w roli oskarżonego.

Joanna ją zignorowała. Skupiała całą uwagę na farmaceutce.

– Zawsze pamięta pani takie detale? Potrafi pani wydobyć z pamięci to, czy na recepcie był kod kreskowy, czy nie?

– Nie zawsze – przyznała kobieta. – Ale kiedy tylko się dowiedziałam, co się stało z pokrzywdzoną, zrozumiałam, że muszę wszystko sprawdzić.

– Sprawdzić? Gdzie?

– W systemie.

– Wprowadzają państwo wszystkie takie recepty do rejestru?

– Owszem.

Chyłka spojrzała na Rejcherta, który zdawał się nie do końca rozumieć, w jakim kierunku zmierza strona przeciwna. Ciężka niepewność w jego oczach był dla Joanny jak wschód słońca nad morzem w ciepły, bezchmurny dzień.

– No tak. Dzięki temu mamy później dowód – powiedziała. – Dowód na to, że mój klient wystawił receptę, a Beata Widera ją zrealizowała.

– Tak.

– A jednak w rejestrze mojego klienta nie ma tej recepty.

– To chyba nic dziwnego...

– Nie rozumiem – odparła nieco wrogim tonem Chyłka. – Czy nie istnieje obowiązek wprowadzania takich środków, jeśli lekarz je komuś wypisał?

– Tak, ale... cóż, żaden z nich nie był refundowany, więc Narodowy Fundusz Zdrowia nie ma powodu, by specjalnie się tym interesować. Pan Kranz niewątpliwie zdawał sobie z tego sprawę i nie wprowadził recepty do systemu.

Jeśli sędziowie i ławnicy wcześniej nie wyłapali, że aptekarka jest nieprzychylna Rafałowi, teraz z pewnością widzieli to jak na dłoni. Zamiast „doktora” był „pan”, a w dodatku kobieta była ewidentnie przekonana, że Kranz jest winny. Chyłka odhaczyła pierwszy element na swojej liście rzeczy do zrobienia.

– Ale wiedział przecież, że w aptece recepta zostanie wprowadzona do systemu – zauważyła Joanna. – Czy może przypuszczał, że i tam nikt jej nie zarejestruje?

Świadek wzruszyła ramionami.

– Zdarzają się takie sytuacje?

– Nie.

– Nie mówię ani o pani, ani o aptece, w której pani pracuje. Pytam ogólnie.

– W takim razie owszem, może się zdarzają – przyznała farmaceutka. – Ale w ekstremalnie rzadkich przypadkach. A poza tym nigdy, jeśli chodzi o psychotropy.

– Ach... – skwitowała Joanna. – I to powszechna wiedza?

– Powiedziałabym, że tak.

– Czy pani zdaniem mój klient zdawał sobie z tego sprawę?

– Cóż, nie mogę przecież...

– Przed chwilą powiedziała pani, że miał wystarczające rozeznanie, by wiedzieć, czego nie sprawdza NFZ.

Kobiecie wyraźnie zaschło w ustach.

– Czy rozsądnie byłoby uznać, że wiedział także o tym, iż recepta niemal na pewno zostanie wprowadzona przez farmaceutę?

– Tak.

– W takim razie jaki cel miałby w ukrywaniu tego u siebie? – zapytała Chyłka, zmieniając pozycję. Położyła ręce na stole i pochyliła się lekko.

– Czasem lekarze po prostu nie dopełniają tego obowiązku...

– Czasem tak. Szczególnie kiedy chodzi o dzień jak co dzień – odparła Joanna, przenosząc wzrok na prokuratora. – Ale w tym wypadku mój klient miał rzekomo planować zabójstwo. Jeśliby rzeczywiście tak było, raczej nie podejmowałby dodatkowego, zupełnie niepotrzebnego ryzyka.

W sali zaległo milczenie. Chyłka odczekała moment, by członkowie składu orzekającego sami uświadomili sobie, jak absurdalnym posunięciem byłoby to ze strony Rafała.

– Wróćmy do tego – zadeklarowała po chwili. – Teraz prosiłabym o kilka porad.

– Słucham?

– Chciałabym się dowiedzieć, w jaki sposób mogłabym podrobić taką receptę.

Wyprostowała się i znów skrzyżowała ręce na piersi, jakby rzucała kobiecie wyzwanie. Ta wyraźnie czuła się coraz gorzej w ogniu pytań.

– Nie wiem, czy jestem odpowiednią osobą, by udzielać takich informacji.

– Oczywiście, że tak. Przez pani ręce przechodzą dziennie setki, jeśli nie tysiące recept.

Farmaceutka poszukała wzrokiem pomocy u sędzi przewodniczącej, ale Karina Agneza trwała w równie zasadniczej pozie jak obrończyni. Chyłka odniosła wrażenie, jakby tym samym w jakiś sposób nawiązały nic porozumienia.

– Czego byłoby mi potrzeba?

– Pieczątki, rzecz jasna...

– Jak mogłabym ją wyrobić?

– Musiałaby się pani zgłosić do odpowiedniej firmy i złożyć zamówienie.

– To wszystko?

Aptekarka pokiwała głową, a Agneza szybko upomniała ją, by ze względu na protokół rozprawy odpowiadała na zadawane pytania słownie.

– Tak, to wszystko.

– Nie potrzebowałabym numeru prawa wykonywania zawodu? Nikt nie żądałby go ode mnie przed wyrobieniem pieczątki?

– Nie.

– A więc może dyplom ukończenia studiów?

– Nie, też nie byłby konieczny.

Chyłka podrapała się po czubku głowy, przybierając nieco zafrapowany wyraz twarzy.

– Jeśli dobrze rozumiem, do zdobycia fałszywej pieczątki konieczne byłoby więc... wybranie się do punktu ich wyrabiania. I to wszystko.

– Niezupełnie...

– Nie?

– Można złożyć zamówienie w internecie, a potem otrzymać pieczątki kurierem.

Joanna pozwoliła sobie na ciche prychnięcie. Z pewnością wychwycił je Rejchert, podobnie jak członkowie składu orzekającego.

– W porządku – rzuciła. – Mam więc pieczątkę. Czego jeszcze potrzebuję?

– Recepty, rzecz jasna.

– Jak ją zdobyć?

– Należy złożyć zamówienie, w którym konieczne jest już podanie danych, o których pani wspomniała.

– Naprawdę? W każdym przypadku?

– Cóż...

– Tak?

– Jeśli nie ma kodu kreskowego, to nie ma także potrzeby, by składać zamówienie – przyznała wyraźnie niepoczyszona farmaceutka. – Wówczas może pani wypisać wszystko odręcznie lub...

– Lub kartkę o odpowiednich wymiarach włożyć do drukarki.

– Tak.

– A potem przybić pieczętkę, z której wyrobieniem nie miałabym żadnego problemu.

– Zgadza się.

– Czy wpadłabym, przedstawiając pani tak sfałszowaną receptę? Wskoczyłby jakiś alert, świadczący o tym, że coś jest nie w porządku?

– Nie. W przypadku opioidów czy leków refundowanych sprawa byłaby bardziej skomplikowana, ale...

– Ale pytam o relanium i hydroksyzynę.

– Nie. W tym wypadku odpowiedź brzmi: nie.

Cisza, która po raz kolejny zaległa w sali, była znacząca. Wrobienie Kranza było banalnie proste, właściwie mógł to zrobić każdy z dostępem do internetu. Bez wychodzenia z domu – o ile wybrałby dostawę, a nie odbiór przesyłki w paczkomacie.

Milczenie przerwała w końcu Agneza.

– Jeszcze jakieś pytania, pani mecenas?

– Tak.

– A zatem proszę. Są kolejni świadkowie do przesłuchania.

Nie poruszywszy się, Chyłka przeniosła wzrok na aptekarkę i nabrała głęboko tchu.

– Czy recepta wystawiona rzekomo przez mojego klienta była wypisana odręcznie?

– Nie.

– I nie miała kodu kreskowego?

– Nie miała.

– A zatem był to zwykły wydruk.

– Zgadza się. Jak mówiłam, wielu lekarzy drukuje recepty w swoich gabinetach, o ile nie muszą mieć kodu.

Chyłka spojrzała na Kranza i uniosła brwi, jakby widziała go po raz pierwszy.

– Czy nie byłoby w takim razie logiczne, że mój klient wydrukowałby receptę na sprzęcie w swoim gabinecie?

– Tak, przypuszczam, że tak, ale...

– Ale tak się nie stało – zadeklarowała Chyłka, zupełnie poważniejąc. – Bo ten sam test, który dowiódł, że list pożegnalny wydrukowano w gabinecie doktora Kranza, pokazuje, że recepta nie pochodzi z tej drukarki.

Joanna zrobiła pauzę, wbijając spojrzenie w przewodniczącą.

– A to oznacza, że ktoś w wyjątkowo perfidny sposób wrobił mojego klienta, Wysoki Sądzie – zakończyła.

Plac Defilad, Śródmieście

Artur Żelazny zawsze parkował w tym samym miejscu, naprzeciwko wejścia do Pałacu Młodzieży. Niegdyś dzięki temu Kordian mógł stawiać daihatsu na miejscu obok, jeszcze zanim szef się pojawił, by stwarzać wrażenie, że jest w pracy przed nim. Teraz dokładnie wiedział, gdzie czekać na Żelaznego.

Artur dostrzegł go już z oddali, wyraźnie zaniepokojony, że ktoś przysiadł na masce jego drogiego samochodu.

– Oryński? – powitał go. – Jak ty wyglądasz?

Kordian przesunął ręką po niewyprasowanej koszuli.

– Myślałem, że to jeden z żuli chce mnie naciągnąć na parę drobniaków.

– Humor panu dopisuje.

Żelazny wskazał na auto.

– To się szybko zmieni, jeśli zarysujesz mi maskę, chłopcze.

– Możliwe, że już to nieopatrznie zrobiłem – odparł Kordian, podnosząc się. – Ale nawet jeśli, to najmniejsze z pańskich zmartwień.

– Planujesz przysporzyć mi ich więcej?

– Nie, planuję dać panu szansę, by ich uniknąć.

Przez chwilę imienny partner patrzył na niego badawczo, zapewne wracając myślami do scen, które jakiś czas temu rozegrały się w Hard Rock Cafe. Właściwie podał Oryńskiego organom ścigania na tacy, wcześniej doprowadzając do rozwiązania umowy z kancelarią i umywając od wszystkiego ręce. Musiał spodziewać się zemsty – i być może właśnie w tych kategoriach potraktował deklarację Kordiana.

– Na czym ta szansa ma polegać?

– Porozmawiajmy może w spokojniejszym miejscu.

– Spiesz mi się.

– To niedobrze – odparł Oryński, rozglądając się. – Życie i tak jest ulotne, po co dodatkowo je skracać?

Żelazny na moment zastygł, a potem roześmiał się protekcyjnie.

– Widzę, że odpoczynek od korporacyjnego świata ci nie służy. Zaczynasz gadać bzdury.

– Tylko dlatego, że konkrety najwyraźniej pana nie interesują.

– Mylisz się, Oryński. – Artur otworzył drzwi, rzucił aktówkę na siedzenie pasażera, a potem obrócił się do rozmówcy. – Jeśli masz mi coś konkretnego do powiedzenia, chętnie tego wysłucham.

Kordian wyciągnął paczkę davidoffów. Zapalając jednego, przywołał z pamięci wszystko, co planował powiedzieć byłemu przełożonemu. Uniósł dymiącego między

palcami papierosa i wskazał Skylight.

– Ma pan niepowtarzalną szansę, żeby na szyldzie kancelarii widniało „Żelazny i wspólnicy” – oznajmił. – Ale tylko, jeśli jest pan gotów minimalnie mi zaufać.

– Minimalnie ci ufam, chłopcze.

Artur zdawał się lekko rozbawiony, jakby nie był gotów dopuścić myśli, że Kordian w istocie może mu pomóc. Oryński jednak przypuszczał, że za kilka minut sytuacja zmieni się diametralnie.

Zaciągnął się głęboko, jakby nabierał powietrza przed długim nurkowaniem.

– Nie wiem, o co dokładnie chodzi w sprawie Kranza – zastrzegł na początek. – Ale jedno jest pewne: William McVay jest w to wszystko zamieszany od samego początku.

– Skąd ta myśl?

Kordian opisał mu powiązania, do których udało mu się dotrzeć, ale wyraźnie nie zrobiło to wrażenia na Żelaznym. Potrzebował czegoś więcej. I miał to dostać.

– Wiedział pan, że William kontaktował się z Kimpikiem?

Artur potarł brodę, marszcząc nos.

– Z Michałem Błońskim – dodał Oryński.

– Nie, nie wiedziałem. Ale William nie ma obowiązku spowiadać się mi ze wszystkiego.

– Mimo to powinien zająknąć się o kontakcie z człowiekiem, który swego czasu przepuścił na rynku sporo pieniędzy obecnego klienta kancelarii.

Żelazny poruszył mechanicznie dłoń, jakby chciał wykonać swój firmowy manewr, obracając spinki między palcami. Szczęśliwie ten irytujący zwyczaj kultywował tylko w swoim biurze.

– To jeszcze nic nie znaczy.

– Nie. Ale co z faktem, że Błoński ostrzegł mnie przed McVayem?

– Nie wiemy, co nim kierowało.

– To samo mógłby pan powiedzieć, jeśli chodzi o jego samobójstwo.

– Co takiego?

– Po tym, jak ostrzegł mnie przed Williamem, powiesił się w celi.

Artur przestał wykonywać nerwowe ruchy, a resztki wesołości zupełnie zniknęły z jego twarzy.

– W dodatku William leci do Manchesteru, by dowiedzieć się o szczegółach sprawy, i zaraz potem ginie tam Richard Nelson. Kolejne samobójstwo. To już cztery w tej sprawie, panie mecenasie.

Niechętnie oddawał Żelaznemu nienależny szacunek, ale w tej sytuacji uznał, że najlepiej będzie zachować nieco kurtuazji.

– Twierdzisz, że miał coś wspólnego ze śmiercią wszystkich tych ludzi?

– Niczego nie twierdzę. Przedstawiam tylko fakty.

– I że miał związek ze śmiercią swojego ojca? – ciągnął Żelazny. – To absurd.

– Nie takie rzeczy świat już widział.

– Nie, nie takie – przyznał Artur, zawieszając wzrok na oczach Kordiana.

Przesłanie było jasne. Rozmawiał z kimś, kto jeszcze nie tak dawno temu sam

toczył batalię sądową, by nie zostać skazanym za pozbawienie życia własnej matki.

– Kto jak kto, ale ty nie powinieneś szafować takimi podejrzeniami.

– Nie formułuję żadnych podejrzeń – powtórzył Oryński. – Relacjonuję panu, co się stało. Wnioski wyciągnie pan sam.

Artur milczał, ale swoistą odpowiedzią było ukradkowe spojrzenie w kierunku okazałego, przeszklonego gmachu Skylight.

– I z pewnością ostatecznie zobaczy pan to, co ja.

– Czyli? – spytał Żelazny.

– Okazję. Jedyną i niepowtarzalną, by przejął pan całą firmę. By zrobił pan to, na co tak długo czekał.

Sztucznie promienny wyraz twarzy nagle znów się pojawił.

– I mam uwierzyć, że ze wszystkich ludzi właśnie ty chcesz mi w tym pomóc?

– Tak.

– Wy tłumacz mi więc, dlaczego to robisz, chłopcze? Aż tak ci zależy na powrocie? O to chodzi? Chcesz przehandlować ze mną stare stanowisko?

– Nie – zaprzeczył stanowczo Kordian. – Chcę dostać gwarancję, że obejmę nowe.

Żelazny uśmiechnął się jeszcze szerzej, ale tym razem bez niedowierzania i rezerwy. Przeciwnie, przywodził na myśl nauczyciela wyraźnie zadowolonego ze swojego najlepszego ucznia.

– A co z Chyłką? – spytał Artur. – Nie obawiasz się, że cała obrona Kranza upadnie, jeśli okaże się, że William był zamieszany w... w cokolwiek, co twoim zdaniem się stało?

– Chyłka już jest narażona na niebezpieczeństwo, choć sama nie zdaje sobie z tego sprawy.

Oryński pomyślał, że taki osąd mógłby wydać w zasadzie w każdym momencie życia Joanny i nie minąłby się z prawdą.

– A więc robisz to także, by ją przed nim ustrzec?

Kordian skinął głową. Mimo że rozmówca ironizował, tak naprawdę był to główny powód, dla którego w ogóle postanowił działać. Powrót do firmy, nowe stanowisko czy przetasowania w kierownictwie nie miały dla niego żadnego znaczenia. Kluczowe jednak było, by sięgnąć po te warunki – ludzie tacy jak Żelazny tylko takie rozumieli. Gdyby ich zabrakło, Artur nie pojąłby, dlaczego w ogóle odbywają tę rozmowę.

– Cztery osoby nie żyją, panie mecenasie – powtórzył Kordian. – I nie dopuszczę do tego, żeby piątą była Chyłka.

– Nie ma takiego zagrożenia.

– Jest. I to niemałe. – Oryński wyrzucił niedopałek i rozejrzał się. – Wszyscy, którzy zaczęli się zbliżać do prawdy, stracili życie. A jasne jest, że Chyłka w końcu też odkryje, o co chodzi.

Trudno było temu zaprzeczyć, a Żelazny nie musiał się dłużej namyślać nad potencjalnymi korzyściami. Na tym etapie interesowała go już wyłącznie cena, którą przyjdzie mu zapłacić.

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytał. – Oprócz przywrócenia cię do pracy?

– Muszę się dostać do domu McVaya na Elsnerowie.

– Do tej rudery? Po co?

– Jestem przekonany, że Harry zebrał więcej materiałów, niż udało nam się dotychczas znaleźć.

– W takim razie po prostu tam wejdź. Nie jest to raczej forteca.

– Nie, ale po przyjeździe Williama wszystko jest zamknięte.

– Skąd wiesz?

Kordian nie odpowiadał.

– Byłeś tam już, jak rozumiem? – spytał Artur. – Zanim poprosiłeś mnie o pomoc, próbowałeś sam się czegoś dowiedzieć? Nie krępuj się, chłopcze, mów. Rozumiem, że nie masz powodu, by widzieć we mnie sojusznika, ale jeśli mam wyciągnąć do ciebie pomocną dłoń, musimy zacząć od pełnej jawności.

Sojusznika? Nie, nigdy nie miał zamiaru tak go postrzegać. Zmiana tonu Żelaznego sugerowała jednak, że on był gotów do współdziałania. Nic dziwnego, trafiła mu się wymarzona sytuacja. Jeśli uda się udowodnić cokolwiek Williamowi, zyska w kancelarii rząd dusz. I rozpocznie okres samowładztwa.

– Założono tam alarm – oznajmił Oryński.

– W zasadzie to nic dziwnego. Podobno włamali się tam Widerowie, tak?

– Niewykluczone.

– William z pewnością nie chciał powtórki z rozrywki.

– Albo jest tam coś wartościowego – odparł Kordian. – Przynajmniej z naszego punktu widzenia, bo przypadkowi złodzieje rzeczywiście nie mieliby tam czego szukać.

– To prawda – przyznał Żelazny, zbliżając się o krok. – Ale nadal nie wiem, jakiej pomocy ode mnie oczekujesz.

Oryński miał ochotę zapalić kolejnego papierosa, ale się powstrzymał.

– William jest przekonany, że nie ma pan pojęcia o jego niejasnych posunięciach.

– Domniemanych.

– Nie podejrzewa pana o nic, co mogłoby go narazić na niebezpieczeństwo, prawda?

Żelazny skinął głową.

– A ponieważ jest teraz na rozprawie, a pan na gwałt potrzebuje czegoś, co Harry trzymał w domu na Elsnerowie...

– Chcesz, żebym do niego zadzwonił i poprosił, żeby podał mi kod do alarmu? Nie po to go zakładał, żeby dawać go każdemu, kto...

– Tak, tak – uciął Kordian. – Ale system jest obsługiwany zdalnie. Wystarczy, że William wyśle esemesa.

Artur w pierwszej chwili wydawał się nieprzekonany, zaraz potem jednak w jego oczach pojawił się błysk uznania.

– Skąd o tym wiesz?

– Znam specjalistę do spraw pozyskiwania informacji.

Oryński niechętnie mieszał w to Kormaka, a z jeszcze większymi oporami informował Żelaznego o udziale chudzielca, ale nie miał wyjścia. Ostatecznie i tak wszystko wyszłoby na jaw.

– I ten specjalista przejmie też kod esemesa, który dotrze do centrali w domu – dodał Kordian. – Pan wejdzie do środka, zabierze dokumenty, które są panu rzekomo tak

pilnie potrzebne i... właściwie tyle wystarczy.

Żelazny czekał na resztę planu, nie mając zamiaru dłużej ciągnąć młodego prawnika za język. Nonszalancko włożył ręce do kieszeni i zerknął w kierunku Pałacu Kultury i Nauki. Nad iglicą od pewnego czasu zbierały się ciemne chmury, zanosilo się na deszcz. Kordian miał wrażenie, że kilka kropel spadło już z nieba.

– Wróci pan do kancelarii, a William na powrót włączy alarm. Nie będzie miał powodu, by cokolwiek podejrzewać. – Oryński jednak wyciągnął davidoffa. – Wieczorem zorganizuje pan zaległą imprezę powitalną dla nowego imiennego partnera. Nie zrobił pan tego wcześniej, co zrozumiałe, biorąc pod uwagę okoliczności. Ale tradycji musi stać się zadość.

Artur wciąż się nie odzywał.

– Będzie to suto zakrapiana impreza, obecni będą wszyscy ludzie liczący się w firmie.

– A więc także Chyłka.

Kordian odpalił papierosa, kiwając głową. Wciąganie jej w to także wiązało się z pewnym ryzykiem, ale ostatnimi czasy pokazała, że potrafi okiełznać potrzebę... nie, nie potrzebę. Pewne rzeczy należało nazywać po imieniu, a jedną z nich była choroba alkoholowa.

Joanna poradzi sobie z nią i tym razem, nawet jeśli będzie ją otaczał tłum nawalonych adwokatów.

– Kluczowe jest, by spotkanie przeciągnęło się do późnych godzin nocnych – podjął Kordian. – Dzięki temu sprawdzę dokładnie dom. I dowiem się, o co tak naprawdę chodzi w tej sprawie.

Sąd Okręgowy w Warszawie, al. Solidarności

Po odprawieniu farmaceutki Karina Agneza okazała wreszcie nieco emocji. Była wyraźnie zainteresowana linią obrony, którą przedstawiła Chyłka. Zbyt wiele rzeczy stało w sprzeczności z logiką, by tak po prostu to zignorować – i Joanna przypuszczała, że sędzia w końcu to dostrzegła.

Kolejno miejsce dla świadków zajmowały pacjentki, które Kranz przyjmował w ciągu wieloletniej praktyki. Niektóre wypowiadały się o nim pochlebnie, podkreślały nawet, że dzięki niemu donosiły ciążę, inne przedstawiały zupełnie odmienny obraz ginekologa.

Jedną z tych ostatnich była Marta Liśniewska. Chyłka oceniła ją jako typową przedstawicielkę klasy średniej, jeszcze przed czterdziestką. Kobiety takie jak ona niknęły zazwyczaj w tłumie stałych bywalców restauracji przy Chmielnej, niczym nie wyróżniały się z tłumu.

Na sali sądowej miały jednak okazję do popisu. I Liśniewska skrupulatnie z niej skorzystała.

– Czy może pani powiedzieć, jak wygląda pierwsza wizyta u doktora Kranza? – zapytał Rejchert, rozsuwając ręce na stole.

Marta spuściła wzrok.

– Nie należała do przyjemnych.

– Rozumiem – odparł dobrotnie prokurator. – Zaczniemy może od tego: dlaczego w ogóle trafiła pani do tego konkretnego lekarza?

– Byłam na wyjeździe. Na urlopie. Nabawiłam się infekcji intymnej.

– Rozumiem – powtórzył równie wyrozumiałym, ciepłym głosem Rejchert. Chyłka miała nadzieję, że skończy to przedstawienie jak najszybciej. – Ktoś polecił pani doktora Kranza?

– Tak, znajoma. Twierdziła, że potrafi być nieco grubiański, ale zna się na rzeczy. A ja założyłam, że to najważniejsze.

– Więc zapisała się pani na wizytę.

– Tak – potwierdziła Liśniewska, nadal nie podnosząc wzroku. – Już na wstępie usłyszałam, że mam bardzo dobrą miednicę.

– Słucham?

Karol spojrział na oskarżonego, jakby ta wzmianka była wystarczająca, by wpakować go do więzienia.

– Doktor powiedział, że przy tych wszystkich cesarskich cięciach, jakie się teraz wykonuje, coraz mniej kobiet może się pochwalić takimi biodrami. Dodał, że to sprawa genetyki. Ewolucyjnie miednice stają się coraz węższe, bo ciało przystosowuje się do

potrzeb.

– Co pani na to odpowiedziała?

– Nic.

Właściwie nie była to żadna rewelacja. Naukowcy od lat zwracali uwagę na ten trend, ale jednocześnie uspokajali, że nigdy nie dojdzie do sytuacji, w której wszystkie porody będą musiały się odbywać przy interwencji chirurgicznej. Kranz z pewnością mógł jednak oszczędzić sobie takich komentarzy.

– Co wydarzyło się potem? – zapytał Rejchert.

– Zajęłam miejsce, a doktor zaczął badanie.

– I co stwierdził?

– Zanim jeszcze dokładnie mnie przebadał, usłyszałam, że z całą pewnością nie jestem fretką domową.

– Fretką?

– Tak powiedział – potwierdziła Marta, podnosząc na moment spojrzenie. – Uznał to za zabawne, bo od razu się roześmiał.

– Co miał na myśli?

Liśniewska głośno przełknęła ślinę.

– Zapytałam o to... – przyznała. – A on wyjaśnił, że fretki podczas ciecarki mogą umrzeć, jeśli nie uprawiają seksu.

Rejchert chrząknął niepewnie, jakby wkraczali na grunt, którego za wszelką cenę chciał uniknąć. W rzeczywistości docierali do celu wcześniej wytyczonym przez niego szlakiem.

– Wie pani, co konkretnie miał na myśli?

– Tak. Wyjaśnił, że nadmiar estrogenu dostaje się wówczas do krwiobiegu zwierzęcia i może ono umrzeć. A z pewnością wystąpią u niego objawy anemii.

– Czyli... porównał panią do zwierzęcia w rui?

– Tak.

Po sali przeszedł cichy szmer.

– Uznał, że w przeciwieństwie do fretki nie umarłabym, gdybym na urlopie trochę się powściągnęła.

Rejchert tym razem skierował wzrok na Chyłkę. Patrzył na nią odpowiednio długo, by także spojrzenia innych się na nią zwróciły. Przesłanie było proste: oto adwokatka, która zamiast stawać w obronie innych kobiet, broni seksisty.

– Co jeszcze powiedział pani doktor Kranz?

– Przeszedł później do badania i ostatecznie stwierdził, że doszło do nadżerki. Po wizycie u innego ginekologa okazało się to jednak nieprawdą.

– Czy mówił coś jeszcze w trakcie badania?

– Nie. Dopiero po nim.

– Co konkretnie?

– Udzielił mi rady, żebym staranniej dobierała partnerów seksualnych i ograniczyła znacząco ich liczbę. Stwierdził, że dzięki temu uniknę w przyszłości podobnych sytuacji.

Rejchert westchnął, jakby grubiaństwo niektórych mężczyzn kompletnie go osłabiało. Obrócił się w stronę Marty i posłał jej blady, przepraszający uśmiech.

– Proszę wybaczyć, że o to zapytam... – zaczął. – Ale czy podczas tego urlopu rzeczywiście doszło do wielu kontaktów seksualnych?

– Nie – zaprzeczyła od razu Liśniewska, unosząc podbródek. – Nie spałam z nikim przez wiele tygodni poprzedzających wizytę.

Chyłka odchrząknęła znacząco, przykuwając uwagę członków składu orzekającego. Natychmiast skorzystała z okazji.

– Wysoki Sądzie – odezwała się. – Naprawdę musimy tego słuchać? Jaki to ma związek ze sprawą?

Agneza nabrała tchu, ale nie odpowiedziała. Delikatnym ruchem ręki zasugerowała Joannie, by poczekała jeszcze chwilę.

Rejchert dostał zielone światło, by kontynuować, co Chyłki bynajmniej nie dziwiło. Cały proces był skonstruowany tak, że występowała właściwie przeciwko sędziom i oskarżycielom. Jakiś czas temu przejściowo obowiązywał model kontradyktoryjny, w którym adwokat i prokurator sprzeczali się przed arbitrem, a ten miał decydować, kto ma rację – teraz jednak sytuacja wróciła do normy.

W obecnym modelu, opartym na zasadzie prawdy materialnej, sędzia grał aktywniejszą rolę. I Agneza skwapliwie z tego skorzystała.

– Czy doktor przepisał pani jakieś środki? – spytała.

– Tak. Miały mi pomóc uporać się z infekcją. Zaznaczył jednak, że jeśli dalej będę zmieniała mężczyzn jak rękawiczki i nie znajdę sobie stałego partnera, żadne środki mi nie pomogą.

Przewodnicząca była wyraźnie niezadowolona z dywagacji, ale tym razem postanowiła odpuścić świadkowi.

– Pamięta pani, jak wyglądała recepta?

– Niestety nie.

– Pamięta pani, czy miała kod kreskowy, czy nie?

– Nie. Chyba mało kto zapamiętuje takie rzeczy.

Agneza wbiła wzrok w prokuratora, a ten w mig zrozumiał, że powinien jak najprędzej wytłumaczyć się z powodu, dla którego wnioskuje, by to właśnie Marta Liśniewska zajęła miejsce na mównicy.

Zanim jednak zdążył otworzyć usta, sędzia kontynuowała:

– Pamięta pani chociaż, czy był to wydruk?

– Tak, chyba tak.

– Chyba?

– Jestem prawie pewna. To znaczy nazwy leków pewnie były napisane odręcznie... zazwyczaj tak jest, prawda?

Agneza pozwoliła sobie na ciche westchnięcie, a potem zwróciła oczy na Rejcherta.

– Pan prokurator ma jeszcze jakieś pytania?

– Owszem.

– W takim razie proszę je zadać. I miejmy nadzieję, że dzięki nim dowiemy się, co zeznania świadka mają wnieść do sprawy.

– Oczywiście – odparł Karol i poprawił wyłogi kołnierza koszuli, patrząc na kobietę na mównicy. – Może nam pani opisać sam koniec wizyty?

Marta pokiwała głową ze skwaszoną miną.

– Na odchodnym nasłucham się najwięcej.

– To znaczy?

– Doktor rzucił, że jeśli będę odczuwała potrzebę taką jak fretka, zawsze mogę się do niego zgłosić. Nie zaspokoi wprawdzie moich żądz, ale... jakoś pomoże. Wspomniał, że lekarskie macanie złagodzi moje potrzeby.

– Lekarskie macanie? Tak powiedział?

– Tak. Dokładnie takich słów użył.

Chyłka spojrzała z ukosa na swojego klienta. Zeznania nie robiły na nim żadnego wrażenia, na niej zresztą też nie. Wszystko to wcześniej czytała w internecie – niestety co do słowa. Na żalosalne żarciki o macaniu Kranz miał sobie pozwalać w obecności niejednej pacjentki.

– Potem dodał, że jeśli nie znajdę kogoś na stałe, on to zrobi za mnie, bo taka macica nie może się zmarnować.

– To wszystko?

– Nie. Powiedział, żebym przedtem zainteresowała się inną bielizną, bo ta, którą mam na sobie, zadziała lepiej niż najskuteczniejszy środek antykoncepcyjny.

Marta zacisnęła usta, a sędzia drgnęła nerwowo. Wchodzili na wyjątkowo chodliwy medialnie temat, a zapewne ostatnim, czego chciała Agneza, był dodatkowy rozgłos. Miejsc na sali i bez niego już brakowało.

– Nie wytrzymałam, powiedziałam mu, co o nim myślę.

– Jak zareagował?

– Pretensjami. Podkreślił, że traci swój czas na nadzěrki rozwiązłych kobiet, kiedy mógłby pomagać tym, które naprawdę tego potrzebują.

– To była prywatna wizyta, zgadza się?

– Owszem.

– Czy po tym spięciu od razu opuściła pani gabinet?

– Chwilę potem. Usłyszałam jeszcze, że na domiar złego musi wdychać wyziewy z mojej pochwy.

Agneza w końcu straciła cierpliwość.

– Wystarczy – oznajmiła. – Czy pan prokurator ma jakiegokolwiek pytania, które dotyczą zarzutów?

– Tak, Wysoki Sądzie. Właśnie do nich zmierzam.

Patrzył na przewodniczącą, jakby oczekiwał zezwolenia.

– Proszę – powiedziała niechętnie Agneza.

Przyglądając się prokuratorowi, Chyłka nie mogła oprzeć się wrażeniu, że mości się jak do zdjęcia. Wyprostował się, wypiął lekko pierś, uniósł brodę. Musiał sądzić, że za moment wszystkie obiektywy zostaną skierowane wprost na niego.

– Czy świadek mógłby powiedzieć, co wydarzyło się po opuszczeniu gabinetu?

– Cóż... puściły mi nerwy.

– I co się stało?

– Trzasnęłam drzwiami, a potem zaczęłam mówić kobietom w poczekalni, żeby nie szły do tego... człowieka.

- Takich słów pani użyła?
- Nieco bardziej dosadnych.
- I jaka była reakcja?
- Zignorowano mnie.
- Wszystkie pacjentki zbyły pani ostrzeżenia milczeniem?
- Oprócz jednej – odparła Liśniewska i po raz kolejny opuściła wzrok. – Później

dowiedziałam się, że to była Beata Widera.

Joanna poczuła, jak oblewa ją fala gorąca. Słyszała o tym po raz pierwszy.

- Domniemana ofiara oskarżonego?

– Tak.

Chyłka obróciła się do klienta, szturchając go nogą. Nie zareagował w żaden sposób.

- Podniosła się i naskoczyła na mnie.

– W jakim sensie?

– Zaczęła mnie obrażać i twierdzić, że jestem niezrównowazona. Że chodzi do tego ginekologa od lat i nigdy nie spotkała się z żadnymi tego typu zachowaniami z jego strony. Wywiązała się między nami głośna kłótnia, aż z gabinetu wyszedł doktor Kranz.

– I co zrobił?

– Objął Beatę Widerę, a potem wprowadził ją do pokoju. Na mnie popatrzył, jakby chciał zabić.

Joanna klęła w duchu bez końca. Przez to krótkie zdarzenie runęła cała strategia obrony. Wszystkie słowa Kranza od tej pory należało podać w wątpliwość. I traktować go jako zwykłego łgarza.

Chyłka nie miała pojęcia, jak wyciągnąć go z morza problemów, w którym zdawał się tonąć.

Elsnerów, Targówek

W ruderze Harry'ego McVaya albo niczego znaczącego nie było, albo zostało to wyjątkowo dobrze ukryte. Oryński przypuszczał, że w innym wypadku William nigdy nie zgodziłby się tak szybko, by zdalnie otworzyć Żelaznemu.

Woląc nie ryzykować, Kordian został w samochodzie imiennego partnera, zaparkowanym na tyłach budynku. Ktoś wciąż mógł mieć oko na ten teren, a gdyby przypadkowo zobaczyła go sąsiadka, cały plan mógłby się posypać.

Artur wrócił po kilku minutach, niosąc teczkę. Wsiadł do samochodu, rzucił materiały na kanapę za sobą, a potem westchnął teatralnie.

– Załatwione – zadeklarował, wyciągając z kieszeni niewielkie urządzenie.

– Powiadomił pan McVaya, że może włączyć alarm?

Były szef nie odpowiedział, zapewne uznając to za pytanie retoryczne. Kluczowe było, by William miał pewność, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. A pięciominutowe odwiedziny Żelaznego nie powinny wzbudzić żadnych podejrzeń.

Artur podał Oryńskiemu sprzęt, który wcześniej otrzymali od Kormaka.

– Masz pewność, że to zadziałało?

– A widział pan, jak łatwo kraść samochody, od kiedy do włączenia silnika wystarczy mieć klucz w kieszeni?

– Nie.

– Złodzieje podchodzą do budynku ze wzmacniaczami sygnału, kierują je w odpowiednią stronę, a po chwili spokojnie odjeżdżają. Tylko tyle trzeba.

– To jednak co innego niż przejmowanie esemesów.

– Może, ale ogólna zasada jest ta sama. W jednym i drugim wypadku przechwytuje się coś nienamacalnego.

Artur uruchomił silnik, a potem wycofał i bez słowa skierował się z powrotem do Śródmieścia. Wieczorna impreza była już zorganizowana, miała być taktowną niespodzianką dla Williama – nie nazbyt huczną, by nie ujmować żalobie, ale odpowiednio wystawną, by podkreślić, że firma cieszy się z przejścia sterów przez kolejnego McVaya. Niektórzy z pewnością potraktują ją jako stypę, ale charakter spotkania nie miał żadnego znaczenia. Liczyło się to, by William był zajęty.

Wróciwszy do kawalerki, Kordian usiadł przed telewizorem i włączył NSI. Relacjonowano przebieg procesu, Oryński jednak nie mógł się na nim skupić. Raz po raz spoglądał na zegarek, odnosząc wrażenie, że czas upływa coraz wolniej.

Wiedział, co przyspieszyłoby tok zdarzeń. Nie miał jednak gandalfa białego i na dobrą sprawę nie chciał po niego sięgać. Poradził sobie ze zgłębianiem prawa spadkowego bez jego pomocy, pracując na najwyższych obrotach – i jeśli wtedy udało mu się powstrzymać, tym bardziej powinien to zrobić teraz.

Właściwie jedynym, czego nie mógł odstawić, był lorafen. Brał go od czasu

pierwszej wizyty w Medicusie przy Chmielnej, by poradzić sobie ze stanami lękowymi, i nie zanosilo się na to, by prędko się z nim rozstał.

Było coś jeszcze, od czego nie mógł się uwolnić. Nie, nie coś. Ktoś. Ona.

Przyglądał się Chyłce, kiedy ta przeszłuchiwała kolejną pacjentkę. Joanna była wyraźnie wybita z rytmu, może nawet traciła grunt pod nogami. Zeznania Marty Liśniewskiej były druzgocące.

Podważały nie tylko wszystko, co w trakcie całego postępowania powiedział Kranz, ale także to, co wykazywała Chyłka. Znajomość oskarżonego z ofiarą przestała ulegać wątpliwości i stawiała sprawę w zupełnie nowym świetle.

Istniało jednak wiele elementów, które do siebie nie pasowały. Zbyt wiele, by ułożyć całościowy obraz – Oryński miał jednak nadzieję, że uda mu się to zrobić już dziś wieczorem.

Kiedy w końcu wybiła pora uroczystości w Żelaznym & McVayu, Kordian zabrał się do roboty. Zostawił daihatsu na placu Defilad, wychodząc z założenia, że gdyby ktoś trafił na trop jego poczynań, charakterystyczny samochód zaparkowany pod kancelarią zapewni mu alibi.

Na Elsnerów pojechał komunikacją miejską. Wysiadł z linii numer sto siedemdziesiąt na przystanku przy Jesiotrowej, przekonany, że trafił do strefy mroku. Gdzieś w oddali widział ledwo oświetlone żurawie, których widok sugerował, że prace deweloperskie nigdy nie zwalniają. Wokół panowała niepokojąca, wręcz złowroga cisza.

Przedpotopowe uliczne lampy przywodziły na myśl oświetlenie więziennego spacerniaka, jak okiem sięgnąć nie było żywej duszy. Kordian ruszył wzdłuż zniszczonych, chylących się płotów, czując, że trafił w rejony fabryczne, a nie mieszkalne.

Kawałek dalej zaczynało się Zacisze, nieco inny świat, gdzie znaleźć można było domy ludzi na co dzień pojawiających się na ekranach telewizorów. Tutaj jednak panowała gęsta atmosfera trwogi. Zupełnie jakby w powietrzu zawisła obietnica, że zdarzy się coś niedobrego.

Kordian przyspieszył kroku i po chwili dotarł pod dom Harry'ego. Okolicę spowijały ciemności, najbliższa działająca latarnia znajdowała się kilkadziesiąt metrów dalej. Wyjawszy z kieszeni urządzenie od Kormaka, Oryński wykonał instrukcje chudzielca co do joty, a potem zobaczył, jak rozświecła się zielona dioda. Wszystko było w porządku. Kordian otworzył bramkę i przemknął na teren posesji.

Wszedł do budynku, nasłuchując uważnie, ale cisza zalegała wokół jak mgła. Zamykając za sobą drzwi, usłyszał jedynie przejeżdżające w oddali samochody. Czym prędzej zasłonił okna, a potem przeszedł do jednego z pokojów z tyłu budynku.

Włączył światło i odetchnął. Nie czuł się tutaj najlepiej za dnia, nie wspominając już o nocy. Tymczasem jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, spędzi tu przynajmniej kilka godzin. Żelazny miał go poinformować, kiedy impreza zacznie dobiegać końca.

Oryński spodziewał się, że stanie się to nieprędko. Alkohol będzie lał się strumieniem równie wartkim jak ten, którym płynąć będą rozmowy o Harrym McVayu. Pojawią się wspomnienia z początku jego kariery, anegdoty, potem rzewne opowieści o tym, jak porządnym był facetem.

Kordian otworzył pierwszą z szuflad, zastanawiając się, jak w tym wszystkim odnajdzie się Chyłka. Artur potwierdził, że miała się zjawić. Będzie siedziała na uboczu, pogrążona w rozważaniach o sprawie? A może samotnie powspomina zmarłego przyjaciela?

Istniały oczywiście scenariusze bardziej niepokojące. Jak choćby ten, że ciężar nieidącego po jej myśli procesu w końcu skłoni ją do sięgnięcia po alkohol. Albo że wda się we wspominki z Williamem.

Oryński pokręcił głową, jakby sam na siebie nie miał już siły. Skarcił się w duchu, skupiając na poszukiwaniach. Zaczął wysuwać każdą z szuflad, a potem sprawdzać, czy nie przegapili z Joanną żadnej skrytki.

Po półgodzinie uznał, że sypialnia Harry'ego jest czysta. Zostało mu kilka innych pokojów i jeszcze więcej zakamarków, w jakich można było ukryć te materiały, które nie powinny zostać przez nikogo odnalezione.

Kordian zgasił światło i przeszedł do pomieszczenia obok. Harry właściwie go nie używał, kiedyś było chyba drugą sypialnią. W kącie pokoju kłębiły się kłaki kurzu, pod sufitem wisiały resztki pajęczyny, zapewne częściowo ściągniętej przez Williama.

Oświetlenie nie było tutaj najlepsze, stara żarówka na niewiele się już zdawała. Oryński wyjął telefon i oświetlając szafkę nocną, sprawdził jej zawartość. Potem odłożył komórkę na łóżko i wyprostował się, nabierając głęboko tchu. W pokoju unosił się zapach starego, wilgotnego drewna, który w jakiś sposób wzmagał poczucie niepokoju.

Oryński otworzył szafę wnękową, choć razem z Chyłką sprawdzali już jej wnętrze, szukając dobrze zakamuflowanych skrytek. Kiedy Kordian przesunął dłonią po nierównym drewnie, nagle zamarł.

Wydawało mu się, że coś usłyszał. Dźwięk przekręcanego klucza? Nie, raczej zbliżony do tego metaliczny odgłos. Zerknął niepewnie w kierunku korytarza, trwając w bezruchu. Przez chwilę słuchał, zapewniając się w duchu, że tylko mu się wydawało.

Zaraz potem ktoś nacisnął klamkę. Rozległo się ciche skrzypienie drzwi wejściowych.

Kordian natychmiast wyłączył światło i rozejrzał się nerwowo. Był na tyłach budynku, z pewnością nikt nie zobaczył luny ze starej żarówki. Tylko co z tego? Nie było którejdy uciekać, a otwierając okno, narobiłby hałasu.

Zaklął szeptem, a potem zrobił krok w stronę szafy. Właściwie nie miał wyboru. Albo to, albo bezsensowna próba wydostania się przez okno. Wszedł do środka, a potem cicho zasunął drzwi.

Otarł czoło, dopiero teraz uświadamiając sobie, jak szybko zrobiło mu się gorąco. Z uwagą nasłuchiwał kroków, ale w domu zdawała się panować cisza.

Kto to był, do cholery?

Uświadamiając sobie nagle, że nie ma wyciszonych dzwonek, Kordian sięgnął do kieszeni. Ze zgrozą poczuł, że nie ma telefonu, i uświadomił sobie, że zostawił go na łóżku.

Przełknął z trudem ślinę, wiedząc, że decyzję musi podjąć natychmiast. Jeśli William wrócił, a Żelazny jakimś cudem przegapił jego wyjście, za moment rozlegnie się sygnał przychodzącej wiadomości.

Kordian rozsunął lekko drzwi, wyjrzał na zewnątrz, a potem postawił cicho nogę na podłodze. Podeszedł powoli do łóżka, zgięty w pół, nie odrywając wzroku od korytarza.

Nadal niczego nie słyszał. Ani kroków, ani rozmów, ani jakichkolwiek dźwięków świadczących o tym, że McVay wrócił do domu. Nie dostrzegł także światła z korytarza.

Wrócił do kryjówki i szybko wyciszył telefon. Wklepał krótką wiadomość do Artura, dopiero teraz dostrzegając, że trzęsą mu się ręce. Najwyraźniej atmosfera grozy, która wiązała się z tym miejscem, wpłynęła na niego bardziej, niż się spodziewał.

Nabrał głęboko tchu, starając się uspokoić i sprawić, by szybsze bicie serca ustało. Wbił wzrok w oświetlone telefonem drzwi szafy. Mebel był wykonany w klasycznie siermiężnym, peerelowskim stylu. Światło z ekranu komórki nie powinno go zdradzić.

Po chwili otrzymał esemesa od Artura. Żelazny zapewniał, że wszyscy prawnicy są na miejscu i Oryński może spokojnie działać.

„Zapowiada się u nas długa noc” – dodawał imienny partner.

Kordian wyłączył wyświetlacz i wsunął telefon do kieszeni. Kto w takim razie wszedł do domu?

Brak odpowiedzi na to pytanie sprawił, że Oryński poczuł, jak zwęża mu się gardło, a jego ściany wysychają. Przyłgął do grubych drzwi szafy z wrażeniem, że w końcu udało mu się coś usłyszeć.

Po chwili przekonał się, że tym razem to z pewnością nie omamy. W budynku rozlegały się ciche głosy. Zniekształcone, konspiracyjne. Należały przynajmniej do dwóch osób, być może kobiety i mężczyzny. Więcej Oryński nie mógł ustalić.

Próbował rozpoznać, gdzie znajdują się intruzi. Wydawało mu się, że kilka pierwszych minut spędzili w kuchni, potem przenieśli się do salonu. Stamtąd słyszał ich znacznie dłużej.

Zastanawiał się, czy nie skorzystać z okazji i nie szukać ratunku przez okno. Ci, którzy niewątpliwie penetrowali dom Harry’ego, zachowywali się jednak jak myszy pod miotłą. Na tym etapie nawet otworzenie drzwi szafy przykułoby ich uwagę. Kordian nie przypuszczał, by zdążył zbiec.

Zaczął rozważać, kim mogą być ludzie, którzy tu trafili. Bracia Widerowie? Sąsiadka już ich tu widziała, z pewnością nie mieliby oporów, by wrócić do rudery. Szczególnie jeśli dowiedzieli się o imprezie w Żelaznym & McVayu. A logika kazała Oryńskiemu sądzić, że należą do osób, które potrafią dotrzeć do takich informacji.

Potrafią prawdopodobnie znacznie więcej. Cztery ofiary mówiły same za siebie.

Czy mieliby opory przed doprowadzeniem do śmierci jeszcze jednej osoby? Przypadkowo spotkanej w zapuszczonym domu na obrzeżach Warszawy?

Kordian zamknął na moment oczy, odsuwając od siebie coraz bardziej niepokojące myśli. Wróciło poczucie strachu, z którym oswajał się za murami mokotowskiego więzienia. Oswajał, ale nigdy nie oswoił. Jeśli potrzebował na to dowodu, teraz go miał.

Wraz z coraz głośniejszymi dźwiękami rozmów krople potu spływały mu po ciele coraz szybciej. Zrozumiał, że dwoje intruzów zbliża się do niego, sprawdzając teraz sypialnię, z której wcześniej wyszedł.

Wciąż nie mógł rozpoznać głosów. Wydawało mu się, że nie należą do nikogo, z kim miał w tej sprawie styczność.

Po chwili w końcu zaczął wyławiać pierwsze słowa, ale było ich zbyt mało, by mógł ułożyć z nich zdania.

Ze zgrozą uświadomił sobie, że zaraz się to zmieni. Rozmówcy wyszli z pomieszczenia obok i znaleźli się w tym, w którym się chował. Oryński przyłgął plecami do ściany, zamykając oczy.

– Nie tak to miało wyglądać – odezwała się kobieta. – Liśniewska została wezwana przedwcześnie.

– Nic na to nie poradzimy.

– Więc przyspieszamy?

– Myślę, że nie mamy specjalnego wyboru.

– Jak wiele to komplikuje?

Mężczyzna nie odpowiedział, a Kordian usłyszał, jak ktoś wysuwa szufladę szafki nocnej. Serce zdawało się bić mu tak szybko i tak głośno, jakby miało go za moment zdradzić. Nie otwierał oczu i starał się uspokoić chociaż oddech.

– Liczyłam na coś więcej.

Odpowiedź wciąż nie nadchodziła. Oryński zaczął się obawiać, że mężczyzna w jakiś sposób zorientował się, iż w pomieszczeniu jest ktoś jeszcze.

– Słyszysz?

– Tak.

– Więc może byś odpowiedział?

– Nie masz się czym przejmować.

– Zbyt wiele wyszło na jaw. Zbyt szybko.

– Wszystko jest pod kontrolą.

Dwoje ludzi wciąż rozmawiało szeptem, głosy były zniekształcone przez grube drzwi. Po ostatniej wypowiedzi mężczyzny Kordian odniósł jednak wrażenie, że wychwycił znajomą nutę.

Ale nie, to było niemożliwe.

– Mam wątpliwości... – odparła niepewnie kobieta.

– Bez powodu. Wszyscy robią to, czego się spodziewaliśmy.

– A Chyłka?

– Zna część prawdy. I wydaje się jej, że ta część to dużo więcej niż w rzeczywistości. Dlatego odsunęła Oryńskiego, mówiłem ci.

– Zamiana jego na McVaya nie...

– Daj już spokój. Wszystko jest tak, jak być powinno.

Kordian nie miał już żadnych wątpliwości. Sytuacja była zupełnie niezrozumiała, wręcz irracjonalna. Był jednak pewien, że się nie myli. Rozpoznał nie tylko głos mężczyzny, ale także kobiety.

I dlatego jeszcze mocniej postarał się o to, by jego oddech pozostał niesłyszalny. Teraz bardziej niż wcześniej stało się kluczowe, by nie odkryto jego obecności. Na Boga, musiał opuścić ten dom z wiedzą, którą właśnie posiadał. Musiał jak najszybciej skontaktować się z Chyłką.

Nagle zrozumiał, że odrobina pecha wystarczy, by się nie powiodło. Nie mógł na to pozwolić.

Szybko sięgnął po telefon, by napisać esemesa. Nie zdążył jednak nawet włączyć wyświetlacza.

– Sprawdź szafę – rzucił mężczyzna.

Kordian wbił wzrok w drzwi, kiedy kobieta bez wahania je odsunęła. Zdążył pomyśleć tylko, że to koniec. Ci ludzie już go stąd nie wypuszczą.

Zalało go światło z pokoju. Przez na wpół zamknięte oczy bez trudu rozpoznał jednak stojącą przed nim Beatę Widerę.

ul. Złota, Śródmieście

Dźwięki z Hard Rock Cafe zdawały nieść się po całym centrum, a przynajmniej tak wydawało się Chyłce, gdy paliła papierosa nieopodal knajpy. Trwał jakiś koncert, nie wiedziała jaki, bo przez ostatnią godzinę skupiała się wyłącznie na kwestii, która nie dawała jej spokoju.

Nie ona jedyna. Stojący obok niej William także zdawał się nie myśleć o niczym innym.

– Pora ujawnić prawdę – rzucił.

Joanna obejrzała się przez ramię, spodziewając się, że zobaczy wychodzącego ze Skylight Żelaznego. Tego wieczora zdawał się nie tracić z oczu ani jej, ani McVaya. Zupełnie jakby się obawiał, że jedno lub drugie zrobi coś niemądrego.

William był na najlepszej drodze ku temu. Przed momentem wypił piąty lub szósty drink z tequilą. Chyłka przypuszczała, że nie były mocne, ale McVay zaczął rozgrzewkę od angielskich piw, o które zadbał Artur.

– Nie ma na co czekać – dodał William.

– Na prawdę zazwyczaj warto.

– W życiu może tak – przyznał, a potem wydał usta.

Zabrzmiało to, jakby wiedział o poronieniu. Joanna szybko odsunęła od siebie tę myśl.

– W sądzie niekoniecznie – dorzucił. – Jeszcze trochę, a będziemy na straconej pozycji.

– Nie będziemy.

– Wydajesz się pewna, ale...

– Urodziłam się pewna, McVay – odparła Chyłka, wypuszczając dym.

– Śmierci?

– Co takiego?

Wzruszył niewinnie ramionami, a jego uśmiech był wyraźnie zaprawiony alkoholem.

– Wyglądasz mi na jedną z takich, które rodzą się pewne śmierci.

– A więc przyjrzyj mi się jeszcze raz. Ja akurat zamierzam żyć wiecznie.

– To z pewnością ci pomoże – skwitował z przekąsem, wskazując na dym unoszący się pomiędzy jej palców.

Westchnęła, nie mając zamiaru pozwolić, by ten funeralny nastrój jej się udzielił. Na dwudziestym pierwszym piętrze było wprawdzie dość wesoło, ale wyraźnie czuć było unoszącą się nad imprezowiczami żalobę. Każdy zdawał się ją ignorować, jakby dopuszczenie myśli o jej obecności mogło sprawić, że skończy się świat.

- To nie skróci mojego życia – oznajmiła.
- Znalazłoby się kilka osób, które twierdzą inaczej...
- Te osoby nie wychodzą z podobnego założenia co ja.
- Jakie to założenie?
- Że firmy produkujące papierosy w końcu zwalczą raka.

William roześmiał się cicho i zachwiał.

- Ciekawa koncepcja.

– Logiczna – zaoponowała Chyłka. – I oparta na biznesowych przesłankach. Bo komu innemu bardziej zależy na wyeliminowaniu nowotworów? Wyobraź sobie, jak Marlboro zwiększyłoby obroty, gdyby się okazało, że rak jest wyleczalny. – Zaciągnęła się głęboko. – To tylko kwestia czasu, McVay.

Nie wyglądał na przekonanego, a po chwili odpłynął myślami w mniej lub bardziej zborne pijackie rozważania. Smród alkoholu wydobywający się z jego ust był tego dostatecznym dowodem.

Chyłka poczuła go jeszcze wyraźniej, kiedy wsiedli do windy. William oparł się o ścianę, mętym wzrokiem powiódł po suficie, a potem wypuścił ze świstem powietrze.

- Już ci wystarczy – zauważyła Joanna.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, jakby była ostatnią osobą, po której spodziewał się takich ostrzeżeń.

- A tobie? – spytał.
- Nie wypiałam choćby kropli.
- A ja nie mówiłem o alkoholu.

Nie zamierzała dopytywać, ale przypuszczała, że i tak dowie się, o co chodzi. William zmrużył oczy, przyglądając się jej. Obraz najpewniej już mu się zamazywał, a myśli układały się z coraz większym trudem.

Uświadomiła sobie, że stara się skupić na negatywach stanu, w którym znajdował się McVay. Naraz jednak przypomniała sobie wszystkie pozytywy. Poczucie błogości, lekkości ducha. Bezbrzeżny optymizm i przekonanie, że może się więcej, niżby to wynikało z racjonalności.

Wszystko stanowiło złudę, ale jakże przyjemną.

- Miałem na myśli twoje życie.
- Wszystko z nim w porządku.
- Naprawdę?

Winda dojechała na dwudzieste pierwsze piętro i Joanna szybko ruszyła na korytarz. Ostatnim, czego potrzebowała, była rozmowa z pijanym Williamem w ciasnym pomieszczeniu.

- Wystarcza ci to, co masz?
- Mnie nigdy nic nie wystarcza, McVay.
- A więc...

– Zdiagnozowano u mnie atelofobię – dorzuciła pod nosem. – Lęk przed byciem niedoskonałą. To najlepsza fobia w historii ludzkości, bo to dzięki niej nigdy nie przestajemy nad sobą pracować.

- My?

– Nie, nie wy. My, wybitne jednostki. Wszyscy cierpimy na tę przypadłość.

Przeszli kilka kroków korytarzem, ale jeszcze przed recepcją William nagle zatrzymał Chyłkę, łapiąc ją za rękę. Stała, ale zignorowała ten gest, nie spojrzawszy nawet na jego dłoń.

– Nie miałem też na myśli samorozwoju.

– Tym gorzej. Bo tylko to się liczy.

– Naprawdę w to wierzysz?

Cofnęła dłoń, ale nie ruszyła w głąb korytarza.

– Wierzyć to można w Boga, o ile jest się rozgarniętym – odparła. – Jeśli nie, zostaje wiara w kosmitę zamkniętego w jakiejś probówce w Strefie 51, w pancerną brzozę, mistyfikację lądowania na Księżycu, przepowiednie Nostradamusa albo sprawiedliwość na sali sądowej.

William nie docenił tego ostatniego nawet przelotnym uśmiechem. Patrzył na nią tak, jakby nie miał zamiaru odpuszczać. Chyłka odwróciła się i ruszyła w stronę recepcji, ale tuż obok stanowiska Anki McVay znów ją zatrzymał.

– Jedno przewinienie ci odpuściłam – oznajmiła, patrząc na ich dłonie. – Po drugim odgwiżdżę jednak faul na czerwonej kartkę i zejdziesz z murawy.

Uniósł otwarte ręce i tym razem kąciaki ust lekko mu drgnęły. Był taki, jakim go zapamiętała z ich ostatniego spotkania. Nieco irytujący, ale jednocześnie miał w sobie coś, co sprawiło, że przyciągał kobiety. Nie chodziło nawet o to, że był przystojny. Trudno było sprecyzować, co wówczas sprawiło, że Joanna ostatecznie wylądowała z nim w łóżku. Choć przypuszczała, że gdyby naprawdę się postarała, być może odnalazłaby odpowiedź.

Starła się jednak tego nie robić. A mimo to, im dłużej milczeli i patrzyli na siebie, tym bardziej zbliżała się do prawdziwego powodu.

Miał coś wspólnego z Oryńskim. Coś w stylu bycia, może w oczach. Nie było to wielkie podobieństwo, ale wystarczyło. Przynajmniej wtedy.

O co konkretnie chodziło? Być może o pewną pozorną nieporadność, która dopiero przy bliższej znajomości okazywała się czymś więcej? Czym dokładnie, Joanna nie wiedziała. I wołała nie wnikać.

Przez moment przyglądała się Williamowi, żałując, że to właśnie z nim jest w tej chwili w siedzibie kancelarii. Brytyjczyk oparł się o recepcyjną ladę i posłał jej długie spojrzenie. Potem zatoczył ręką krąg, jakby starał się objąć cały korytarz.

– Musisz w końcu zająć się czymś więcej niż tylko tym.

Chyłka przewróciła oczami.

– To tylko baza – odparła. – Tu znajdują się pasy startowe, z których dopiero...

– Chodzi mi o to, że mogłabyś wykonywać też loty cywilne.

Prychnęła cicho i pokręciła głową.

– Ustaw oparcie do pozycji pionowej – rzuciła. – Złóż stolik i zapnij pasy, McVay, bo wleciałeś w strefę intelektualnych turbulencji.

Chciał odpowiedzieć, ale uniosła dłoń.

– Ja właśnie ją opuszczam – dodała.

Uświadomiła sobie, że tym samym podjęła decyzję, na którą powinna być gotowa

od jakiegoś czasu. Nie czekając na odpowiedź, ruszyła z powrotem do windy. Nie potrzebowała ani chwili więcej, by ostatecznie postanowić, co zrobi.

Nie było sensu zadowalać się towarzystwem osoby, która tylko przypominała jej Kordiana.

Zjechała na dół i od razu skierowała się do iks piątki. Jedynym plusem całej tej abstynenckiej przygody było to, że nie musiała oddawać nikomu miejsca za kierownicą. Usiadła na fotelu, a potem wybrała numer Oryńskiego.

Wsluchiwała się w przerywany sygnał, zastanawiając, od czego powinna zacząć. Kordian zapewne miał mnóstwo pytań odnośnie do tego, dlaczego odsunęła go od sprawy. Nie zamierzała na nie odpowiadać, jeszcze nie teraz. Nie mogła sobie na to pozwolić.

Mogli jednak oddzielić sferę zawodową od prywatnej. A przynajmniej nadeszła najwyższa pora, by spróbować. Bez względu na to, co wydarzy się w kancelarii czy podczas obrony Kranza.

Próba połączenia przekroczyła limit czasu, a Chyłka niepewnie popatrzyła na pękniętą szybkę telefonu. Wybrała numer jeszcze raz, uznając, że to nie los próbuje jej powiedzieć, by zastanowiła się dwa razy, tylko gapowatość Kordiana, który zostawił gdzieś telefon lub wyciszył dzwonek.

Po drugiej nieudanej próbie stwierdziła, że nie ma sensu dalej dzwonić, skoro do kawalerki przy Emilii Plater ma raptem kilka kroków. Wrzuciła komórkę do torebki i obróciła się do drzwiczek.

Nagle zamarła, widząc postać stojącą przy iks piątce. W pierwszej chwili nie mogła rozpoznać zasnutej mrokiem twarzy.

William sprawiał wrażenie zadowolonego. Najwyraźniej uznał, że udało mu się przestraszyć prawniczkę. Dopiero kiedy Chyłka wyszła z auta, przekonała się, że to półświadomy pijacki grymas, a nie uśmiech.

– Nie uczyli was pić w tym pieprzonym Oksfordzie?

– Kończyłem... – zaczął McVay, ale musiał urwać, gdy mu się odbiło. – Kończyłem London School of Economics.

– Chyba *of alcoholics*. I raczej nie kończyłeś, bo za takie umiejętności dyplomu by ci nie wydali. Wierz mi, wiem, co mówię.

Wydał usta i oparł się o dach samochodu, jakby zmagał się z mocnym bocznym powiewem wiatru.

– Będziesz kebabował?

– Co takiego?

– Zamierzasz karmić tu łabędzie?

– Nie wiem, o czym...

– Do cholery, McVay, będziesz rzygał?

– Możliwe... – odparł z głębokim namysłem, drapiąc się po głowie, jakby sam nie był pewien.

– Jeśli tak, zostawię cię tutaj.

– A jeśli nie?

Chyłka potarła piętno dżihadu, rozglądając się. W mieszkaniu Oryńskiego mogłaby być za kilka minut – i to zakładając, że po drodze wypali jeszcze jednego papierosa.

Wyciągnięcie pomocnej dłoni do Williama będzie się wiązało z pewnym opóźnieniem, ale niedużym. Nocny ruch był znikomy.

A ten facet przechodził żalobę, co rozumiała aż za dobrze. Najpewniej nie miał w Polsce nikogo, z kim mógłby się porządnie wstawić, więc zrobił to w najgorszym możliwym towarzystwie – ze zgrają prawników, którzy nie marzyli o niczym innym, jak o tym, by zobaczyć nowego szefa pod sufitem.

– Jeśli obiecasz nie rzucać fresków na tapicerkę, odwiozę cię do domu – powiedziała, niemal od razu tego żałując.

Sympatia do Harry’ego zdawała się jednak ważniejsza niż inne rzeczy. Poza tym William wyglądał coraz gorzej i Joanna nie miała wątpliwości, że wychylił o kilka strzemiennych za dużo.

– Nie, nie... – zaproponował McVay, opierając się drugą ręką o auto. – Wrasam na górę...

– Nigdzie nie wracasz.

– Mam jeszcze trochę do...

– Skończyłeś picie na dziś. Wsiadaj.

– Ae...

– Żadnych „ale”. Zbłąznisz się teraz, to nigdy ci tego nie zapomną. Chodź.

Złapała go pod rękę, a potem pomogła mu obejść iks piątkę. Z każdą chwilą jego stan zdawał się pogarszać, co utwierdzało ją w przekonaniu, że seria shotów przed opuszczeniem Skylight rzeczywiście miała miejsce. Znała to aż za dobrze.

Usiadła za kierownicą i spojrzała na niego niepewnie. Oparł głowę na szybie i chyba odplynął. Nie miała zamiaru się upewniać. Pochyliła się, zapięła mu pas, a potem wizualnie oceniła stabilność pasażera.

Przy odrobinie szczęścia nie powinien się uszkodzić podczas krótkiego przejazdu na Elsnerów. Chyłka nie miała zamiaru oszczędzać paliwa, wychodząc z założenia, że jeszcze tej nocy musi załatwić kilka ważnych spraw.

Zwolniła jedynie na Świętokrzyskim, a potem pomknęła przez prawobrzeżną Warszawę, jakby się paliło. Po drodze raz po raz zerknęła na Williama, uznając, że ten balansuje na granicy świadomości. Przypuszczała, że będzie musiała pomóc mu dostać się do domu.

Zakłęta, kręcąc głową. To naprawdę było niepotrzebne, powinna zamówić taksówkę i pozbyć się problemu.

Nie, była winna Harry’emu choć tyle, by wesprzeć jego syna. Po prawdzie dług wdzięczności był znacznie większy. Nie spłaci go, wprowadzając półprzytomnego Williama do rudery ojca. Naraz przypomniawszy sobie o alarmie, który McVay niedawno kazał zainstalować.

– Hej – rzuciła.

Pasażer nie odpowiedział, więc szturchnęła go łokciem. William drgnął, rozejrzawszy się niepewnie, a potem skrzywił, jakby treść żołądka podeszła mu do gardła.

– Jaki jest kod do alarmu?

– So...

– Kod do alarmu. W chałupie na Elsnerowie.

– Po so si...

– Jedziemy do ciebie, McVay. Potrzebuję kodu, żebyśmy nie pobudzili sąsiadów.

Na myśl o tym, że w istocie jadą do jego domu, uśmiechnął się. Miało być w tym chyba coś zalotnego, ale w takim stanie przywodziło jej to na myśl raczej grymas naprutego żuła, który właśnie otrzymał parę złotych na piwo.

– Wyłączę... – zapewnił William, wyciągając telefon. Mocował się z nim chwilę.

– I... i jusz... po sprawie...

Chyłka nie była gotowa uwierzyć na słowo, uznała więc, że najlepiej przygotować się na pokaz stroboskopów, wycie syren i nieuchronny przyjazd grupy interwencyjnej. Trudno, już nie takie rzeczy się zdarzały w tamtych okolicach.

Zaparkowawszy pod domem niewiele ponad piętnaście minut po opuszczeniu Śródmieścia, najpierw sprawdziła telefon, a następnie stan pasażera.

Kordian nadal nie dawał znaku życia, William podobnie.

Obeszła auto i wyciągnęła McVaya na zewnątrz. Ruszyła z nim w stronę rudery, a potem pomogła mu wyjąć klucz. Przekręciła go ostrożnie w zamku, spodziewając się najgorszego. Alarm był jednak wyłączony. Najwyraźniej Williamowi udało się z nim uporać.

Wprowadziła go do środka i pomogła mu położyć się w sypialni. Uznała, że na tym jej rola się kończy. Nie miała zamiaru stawiać butelki wody na szafce nocnej, ani tym bardziej pomagać mu w rozebraniu się.

Obróciła go tylko na bok, by w razie czego nie zadławił się wymiocinami. Zamknawszy za sobą drzwi, oparła się o nie plecami. Jeśli rzeczywiście z McVayem było tak źle, nie powinna go zostawiać.

Przez chwilę się zastanawiała, po czym wyciągnęła telefon i jeszcze raz zadzwoniła do Kordiana. Chodziła po przedpokoju, czekając, aż odbierze. Kiedy mijiała drugą, nieużywaną sypialnię, odniosła wrażenie, że świeci się w niej lampka nocna.

Zmarszczyła czoło, nie spodziewając się, by William kiedykolwiek korzystał z tego pokoju. O ile pamiętała, śmierdziało w nim ściółką, a pod sufitem zwisały resztki pajęczyn.

Weszła do środka i rozejrzała się. Dopiero teraz się zorientowała, że słaba poświata nie pochodzi z lampki, ale z komórki leżącej w otwartej szafie wnękowej. Stała obok, jednocześnie kończąc połączenie.

Ekran zgasł.

Chyłka podniosła telefon i jej wątpliwości natychmiast zniknęły. Miała w ręce telefon Oryńskiego – i gdy tylko go włączyła, zobaczyła nieodebrane połączenia ze swojego numeru. Obróciła się, zdezorientowana.

Poczucie zagubienia paraliżowało ją jednak tylko przez ułamek sekundy. Potem wpadła jak huragan do pierwszej z sypialni. Potrząsnęła McVayem, a gdy to nie odniosło zamierzonego skutku, bez wahania go spoliczkowała.

Otworzył jedno oko i popatrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem.

– Co tu robi komórka Kordiana? – spytała, pochylając się nad McVayem.

Nie odpowiedział, a ona uznała, że musiał zmieszać wystarczającą liczbę alkoholi, by wywarem w żołądku zawstydzić samego Panoramiksa. Bomba z opóźnionym

zapłonem już eksplodowała, ścinając Williama z nóg.

Joanna wyszła na korytarz, włączyła wszystkie światła i powiodła wzrokiem wokół. Nie dostrzegła żadnych innych śladów po Oryńskim. Nie miała też pojęcia, czego mógł tutaj szukać, jak dostał się do środka ani dlaczego zostawił w szafie komórkę.

Poczuła głęboki niepokój. Gdyby chodziło o jakąkolwiek inną sprawę, być może nie miałyby powodu do obaw. Owszem, sytuacja byłaby dziwna, niezrozumiała, ale nie kazałaby sądzić, że stało się coś złego. W tym wypadku jednak należało spodziewać się najgorszego. Liczba osób, które ostatnio straciły życie, była stanowczo za wysoka.

Stała w bezruchu, starając się stworzyć logiczny ciąg zdarzeń. Zapaliła papierosa, by myśli lepiej się poukładały, ale nie przyniosło to żadnego efektu.

Kordian nie miał powodu, by włamywać się do domu McVaya. Na dobrą sprawę nie miał także sposobu, by to zrobić. Założony niedawno alarm miał zapobiegać takim sytuacjom, choć instalując go, William myślał raczej o Widerach.

A jednak komórka tu była. To zaś mogło oznaczać tylko jedno.

Nie zwlekając, Chyłka wybrała numer Kormaka. Chudzielec powinien odebrać nawet w środku nocy, jako że zazwyczaj spędzał je albo na lekturze, albo na zgłębianiu wirtualnego świata w kolejnej odsłonie serii *Elder Scrolls*.

Najwyraźniej jednak pech chciał, że tego dnia Kormak postanowił sprawdzić, jak to jest przespać się trochę. Joanna przeklęła cicho i rozejrzała się za popielniczką. Ostatecznie wrzuciła papierosa do zlewu, po czym wróciła do sypialni.

McVay spał na boku, wyglądało na to, że nic mu nie będzie. Wiedziała, że na wszelki wypadek powinna z nim zostać, ale jeśli Oryński rzeczywiście się w coś wpakował, być może to on bardziej potrzebował jej wsparcia.

Nie było się nad czym zastanawiać. Chwilę później opuściła rudere, zamknęła za sobą starą, zardzewiała bramę i wsiadła do iks piątki. Pomknęła w kierunku Emilii Plater, jakby Prawo o ruchu drogowym było zbiorem niezbyt przekonujących sugestii, a nie obowiązującą ustawą.

Idąc w stronę klatki Kordiana, nie zauważyła żółtego daihatsu na stałym miejscu parkingowym. Przy domu McVaya również go nie było.

Przez kilka minut dzwoniła do mieszkania, ale nie doczekała się żadnego odzewu. Jeszcze raz spróbowała skontaktować się z Kormakiem, a gdy i to zakończyło się niepowodzeniem, doszła do wniosku, że najwyższa pora się uspokoić.

Dawała się ponieść emocjom. Nie było powodu, by działać tak pochopnie ani tym bardziej panikować. Przez moment się zastanawiała, wspomagając nikotyną, po czym lekko uderzyła się w skroń.

Wyciągnęła telefon Oryńskiego i sprawdziła listę połączeń. Nie znalazła na niej niczego, co przykułoby jej uwagę. Sytuacja zmieniła się, kiedy otworzyła skrzynkę odbiorczą i zobaczyła esemesy, które Kordian wymienił z Żelaznym.

William McVay obudził się z bólem głowy, który sprawiał, że najchętniej wszedłby na szafot, położyłby kark w odpowiednim miejscu i poprosił egzekutora, by gilotyna spadła jak najszybciej.

W dodatku pobudka nie należała do delikatnych. Chyłka potrząsała nim, jakby był workiem kartofli. Nie, gorzej – śmieci, które zamierza zaraz wrzucić do kontenera pod blokiem.

– Co tu się dzieje, do kurwy nędzy?! – krzyknęła.

Uniósł ręce niczym bokser spodziewający się uderzenia. Joanna przywaliła mu jednak tylko w ramię, a potem pociągnęła go za koszulę, znów telepiąc nim bez ogródek. Zrobiło mu się niedobrze.

– Zaraz...

– Co Oryński robił w twoim domu?

McVay nie miał pojęcia, o czym mowa. Skupił się jednak na poszukiwaniu odpowiedzi, wychodząc z założenia, że w ten sposób najszybciej okiełzna tsunami, które właśnie nadeszło.

– Poczekaj chwilę...

– Dlaczego kombinował z Żelaznym? – ryknęła Joanna.

Impuls bólu, który przeszył mu głowę, był obezwładniający.

– Czego tutaj szukał? O co cię podejrzewali, McVay?

– Dasz mi moment, żebym...

Ściągnęła go z łóżka i zanim się zorientował, prowadziła go już w kierunku toalety. Zatrzymała się przed muszlą klozetową i sprawiła, że William zgiął się wpół. Nie protestował, wiedząc, że tylko pogorszy sytuację.

– Gadaj z wielkim uchem, jeśli ze mną nie chcesz – rzuciła.

Przypuszczał, że to kolejne określenie na opróżnienie treści żołądka nie tą drogą, która zazwyczaj była właściwa. Nudności stały się jeszcze bardziej dokuczliwe, ale nie miał zamiaru dać im się pokonać. Splunął do muszli, spuścił wodę, a potem się wyprostował.

– Pozwól mi chociaż opłukać twarz.

Mając na uwadze, jak była wściekła, spodziewał się, że sięgnie po słuchawkę prysznicową i puści wezbrany strumień lodowatej wody prosto w jego oczy. Chyłka pokręciła jednak głowę, po czym wyszła na korytarz, cedząc pod nosem przekleństwa.

William próbował doprowadzić się do stanu względnej używalności, ale wystarczyło, by popatrzeć w lustro, a zaczynało mu się kręcić w głowie. Czerwone żyłki w szklistych, podkrążonych oczach były bolesnym przypomnieniem, że przeholował.

Wyszedłszy z łazienki, poczuł zapach kawy i skierował się do kuchni. Na stole stały dwa przezroczyste kubki, znad których unosiła się para.

– Siadaj – poleciała Joanna.

McVay zajął miejsce i zaczął masować skronie. Na niewiele mogło się to zdać, kofeina z pewnością też nie pomoże. W dodatku pomieszczenie wydawało się zatopione w dymie tytoniowym.

Nigdy więcej, pomyślał William.

– Już? – zapytała nerwowo Joanna, siadając naprzeciwko niego. – Doszedłeś do siebie?

– O tyle, o ile...

Wydmuchnęła dym w jego kierunku.

– Co ci strzeliło do głowy?

– Błyskawica – wymamrotał. – Zamknięta w niepozornej butelce, która grzmoty wywołuje dopiero po czasie...

– Tak, tak, widziałam, ile tequili wyżłopałeś. Powinieneś gadać teraz z meksykańskim akcentem.

– *Lo siento...*

Przypatrywała mu się uważnie, ale nie widział nawet cienia troski w jej oczach. Nie rozumiał, dlaczego w ogóle trzyma się tego tematu, skoro ewidentnie jej nie interesował.

– Często ci się to zdarza?

– A skąd ta ciekawość?

– Odpowiadaj na pytania, McVay.

– Nie zdarzyło mi się od czasów... studenckich. Chyba.

Pokiwała głową, jakby specjalnie jej to nie dziwiło.

– Kto ci polewał?

– Sam potrafię przechylić butelkę.

– Żelazny? – Nie dawała za wygraną.

Po chwilowym namyśle i przebicium się przez alkoholową kurtynę niepamięci, musiał przyznać, że tak rzeczywiście było. Artur kręcił się w pobliżu przez cały wieczór, dolewał mu i cały czas poklepywał go po plecach.

– Widzę, że tak – skwitowała Joanna. – I to nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że razem z Zordonem postanowili sprawdzić, co chowasz w tej ruderze.

– Co?

– Kormak pomógł im przechwycić twój kod esemesowy. Naprawdę powinieneś uważać, kiedy i komu otwierasz drzwi.

Parę minut zajęło jej wytłumaczenie, co udało jej się ustalić, kiedy nocą rozmówiła się z Arturem, a potem w końcu skontaktowała się z Kormakiem. Brzmiało to jak opowieść, która z McVayem nie miała nic wspólnego. Jak relacja odległych, nierealnych zdarzeń. William na dobrą sprawę dopiero teraz zorientował się, że na zewnątrz jest już widno.

– Dlaczego mieliby to robić? – zapytał, kiedy Joanna dojrzała do końca. – Czego szukali?

– To ja cię o to pytam.

Kawa nieco ostygła i William zaryzykował łyk. Smakowała dokładnie tak, jak się spodziewał. Niczym czysta tequila. Skrzywił się, uznając, że kubki smakowe będą potrzebowały trochę czasu, by wrócić do normy.

- Może powinnaś pytać siebie.
- Niby dlaczego?
- Bo to ty odsunęłaś Oryńskiego od sprawy.

Patrzyła na niego z niewypowiedzianą groźbą w oczach. McVay odstawił kubek, przekonany, że dopóki nie wyszoruje zębów albo nie wypali ust najmocniejszym płynem Listerine, nie ma sensu cegokolwiek pić.

- Musiał szukać drogi powrotnej – dodał Brytyjczyk, wracając do masowania skroni. – Dlaczego w ogóle to zrobiłaś?
- Ze względu na tajemnicę adwokacką.
- Nie musiałaś sięgać po tak drastyczne metody.
- Musiałam.
- Nie. Mogłaś co do części sprawy trzymać go w ciemni.
- Na niewiele by się to zdało. W końcu wypatrzyłby światełko w tunelu i byłoby po wszystkim.

- I co z tego?
- To, że wpakowałyby się w znacznie większe kłopoty.
- Najwyraźniej i tak się w nich znalazł.

Chyłka sięgnęła po kolejnego papierosa, a William nie mógł się oprzeć wrażeniu, że zrobiła to tylko po to, by spotęgować jego kaca.

- To był błąd – powiedział.
- Nie sądzę. Gdyby Zordon wiedział to, co my, i nie powiadomiłby służb, prokuratorzy pożarliby go żywcem.
- Nie mieliby powodu.

Joanna parsknęła z niedowierzaniem i machnęła ręką, kreśląc dymem z papierosa smugę w powietrzu. Wyraźnie sugerowała, że McVay nie ma bladego pojęcia, jak bardzo organy ścigania są nieprzychylnie Oryńskiemu.

Być może rzeczywiście tak było, ale William nie miał zamiaru poświęcać temu wiele uwagi. Bardziej interesował go powód, dla którego imienny partner zgodził się, by Oryński się tutaj włamał. I to, co stało się później.

- Nawet gdyby go nie przycisnęli, ostatecznie zostałby wezwany na świadka – dodała Chyłka. – A wtedy albo musiałby skłamać na mównicy, albo pogrzebać całą moją sprawę.

- Naszą.
- Ty jesteś tylko drugim kołem w unicyklu, McVay.

Tym razem to on pozwolił sobie na protekcyjną reakcję. Zaśmiał się cicho, kręcąc głową.

- Mogę ci to udowodnić w każdej chwili.
- Może najpierw udowodnij sobie – odparł, opuszczając ręce. – Bo jesteś na tyle racjonalna, by wiedzieć, że beze mnie nie wiedziałabyś o połowie rzeczy w tej sprawie.
- Więc awansowałaś właśnie na źródło informacji. Gratuluję. Zdajesz sobie

sprawę, że czasem znajduję je w „Super Expressie”?

– I?

– Nie znaczy to, że darzę tę gazetę jakimkolwiek szacunkiem.

McVay podniósł się i podszedł do okna. Otworzył je na oścież, a wpadające do środka świeże powietrze od razu podziało na niego lepiej. Nie pomogło jednak w zrozumieniu, co się stało. Ani dlaczego ta kobieta tak go pociągała. Była obcesowa, nieprzystępna i wroga nawet w najbardziej błahych sprawach.

Jedna noc z nią wiele miesięcy temu nie powinna zmienić tego negatywnego obrazu. A mimo to od tamtej pory William często wracał do niej myślami.

Oparł się o framugę i odgiął głowę.

– Przydad się na coś jeszcze – dodała. – I powiedz, czego tu mogli szukać.

– Niczego konkretnego – odparł z przekonaniem. – Musieli poruszać się po omacku. Artur pewnie liczył na jakieś brudy, które mógłby wykorzystać przeciwko mnie w rozgrywkach w firmie, a Kordian...

– Co?

Zawieszenie głosu było błędem. Powinien rzucić jakiś ogólnik, byleby skończyć dywagacje o pobudkach Oryńskiego.

– Pewnie kierowały nim podobne motywy.

– Gównu go interesują gierki w kancelarii.

McVay spojrział na Joannę.

– Bo prowadzi te prywatne – mruknął. – Chce mnie usunąć z twojego życia, to proste.

Chyłka również wstała, a potem powoli się do niego zbliżyła. Wyraz jej twarzy kazał mu sądzić, że za moment wymierzy w niego palcem, a potem wycedzi kilka słów o tym, że gdyby Oryński rzeczywiście chciał, dawno by to osiągnął.

McVay widział, co jest między tym dwojgiem. Nie rozumiał do końca istoty ich relacji, ale jedno było pewne – łączyło ich coś, czego wielu ludzi nie doświadczało podczas całego swojego życia.

Czy jednak stało to na przeszkodzie, by William zbliżył się do Chyłki? Nie, z pewnością nie. Trwali w marazmie, osobliwym klinclu. I bali się go przerwać, zapewne z lęku, że jakakolwiek zmiana status quo doprowadzi do przegranej obu stron.

Tymczasem on mógł sprawić, że przynajmniej jedna wygra. Druga jakoś sobie poradzi.

Spojrział na stojącą przed nim Joannę, starając się stwierdzić, czy rzeczywiście uda mu się to osiągnąć. O ile go pamięć nie myliła, był to pierwszy raz, kiedy w ogóle zastanawiał się nad podobnymi rzeczami – dotychczas zdobywanie kolejnych kobiet traktował wprawdzie jako wyzwanie, ale nie jako niewiadomą. Zakładał, że rezultat jest z góry znany.

W tym wypadku było jednak inaczej. I może dlatego Chyłka tak go pociągała.

– Tu nie chodziło o nic prywatnego, McVay – powiedziała w końcu. – Jeśli Zordon zaczął sprawdzać tę zaszraną chałupę, to dlatego, że miał ku temu dobry powód.

– Jaki?

– Przychodzi mi do głowy tylko jeden.

– Podziel się nim ze mną – odparł William, starając się sprawić, by mimo to zabrzmiało to pewnie i nieco wyzywająco.

– Musiał cię o coś podejrzewać.

– O co?

– Właśnie to staram się ustalić, od kiedy otworzyłeś tę ziejącą gorzałą paszczę.

Odsunęła się o krok, a potem z impetem zgasiła papierosa w popielniczce. William odetchnął, uznając, że może liczyć na przynajmniej kilkuminutowy przerywnik w inhalowaniu nikotyny.

– Nie pomogę ci w tym, bo nie wiem, co Kordian sobie ubzdurał.

– Pomożesz, pomożesz.

– Jak? Nie potrafię wnikać w głowę zakochanych szczeniaków.

Zmierzyła go wzrokiem.

– Nie rozumiem ich motywacji – dodał. – Bo nigdy nie działałem tak jak oni. Jeśli czegoś chcę, sięgam po to.

– Tak jak po firmę twojego ojca?

Uniósł brwi, zaskoczony tym zawoalowanym zarzutem. Nie sugerowała nic innego jak to, że przyczynił się do śmierci Harry’ego. Spodziewał się wprawdzie, że takie głosy się pojawiają, ale nie przypuszczał, by dołączyła do nich Joanna.

– Najlepiej będzie, jeśli uznam, że tego nie powiedziałaś.

– Uznawaj, co chcesz. Fakt jest taki, że nie masz pojęcia o Oryńskim.

– Mam za to pojęcie o tym, jak nieporadnie próbował się z tobą związać.

Chyłka trwała w bezruchu, nie odrywając spojrzenia od jego oczu. Zupełnie jakby miała do powiedzenia więcej, niż wcześniej przypuszczał. Ostatecznie jednak zbyła temat milczeniem.

Nie dziwiło go to, rozumiał, że nie otworzy się przed nim jeszcze przez długi czas. Systematycznie jednak się do niej zbliżał, osłabiał warstwę ochronną, którą oddzielała się od świata.

– To był desperacki krok zakochanego gościa – odezwał się. – Nic więcej.

Joanna w końcu się poruszyła, zbliżając się nieco.

– Nie chcę tego słuchać, McVay.

– W takim razie...

– Jedyne informacje, jakich od ciebie oczekuję, to te związane z tym, co się stało z Zordonem.

Brytyjczyk popatrzył w kierunku sypialni.

– Jakim cudem miałbym wiedzieć? Gdybyś to przegapiła, całą noc spędziłem półżywy.

– Nie przegapiłam. Przytargałam tutaj twoje żałosne dupsko.

– Więc po co te pytania? Jak miałbym ci udzielić jakiegokolwiek odpowiedzi?

Zrobiła jeszcze pół kroku w jego stronę, a potem zatrzymała się i skrzyżowała ręce na piersi. Dopiero teraz uświadomił sobie, że źle zinterpretował jej wzrok. Patrzyła na niego nie, jakby chciała mu coś powiedzieć, ale jak gdyby chciała postawić mu zarzuty.

– Bo jedyny powód, dla którego Zordon mógłby cię wziąć na celownik, jest taki, że uznał cię za zamieszanego w sprawę.

McVay cicho się zaśmiał.

– To też idealny sposób, żebyś stracił w twoich oczach.

Zanim zdążył dodać coś więcej, Joanna nagle się odwróciła i skierowała do wyjścia.

– Żeby coś tracić, najpierw trzeba coś mieć – rzuciła na odchodnym.

Odprowadził ją wzrokiem, nie mając zamiaru zatrzymywać. Nie była to pierwsza sytuacja, w której kobieta w ten sposób go żegnała, ale nigdy nie okazywał uległości. Zazwyczaj nie musiał, bo wszystko to było tylko grą.

Tym razem jednak głośnie trzaśnięcie drzwi kazało sądzić, że Chyłka pożegnała się z nim na dobre. William stanął przy oknie i wciągnął głęboko powietrze nosem. Zastanawiał się przez chwilę nad tym wszystkim, co się stało.

Sytuacja się komplikowała.

ul. Targowa, Praga-Południe

Istniała krótsza droga do centrum, ale Chyłka miała zamiar zatrzymać się w najbliższym monopolowym, co do którego miała pewność, że jest otwarty. In Rosso na Kamionku był jednym z takich punktów.

Zatrzymała iks piątkę na chodniku pod sklepem, niepewna, czy aby tuż obok nie stał znak zakazujący zatrzymywania się. Po chwili, nie myśląc ani o tym, ani o innych zakazach, które sama sobie narzuciła, weszła do środka.

Bez wahania wzięła butelkę tequili, zapłaciła i wyszła. Plastikową torebkę odłożyła na siedzenie pasażera, a potem zacisnęła ręce na kierownicy. Zerknęła w bok.

Jeden łyk wystarczył, żeby nie powstrzymała się przed kolejnymi. Nie, właściwie już pół przesądziłoby sprawę.

Miała skierować się prosto na osiedle Kormaka, przekonana, że jeśli ktokolwiek wie, co się dzieje, to właśnie on. Ledwo jednak opuściła Elsnerów, wiedziała już, że po drodze zatrzyma się jeszcze tutaj.

Włączyła silnik i nabrała głęboko tchu. Najpierw Kormak, potem tequila. Sytuacja wymagała jeszcze trochę powściągliwości. Potem odbije sobie te wszystkie dni bez alkoholu. I choć trochę ukoji zszargane nerwy.

Wyjechała na ulicę, zerkając tylko przelotnie w lusterko. Nocą ruch tutaj był znikomy, a oprócz tego kawałek dalej trwał remont.

Z systemu głośników Bang & Olufsen, który kazała zainstalować w samochodzie, popłynęły dźwięki *Speed of Light* z ostatniego albumu Ironsów. Bruce Dickinson nie miał już tej mocy w głosie, Murray, Smith i Harris nie zasuwali na gitarach jak niegdyś, a Nicko McBrain nie tłukł w talerze jak opętany. W niczym nie umniejszało to jednak ich kunsztu.

Chyłka zatrzymała się na czerwonym świetle, myśląc o tym, czy w kategoriach prawniczych to samo można powiedzieć o niej. Po utracie dziecka zdawała się zaliczać potknięcie za potknięciem. A to, co przydarzyło się Oryńskiemu, było ostatecznym dowodem na to, że traciła kontrolę nad tokiem zdarzeń.

Pogłośniła nieco, starając się zagłuszyć myśli. Wszystkie ostatecznie biegły w kierunku tego, by skorzystać ze wsparcia kompana znajdującego się teraz na siedzeniu pasażera.

Przez głośną muzykę Joanna niemal nie usłyszała dzwonka swojego telefonu. Szybko sięgnęła do podłokietnika i wyjęła komórkę.

Rafał Kranz.

O tej porze nie spodziewała się żadnego telefonu. A gdyby nawet, to jej klient był ostatnią osobą, którą podejrzewałaby o nocne próby skontaktowania się z nią.

Ale może nie powinno jej dziwić, że nie miał spania. Jego sprawa przedstawiała się coraz gorzej. Mógł temu zapobiec, gdyby tylko zdał się na nią i posłuchał jej rad. Kranz jednak trwał na swoim stanowisku, niegotowy na żadne ustępstwa.

– W końcu się namyśliłeś? – spytała.

– Musimy porozmawiać.

– Normalnie takie deklaracje traktuję z dystansem, ale w twoim wypadku brzmi to obiecująco. Powiedz tylko, że poszedłeś po rozum do głowy.

– Nie chodzi o mnie.

– A o kogo?

– O twojego współpracownika.

A więc jednak coś było nie tak z McVayem. Podczas rozmowy z Brytyjczykiem Joanna nie rzucała słów na wiatr – była przekonana, że jeśli Kordian rzeczywiście zdecydował się na tak drastyczne kroki, musiał uznać, że William czymś zawinił.

Chyłka nie była wprawdzie gotowa przyjąć, że przyczynił się do śmierci ojca, ale miała zbyt bogate doświadczenie zawodowe, by wierzyć, że ludzie w gruncie rzeczy są dobrzy.

– Tego, z którym zaczynałaś prowadzić moją sprawę – dodał Rafał.

– Co powiedziałeś?

– Że...

– Masz na myśli Oryńskiego?

Dopiero teraz zauważyła, że światło zmieniło się na zielone. Zamiast jednak wcisnąć pedał gazu, zerknęła w bok, a potem zjechała z ulicy na chodnik. Włączyła światła awaryjne, czekając, aż Kranz potwierdzi.

– Halo – upomniała się o uwagę.

Odpowiedziało jej milczenie, a Chyłka po raz kolejny poczuła głęboki niepokój. Nic w tej sprawie nie było tak, jak powinno. I bez kolejnych komplikacji będzie wspominać ją jako jedną z najgorszych, które prowadziła.

– Halo! – powtórzyła.

– Spokojnie – rozległ się znajomy, ciepły głos.

– Zordon?

Joanna potrzebowała chwili, by zrozumieć, że Rafał właśnie przekazał mu słuchawkę. Rozejrzała się, zupełnie zbита z tropu, a potem po raz kolejny utkwiała wzrok w siatce na siedzeniu obok. Nie lubiła się tak czuć. Właściwie do sytuacji, kiedy była zupełnie skonsternowana, dochodziło tak rzadko, że zwyczajnie nie potrafiła się w nich odnaleźć.

– Co to ma, kurwa, znaczyć? – rzuciła.

– Zrób głęboki wdech – poradził. – Nie słyszałaś nigdy, że spokój jest źródłem prawdziwej siły?

– Pokażę ci prawdziwą siłę, jak tylko się zobaczymy. Gdzie ty jesteś, do cholery?

– U Kranza.

– I co tam robisz?

– Słucham, co ma mi do powiedzenia – odparł z dziwną satysfakcją. – On i pewna dziewczyna, której nie spodziewałem się poznać.

– Kurwa mać...

– Spodziewałem się, że tak to skwitujesz.

Chyłka rzuciła okiem na boczne lusterko i nie dostrzegłszy żadnych świateł, natychmiast zawróciła. Nie miała wątpliwości co do kierunku, który powinna obrać. Ani co do tego, czy powinna przejmować się spalaniem.

Przełączyła automatyczną skrzynię biegów na tryb sportowy, a potem wdusiła pedał niemal w podłogę.

– Co robiłeś u McVaya?

– Szperałem.

– I?

– I nie przypuszczałem, że będziesz się o mnie martwić.

– Martwienie się byłoby marnotrawstwem mojej wyobraźni – odparła. –

Wykorzystuję ją do lepszych celów.

Mruknął tylko cicho, najwyraźniej nie do końca jej wierząc.

– Spodziewałaś się, że ktoś mnie napadł? Porwał?

– Nie byłby to pierwszy raz. I przypuszczam, że nie ostatni.

– Może – przyznał. – Ale w tym wypadku sprawy potoczyły się inaczej.

– Jak?

– Z pewnością możesz to sobie dopowiedzieć – odparł pod nosem. – Bo wychodzi na to, że wiedziałaś o wielu rzeczach od dawna.

– To żadna nowość. Zawsze wiem więcej niż ty.

– Ale akurat tym razem...

– Nie jesteś zatrudniony w Żelaznym & McVayu – ucięła czym prędzej, uznając, że rozmowę o szczegółach najlepiej będzie odbyć w cztery oczy. – Nie ciąży na tobie żadne obostrzenia służbowe, nie wspominając już o tajemnicy adwokackiej. Zrobiłam, co musiałam.

– Ewentualnie bałaś się zbliżenia.

– Stuknij się w glabellę, Zordon.

– Nie pomaga.

– Bo na jakąkolwiek pomoc w twoim przypadku za późno.

– Podobnie jak w twoim – odparował. – O ile mówimy o tym samym, bo chyba powoli się gubię.

– Zaraz się odnajdziesz. Na podłodze, po spotkaniu z moim kolanem.

– Kiedy będziesz?

– Za kilka minut. Jestem na Pradze.

Dotarła na miejsce w rekordowym czasie, choć po prawdzie od mieszkania Kranza dzielił ją rzut kamieniem. Wsiadła z auta, zupełnie zapominając o tequili. Miała teraz ważniejsze sprawy na głowie.

Chwilę później drzwi do mieszkania otworzył jej Oryński. Zlustrowała go wzrokiem, z jakiegoś powodu spodziewając się, że zobaczy obraz nędzy i rozpacz. Najwyraźniej jednak tym razem rzeczywiście nie władował się w kłopoty. Nie miał żadnych śladów świadczących choćby o przepychance, mimo że był wyraźnie wczorajszy. Nie ulegało wątpliwości, że nadal ma problemy ze snem.

– *Sic, Hey* – powiedział.

Uniosła brwi.

– Powiedzieć, że nie wyglądasz dziś przesadnie ładnie, to nie powiedzieć nic – skwitowała, wchodząc do środka. – W dodatku zaraz możesz wyglądać jeszcze gorzej.

– Więc podtrzymujesz tę deklarację o czułości?

Spojrzała na niego z powątpiewaniem i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że z niewielkiej kuchni tuż obok dochodzą odgłosy prowadzonej rozmowy. Od razu rozpoznała, z kim Kranz ją prowadzi.

– Podtrzymuję groźbę – odezwała się Joanna. – O ile zaraz nie wytłumaczysz mi, co się, kurwa, stało.

– Odkryłem prawdę. Oto, co się stało.

– Jak?

– To długa historia, która zaczyna się od siedzenia w szafie.

– Większość dobrych rozpoczyna się w ten sposób.

Wydał usta, jakby trafiła w sedno. Czując na sobie jej ponaglący wzrok, nie zwlekał dłużej z opowiedzeniem wszystkiego, co się wydarzyło. Miała ochotę przerwać mu już na początku, dopytując o ostrzeżenie od Kimpika, ale uznała, że jeśli Oryński dowiedział się czegoś więcej na temat McVaya, powie jej o tym na końcu.

Kiedy zaczął opisywać, jak usłyszał głosy dwójki ludzi w domu Williama, Chyłka uznała, że faktycznie może dopowiedzieć sobie ciąg dalszy.

– I wyobraź sobie moje zdziwienie, kiedy otworzyły się drzwi i zobaczyłem Beatę Widerę.

– Z wrażenia popuściłeś... wybacz, upuściłeś telefon – mruknęła, podając mu komórkę.

– Dzięki – odparł nieco zmieszany. – Ale to się mogło stać później, kiedy dowiedziałem się, że dziewczyna, która przede mną stała, to nie Beata.

– Mhm.

Kordian skrzyżował ręce na piersi.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Naprawdę będziemy to wałkować? Teraz?

– A spiesz ci się gdzieś?

Joanna popatrzyła w stronę kuchni. Dwoje siedzących tam ludzi nie kwapiło się do powitania jej, a ona się nie dziwiła. Powinni od razu do niej zadzwonić i poinformować o sytuacji. Tymczasem podczas gdy ona uganiała się za cieniem Oryńskiego, oni zdradzili mu zapewne znacznie więcej, niż powinni.

Ale czy mieli wyjście? Po tym, jak ich zobaczył, stanowił zagrożenie. Mieli dwie opcje – albo spróbować się go pozbyć, albo wciągnąć go do gry, którą od początku prowadzili. Daleko im było do zimmokrwistych morderców, właściwie więc druga możliwość była nierealna.

Chyłka przeniosła spojrzenie na Kordiana. Rzeczywiście nigdzie im się nie spieszyło. Noc i tak oboje musieli już spisać na straty, a w uporaniu się ze sprawą Kranza nie było żadnej presji czasu. Mieli go wystarczająco dużo, by spróbować odwrócić losy procesu.

– Kranz!

Rafał powoli wyszedł z kuchni z rękoma w kieszeniach.

– Rozmówiliście się już? – zapytał. – Kordian ostrzegwał, że to może trochę...

– Nie. Rozmówimy się na spacerze.

– Na spacerze? – jęknął Oryński.

Nie odpowiadając, Joanna wróciła na korytarz. Na moment przystanąła przed schodami, czekając na Kordiana. Dołączył do niej z wyraźną niechęcią, niemal jak straceniec prowadzony na egzekucję.

– Pamiętasz, że jesteśmy na Szmulkach? – spytał.

– Oczywiście.

– I nie odczuwasz dyskomfortu, wychodząc na nocny spacer?

– Wręcz przeciwnie.

Wyszli na Radzymińską, rozejrzeli się, po czym Chyłka wskazała kierunek. Ruszyli wolnym krokiem ku miejscu, gdzie ulica przechodziła w Solidarności. Milczeli, mijając stare, odrapane kamienice, które pamiętały jeszcze przedwojenne czasy – i być może nie doczekały się od tamtej pory remontu.

– Byłoby może nawet romantycznie – zauważył Oryński. – Gdyby nie ten upiorny klimat.

– Mnie się tu podoba.

– Kranzowi najwyraźniej też, skoro ma tu mieszkanie.

– Tyle że to tak naprawdę nie jego mieszkanie – odparła, sięgając do kieszeni po paczkę papierosów. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że zostawiła marlboro w samochodzie. I że Oryński najwyraźniej nie wie wszystkiego.

– A czyje? – zapytał.

Odwróciła się i ruszyła w stronę iks piątki.

– Po wybudzeniu przedwojennego Salusa rzeczywiście przeszło w prywatne ręce – odparła. – Ale potem Nelson sprzedał je Widerom. Podobnie jak Grójecką.

Zaopatrzywszy się w papierosy, uznała, że mogą kontynuować spacer w kierunku Targówka. Po zmroku okolica w istocie nadawała się jako tło dla przyzwoitego horroru, ale za dnia przy odrobinie wyobraźni dostrzec można było tu miasto, które już nie istniało.

Prawobrzeżna Warszawa rozkazem Hitlera została zrównana z ziemią. Tutaj jednak widać było namiastkę tego, co niegdyś znajdowało się po drugiej stronie Wisły. Większość terenu była zaniedbana, jakby kolejni włodarze miasta zapomnieli o Szmulowiznie i podobnych miejscach. A wystarczyło trochę dobrej woli i można było odtworzyć to, co wbrew wszystkiemu oparło się miotle historii.

Tego samego Chyłka nie mogła powiedzieć o prawach ludzi, którym wojna, a potem dekret Bieruta, odebrała dorobek całego życia. Ich tragedie zdawały się wykute w kamieniu, którym stały się księgi wieczyste.

Widerowie wzbogacili się kosztem takich nieszczęśników, używając do tego wybudzonej spółki i Richarda Nelsona. A on z kolei nie osiągnąłby tego bez pomocy Harry'ego McVaya.

Joanna zaciągnęła się głęboko. Wielu kart w tej grze jeszcze nie odkryła, ale miała wrażenie, że Kordian poznał ich jeszcze mniej.

Podawała mu paczkę, a potem wbiła wzrok w wiadukt kolejowy przed nimi.

– Mów, ile wiesz – rzuciła.

– Wszystko.

– Nie, nie, Zordon. Chcę znać szczegóły. Każdą rzecz, o której zająknęło się tych dwoje.

Oryński obejrzał się na kamienicę, z której wyszli.

– Nie ufasz im?

– Mówiłam ci już chyba, że nie ufam nawet sobie – odburknęła. – Po prostu zrelacjonuj, co ci powiedzieli. A ja wypełnię luki.

– Okej – odparł, podpalając sobie. – Ale nie wolisz, żebym zaczął od tego, co sam ustaliłem?

– Nie.

– Nie usłyszysz w takim razie o moim akcie odwagi, którym było włamanie się do domu McVaya i...

– Akt odwagi różni się od aktu głupoty tylko tym, że dążysz przy nim do jakiegoś celu – ucięła. – I nie, nie interesują mnie żadne twoje akty.

– Na pewno?

– Jeśli w twoim głosie miała zadrgać uwodzicielska nuta, Zordon, to wyszedł ci jedynie fałsz.

– Sama niejednoznacznie wspomniałaś o aktach.

– Bardzo jednoznacznie – zaoponowała, zwalniając nieco kroku. – A teraz równie jasno przedstawiś mi to, jak sytuacja wygląda z twojej perspektywy.

– Z mojej? Myślisz, że są inne?

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem. Jeśli naprawdę myślał, że Kranz i jego towarzysza przedstawili mu wszystko, najwyraźniej nie zebrał jeszcze dostatecznie bogatego doświadczenia w pracy z klientami.

– Mów – rzuciła.

Nabrał tchu, poważniejąc trochę.

– Kiedy drzwi się rozsunęły, na dobrą sprawę nie miałem pojęcia, co się dzieje.

– Zrozumiałe. Zobaczyłeś chodzącego trupa.

– W dodatku takiego, który na trupa bynajmniej nie wyglądał.

– Ano nie. Dziewczyna ma się całkiem nieźle.

– Lepiej niż nieźle, zważając na to, jak doświadczyło ją życie – zauważył Oryński, rozglądając się niepewnie po niewielkiej uliczce odchodzącej w prawo.

Pograżone w mroku osiedlowe podwórko zdawało się emanować chłodem. Joanna poprawiła poły żakietu, żałując, że nie zabrała ze sobą czegoś cieplejszego. Ewentualnie rozgrzewacza, który miała na siedzeniu pasażera.

– W pierwszej chwili wszyscy zastanawialiśmy się, co zrobić – ciągnął Kordian. – I chyba nikt nie wiedział, czy rzucimy się sobie do gardeł, czy spróbujemy inaczej poradzić sobie z tą sytuacją. Szczęśliwie udało mi się wspiąć na...

– Wyżyny swoich umiejętności rozjemczych, tak, tak – przerwała mu Chyłka. – Możesz spokojnie ominąć ten etap.

– W porządku – odparł, szybkim ruchem ściągając wiatrówkę. Bez słowa zarzucił

ją na ramiona Chyłki. – U McVaya nie było czasu na przesadnie długie tłumaczenia. Powiedzieli mi jedynie tyle, że poznałem właśnie Elę Czerską.

– Gratuluję.

– Początkowo myślałem, że to jakaś kpina. Potem, że chodzi o nową tożsamość Beaty Widery. Że upozorowali jej śmierć, a później...

– Wiem, jak bujną masz wyobraźnię, Zordon.

Potrząsnął głową, jakby do teraz nie mógł uwierzyć w to, co udało mu się odkryć.

– One są identyczne, Chyłka.

– Tak, bliźniaki jednojajowe mają to do siebie.

– Ano – przyznał, kiedy zbliżali się do wiaduktu kolejowego. Gdzieś w oddali słyhać było szum pędzącego po szynach pociągu, który zdawał się potęgować niepokój Oryńskiego. – Jak tylko mi o tym powiedzieli, poskładałem wszystko inne do kupy. Zdjęcie z Tropical Islands nie było fotomontażem, bo widniała na nim Ela Czerska. I to nie Beatę, lecz właśnie Elę widziała ta pacjentka, której zeznania narobiły ci problemów w sądzie.

Joanna powoli skinęła głową, niespecjalnie chcąc wracać myślami do tamtych momentów. O Eli wprawdzie wiedziała doskonale, ale Kranz nadal zachowywał część szczegółów dla siebie. Jak choćby to, że mógł być widywany w towarzystwie Czerskiej.

– Oczywiście było dla mnie, że tych dwoje miało romans – dodał Kordian. – Nie wiedziałem tylko, jak do niego doszło.

– Ani skąd się wzięła Ela Czerska.

– Otóż to. Ale wyjaśnili mi wszystko, kiedy wyszliśmy z domu McVaya. Pojechaliliśmy do centrum, a potem...

– Potem wzięłeś daihatsu i skierowaliśmy się tutaj.

– Niezupełnie. Po drodze zatrzymaliśmy się jeszcze w jakiejś zatechłej knajpie na rubieżach cywilizowanego świata, gdzie mi wszystko wytłumaczyli. Zaczynając od rutynowego badania, na które Beata Widera pewnego dnia przyszła do gabinetu Kranza.

Kamień, który uruchomił lawinę, pomyślała Chyłka. Od tamtego momentu nie było już odwrotu dla żadnej z osób, które ostatecznie stały się ofiarami całej tej sytuacji. Joanna zatrzymała się i potoczyła wzrokiem dokoła. Potem wskazała w stronę parkingu przy Kauflandzie. Ruszyli powoli Naczelnikowską, wzdłuż torów prowadzących ku niewielkiej stacji przeładunkowej.

– Mów dalej – powiedziała.

ul. Zabraniecka, Targówek Fabryczny

Nielatwo było skupić się na relacjonowaniu Chyłce wszystkiego, co zdradzili mu Czerska i Kranz, kiedy otaczający mrok zdawał się właściwie obietnicą nieszczęścia. Do pewnego miejsca było nie najgorzej, ale kiedy minęli niski, zarośnięty krzewami budynek, gdzie właściciel oferował naprawę nadwozi, zdawali się znaleźć w innym świecie.

Wzdłuż ulicy ciągnęły się ceglane szkielety niewielkich domów lub składów, wewnątrz których Kordian dostrzegał jedynie gruzowiska. Chylące się ku upadkowi budynki były pokryte nieporadnymi bohomazami, a gdzieniegdzie dostrzec można było tabliczki informujące o zakazie wstępu. Inne ostrzegały, że nieruchomości grożą zawaleniem bądź przeznaczone są do rozbiórki.

Oryński czuł nieprzyjemne mrowienie na plecach, kiedy w zupełnej ciszy minęli podwórko, na którym dostrzegł jedynie resztki jakiejś ruiny, butelki i całą masę śmieci. Okolica zdawała się wymarła.

– Więc zanim sprzątnąłeś rydwan ognia z placu Defilad, zasiedliście gdzieś na rozmowę.

Kordian odchrząknął i pokiwał głową.

– Wyjaśnili mi, jak Widera poznała Kranza.

– Znacząco ci powiedzieli?

– Że Beata przysłała do jego gabinetu na rutynową kontrolę, a kiedy Kranz zrozumiał, z kim ma do czynienia, zupełnie spanikował. Sądził, że zjawiała się, by domagać się sprawiedliwości za dawne grzechy.

Właściwie nie chodziło o grzechy, nie w liczbie mnogiej. Liczył się tylko jeden.

– Powiedzieli ci, że to on zawinił w szpitalu Świętej Rodziny?

– Tak. I że to on odbierał poród matki Widerów.

– O tym, że był nawalony, też się zająknęli?

Kordian potwierdził ruchem głowy.

Ginekolog nie od razu był tak wylewny, jak by tego oczekiwał Oryński, ale Ela Czerska naciskała. Dzięki temu Kordian dowiedział się o wszystkim, co zdarzyło się pewnej pechowej nocy na oddziale położniczym.

Kranz miał dyżur, ale to nie powstrzymało go przed wypiciem kilku kieliszków brandy ponad normę. Twierdził, że w tamtych czasach było to całkowicie normalne i nie stanowiło żadnego tabu. Lekarze wzajemnie się częstowali, a pacjenci nie tylko wyczuwali alkoholowe oddechy, ale czasem sami przynosili butelki do dyżurki. Nikt nie robił z tego tytułu problemów.

Przynajmniej dopóty, dopóki ktoś nie przesadził. Tej nocy Rafał był tego bliski, może nawet przekroczył granicę. W pewnym momencie musiał jednak przekonać samego

siebie i wszystkich wokół, że jest w stanie odebrać poród. Matka Eli i Beaty rodziła.

Widera nie była dla niego obcą osobą, już wcześniej robił jej badania, zajmował się nią i zapewniał, że poprowadzi jej ciążę do końca. Przed Kordianem zarzekał się, że sam wykonywał badanie, ale w tamtych czasach miało być na tyle niedokładne, że nie wykrył ciąży bliźniaczej. Oryński w to nie wątpił – o ile się orientował, nie wszędzie stosowano wtedy ultradźwięki, a Kranz zapewne nie czuł potrzeby wychodzenia przed szereg. Prowadził ciążę, jakby była pojedyncza.

W trakcie porodu był nie tylko pijany, ale także przerażony. Kiedy zrozumiał, jaki błąd popełnił, mimo woli wyobraził sobie wszystkie nieprzewidziane konsekwencje, które mogły się wiązać z ciążą bliźniaczą.

Nie to jednak okazało się jego największym błędem. Była nim decyzja, by zgodzić się na prośbę pacjentki. Widera postawiła sprawę jasno – w rodzinie było już troje dzieci, kolejna dwójka nie wchodziła w grę. Chciała oddać jedną z bliźniaczek do adopcji, i zrobić to tak, by żadna z nich nigdy się o tym nie dowiedziała.

A właściwie by nikt o tym nie wiedział. Kranz, być może przez alkohol, a być może ze względu na popełnione błędy lub jakąś obietnicę gratyfikacji, był gotów przystać na wszystko. Zgodził się, pomógł Widerze zorganizować całą adopcję, a Ela i Beata zostały rozdzielone.

Przynajmniej na jakiś czas. Ginekolog nie wiedział, w jaki sposób Beata po latach dowiedziała się o tym, co się wydarzyło w szpitalu Świętej Rodziny. Kiedy ustaliła, kto pomógł matce, zapisała się do niego na wizytę.

A potem stanęła w gabinecie Kranza, zapewne sprawiając, że ten natychmiast zaczął snuć najczarniejsze scenariusze. Nie zrobił niczego, za co groziłaby mu poważna odpowiedzialność karna, ale gdyby Widera wszystko ujawniła, pożegnałby się z prawem wykonywania zawodu.

Nie dość, że dopuścił się błędu lekarskiego, upił na dyżurze, to jeszcze pomógł w nie do końca legalnym procederze. Matce dziewczynek zależało, by sprawa została załatwiona szybko i bez komplikacji. I by pozostawiła jak najmniej śladów w dokumentacji medycznej. Rafał Kranz zadbał o to.

Dziewczyna, która została oddana do adopcji, miała formalnie nie mieć nic wspólnego z Widerami. Wystarczyło zatrzymać ją przez jakiś czas na oddziale, potem wypełnić kilka dokumentów. Równie dobrze Kranz mógłby ją zanieść do okna życia i w nim zostawić. Być może wówczas po latach nikt nie trafiłby na trop.

Ale stało się inaczej. Lekarz przyznał się do wszystkiego przed Beatą, a potem pomógł jej odnaleźć zaginioną siostrę. Jakiś czas później spotkał się z nimi, chciał zapewnić o swoim wsparciu, jakoś zadośćuczynić temu, co się wydarzyło.

Obyło się bez konfliktu. Nikogo nie poniosły emocje, wszyscy zachowywali się racjonalnie. Nie było powodu, by mścić się na kimkolwiek.

Sprawy przybrały jednak nieoczekiwany obrót. Ela Czerska zakochała się w człowieku, który niegdyś w tak ogromnym stopniu wpłynął na jej los. Z wzajemnością. Kranz w pewnym momencie zadeklarował nawet, że zostawi żonę, całe swoje życie i wszystko, na co pracował.

Cała trójka spotykała się od czasu do czasu, utrzymując istnienie Eli Czerskiej

w tajemnicy przed Widerami. Beata знаła swoich braci – wiedziała, że prędzej spieniężą cały rodzinny majątek, niż pozwolą, by ktoś z zewnątrz dziedziczył wraz z nimi. Ktoś, komu teraz należał się udział w spadku.

Według tego, co twierdziła Ela, wszyscy trzej byli nie tylko skąpiradłami, bawidamkami, ale też nierozsądnymi i zawistnymi ludźmi. Ich matka i ojciec rzekomo mieli tego pełną świadomość, i właśnie dlatego zapisali wszystko Beacie, w niej upatrując jedynej rozsądnej osoby w tej rodzinie.

Nie mieli pojęcia, że ta zamierza podzielić się ze swoją siostrą po równo. Przygotowywały się do tego, chcąc rozwiązać wszystko legalnymi i właściwymi metodami, a pomagał im Kranz. Według Eli to on był mózgiem całej operacji, jakby za punkt honoru postawił sobie, by odkupić winę sprzed lat.

Z Czerską połączyło go gorące uczucie, z Beatą relacja niemal rodzinna. W końcu dziewczyna zaufała mu na tyle, że sporządziła testament, w którym zapisywała mu cały majątek. Była to wyłącznie polisa mająca zabezpieczać spuściznę siostry.

W rzeczywistości jednak testament stał się czymś więcej.

Kordian zrelacjonował to wszystko Chyłce, mając wrażenie, że nie usłyszała niczego nowego.

– Od jak dawna o wszystkim wiesz? – spytał.

– Od jakiegoś czasu.

– To znaczy?

– McVay wrócił z Manchesteru z pewnymi informacjami – odparła ciężko, a potem wyjęła kolejnego papierosa. Zaciągnęła się lekko i Oryński pomyślał, że jest w tym coś nostalgicznego. – Pozwoliły mi przycisnąć Kranza.

– W jaki sposób?

– Taki, który poznać może tylko osoba, na której ciąży tajemnica adwokacka.

– Daj spokój...

– Nie – zaoponowała, wypuszczając dym. – Są pewne rzeczy, które muszę zachować dla siebie.

– Jak na przykład co? – spytał bardziej wrogim tonem, niż zamierzał. – Że po sporządzeniu testamentu Kranz lub Czerska przyłożyli rękę do śmierci Widery?

– Nie.

– Więc to nie oni ją zabili?

– Nie.

Kordian miał ochotę zatrzymać się, spojrzeć Chyłce głęboko w oczy i oznajmić, że albo powie mu wszystko tu i teraz, albo to ostatni raz, kiedy rozmawiają. Wiedział jednak, że zaowocowałyby to w najlepszym wypadku westchnieniem, w najgorszym kpinami.

– Więc kto to zrobił?

– Nie jestem prokuratorem. Ani sędzią.

– Ale...

– Moim zadaniem nie jest szukać prawdziwego sprawcy, Zordon, tylko doprowadzić do uniewinnienia klienta.

– Tyle że nie jesteś w sądzie. A ty musisz mieć swój typ.

Ściągnęła poły wiatrówki, którą jej dał, przyspieszając trochę. Temperatura

zdawała się szybko spadać, ale Kordian przypuszczał, że uczucie spowodowane jest zagłębieniem się w coraz mniej przyjazną okolicę. Ulicę po lewej stronie odgradzał od świata długi, zniszczony mur, po prawej ciągnęły się pozostałości jakiegoś ogrodzenia. Zarośnięta przestrzeń za nimi przywodziła na myśl stare, porzucone cmentarzyska.

– Zdjęcie nie było fotomontażem – dodał Oryński. – Wydrukowany u Kranza list pożegnalny był prawdziwy. Podobnie recepty. I środki, których nałykali się i Widera, i Harry.

– I Richard Nelson.

– Właśnie – potwierdził Kordian. – Więc powiesz mi, kto za tym stoi?

Joanna zatrzymała się przy zapuszczonym murze. Spojrzała na Kordiana, a potem oparła się plecami o ceglastą ścianę.

– Widerowie – rzuciła. – Jeśli chcesz znać moje zdanie, to oni są winni.

– Dlaczego?

– A to nie oczywiste?

– Nie.

Oryński zbliżył się o krok, nie odrywając wzroku od oczu Joanny. Znalazł się na tyle blisko, że poczuł jej perfumy. Wyciągnął ostrożnie ręce w jej stronę, poprawił połę kurtki i uniósł brwi.

Odpowiedziała zdziwionym grymasem.

– Musieli dowiedzieć się o Czerskiej – wyjaśniła. – Postanowili zrobić Kranza, żeby...

– Obalić testament, a Elę uznać za współwinną – dopowiedział. – A ostatecznie doprowadzić do niegodności dziedziczenia.

– I przejąć na własność cały majątek. Brawo, Zordon. Zgłębiałeś ostatnio prawo spadkowe?

– Miałem jedną czy dwie okazje.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy bez słowa.

– Wydaje ci się, że teraz masz kolejną?

– Na...

– Na coś niezwiązanego z prawem spadkowym?

– Może.

– To źle ci się wydaje.

Oderwała od niego wzrok i zanim zdążył zareagować, obróciła się i ruszyła we wcześniejszym kierunku. Minęli bramę wjazdową na teren fabryczny, a Oryński zerknął na to, co znajdowało się za murem. Wyglądało na opuszczone magazyny, idealny teren dla bezdomnych szukających lokum lub ćpunów potrzebujących ustronnego miejsca, by oddać się nałogowi. W najlepszym wypadku miejsce było łakomym kąskiem dla pasjonatów paintballa, którzy szukaliby czegoś w konwencji postapokaliptycznej.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytał.

– Masz na myśli fizyczną lokalizację czy liczysz na jakąś metaforę odnośnie do naszego związku?

– Związku?

– Relacji. Jak zwał, tak zwał.

– Chodziło mi dosłownie o położenie – odparł nieco skołowany. – Ale jeśli potrafisz określić to drugie, chętnie posłucham.

Chyłka rozejrzała się.

– Jesteśmy na Zabranieckiej – oznajmiła. – A jeśli chodzi o to drugie, odpowiedź jest bardziej skomplikowana.

Joanna przeszła jeszcze kilka kroków, po czym się zatrzymała. Skrzywiła się, jakby okolica przestała jej się podobać.

– Wychodzimy ze strefy mroku, Zordon – zauważyła. – Czas zawracać.

– I znów nie mam pewności, czy to aby nie metafora.

– Chyba nie.

Skinął głową, zastanawiając się, czy nie przegapił dwóch momentów, w których mógł rozwinąć ten temat. Ostatni minął właśnie teraz, a wcześniejszy kiedy zatrzymali się pod murem. Być może wtedy powinien zrobić ten jeden krok, na który od dawna czekał.

– Chodź – rzuciła Chyłka, ruszając z powrotem w stronę Pragi. – Przegadaliśmy już wszystko, co mieliśmy do przegadania.

– Nie wszystko.

– Masz na myśli Harry’ego?

– Co? Nie, chodziło mi raczej...

W pierwszej chwili miał zamiar powiedzieć prawdę, ale wspomnienie o McVayu sprawiło, że przejście do wątków prywatnych wydawało się w jakiś sposób niewłaściwe. Zupełnie jakby miało kłaść jego pamięć.

– Dlaczego o nim wspomniałaś? – spytał.

– Bo przypuszczałam, że to jedna z największych niewiadomych w twojej głowie.

– Tak?

– Zastanawiasz się, dlaczego zginął.

– Nie tylko on – odparł Oryński, wyławiając z mroku w oddali zbliżającą się postać. – Richard Nelson i Kim Peek też z jakiegoś powodu zostali usunięci.

– Znasz moje zdanie. To wszystko skomplikowany plan Widerów.

– Który polega na czym?

– Tajemnica adwokacka.

– Daj spokój, Chyłka.

Kordian starał się wypatrzeć, kto się zbliża i czy aby na pewno jest to tylko jedna osoba. Znajdowali się jednak za daleko, by stwierdzić to w tak słabym świetle ulicznych latarni.

Joanna nie odpowiadała, a on uznał, że nie ma sensu ciągnąć jej za język.

– Tak czy inaczej pozostaje jeszcze kwestia ostrzeżenia, które przed śmiercią zostawił mi Kim Peek.

– Musisz uderzać w tak dramatyczne tony?

– Tak, bo sytuacja jest poważna.

– Mhm. Niczym minister deklarujący, że Rosjanie zabili nam prezydenta.

– On akurat jest śmiertelnie...

– Mniejsza z tym, Zordon – ucięła, również przypatrując się zbliżającemu się

mężczyźnie. – William nie jest w nic zamieszany. To bzdura, element gry psychologicznej Widerów.

– Jesteś pewna?

– Stuprocentowo.

Rzadko była gotowa bez wahania za kogoś poręczyć i Oryński poczuł nieprzyjemne ukłucie na myśl, że robi to względem McVaya. Może jednak miała ku temu dobry powód, w końcu pracowali ze sobą, od kiedy odsunęła Kordiana od sprawy. Zdażyli się poznać.

A on ufał jej na tyle, by nie kwestionować wiary, którą pokładała w innych. Nawet jeśli wiązało się to z nieprzyjemnym, być może nieuzasadnionym poczuciem zazdrości.

– Ci ludzie są niebezpieczni, rozumiesz? – zapytała Chyłka.

– W pełni. I dzięki temu rozumiem też, dlaczego Beata nie zapisała spadku siostrze, tylko Kranzowi. Nie chciała, by jej bracia wiedzieli o istnieniu Eli.

– Otóż to – przyznała Joanna. – Tyle że była to jedynie polisa ubezpieczeniowa. Rozwiązanie na najgorszy z możliwych scenariuszy.

– Który się ziścił. Ktoś zabił Widerę.

Chyłka mruknęła potwierdzająco.

– Spisując ten testament, myślała raczej o dalszej przyszłości. O tym, że nawet jeśli kopnie w kalendarz, to Kranz i jej siostra dawno będą małżeństwem.

– I co z tego? Masa spadkowa nie wchodzi do majątku wspólnego, nawet jeśli jest wspólność.

– No, no, Zordon, stałeś się ekspertem od spadków. Jeszcze trochę, a będziesz stał pod cmentarzem i łowił potencjalnych klientów.

– Mówię tylko, jak jest.

– Nie, to robi wyłącznie Max Kolonko – odparła, wciąż przyglądając się nadchodzącej postaci. – Ty mówisz, co ci ślina na język przyniesie.

– W tym wypadku akurat się nie mylę.

– Nie, ale zapominasz o artykule czterdziestym siódmym Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego. A dzięki niemu można zawrzeć umowę, w myśl której spadek stałby się współwłasnością Kranza i Eli. I właśnie to mieli zrobić.

Oryński nie musiał sięgać pamięcią do wkutych niegdyś przepisów, by wiedzieć, że Chyłka się nie myli.

– To ma drugorzędne znaczenie – odparł Kordian. – Widerowie zadziałali wcześniej, niż Czerska się spodziewała. O ile to rzeczywiście oni.

– No.

Oryński zerknął na nią, spodziewając się, że doda coś więcej. Joanna zdawała się jednak całą uwagę poświęcać zbliżającemu się nieznanemu. Kordian robił zaś wszystko, by go zignorować. Jego wyobraźnia rzeczywiście mogła okazać się nieco wybujała – zarysowała przed nim niepokojącą wizję spotkania z jednym z miejscowych zakapiorów, których z pewnością tu nie brakowało.

I którzy z pewnością wiedzieli, jak podejść dwójkę ludzi, którzy pojawili się w złym miejscu i w zdecydowanie złym czasie. Wystarczyło, by nie zbliżali się całą grupą, bo ofiary niechybnie by uciekły. Zamiast tego lepiej było wysłać jednego

człowieka, podczas gdy reszta czekała tuż za winklem.

Oryński otaksował wzrokiem Joannę, dochodząc do wniosku, że jej wygląd jednoznacznie wskazuje na wysoki status społeczny. A zatem także na wypchany portfel.

Zaraz potem uznał, że najlepiej będzie, jeśli zajmie myśli czymś innym. Po wszystkim, co powiedzieli mu Kranz i Ela, wciąż nie mógł zrozumieć jednej rzeczy. I w końcu musiał zapytać o to Chyłkę.

– Dlaczego nie ujawnili, że to Czerska jest na zdjęciu? I że to ją widywano z Kranzem?

– A jak sądzisz? – odparła z niezadowoleniem Joanna. – Staralam się przekonać do tego waginologa, od kiedy dowiedziałam się o sprawie. Idzie jednak w zaparte.

– Bo?

– Uważa, że tym samym narazi Czerską. Że Widerowie natychmiast się nią zajmą.

– Najwyraźniej i tak mają zamiar. Zajęli się już wszystkimi wokół.

Chyłka wzruszyła ramionami z irytacją.

– Zbyt wiele godzin spędziłam na tłumaczeniu tego Kranzowi, żeby jeszcze teraz o tym...

Nagle urwała, zatrzymując się. Oryński zrobił to samo i natychmiast wyciągnął ręce z kieszeni, jakby pięści mogły mu się przydać w wypadku czarnego scenariusza. Wstrzymał oddech, wbijając wzrok przed siebie.

– Mamy problem – rzuciła Joanna.

– Widzę.

Mężczyzna, który się do nich zbliżał, wyraźnie powłóczył nogą. Kiedy znalazł się dostatecznie blisko, by dostrzegli jego twarz w migotliwym świetle miejskich lamp, oboje bez trudu zobaczyli krew spływającą z rozciętego łuku brwiowego.

Oryński rozejrzał się czujnie, zupełnie jakby na powrót trafił na Rakowiecką. Żle ocenił sytuację, nadchodzący mężczyzna nie miał nic wspólnego z lokalnymi gangami.

Rafał Kranz zatrzymał się przed nimi, chwiejąc się na nogach. Oddychał ciężko, sprawiał wrażenie otumanionego. I kiedy zrozumiał, kto przed nim stoi, na jego twarzy odmalował się wyraz głębokiej ulgi.

– Dzięki Bogu... – jęknął.

Chyłka drgnęła, jakby przebudziła się z koszmaru. Ruszyła ku Kranzowi i natychmiast go podtrzymała. Ten spuścił głowę i wyglądało na to, że w końcu pozwolił sobie na moment wytchnienia.

– Kranz, co się stało? – odezwała się Joanna.

– Ela...

– Co z nią?

– Zniknęła – odparł ciężko, zamykając oczy. – Nie ma po niej śladu.

Le Cedre 84, Wola

Libańskie przysmaki przed rozprawą zawsze nastrojały Chyłkę bojowo, ale tym razem nie potrzebowała dobrze doprawionej jagnięciny z grilla, by wejść na salę sądową z zamiarem rozbicia przeciwnika w drobny mak.

Przeżuła ostatni kęs, a potem zerknęła na zegarek. Do rozpoczęcia starcia po drugiej stronie alei Solidarności pozostało jeszcze kilkanaście minut. Przeniosła wzrok na talerz siedzącego naprzeciwko Oryńskiego i uznała, że nawet jeśli Kordian utrzyma swoje zwyczajowe tempo, powinni zdążyć. Tym bardziej, że z tjiny, pasty z łosia z sosem sezamowym, nie pozostało już wiele.

Spojrzał na Joannę niepewnie, orientując się, że mu się przygląda.

– Mam jeszcze w planach deser – zastrzegł.

– Plan bez narzędzi do jego realizacji to tylko marzenie, Zordon.

– Mam narzędzia.

– Jakie?

– Urok osobisty i siłę perswazji, dzięki którym przekonam cię, że mamy jeszcze mnóstwo czasu.

Zasłoniła zegarek rękawem i powiodła wzrokiem po restauracji. Klienci powoli schodzili się na obiad, zaczynając od tradycyjnej libańskiej przystawki, araku. Niektórzy popijali kawę, a Chyłka przypuszczała, że to wersja fenicka, z kardamonem i anyżowym napojem wyskokowym.

Zamknęła na moment oczy. Buzowały w niej emocje, które ostatecznie przekuje w atak wymierzony w Karola Rejcherta. Do tego czasu musiała jednak je powściągnąć, a najbardziej pomocna byłaby w tej sytuacji tequila. Lub choćby piwo. Arak niekoniecznie, nie przepadała za smakiem anyżu.

Joanna uniosła powieki i zobaczyła, że tym razem to Oryński jej się przygląda.

– Zastanawiam się – oznajmił.

– Widzę.

– Nie nad tym, co ci w głowie siedzi – zastrzegł. – Ale nad tym, czy zrobiliśmy wszystko, co trzeba.

Chyłka się nie odzywała.

– Mam na myśli nagłe zniknięcie Eli.

– Wiem, co masz na myśli.

– Przez te kilka dni właściwie mogło spotkać ją wszystko, co najgorsze – ciągnął, jakby nie usłyszał odpowiedzi sugerującej, że Chyłka nie ma ochoty o tym rozmawiać. – Jeśli to Widerowie ją porwali, a przypuszczam, że innej opcji nie ma, to...

– Już to przerabialiśmy, Zordon – ucięła. – Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy.

Nie ma po niej śladu.

– Jesteś pewna?

– Żadnego tropu nie zauważyłam. Ani ja, ani Kormak, ani nikt inny, kogo zaangażowaliśmy do poszukiwań.

– Miałem na myśli to, czy zrobiliśmy...

– Tak – przerwała mu z nadzieją, że to będzie stanowiło zakończenie tematu. – Zrobiliśmy nawet więcej, niż powinniśmy.

Odłożył sztućce, napił się nektaru z gujawy, bliżej niezidentyfikowanej tropikalnej rośliny, a potem pokręcił głową.

– Ale to nasza wina.

– W jakim sensie?

– To my zostawiliśmy otwarte drzwi po wyjściu – powiedział, zawieszając wzrok na jednym z pustych stolików obok. – To my pozwoliliśmy, by ktoś po prostu tam wszedł, przywalił Kranzowi i... Bóg jeden wie, co zrobił z Czerską.

Chyłka sięgnęła po nektar. Spróbowała go, skrzywiła się i oddała szklanekę Kordianowi.

– Jeśli Widerom zależy na obaleniu testamentu, nic jej nie zrobią.

– Skąd ta pewność? – odparł z powątpiewaniem. – Nie mieli oporów, żeby zająć się kilkoma innymi osobami.

– Żywa jest im bardziej przydatna.

– Myślisz, że będą szantażować Kranza? Zmuszą go, żeby odrzucił spadek?

– Nie wiem, co siedzi tym ludziom w głowie, Zordon – odparła, a potem delikatnym ruchem ręki przywołała kelnera. – I nie chcę wiedzieć. Dla własnego zdrowia psychicznego.

Poprosiwszy o rachunek, uznała za zakończoną nie tylko libańską ucztę, ale także rozmowę o tym, co mogło się przydarzyć Eli Czerskiej. Miała dosyć wszelkich teorii, poza tym musiała skupić się na procesie.

Gdy wychodzili z Le Cedre, od jego rozpoczęcia dzieliły ich już tylko minuty. Przeszli przez aleję Solidarności, a potem skierowali się po schodkach do głównego wejścia. Gmach Sądu Okręgowego znali już niemal jak własne cztery kąty, co właściwie było tyle komfortowe, ile dojmujące.

Na korytarzu przed wejściem do sali wypatrzyli Rejcherta. Kiedy prokurator dostrzegł dwoje znajomych prawników, natychmiast się rozpromienił. Podeszedł do nich i uściśnął dłonie obojgu.

– Powtórka z rozrywki – oznajmił.

Chyłka spojrzała na jego buty.

– Faktycznie – przyznała. – Dalej glancujesz te trzewiki tak, że świecą jak psu jaja.

– A ty dalej bawisz się w infantylne przepychanki przed rozprawą.

– Tylko jeśli mam do czynienia z intelektualnym szczyłem, który byłby zawiedziony, gdybym zrezygnowała z tej zabawy.

– Zawiedziony byłbym, gdybyś teraz poszła na układ w imieniu swojego klienta. I pozbawiła mnie tym samym możliwości dosrania ci na sali sądowej.

– Sraj do woli, Reju – rzuciła, kierując się w stronę drzwi. – Sam będziesz po sobie sprzątał.

– Ale ty będziesz tą, która ostatecznie...

– Daj spokój – wpadła mu w słowo. – Naprawdę chcesz witać mnie w tym szlachetnym gmachu kpinami?

– To nie kpiny.

– Jasne. Ale powinieneś wiedzieć, że reaguję na nie podobnie jak cesarz Karakalla. Rejchert prychnął i bezradnie rozłożył ręce.

– Kiedy przyjechał do Aleksandrii, mieszkańcy nieudolnie i nieporadnie próbowali sobie z niego zadzwierać, zupełnie jak ty teraz ze mnie. Odpowiedział, wyrzynając wszystkich co do łebka. A potem puścił miasto z dymem – dodała na odchodnym.

Weszli do środka w momencie, kiedy wywoływano sprawę. Joanna usiadła w ławie po lewej stronie składu orzekającego, a Kordian zajął jedno z miejsc dla publiczności. Tym razem jednak znalazł się w pierwszym rzędzie.

Po chwili zjawiał się William McVay, ignorując Oryńskiego. Przywitał się zdawkowo z Chyłką, sprawiając wrażenie, jakby cały proces i wszystko, co z nim związane, stały się mu zupełnie obojętne.

Moment później wszyscy byli już na swoich miejscach, czekali jedynie na sędziów i ławników. Skład orzekający zjawiał się zaraz potem, a zebrani jak jeden mąż wstali. Kilka osób dopiero wtedy przypomniało sobie o wyłączeniu telefonów komórkowych, dziennikarze poprawili ustawienie kamer, a gapie wyprostowali się, by lepiej widzieć.

W powietrzu czuło się atmosferę napięcia i z pewnością nie pomagał fakt, że klimatyzacja mogłaby zostać ustawiona na nieco wyższe obroty. Najwyraźniej osoba, która ją obsługiwała, nie spodziewała się, że pomieszczenie będzie pękało w szwach.

Wszyscy zdawali się przekonani, że to ostatnia rozprawa. Mimo że formalnie wiele mogło się jeszcze zdarzyć, zarówno obrona, jak i oskarżenie wystrzelali już wszystkie najmocniejsze działa.

Nie zostało nic do dodania, oprócz kilku mało znaczących faktów.

A przynajmniej z perspektywy większości jawiło się to w ten sposób, niczym pobitewny krajobraz. Chyłka widziała jednak znacznie więcej. Całe miasto, tylko czekające na to, by dać jej powody, żeby potraktowała je jak Karakalla Aleksandrię.

Kiedy w końcu nadszedł kluczowy moment, posłała kontrolne spojrzenie przewodniczącej. Karinę Agnę wyraźnie zastanawiało, dlaczego zgłosił się świadek spoza listy, który zdawał się nie mieć nic wspólnego ze sprawą.

Nabrała głęboko tchu, a potem wezwała go na mównicę.

– Staje Kordian Oryński – podyktowała do protokołu. – Świadek spoza listy, który zgłosił się na własny wniosek. W stosunku do oskarżonego: obcy. Obecnie niezatrudniony, niekarany.

Ostatnie słowo było jak balsam dla duszy. Chyłka nie przypuszczała, że kiedykolwiek uda się do tego doprowadzić, a jednak tak się stało. Kordian miał wyczyszczone kartotekę. A wszystko dzięki Kranzowi, który dał jej narzędzia, którymi mogła zoperować tego życiowego guza, jakiego nabawił się Oryński.

Czy coś mogło mu grozić dlatego, że Chyłka pozwoliła sobie na niewielką manipulację? Nie, raczej nie. Jeśli kulisy tej sprawy wyszłyby na jaw, jako pierwsza poleciałaby głowa sędziego, wyznaczającego skład orzekający. Przy odrobinie pecha – o który Joanna by się postarała – odpowiadałby z artykułu dwieście trzydziestego

pierwszego, paragrafu pierwszego, Kodeksu karnego.

Uznała, że nawet jeśli przyjdzie co do czego, sam ten fakt sprawi, że nikt nie będzie drażył. O ile wszyscy zainteresowani będą trzymać gęby na kłódkę. Spojrzała na swojego klienta, uznając, że to on jest największą niewiadomą.

Szczęśliwie jednak Kranz nie miał żadnych powodów, by zdradzić, co się stało. A raczej nie będzie ich miał, kiedy rozprawa dobiegnie końca – teraz bowiem nagle spojrzał na Chyłkę, jakby to ona była źródłem wszelkiego zła.

Wskazał wzrokiem Oryńskiego i syknął cicho:

– Co to ma znaczyć?

– Zaufaj mi.

– On nie może...

– Po prostu siedź na dupie i sprawiaj wrażenie niewinnego.

Wyraźnie chciał dodać coś jeszcze, ale w porę dostrzegł, że przygląda im się jeden z ławników. Oboje natychmiast przyjęli neutralne maski, milknąc i skupiając wzrok na Kordianie.

Ten stał wyprostowany jak struna, w pełnym umundurowaniu prawniczym. Miał dobrze skrojoną marynarkę, równo zawiązany wąski krawat i błękitną koszulę. Patrzył pewnie na członków składu orzekającego.

– Czy świadek mógłby wyjaśnić, dlaczego się zgłosił?

Oryński skinął głową z powagą świadcząca o tym, że nie podjął tej decyzji pochopnie.

– Uczestniczyłem w zdarzeniu, które może mieć istotne znaczenie dla sprawy.

– Mianowicie?

– Byłem w mieszkaniu, które należy obecnie do oskarżonego – odparł, a potem podał adres na Szmulowiźnie. Krótko nakreślił, że nieruchomości wchodziła w skład masy spadkowej po Beacie Widerze.

Sędzia zmarszczyła czoło i skrzyżowała dłonie na blacie. Nachyliła się, a łańcuch z godłem zakołysał się lekko.

– Czy może pan to rozwinąć? – zapytała. – O ile wiem, to postępowanie zostało zawieszono do czasu wydania orzeczenia w sprawie, którą rozpatrujemy.

– Zostało.

– A zatem jakim cudem oskarżony miałby się tam znaleźć?

– Miał klucze. Od Beaty Widery, Wysoki Sądzie. Znali się bowiem bardzo dobrze.

Chyłka wiedziała, że wszystkie spojrzenia skupiły się na niej. Nikt z zebranych nie łudził się, że świadek naprawdę zgłosił się z własnej inicjatywy. Było jasne, że to ona pociągała za sznurki i to zaplanowała.

Zignorowała wszystkie spojrzenia oprócz jednego. Zerknęła tylko na Rejcherta – wyłącznie po to, by zobaczyć wyraz zdziwienia na jego twarzy.

– Co on robi, do kurwy nędzy? – szepnął nerwowo Kranz.

– To, co ty powinienesz być zrobić dawno.

– Posłuchaj mnie...

Obróciła do niego głowę i zobaczyła, że pobladł. Miała nadzieję, że szybko wróca mu kolory, bo tworzenie wrażenia, że działa się przeciwko klientowi, jeszcze żadnemu

prawnikowi nie przyniosło nic dobrego.

– Uspokój się.

– Nie rozumiesz, na co ją narażasz...

– Na co, Kranz? – odparła pod nosem, starając się zachować spokojną minę. – Została porwana, Widerowie do tej pory mogli ją zabić. Co twoim zdaniem jeszcze może ją spotkać? Najwyższa pora, żeby cię z tego wyciągnąć.

– Nie jej kosztem...

– Do tej pory już swoje odcierpiała. Nic więcej jej się nie stanie.

Potrząsnął głową, jakby starał się zaprzeczyć temu, co było oczywiste.

– Nie – zaoponował. – Nie wiesz tego.

– Wiem, że zeznania Oryńskiego już jej nie zaszkodzą. A tobie pozwolą w końcu uporać się z zarzutem zabójstwa Beaty.

Przysunął się do niej i spojrzał na nią z wściekłością w oczach. Chyłka nie przypuszczała, że zareaguje tak emocjonalnie. Spodziewała się problemów, ale założyła, że uda się zachować choćby pozory.

Tymczasem Kordian zaczynał przedstawiać informacje, do których dotarł, a uwaga orzekających zdawała się podzielona między niego a Kranza.

– Nie możesz tego zrobić – rzucił Rafał.

– Mogę. I zapewniam cię, że będziesz mi dziękował. Ela też.

– Mogę wycofać pełnomocnictwo.

– Rób, co chcesz. Ale świadek już zeznaje.

Kranz gorączkowo się rozejrzał, a Chyłka dostrzegła niewielkie krople potu na jego koszuli. Zupełnie jakby rzeczywiście rozważał natychmiastowe pożegnanie się ze swoim adwokatem.

– On nic nie wie – syknął. – Wszystko to informacje z drugiej ręki, które usłyszał od nas.

– Nie szkodzi.

– Sąd nie...

– Od mówienia, co sąd robi, a czego nie, jestem ja – ucięła Chyłka, w końcu obracając się do niego. – A zeznania Oryńskiego dotyczą też tego, że Ela Czerna zniknęła, a ty odnalazłeś nas półprzytomny i pobity. Jeśli sądzisz, że to nie wystarczy, srogo się mylisz, Kranz. Już nie na takich fundamentach budowałam wygrane sprawy.

Wyprostowała się, patrząc wprost na Agnę. Uznała, że najwyższy czas zakończyć te szeptane przepychanki i pozwolić sędziom oraz ławnikom w pełni skupić się na zeznaniach Kordiana.

Miał do przekazania całkiem sporo. Opisał całą sytuację dokładnie tak, jak zrobił to podczas spaceru po Pradze i Targówku. Przewodnicząca nie przerywała mu ani razu, choć Joanna widziała, że Agneza kilkakrotnie miała ochotę o coś dopytać.

Oprócz Oryńskiego wszyscy w sali milczeli. Kiedy robił pauzę, by zrobić głębszy wdech lub napić się wody, zapadała niemal nabożna cisza. Zeznanie trwało dość długo, ale Chyłka przypuszczała, że czas minął wszystkim zebrany jak z bicza strzelił.

Skończywszy swoje przemówienie, Kordian spojrzał na Kranza. Ginekolog uporał się już z pierwszym szokiem, zaczynał rozumować na chłodno. Przy odrobinie szczęścia

być może doszedł do wniosku, że Chyłka postąpiła słusznie.

Zanim przekonała Oryńskiego, by zgłosił się jako świadek, także musiało minąć trochę czasu. Upierał się, że mogą narazić Czerską jeszcze bardziej, ale ostatecznie Joannie udało się wbić mu do głowy jeden istotny fakt: nie mogli już pogorszyć sytuacji Eli.

Kiedy Kordian postawił kropkę nad i, wyprostował się i czekał na reakcję ze strony przewodniczącej. Agneza milczała jednak wraz ze wszystkimi innymi, a cisza zdawała się niemożliwa do przełamania. Przewodnicząca wyraźnie szukała pytania, które mogłaby zadać, ale właściwie nie było niczego, co wymagałoby doprecyzowania.

– Panie prokuratorze? – odezwała się w końcu.

Rejchert odsunął krzesło od stołu, jakby zamierzał na stojąco odpytywać świadka. W rzeczywistości zapewne był to mimowolny odruch, by zdystansować się od bagna, przed którym nagle się znalazł.

– Jakież pytania? – dodała Agneza.

– Oczywiście.

– Więc proszę.

Oskarżyciel spiorunował wzrokiem Oryńskiego, sugerując zgromadzonym w sali, że zaraz wyprowadzi atak i obali zeznania. Chyłka widziała jednak, że to tylko poza. Gdyby miała przeciwko sobie Olgierda Paderborna lub kogoś jego pokroju, mogłaby się obawiać. Rejchert jednak został skutecznie spacyfikowany i na tym etapie był już niegroźny.

Przysłuchiwała się jego staraniom, by zdyskredytować zeznania Kordiana, ale Oryński radził sobie śpiewająco. Odpierał każdy atak, odpowiadał spokojnie, bez emocji, bez sygnałów świadczących o ukrywaniu jakichkolwiek niejasnych motywów.

Rejchert musiał w końcu dać za wygraną. Świadek nie tylko przedstawił wszystko w nowym świetle, lecz także zeznał, że doszło do porwania i pobicia. Nie rzucał bezpośrednich oskarżeń, ale nie musiał tego robić – z jego relacji wynikało jednoznacznie, że to Widerowie są odpowiedzialni.

Dodatkowym atutem było to, że bracia od początku postępowania nie pojawili się w sądzie. Stronili od mediów, cały czas pozostawali w cieniu. Byli niemal anonimowi, dzięki czemu Chyłce łatwo przyszło przedstawienie ich jako szemranych typów.

Po tym, jak Rejchert w końcu spasował, sędzia skierowała wzrok na Joannę.

– Pani mecenas? – odezwała się. – Jakież pytania?

– Żadnych, Wysoki Sądzie.

Jeśli ktokolwiek na sali miał jeszcze wątpliwości co do tego, kto stał za przedstawieniem, które właśnie się rozegrało, teraz powinny zostać rozwiane. A jeśli nie, Chyłka przypuszczała, że stanie się to podczas jej mowy końcowej.

Pracowała nad nią długo, być może dłużej niż kiedykolwiek. Zawsze był to istotny element, ale w tym wypadku mógł się okazać nie do przecenienia. Zarwana, spędzona nad laptopem noc zdawała się to potwierdzać.

Kiedy Joanna wstawiała ze swojego miejsca, by wygłosić przygotowaną mowę, znała każdy fragment na pamięć. Poprawiła zielony żabot, bo jak zwykle marszczył się do środka, a potem uniosła wzrok, jakby szukała natchnienia.

Właściwie robiła to tylko po to, by zagrać na nerwach Rejchertowi.

– Wysoki Sądzie – zaczęła. – W toku postępowania zobaczyliśmy szereg rzekomych dowodów, które miały świadczyć o winie mojego klienta. Przedstawiono zdjęcia, na których miała znajdować się pokrzywdzona. Wezwano świadków, którzy twierdzili, że widzieli ją z moim klientem, a oskarżyciel przygotował całą narrację, która miała postawić Rafała Kranza w niekorzystnym świetle. – Joanna rzuciła krótkie spojrzenie prokuratorowi. – Używam słowa „narracja” nie bez powodu, bo to wszystko fikcja. Nie wiem, czy wynikała z nieświadomych uchybień, czy może celowego działania, ale pominięto kluczowy fakt. Fakt, że osoba na tych zdjęciach to nie Beata Widera.

Chyłka pozwoliła sobie na lekkie, ledwo zauważalne rozłożenie rąk.

– Po raz kolejny zrobiono to, czego robić się nie powinno – ciągnęła. – Prokuratura najpierw z kręgu kandydatów wybrała sobie jednego, który miał stać się podejrzanym, a potem zaczęła robić wszystko, by ta decyzja miała ręce i nogi. – Znów zerknęła na Rejcherta. – Tymczasem wystarczyło krótkie dochodzenie osoby, która nie jest nawet aplikantem adwokackim, by przekonać się, jak wielki błąd popełniono.

Joanna zwróciła się w stronę Kranza.

– Mojego klienta wzięto na celownik tylko dlatego, że wydawał się bezbronny – ciągnęła. – Nie dość, że znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie, to jeszcze krążyły na jego temat niepoehlebne, wręcz dyskredytujące go opinie. Opinie, które pochodziły w większości od anonimowych osób, wypowiadających się na temat Rafała Kranza w internecie. Opinie, które dla prokuratury nie powinny mieć żadnej wartości dowodowej, a jednak stały się przyczynkiem do tego, by zapolować na niewinnego człowieka.

Poczekwała, aż to określenie osiędzie w umysłach zebranych, a potem przesunęła dłonią po todzie i podjęła:

– Nie twierdzą, że niewłaściwe traktowanie kobiet w gabinetach ginekologicznych nie ma miejsca. Przeciwnie, jest powszechne, karygodne i powinno zostać wyplewione jak najszybciej. Twierdzą natomiast, że po pierwsze nie ma nic wspólnego z tym postępowaniem, a po drugie nie zostało udowodnione wobec mojego klienta.

Nabrała tchu. To, o czym mówiła, nie miało wielkiego znaczenia, ale rzutowało na sposób, w jaki ławnicy patrzyli na Kranza. Potrzebowała oczyścić go z brudu, który do niego przylgnął.

– Owszem, wysłuchaliśmy świadków – przyznała. – Ale ci sami świadkowie pod rygorem odpowiedzialności karnej zeznali, że widzieli Beatę Widerę z moim klientem. Jak wiarygodne okazały się te zeznania, wszyscy widzieliśmy. I wiemy też, że to przez sugestie prokuratury pojawiły się w takiej formie. Mniemać można więc, że także w innych sprawach na świadków wpłynęły poczynania oskarżycieli.

Chyłka skierowała ostatnie uwagi do Agnezy, ale wiedziała, że musi wyłożyć to w nieco innych słowach ławnikom. Powiodła po nich wzrokiem.

– Świadczyli nigdy nie mówiliby o Beacie Widerze, gdyby prokurator nie kazał im sądzić, że to ona była w gabinecie – ciągnęła. – I być może tak samo byłoby w przypadku zarzutów o seksizm wobec mojego klienta, gdyby nie sugestie, jakie anonimowe osoby zamieszczały w internecie. Sugestie, które zostały potem powielone

przez prokuratora Rejcherta.

Jeden z ławników skierował spojrzenie na oskarżyciela. Tyle wystarczyło, by Joanna miała pewność, że winny wreszcie został rozpoznany.

– Przedstawiono nam recepty, które bez żadnego trudu mogły zostać podrobione – dodała, uznając, że nie musi rozwijać tematu. Większość pamiętała zeznania farmaceutki.
– Otrzymaliśmy też informacje związane z wydrukami, przeczące wszelkiej logice.

Nabrała tchu i położyła ręce na stole.

– Po zeznaniu ostatniego świadka wiemy już, z czego to wynikało. Wszystko to było próbą wrobienia mojego klienta w zabójstwo, którego nie popełnił. Próbą wydarcia majątku rodzinnego Elżbiecie Czerskiej. Próbą zatuszowania wszystkiego, co wydarzyło się w przeszłości. – Joanna zrobiła krótką pauzę. – Bo to właśnie przeszłość miała dla nas wszystkie odpowiedzi. Dziś je odkryliśmy. I dziś możemy powiedzieć, że owszem, nie możemy żyć w przeszłości, ale żyje ona w wielu z nas. Między innymi w ludziach, którzy są odpowiedzialni za to, co spotkało mojego klienta. Nie pozwólmy, by oni pisali jego przyszłość.

Usiadła, nie do końca pewna, czy apel podzielała na członków składu orzekającego. Na Agniezie takie przemówienia nie robiły wrażenia, ale pozostali zdawali się niemal zbudowani tym, że los dał im szansę, by naprawić sytuację.

Wyrok mógł być tylko jeden.

Soho Factory, Praga-Południe

Po wyjściu z sądu Kranz nie wyglądał, jakby kamień spadł mu z serca, a Oryński właściwie mu się nie dziwił. Lekarz nie odzywał się przez całą drogę na Kamionek, pogrążony we własnych myślach.

Jego własny los był zapewne dla niego sprawą drugorzędną, liczyło się tylko to, co związane z Elą Czerską. A w jej sprawie wciąż nie mieli żadnych informacji. Teraz, gdy prokuratorska machina została przestawiona na inne tory, prędzej czy później śledczy powinni trafić na jej trop.

Kordian miał tylko nadzieję, że nie będzie za późno. I że dowiedzą się wówczas o wszystkim, co się wydarzyło.

Kranz nalegał, by odwieźć go do domu, ale Joanna uparła się, aby odpowiednio uczcili sądowe zwycięstwo. Nie pytając nikogo o zdanie, jako miejsce wybrała Soho Factory, artystyczny ośmiohektarowy przyczółek w kwadracie między Bielską, Żupniczą, Chodakowską i Mińską. Przyczółek, do którego ściągali zarówno dobrze sytuowani millenials, hipsterzy, celebryci, jak i ludzie kultury.

Joanna zaparkowała nieopodal Szklarni, a potem wyszła z auta i zapaliła papierosa. Oryński zrobił to samo, spoglądając niepewnie na Kranza. Ten zawieszał wzrok gdzieś w oddali.

– Chyba jesteśmy kwita – odezwał się lekarz.

Kiedy zerknął na Kordiana, ten zrozumiał, o co chodzi.

– Ja uratowałem cię, ty mnie.

– W pewnym sensie – przyznał Oryński.

Właściwie było to mocno na wyrost. W obydwu przypadkach to Chyłka odegrała kluczową rolę, a jeśli chodziło o wyciągnięcie go z Rakowieckiej, Kranz przysłużył się tylko, stwarzając odpowiednie okoliczności.

– Zbyt pochopnie oceniłem tę sytuację – dodał Kranz.

Tym razem kierował słowa do Joanny, ale ta nie miała zamiaru roztrząsać jego reakcji na sali sądowej. Machnęła ręką, rozwiewając w powietrzu dym, a potem potoczyła wzrokiem po industrialnej zabudowie Soho.

Okolica sprawiała wrażenie undergroundowej, niemal nacechowanej artyzmem. Miała swoich krytyków, ale Oryński czuł się tutaj znacznie lepiej niż w innych tego typu miejscach na kulturalnej mapie stolicy.

– Dzięki wam prokuratura zacznie teraz działać w odpowiednim kierunku – dodał Rafał.

– Nie mielmy tego tematu – odparła Chyłka.

Kranzowi nie trzeba było powtarzać tego dwa razy. Wyraźnie nie czuł się

komfortowo, przyznając do błędnej oceny sytuacji. Oryński od początku nie miał wątpliwości, że w końcu zobaczy ją w takim samym świetle jak oni – jako najlepszą szansę na odnalezienie Czerskiej.

– Czas odchudzić portfel i podtuczyć wszystko inne – odezwała się Joanna, wrywając go z zamyślenia, a potem wskazała na restaurację Mateusza Gesslera.

Weszli do przestronnej, przypominającej dworzec hali i rozejrzeli się za wolnym miejscem. Zwyczajowo nie było ich wiele, ale Kordian wypatrzył jeden stolik. Kiedy zjawił się przy nich kelner, okazało się, że jest zarezerwowany na nazwisko „Joanna Chyłka”.

Oryński liczył na lunch wegetariański w przystępnej cenie, ale było już po szesnastej. Zamiast tego zamówił więc miętusa duszonego w sosie rakowym. Kosztował tyle, ile Kordian zazwyczaj wydawał, by zatankować daihatsu do połowy baku, ale przypuszczał, że nie będzie żałował.

Chyłka zdecydowała się na antrykot, co specjalnie go nie zaskoczyło. Kranz natomiast poprosił o wino.

– Niczego więcej nie jestem teraz w stanie przełknąć – oznajmił.

Joanna spojrzała na kelnera.

– W takim razie pan poda butelkę – poleciła.

Kiedy mężczyzna wrócił z Long Barn Chardonnay z Kalifornii, Oryński odetchnął. Wino ewidentnie nie nadawało się do zamówionej przez Chyłkę wołowiny. Pasowało albo do samodzielnego upijania się, albo do ryb.

Mimo to nie zaproponowała, kiedy kelner postawił przed nią kieliszek. W momencie, gdy chciał jej nalać do skosztowania, podniosła jednak rękę.

– Niech zostanie pusty – oznajmiła. – Będzie symbolizował moje cierpienie.

– Cierpienie? – spytał niepewnie mężczyzna, jakby to on lub ktoś z obsługi przyłożył do niego rękę.

– Jestem niepijąca.

– Ach...

– Albo raczej pijąca, ale niepraktykująca.

– Rozumiem.

– I to nie dlatego, że prowadzę – dodała, jakby go nie usłyszała. – Należałam do tych, których nie interesuje, o której zamykają monopolowy, tylko o której go otwierają.

Wydawało się, że nie musi dodawać nic więcej. Kelner szybko połał Oryńskiemu i Kranzowi, nie roniąc ani kropli, a potem oddalił się z poprawnym uśmiechem. Kranz odprowadził go wzrokiem, po czym zatrzymał spojrzenie na jednej z kilku kobiet siedzących przy stoliku obok.

Nie umknęło jej to. Pokręciła głową z dezaprobatą i prychnęła cicho.

– Coś nie tak? – zapytał.

– Żebyś wiedział – odparła klientka. – Nie tak jest to, że tacy jak ty nie trafiają do więzienia.

Rafał westchnął i odwrócił się od kobiety. Dla wszystkich było jednak jasne, że nawet przybranie niekonfrontacyjnej strategii na nic się nie zda.

– Udajesz, że nie słyszysz? – dodała. – Tak samo jak byłeś głuchy na wszystkie

protesty swoich pacjentek?

Kranz zdawał się nieporuszony zarzutem, a nawet przyzwyczajony do wysłuchiwania podobnych rzeczy. Właściwie miał całkiem sporo czasu, by przywyknąć. Zerknął na Joannę, jakby spodziewał się, że to jej puszcza nerwy.

Chyłka naląła sobie wody z karafki i przepłukała usta.

– Tacy jak ty nie zasługują nawet na proces – dorzuciła klientka. – Powinni was od razu skazywać i umieszczać na liście przestępców seksualnych.

Lekarz pokręcił lekko głową.

– Ile miała najmłodsza pacjentka, co? Piętnaście lat? – ciągnęła kobieta. Jej towarzyszki milczały, ale patrzyły na Kranza z coraz większą niechęcią. – Czytałam na Onecie, jak jedna z takich dziewczyn opisywała wizytę u ciebie. To, co robiłeś, niczym nie różni się od gwałtu. Wykorzystałeś swoją pozycję, gnoju, żeby...

– Długo jeszcze będziesz tak labiedzić? – przerwała jej w końcu Chyłka.

Kobieta skupiła wzrok na Joannie i dopiero po chwili zaskoczyła. Wymierzyła w prawniczkę palcem wskazującym.

– To ty go broniłaś.

– Tak. A teraz bronię siebie. Przed strzeleniem ci po gębie.

– Coś ty powiedziała?

– Że jesteś obcą mi osobą, z którą chciałabym nawiązać jeszcze większą nieznajomość.

– Co ty sobie...

– Ostatnia szansa – ucięła Chyłka. – Albo teraz zamilkнеш, albo będziesz piszczeć, jakby ci ubyło dziesięć lat. To dobra rada, weź ją sobie do serca.

Klientka popatrzyła na swoje towarzyszki, ale żadna się nie odezwała.

– Kolejna jest taka, żebyś po prostu przestała być sobą – dodała Joanna. – Wszyscy w twoim otoczeniu zobaczą poprawę, gwarantuję.

Kobieta nie odpowiedziała, a Chyłka opróżniła szklankę i dołała sobie jeszcze trochę wody. Oryński obawiał się, że to tylko początek dłuższej wymiany zdań, ale kobieta szczęśliwie odpuściła. Machnęła ręką, a potem wraz z koleżankami opuściła lokal.

– W takich sytuacjach czuję presję – oświadczyła Chyłka.

– Żeby komuś dowalić?

– Nie. Chodzi o rzeczy bardziej przyziemne – odparła, wskazując na kieliszek z przezroczystym płynem.

– Aha.

– Chodzi o presję na pęcherz – wyjaśniła, rozglądając się. W końcu zlokalizowała toalety i się podniosła. – Zaraz wracam.

Zostawszy sam na sam z lekarzem, Kordian szukał jakiegokolwiek tematu, który mógłby poruszyć, by przełamać niewygodną ciszę. W końcu uznał, że wybór nie ma znaczenia – ważne, by nie kwitować tej sytuacji milczeniem.

– Często się to zdarza? – spytał, wskazując na pusty stolik obok.

– Bardzo.

– I nie rusza to pana?

– Musiałem się przyzwyczaić.

W jego głosie nie było wyrzutu ani pretensji wobec losu. Pobrzmiwał w nim jednak wyraźny smutek – i Oryński przypuszczał, że nie jest spowodowany jedynie tym, że sytuacja Czerskiej nadal pozostawała niejasna.

Kranz wiele przeszedł od początku tej sprawy. Nawet jeśli rzeczywiście traktował pacjentki w sposób, który uwłaczał standardom, nie zasługiwał na całą tę falę nienawiści, którą go zalano. Na karę tak, na krytykę też, na napiętnowanie i ostracyzm jak najbardziej. Na uznanie go za mordercę – niekoniecznie, uznał Kordian.

Nie tylko bracia Widerowie starali się go zniszczyć. Istniał cały zastęp anonimowych ludzi, którzy za punkt honoru obrali sobie zmieszanie ginekologa z błotem i sprawienie, by wylądował za kratkami.

A podczas długiej kariery nie popełniał przecież jedynie błędów. Prowadził niezliczoną liczbę ciąż, pomógł przyjść na świat dzieciakom, które wielu by skreśliło. Stał się specjalistą w swoim fachu, uratował życie i zdrowie wystarczającej liczbie ludzi, by cieszyć się choć namiastką szacunku.

Tymczasem nie otrzymał nawet jej. W oczach opinii publicznej był skreślony. Zakwalifikowano go nie tylko jako zbereźnika, ale także zabójcę i wyjątkowo podejrzanego typu.

Fakt, że został uniewinniony, nie zmieniał tego, że do końca życia będzie musiał mierzyć się z podobnymi reakcjami nieznajomych. Nie robi zakupów w osiedlowym, nie narażając się na pełne pogardy spojrzenia. Nie pójdzie do restauracji bez wywołania scysji. Może nawet nie wyrzuci śmieci bez kilku złośliwych uwag od współmieszkańców.

Będzie postrzegany nie tylko jako świnia, którą być może był, ale jako zabójca. Nie pozbędzie się tej łatki, choćby uniewinniono go przed haskim trybunałem, a poręczyłby za niego sam papież.

To, że naprawdę był niewinny, nie miało żadnego znaczenia. Najmniejszego. I to tyle, jeśli chodziło o dylemat, czy większą władzę mają sądy, czy media.

Kranz napił się wina, wbijając nieobecne spojrzenie w ceglastą ścianę naprzeciwko.

– Nie miałem wyjścia – dodał cicho. – W pewnym momencie musisz zacząć traktować to jako coś normalnego. Inaczej zwariujesz.

– Rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz.

Opróżnił kieliszek i rozejrzał się za kelnerem. Ten jednak był zajęty przy innym stoliku, zapewne nie spodziewając się, że klient tak szybko upora się z winem. Kranz nalał sobie sam, a potem odstawił butelkę do wiaderka z lodem.

Zaśmiał się cicho, niemal niesłyszalnie.

Napił się jeszcze trochę, po czym w końcu popatrzył na Kordiana.

– Nic nie rozumiesz, Oryński.

Nagle z głosu lekarza zniknęła ta smętna, wcześniej wyraźnie słyszalna nuta. Teraz jej miejsce zastąpiło coś, co nie współgrało z sytuacją.

Kranz zaczął lekko się uśmiechać. Odstawił kieliszek i przesunął językiem po górnej wardze, nie odrywając spojrzenia od Kordiana.

– Nie rozumiesz nawet tego, co się naprawdę stało.

– Co?

Rafał prychnął cicho.

– Naprawdę myślisz, że to, co powiedziałaś w sądzie, miało cokolwiek wspólnego z prawdą?

Oryński patrzył na Kranza nierozumiejącym wzrokiem. Dopiero po chwili jego umysł zaczął przyswajać usłyszane pytanie.

Nie, to było niemożliwe. Kordian przytrzymał powietrze w płucach, jakby mógł w ten sposób zatrzymać także upływ czasu. Wcisnął pauzę i sprawić, by Kranz nie odezwał się już słowem.

Ten jednak nie miał zamiaru milczeć. Przeciwnie – kiedy jego usta rozszerzyły się w jeszcze większym uśmiechu, stało się jasne, jak wielką satysfakcję czerpie z tej sytuacji. I z tego, co zrobił.

Powoli pokazywał się prawdziwy Rafał Kranz. Człowiek niemający nic wspólnego z tym, którego jeszcze przed momentem widział Kordian.

– To były bzdury, Oryński. Przygotowaliśmy dla ciebie wersję, którą miałeś wyrecytować zza barierki dla świadków. I muszę przyznać, że zrobiłeś to wyjątkowo dobrze.

Patrzył na niego spod lekko pochylonego czoła, uśmiech nie schodził mu z twarzy. Kordian odnosił wrażenie, że jest przeznaczony wyłącznie dla niego, zupełnie jakby żaden inny klient nie mógł go zobaczyć.

Chciał się napić, ale zupełnie znieruchomiał.

– Pogłoski o twojej naiwności nie były przesadzone – dodał Kranz.

– Ale...

– Ale co? Pierwszy raz doprowadziłeś do uniewinnienia kogoś, kto cię ograł?

Kordian poczuł, że blednie.

– Na pewno nie – odpowiedział sobie Rafał. – I na pewno nie ostatni.

Oryński nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. Każde słowo wydawało się uderzać w niego z fizyczną siłą niczym ciosy Gorzyma, wprawiając go w coraz większe odrętwienie. Potrząsnął głową, patrząc na ginekologa z niedowierzaniem.

– Taką masz robotę – dodał rozbawiony Kranz. – Czy tego chcesz, czy nie.

– To nie...

– To nie twoja robota? W tej chwili może nie, ale wrócisz przecież do zawodu, prawda? Owszem, nie obowiązuje cię teraz tajemnica adwokacka, ale chyba rozumiesz, że nasze losy splotły się dość mocno.

Oryński w końcu odzyskał równowagę umysłu. Lekarz miał rację, byli od siebie zależni.

– I chyba rozumiesz też, że wystarczy jedno słowo o mnie z twoich ust, a z moich ludzie usłyszą kilka na temat tego, w jaki sposób wyszedłeś z aresztu. I dlatego doszło do wznowienia procesu. Nie wspominając już o tym, co się stało później.

Kordian rozejrzał się. Stoliki obok opustoszały, po Chyłce nie było śladu. Przeszło mu przez myśl, że z premedytacją zniknęła akurat teraz. Że nie tylko pozwoliła Kranzowi doprowadzić tę sprawę do końca, ale że od początku wiedziała, co jest grane.

– A jeśli nie rozumiesz, chętnie ci to wytłumaczę – dodał Rafał.

– Nie trzeba.

– Na pewno? Bo wygląda na to, że łapiesz dość wolno.

Kordian zacisnął usta.

– Naprawdę nie zorientowałaś się, że ta historyjka o odkupieniu win po oddaniu Czerskiej do adopcji to jedna wielka brednia?

Oryński w końcu sięgnął po kieliszek. Wypił wino duszkiem, ale przypuszczał, że tak mała ilość w niczym nie pomoże. By zmierzyć się z tym, czego właśnie słuchał, potrzebowalby znacznie więcej niż butelki.

– Nie było żadnej adopcji? – spytał.

– Oczywiście, że była. Ale w pełni legalna. Stara Widera zresztą doskonale wiedziała, że nosi bliźniaczą ciążę. Wszystko zaplanowała z wyprzedzeniem. – Kranz się zaśmiał. – Naprawdę dałeś wiarę temu, że jej wielgachne, pierdolone brzuszysko przeszło bez echa? Nie trzeba było USG, żeby wiedzieć, że będą z tego dwa szczyły.

Rafał znów sobie dołał.

– Tej wywłoce zależało tylko na tym, żeby Czerska nigdy się nie dowiedziała, kim byli jej rodzice. I to też dało się załatwić.

– Ale...

– Zresztą tak by było. Ela nigdy nie odkryłaby prawdy, gdyby nie ja.

Oryński pokręcił lekko głową. Dopiero docierało do niego, że naprawdę siedzi przy jednym stoliku z zabójcą. Kranz przyznał się do tego, że to on pozbawił życia Beatę Widerę.

Nie, nie. Kordian mógł nadinterpretować jego słowa. Niczego takiego wprost nie powiedział, a poza tym...

Nie miał zamiaru tego dalej roztrząsać. Zrozumiał, że za moment usłyszy wszystko od rozmówcy.

– Ty jej powiedziałaś?

– Nie jesteśmy już na „pan”?

Oryński zignorował pytanie.

– Oczywiście, że ja. Choć nie miałem nic wspólnego ani z nią, ani ze starą Widerą, ani z samą adopcją.

– Więc jak...

– Pewnego dnia przyszła do mnie Beata Widera – wpadł mu w słowo. – Jako zwykła, niczego nieświadoma pacjentka. Z polecenia koleżanki. Wyobraź sobie moje zdziwienie, kiedy zobaczyłem nazwisko.

Kordian zmrużył oczy.

– Ach, nie, poczekaj... przecież ty nie masz bladego pojęcia, dlaczego to nazwisko miałoby robić mi jakąkolwiek różnicę. Pozwól, że cię oświecę.

Oryński spojrzał w stronę korytarza, mając nadzieję, że zobaczy wchodzącą do sali Chyłkę. Wciąż jednak nie było po niej śladu, a on utwierdził się w przekonaniu, że to wszystko wcześniej zaplanowany scenariusz.

– Jak daleko cofnąłeś się w sprawie reprivatyzacji Grójeckiej?

– Co? – wypalił Kordian.

– Na Boga, Oryński, w tym cały czas tkwił klucz – odparł z rozbawieniem Rafał. –

I najwyraźniej nie wgryzłeś się odpowiednio głęboko. Zrobił to jednak William McVay podczas swojej wizyty w Manchesterze. Po jego powrocie Chyłka odsunęła cię od sprawy, prawda?

Kordian nie odpowiedział.

– Nie dało ci to do myślenia? – ciągnął z teatralnym niedowierzaniem Rafał. – Niesamowite, doprawdy niesamowite. Zrobiła to dlatego, że odkryła prawdę. I nie mogła pozwolić, żeby ten cały Rejchert wezwał cię na świadka i wyciągnął z ciebie wszystko. Gdybyś zdał egzamin, był adwokatem, sytuacja byłaby inna, ale... cóż.

Ginekolog odstawił pustą butelkę, a potem skinął ponagląco na kelnera. Na moment przerwał swoją tyradę, a podjął ją dopiero, gdy na stole znalazło się kolejne kalifornijskie wino.

Tym razem podziękował kelnerowi i sam rozlał do kieliszków. Chyłce również nie szczędził, jakby się spodziewał, że po powrocie zmieni zdanie.

– Znasz końcówkę historii tej działki, prawda? – zapytał Kranz, ale nie czekał na odpowiedź. – Wiesz, że rodzina Widerów nabyła ją od Salusa. Spółki wybudzonej przez Richarda Nelsona przy pomocy twojego byłego, obecnie gnijącego w piachu, szefa.

Oryński poruszył się nerwowo.

– Salus nabył grunt przed wojną, razem z szeregiem innych, a w transakcji pośredniczył Felicjan Klawitter. Udało wam się dotrzeć do jego córki, Felicji.

Kordian przypomniał sobie kobietę, która z mroku historii starała się wydobyć dla nich jakiegokolwiek szczegóły dotyczące działki. Nie miała wielu informacji i podkreślała, że ojciec po wojnie nie mówił o transakcjach, w których pośredniczył.

– Nie dokopaliście się jednak do tego, kto był pierwszym właścicielem – dodał Rafał. – I to był wasz największy błąd. Czy może raczej twój, bo Joanna poradziła sobie później śpiewająco przy pomocy Williama. Syn McVaya w Manchesterze znalazł dokumenty, w których figurowali pierwotni właściciele.

– Czyli?

– Rodzina warszawskich Żydów. O nazwisku Kranz.

Oryński miał wrażenie, że serce na moment przestało mu bić.

– Moja rodzina – dodał Rafał tonem, który Kordian znał aż za dobrze. Zazwyczaj słyszał go u wszystkich tych zwyrodnialców, którzy w końcu nie wytrzymywali i dawali upust swoim żądzom.

Lekarz spojrział na kieliszek, ale się nie napił.

– Widzisz, Kordian, przed wojną Klawitter razem z kilkoma współpracownikami zrobił coś, co miało ciągnąć się za nimi przez lata. Felicjan był tym później tak zażenowany, że nie rozmawiał o tym nawet ze swoją córką. Upchnął to gdzieś jak trupa w szafie. Ten jednak w końcu wypadł.

Kranz pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– Ci ludzie, ale nie tylko oni, byli świadomi sytuacji w Niemczech. Widzieli zresztą antysemickie ruchy w całej Europie. Kiedy zaczęło nadciągać widmo wojny, oni przygotowali się, by przejąć jak najwięcej żydowskiego majątku. I nie muszę ci chyba mówić, że w okolicach września trzydziestego dziewiątego pesymistów nietrudno było przekonać do sprzedaży. Im dalej w las, tym było łatwiej. Kiedy zaczęły się pogłoski

o wywózkach, nawet jeszcze nie o pogromach, Żydzi chętnie wszystko sprzedawali. Był to prawdziwy raj dla wszystkich wyzyskiwaczy i krętaczy. Jednymi z nich były gnoje, które ogołociły moją rodzinę z całego majątku.

Fakty, które przedstawiał ginekolog, powoli układały się w głowie Oryńskiego w logiczną całość. Zawile nici reprivatyzacji nagle się rozplątały, a on zobaczył cały obraz.

Wszystko, co się stało, było pokłosiem zadawnionej chciwości. Zwykłej żądzy pieniądza sprzed niemal stu lat.

Pewne rzeczy najwyraźniej się nie przedawiały.

– Wiesz, co pisał Głowacki? – dodał Kranz.

Jeszcze przed momentem Oryński nie miał zamiaru wdawać się w rozmowę, z każdą kolejną sekundą jednak jego upór malał. A teraz miał ochotę odezwać się choćby po to, by zaproponować przed przywołaniem słów Głowackiego.

– Pisał, że dopóki istnieje nadzieja na zemstę, można sporo wytrzymać – wyjaśnił Rafał. – Ale ja trochę bym to sparafrazował. Można wszystko wytrzymać.

– Więc o to chodziło? O zemstę?

– Pytasz, jakby to było niewystarczające.

– Bo nie jest.

Kranz znów się roześmiał.

– Ci ludzie zniszczyli spuściznę minionych pokoleń, rozumiesz? I pozbawili jej przyszłych – oświadczył lekarz, kręcąc głową. – Zrobili to zgodnie z prawem, ale tylko ludzkim. To inne złamali w najgorszy możliwy sposób.

Przez moment przy stoliku panowała cisza.

– Zabrali mojej rodzinie wszystko – dodał Kranz. – Gdyby nie oni, moi dziadkowie mieliby gdzie się schronić, być może ani oni, ani nikt inny z mojej rodziny nie trafiłby do obozów. I kolejne pokolenia miałyby zapewniony jakiś byt. Ale tak się nie stało.

Rafał nerwowo szarpnął za kieliszek, rozchlapując trochę wina na stół.

– Każdy w tym łańcuchu był winny – dodał, napiwszy się. – Klawitter, ludzie związani z Salusem, Nelson, McVay. A ostatecznie Widerowie. Każdy dołożył swoją cegiełkę do zniszczenia mojej rodziny. I każdy poniósł karę.

– A więc to ty odpowiadasz za...

– Pewne rzeczy nie wymagają dopowiedzenia, prawda? – uciął Kranz, wskazując wzrokiem na stoliki obok. – Szczególnie kiedy ktoś przypadkowo może usłyszeć zbyt wiele.

Rozmawiali cicho, a inni klienci znajdowali się zbyt daleko, ale Kordian przypuszczał, że nigdy nie usłyszy od lekarza bezpośredniego przyznania się do winy.

Ta jednak nie ulegała wątpliwości. Recepty nie były sfalszowane. Wydruk komputerowy powstał na jego sprzęcie biurowym. To on zabił Widerę, być może przyczynił się też do śmierci jej rodziców.

To on odebrał życie Richardowi Nelsonowi i Harry'emu, kiedy ci stali się zagrożeniem.

I w końcu to także on musiał stać za tym, co spotkało w więzieniu Kimpika. Tyle że jego śmierć nie pasowała do reszty. Z punktu widzenia Rafała nie była konieczna.

– Błoński – odezwał się Kordian niepewnie. – Dlaczego musiał zginąć?

– Jest wojna, są ofiary.

– Dlaczego on?

Kranz przez chwilę patrzył z zadowoleniem na Oryńskiego, jakby czerpał z jego niewiedzy satysfakcję.

– Nadal nie rozumiesz – powiedział. – W całej tej sprawie jest tylko jeden rozgrywający. Wszyscy inni to drugorzędni zawodnicy.

Kordian nie zamierzał drażnić. Miał do czynienia z psychopata, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Mimo próby racjonalizowania zemsty po latach, nie było w niej nic rozsądnego. Nic, co dawałoby się obronić. Kranz był chory.

Ale jako psychopata odczuwał potrzebę, by podzielić się z kimś swoimi osiągnięciami. I Oryński nie miał złudzeń, że usłyszy o wszystkim, czego dopuścił się rozmówca.

– Wyłożyłem niemałe pieniądze dla Gorzyna, żeby zaatakował was w trakcie widzenia – dodał zadowolony Kranz. – Niewiele mniej chciał Kim Peek za przekazanie ci, że McVay stanowi niebezpieczeństwo. I nie była to do końca brednia, bo stanowił. Nie dla ciebie, ale dla mnie. Zaczynał grzebać coraz bardziej, a ja musiałem zasiać w waszych szeregach ferment. Rozumiesz, Kordian?

Zaczynał rozumieć aż za dobrze. Kiedy dotarło do niego, że to Kranz stoi za wszystkim, od samego początku aż do końca, mógł wreszcie umieścić zebrane elementy na swoich miejscach.

– Nie powinno cię to dziwić, śledziłem przecież twoją... więzienną karierę. I pomogłem ci ją zakończyć.

Kordian spojrział w kierunku wyjścia. Po wszystkim, co usłyszał, miał ochotę wstać i opuścić restaurację. Pozostawała jednak kwestia, której sam nie był w stanie rozwiązać.

– Gdzie jest Ela Czerska? – zapytał. – Co jej zrobiłeś?

Kranz napił się i znów oblizał usta.

– Myślisz, że ją zmanipulowałem, co?

Oryński nie musiał odpowiadać.

– Że omamiłem biedną dziewczynę, przedstawiłem nieznaną jej przeszłość i uświadomiłem, że zamiast spadkobierczynią rodzinnej fortuny jest kasjerką w supermarkecie? Bo tam pracowała, Kordian. Taki los ją spotkał.

– Gdzie ona jest?

– W bezpiecznym miejscu. I nic jej nie grozi, bo od początku działa ze mną.

Widząc konsternację na twarzy prawnika, Rafał rozpromieniał.

– Nie musiałem sięgać po żadne manipulacje. Wystarczyło, że przedstawiłem jej prawdę. Była bardziej niż chętna wysłuchać, co planuję, bo Widerowie skrzywdzili ją bardziej niż mnie. I wszyscy wiedzieli o jej istnieniu. Zarówno bracia, jak i Beata. Ta ostatnia była zresztą wyjątkowo wredną suką, która zagarnęła cały majątek dla siebie, odgrywając przed starymi cnotkę niewydymkę i grzeczną córunię.

Oryński miał trudności z przełknięciem śliny. Miał wrażenie, że to wszystko jest jedną wielką manipulacją i że zaraz ktoś oznajmi mu, że dał się na nią złapać.

Ale tak nie było. Siedział przed nim wykolejeniec, mózg operacji, bezwzględny

zabójca, który nie cofnął się przed niczym, by zrealizować swój plan. I znalazł sobie pomocniczkę, która miała tyle skrupułów co on.

Ale to oznaczało, że dokument, od którego wszystko się zaczęło, nie mógł zostać spisany przez Beatę Widerę.

– Ten testament...

– Był kluczowy. I został napisany przez Elę, rzecz jasna – dokończył Kranz. – Kosztowało nas to trochę wysiłku, bo nawet w przypadku bliźniąt jednojajowych nie ma mowy o identycznym stylu pisma. Ale koniec końców nie opinie grafologów interesowały prokuraturę najbardziej. Założenie, że testament spisała Widera, było wszystkim śledczym na rękę. Bo wskazywało na mnie jako winnego.

Kordian dopiero teraz uświadomił sobie, że wraz z Chyłką umożliwił realizację całego planu. Wszystko, co zrobili, sprawiło, że teraz Rafał Kranz był czysty. Sprawa została zamknięta, obowiązywała powaga rzeczy osądzonej. Zasada *res iudicata*. Lekarz nie mógł być drugi raz pociągnięty do odpowiedzialności za śmierć tych wszystkich osób.

– Nic nie ryzykowałem – dodał, jakby czytał Oryńskiemu w myślach. – Kontrolowałem cały materiał dowodowy. Podsuwałem wam poszlaki i miałem w rękawie ostatniego asa. Elę. A raczej twoje zeznania, które mnie oczyściły.

Kranz wstał od stołu, opróżnił kieliszek, a potem delikatnie odłożył go na stół.

– Przekaż wyrazy wdzięczności Chyłce – rzucił. – I gdybyście kiedyś chcieli się spotkać, odezwijcie się. Mamy teraz z Elą sporo miejsc, w których możemy świętować.

Kordian odprowadził lekarza nieobecny spojrzeniem. Jeszcze przez moment trwał w bezruchu, podczas gdy myśli na powrót zaczęły szaleć mu w głowie. W końcu łapczywie nabrał tchu i zamknął na chwilę oczy.

Podniósł się zbyt szybko i nieomal stracił równowagę. Potem szybkim krokiem ruszył w kierunku toalety. Musiał się przekonać, ile wiedziała Chyłka. I czy brnęła w obronę tego człowieka mimo wszystkiego, co zrobił.

Kordian wpadł do damskiej toalety bez pukania. Rozejrzał się nerwowo, ale nigdzie nie dostrzegł Joanny. Zawołał ją, nie doczekał się jednak odpowiedzi. Chyłka zniknęła.

ul. Emilii Plater, Śródmieście

Upływ czasu być może leczył niektóre rany. Z pewnością jednak nie te, które okazały się śmiertelne. A do takich z pewnością należała strata dziecka. Chyłka dawno pogodziła się z tym, że żałoba w tym wypadku nigdy się nie kończy. A także z tym, że nie ma ona nic wspólnego z jej abstynencją.

Zostawiła samochód na parkingu Złotych Tarasów, a potem zabrała z siedzenia pasażera butelkę tequili. Była już w połowie pusta, kiedy rozległo się trzaśnięcie drzwiczek iks piątki.

Jazda po pijaku nie była dla Chyłki niczym nowym. Zbliżanie się do PNR i podejmowanie pochopnych decyzji również nie. Przeciwnie, robiąc to wszystko, czuła się, jakby na powrót stawała się prawdziwą sobą.

I jakby ostatnie miesiące były jedynie złudą.

Szła po Emilii Plater, kierując się do mieszkania Oryńskiego. Zatrzymała się przed wejściem, wyciągnęła telefon, a potem go włączyła. Uszkodzony wyświetlacz zdawał się odmawiać posłuszeństwa bardziej niż zwykle, mimo to Joannie udało się wybrać numer.

Kordian odebrał w mig.

– Gdzie ty jesteś?

– Na życiowym rondzie. Ale kręcę się w kółko jak elektron i nie mogę znaleźć zjazdu.

Odpowiedziała jej cisza.

– Zordon?

– Piłaś?

Chyłka wydała z siebie dźwięk, który rozlegał się, kiedy podczas teleturniejów uczestnicy udzielili złej odpowiedzi.

– Czas przeszedł jest niewłaściwy – oznajmiła nieco bełkotliwie. – Użyj terazniejszego, a trafisz w sedno.

– Kurwa mać...

– Tak mogłabym podsumować wszystko, co się od pewnego czasu dzieje.

– Gdzie jesteś?

– Opodal.

– Opodal czego?

Spojrzała na wejście do budynku, w którym znajdowało się mieszkanie Kordiana.

– Jedynej dobrej decyzji, jaką ostatnio podjęłam.

– O czym ty mówisz?

– O przyszłości. Dobrej przyszłości.

Nie miała pojęcia, czy jej głos brzmi tak, jak zamierzała. Zrobiła krok w stronę

klatki schodowej, ale zachwiała się i musiała lekko cofnąć.

– Do kurwy nędzy... – jęknął Oryński. – Wytłumaczysz mi, co się dzieje? Gdzie jesteś?

– Zaraz.

– I dlaczego znikłaś nagle z Soho? I wyłączyłaś telefon?

– Wszystko ci wytłumaczę, Zordon. Może nawet więcej niż wszystko.

Usłyszała w słuchawce jego poirytowane, głośne prychnięcie.

– Dosyć mam tego twojego pieprzenia – rzucił. – Szukałem cię po całym mieście.

– I nie znalazłeś?

Odpowiedziało jej milczenie. Rozumiała jego złość, musiał odchodzić od zmysłów, nie mogąc się z nią skontaktować. Nie potrafiła jednak inaczej uporać się z tym, co niespodziewanie na nią spadło.

– Mam te twoje zagrywki w dupie – dodał. – I ciebie też mam w dupie, Chyłka.

Uniosła brwi, nie dowierzając temu, co słyszy.

– Co ty powiedziałeś?

– Że mam tego dosyć.

– Czego konkretnie?

– Jeśli musisz pytać, to coś jest z tobą naprawdę nie w porządku. Bardziej niż sądziłem.

– Słuchaj...

– Nie, tym razem to ty mnie posłuchaj – przerwał tak głośno, że machinalnie odsunęła telefon od ucha. – Odstawiasz mnie na boczny tor i... i nie mam na myśli spraw zawodowych. Pozwalasz pierdolonemu Kranzowi traktować mnie jak marionetkę, słowem nie wspominając mi o tym, co się naprawdę dzieje. I bronisz człowieka, który zabił jednego z twoich bardzo nielicznych przyjaciół. Może nawet jedyne. Kim ty w ogóle jesteś, Chyłka?

– *Hola, señor.*

Joanna odsunęła się, by przepuścić starszą kobietę wychodzącą z klatki. Ta zatrzymała się, przytrzymując drzwi i patrząc pytająco na Chyłkę. Prawniczka nie wiedziała, czy podziękować i ruszyć przed siebie, czy pokręcić głową.

Chwila wahania sprawiła, że staruszka poszła dalej.

– Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

– Mam znacznie więcej – odparła. – Ale tylko, jeśli...

– Wiedziałaś o tym, co zrobił Kranz?

– A jeśli tak, to co? – spytała nieco agresywniejszym tonem, niż zamierzała. – Chyba nie muszę ci przypominać, że adwokat ma obowiązek bronić klienta. Dla dobra nie tylko jego, ale całego, kurwa, systemu.

Oryński milczał.

– Bo jeśli my damy ciała, nie będzie mowy o żadnej równowadze, żadnej sprawiedliwości, żadnym uczciwym procesie. Sukinsynów sądzonych za zbrodnie wojenne w Hadze też ktoś musi bronić.

Wciąż żadnej odpowiedzi.

– Wiesz o tym, Zordon – dodała. – I wiesz, że nie mogłam ci powiedzieć

wszystkiego.

– Jak wiele wiedziałaś?

– Znałam tylko główne fakty.

– To znaczy?

– Że pierwszymi właścicielami byli Kranzowie.

– A więc całą resztę musiałaś sobie na pewnym etapie dopowiedzieć. I mimo to kazałaś mi zeznawać.

– Niczego ci nie kazałam.

Zaśmiała się bezradnie, z wyraźną pretensją.

– Rzeczywiście – przyznał. – Jedynie zataiłaś przede mną to, co najważniejsze.

Chyłka zrobiła niewielki krok w tył, odnosząc wrażenie, że tym samym podjęła właśnie decyzję o wycofaniu się. Być może przyjazd tutaj nie był najlepszym pomysłem.

– Nie mam zamiaru dłużej tego robić – zadeklarowała.

– Czego?

– Zatajać czegokolwiek.

– Świetnie. W takim razie przy następnej sprawie od razu...

– Nie mam na myśli spraw, Zordon.

– A co?

– To, że stoję pod twoją klatką i chyba nie zamierzam być tutaj zbyt długo.

Nie musiała dodawać nic więcej. Po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich lekko zdyszany Kordian. Spojrzał na nią niepewnie, od razu orientując się, co ma w plastikowej torebce. Otworzył szerzej drzwi, a ona weszła do klatki bez słowa.

Zatrzymała się przed nim tuż za progiem. Spojrzeli na siebie z odległości kilku centymetrów i trwali przez moment w bezruchu.

– *Mamihlapinatapai?* – odezwał się w końcu Oryński.

– Chyba nawet bardziej niż zwykle.

– Więc twoim zdaniem wszystko zostało powiedziane?

– Mhm – potwierdziła, ruszając ku schodom. – Szczególnie to, co właśnie omówiliśmy bez słów.

– I co to takiego?

Nie odpowiedziała, przyspieszając trochę kroku. W milczeniu weszła do kawalerki i od razu skierowała się do kuchni. Postawiła tequilę na stole, zdjęła nakrętkę z sombrero, a potem wyjęła paczkę nerkowców.

Zjadła jednego i pociągnęła łyk z butelki. Zakręciło jej się w głowie i dopiero teraz uświadomiła sobie, że piła tequilę jak wodę. Stanowczo za szybko i zbyt łapczywie. Efekty zaraz uderzą w nią ze zdwojoną mocą.

Wzięła jeszcze jeden łyk.

– Mam szklanki – odezwał się Kordian, siadając naprzeciw.

– Pewnie niemyte.

Wzruszył ramionami, w zasadzie przyznając jej rację. Sam też napił się prosto z butelki, a potem odsunął ją na bok.

– Dlaczego nagle znikłaś? – odezwał się.

– Z twojego życia? Prawdopodobnie dlatego, że wiedziałam, jak daleko razem

zajedziemy. A znasz mnie na tyle, żeby wiedzieć, że wolę krótkie dystanse i duże prędkości.

– Miałem na myśli Soho.

– A...

– Więc?

– Dostałam perfidnego kopa od losu, Zordon.

– Nie pierwszy i nie ostatni raz. A jednak nie zawsze przepadasz jak kamień w wodę.

Pokiwała głową w zamyśleniu, a potem nasypała sobie garść orzechów.

– Po tym, jak was zostawiłam, zadzwonił William – powiedziała nieobecny głosem.

Nie chciała wracać do tego myślami, mimo to przysłała tu z mocnym postanowieniem, by przedstawić Oryńskiemu wszystko, co powinien wiedzieć. Co musiał wiedzieć.

Nie mogła jednak zmusić się do kontynuowania tematu, a jego ponaglące spojrzenie nie pomagało. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że na rzeczy jest coś, o czym niełatwo jej mówić.

Położyła nerkowce na stole i mimochodem zaczęła układać z nich litery.

– Od razu wiedziałam, że coś się stało – dodała. – Głos miał, jakby mówił zza grobu. I właściwie w pewnym sensie może tak było. Przynajmniej z jego perspektywy.

– O czym ty mówisz?

– Ma chłoniaka, Zordon.

– Raka? – wypalił. – Ale...

– We wczesnym stadium. Z limfocytów T.

Widziała, że nic mu to nie mówiło. Jej także nie, dopóki nie zaczęła sprawdzać, z czym konkretnie jest to związane.

– Co o tym wiesz? – spytała, wskazując orzechy na stole.

Ułożyła je w litery „HTLV”. Kordian przyjrzał im się i rozłożył ręce. Wyraźnie nie wiedział, jak się zachować, ale Chyłka nie miała zamiaru poświęcać ani chwili więcej na rozmowę o McVayu.

– To pierwszy rozpoznany ludzki retrowirus – podjęła. – William najpewniej zaraził się nim podczas wakacji na Dominikanie. Rzekomo występuje często na Karaibach, nierzadko też w Japonii.

– O czym ty...

– Nie ma na niego szczepionki, dlatego jest uznawany za wyjątkowo groźny – dodała, wrzucając jeden z orzechów do ust. – Typ pierwszy HTLV wywołuje właśnie chłoniaka, ale może powodować też białaczkę. Typ drugiej choroby układu nerwowego, jak niedowład czy zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych.

– Zaraz...

– Zarazić się nim można przez krew, co pewnie cię nie dziwi, ale też przez mleko matki.

Kordian otworzył usta. Przez moment się nie odzywał, nie odrywając wzroku od Joanny.

– A drogą płciową? – zapytał.

– Też.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Że jestem zarażona wirusem ludzkiej białaczki, tak.

W kuchni zaległa ciężka cisza. Chyłka czuła, że wraz z coraz szybciej krążącym w jej krwiobiegu alkoholem rzeczywistość staje się mniej realna. W przypadku Oryńskiego było zapewne podobnie, tyle że nie miało to wiele wspólnego z tequilą.

– To... coś jak HIV?

– Naprawdę takie pytanie chcesz teraz zadać? – odparła pod nosem, wstając z krzesła.

Zabrała butelkę i paczkę nerkowców, a potem położyła się na kanapie. Zerknęła na sombrero i bez wahania je odkręciła. Kolejny łyk był jak obietnica, że wszystko będzie dobrze. Równie złudna jak myśl, że rano Chyłka uniknie kaca.

Kordian oparł się o ścianę po drugiej stronie pokoju. Wbił wzrok w sufit i przez chwilę się nie odzywał.

– Ale... przecież miałaś robione badania w ciąży.

– Na HTLV generalnie się testów nie przeprowadza, obowiązkowe są tylko te na kiłę, a niekiedy wykonuje się też posiew na rzeżączkę. A szkoda, skoro dziecko może zarazić się i w łonie, i potem podczas karmienia.

Oryński zamknął oczy.

– Kurwa mać... – jęknął.

– Mówiłam ci, że to dobre podsumowanie tego, co się dzieje.

– Na ile to pewne?

– To wykażą badania krwi.

– Kiedy je zrobisz?

– Już zrobiłam. Jeszcze zanim otworzyłam tequilę – odparła, odkładając butelkę.

Napotkawszy spojrzenie Oryńskiego, na chwilę zastygła. – Ale ostatecznie nie ma to wielkiego znaczenia.

– Ale...

– Nie interesuje mnie, jak ani kiedy umrę. Ani jako kto. – Nie dała mu dojść do słowa. – Liczy się tylko mój testament, rozumiesz? To, co po sobie pozostawię.

Kordian wyraźnie zbladł.

– Wiesz, co w nim zapisałam, Zordon?

Nie musiał odpowiadać, doskonale zdawał sobie sprawę, że Joanna nie zostawi śmierci McVaya bez wyjaśnień. Było to dla niego oczywiste od samego początku.

– Nie musimy teraz o tym...

– To prawda – ucięła. – Jak przyjdzie czas, umówisz mnie ze swoim kumplem z NSI. Biankim, tak?

– Bianczim.

– Załatwię z nim wszystko, co trzeba. Kranza spotka to, na co sobie zasłużył. Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało. Nie myśleli ani o potencjalnym dziennikarskim śledztwie, ani o tym, jakie konsekwencje będzie miało dla lekarza. Oboje skupiali się na

czymś innym.

– Musi przecież być jakiś sposób, żeby...

– Nie ma. Chyba że ktoś nagle odkryje jakiś cudowny lek – ucięła, zamykając oczy. Zaplotła dłonie pod głowę i przeciągnęła się. – Będę mieć wyniki badań, będę gdybać. Na razie nie pozostaje mi nic innego jak systematycznie się zalewać.

Spodziewała się, że Kordian podejmie temat i następny kwadrans będzie musiała przeznaczyć na przekonywanie go, że nie ma sensu zastanawiać się nad rzeczami, na które nie mają wpływu.

Oryński jednak się nie odzywał, a kiedy otworzyła oczy, przekonała się, że wrócił do kuchni. Stał przy stole, nerwowo paląc papierosa. Sprawiał wrażenie ćpuna, który zaczyna zmagać się z pierwszymi objawami odstawienia.

– Jest jeden plus tej sytuacji – odezwała się na tyle głośno, by ją usłyszał.

Wypuścił dym i spojrzał na nią.

– Jaki?

– Raczej nie będziesz wracać teraz do tematu Kranza.

– Nie – przyznał. – Raczej nie.

– Ani do tego, że odstawiłam cię na boczny tor.

Zgasił papierosa, wściekle łamiąc go na pół w popielniczce, po czym wrócił do pokoju i znów oparł się o ścianę.

– Zrobiłam tylko to, co musiałam – dodała, niemal pewna, że przestała bełkotać.

Mogło to oznaczać tylko jedno – wypięła dostatecznie dużo, by powstała iluzja trzeźwości. Nie wróżyło to niczego dobrego, ale nie miała zamiaru się tym przejmować. Biorąc pod uwagę wirusa, który zapewne już zaatakował jej limfocyty, perspektywa porannego bólu głowy i nudności nie była niczym przesadnie dotkliwym.

– Nie mogłam pozwolić, żeby Rejchert wezwał cię na świadka i postawił w niemożliwej sytuacji – dodała.

Kordian uderzył lekko głową o ścianę.

– Wiedziałam, że jak tylko zaczniesz węszyć, dogrzebiesz się do prawdy. I ostatecznie będziesz miał wybór, czy uwalić całą moją obronę, czy kłamać na mównicy.

Oboje wiedzieli, że przez jakiś czas zmagaliby się z tym dylematem, ale ostatecznie zrobiliby to, co zawsze. Wsparłby Chyłkę, choćby to było wbrew prawu.

– Prokuratura liczyłaby na to, że dopuścisz się krzywoprzysięstwa – ciągnęła Joanna, czując, że mówi jej się z coraz większą łatwością. – Są na ciebie cięci. Przez lata będą szukać sposobu, żeby cię uwalić. A dzięki temu otrzymaliby wyjątkowo dogodną okazję.

Kordian potarł jednodniowy zarost i popatrzył na leżącą na kanapie Chyłkę, jakby była obłożnie chora, a nie pijana.

– Mniejsza z tym – powiedział. – To teraz naprawdę nieistotne.

Przyznała mu rację, kiwając głową.

– Otóż to – dodała. – Teraz liczy się powód, dla którego ci o tym wszystkim mówię.

– I jaki to powód?

– Chcę, żebyś wiedział, w co się pakujesz.

– A pakuję się w coś?

– W związek ze mną.

Jego wzrok kazał sądzić, że nie dowierza temu, co usłyszał. Ewentualnie, że zamierza zrzucić to na karb wypitego alkoholu.

– Jeśli badanie wykaże obecność retrowirusa... sam rozumiesz. To zostaje do końca życia. Raczej krótkiego.

– Już to mówiłaś.

– I musiałam powtórzyć, żebyś mógł się porządnie zastanowić.

– A myślisz, że mam nad czym?

Spojrzała na niego, ale Kordian szybko uciekł wzrokiem. Zaraz potem podszedł do stołu i zabrawszy z niego laptopa, zatrzymał się przy kanapie. Usiadł na brzegu, podniósł nogi Chyłki i wsunął się pod nie.

– Ty mi powiedz, Zordon – odparła w końcu. – Chyba że cierpisz na deficyt zbornych myśli, zrozumieję.

– Cierpię na deficyt ciebie.

Przez długi czas patrzyła na niego w milczeniu.

– Więc jak będzie? – zapytała w końcu.

Odpowiedział, po raz kolejny nie musząc sięgać po słowa. Otworzywszy laptopa, puścił kawałek, który rozpoznała już po pierwszych gitarowych riffach.

– Alice Cooper – odezwała się. – *Poison*.

Posłowie

Zdarzają się takie momenty, kiedy za wszelką cenę chce się pisać dalej i wszystko inne wydaje się niespecjalnie istotne, żeby nie powiedzieć błahe i trywialne – jednego z nich doświadczyłem, kończąc pracę nad tym tomem.

Chciałem iść dalej z Chyłką i Oryńskim, by od razu przekonać się, jak będzie wyglądała ich wspólna droga, do której tak długo dążyli. Chciałem wiedzieć, jak odnajdą się w zupełnie nowej rzeczywistości – z jednej strony wyczekiwanej, z drugiej niepewnej. A przede wszystkim chciałem wiedzieć, czy ten wybuchowy duet w ogóle potrafi iść wspólnie w jednym kierunku.

Pewne jest, że spróbują. I że wyniki badania krwi, jakiegokolwiek by były, tego nie zmieniają. Jak jednak będzie wyglądała ich wspólna przyszłość? Nie mam pojęcia, przynajmniej jeszcze nie teraz.

Na swojej pisarskiej drodze postawiłem znak „STOP”, bo nowa rzeczywistość dla Chyłki i Kordiana to także nowa perspektywa dla mnie samego. Muszę dać tej dwójce trochę czasu, by nauczyli się siebie w nowych rolach – a sobie, by spojrzeć na nich z tej strony.

Kiedy więc powrócą? Przypuszczam, że niedługo, bo na jakąkolwiek drogę Chyłka by nie wjechała, zazwyczaj niespecjalnie przejmuje się znakami stopu. Ja też nie mam zamiaru.

Podziękowania jak zawsze należą się Tobie, bo bez Ciebie nie byłoby ani tego tomu, ani poprzednich (ani kolejnych, które kołaczą mi się już gdzieś w głowie). Dziękuję także stałej grupie osób nie tylko będących na bieżąco z moimi książkami, ale i nieustannie wspierających mnie na przeróżne sposoby: Rodzicom, przyjacielom, ekipie z Czwartej Strony i wszystkim Czytelnikom, którzy nieraz zrobili mi dzień dobrymi słowami. To one są fundamentem mojego pisarstwa.

Na koniec wszystkim tym, których zainteresował temat warszawskiej reprzywatyzacji, polecam lekturę książki Iwony Szpali i Małgorzaty Zubik – *Święte prawo. Historie ludzi i kamienic z reprzywatyzacją w tle* (Warszawa 2017). Czyta się tę pozycję lepiej niż niejeden kryminał, a po skończeniu chce się więcej i więcej. Autorki opisały część przypadków, które stały się kanwą dla tej opowieści – bo choć losy majątku Kranzów są fikcyjne, właściwie równie dobrze mogłyby mieć miejsce w rzeczywistości...

Remigiusz Mróz

Opole, sierpień 2017 roku